

EDWARD ŁYSIAK

KRESOWA  
OPOWIEŚĆ

*Nadia*

TOM III

NOVAE RES

Edward Łysiak

KRESOWA  

---

OPOWIEŚĆ

TOM III

*Nadia*



NOVAE RES

# SPIS TREŚCI

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Od autora](#)

[Rok 2014](#)

[Rok 2011](#)

[Rok 2012](#)

[Rok 2013](#)

[Rok 2014](#)

[Epilog, czyli Nadii ciąg dalszy](#)

[Plan filmowy Nadii – drugie opowiadanie Andrzeja Pilarskiego](#)

[Literatura i inne źródła](#)

# DEDYKACJA

*Nadę*, trzeci tom *Kresowej opowieści*, dedykuję Panu Profesorowi Pawłowi Nyckowskiemu oraz Panu Profesorowi Markowi Krawczykowi, Panu Profesorowi Krzysztofowi Zienkiewiczowi, Panu Profesorowi Tadeuszowi Wróblewskiemu, Panu Profesorowi Rafałowi Paluszkiewiczowi, Panu Docentowi Krzysztofowi Dudkowi, Panu Doktorowi Michałowi Skalskiemu, Panu Profesorowi Piotrowi Milkiewiczowi, Panu Doktorowi Michałowi Wasilewiczowi, Panu Profesorowi Maciejowi Wójcickiemu, Pani Docent Ewie Wunsch, Panu Docentowi Tomaszowi Gotlibowi, a także Kierownictwu, Lekarzom i Pielęgniarkom Kliniki Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby oraz Kliniki Hepatologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przy ulicy Banacha 1A.

# PODZIĘKOWANIA

Podziękowania za empatię i pomoc zechcą przyjąć: Pani Terenia Kawecka z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego we Wrocławiu oraz Pan Doktor Piotr Pobrotyn, Pan Doktor Paweł Chudoba, Pani Doktor Agnieszka Lepiesza z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu.

# OD AUTORA

W myśl doktryny Jerzego Giedroycia polską racją stanu jest, by niepodległa Ukraina była buforem oddzielającym nas od Federacji Rosyjskiej.

Chociaż dzisiaj, przy tak zaawansowanej technologii wojskowej, doktryna Jerzego Giedroycia wydaje się być anachronizmem, to w imię niedrażnienia Ukrainy wszystkie nasze rządy po 1989 roku niechętnie podejmowały temat kresowego ludobójstwa.

Jestem orędownikiem polsko-ukraińskiego pojednania. Za naszą wschodnią granicą żyje wielu wspaniałych ludzi, których dziadkowie, narażając życie swoje i najbliższych im osób, ratowali Polaków z rąk zbrodniarzy z UPA. Wieczna im za to chwała, wdzięczność i pamięć.

Nie wolno nam jednak zapomnieć o tragedii Kresowiaków, o okrutnych zbrodniach dokonanych na polskiej ludności cywilnej przez oprawców z Ukraińskiej Powstańczej Armii – bohaterów narodowych dzisiejszej Ukrainy. Niepodległa Ukraina się ich nie wyrzeknie, nie pozbawi Stepana Bandery patronatu nad setkami ulic i placów, nie zlikwiduje poświęconych mu pomników i nasze protesty tego nie zmieniają.

Jedyne, co nam pozostaje, to obowiązek pamiętania o ich zbrodniach, których tragicznym symbolem jest Wołyń.

Choć Nadia w znacznej części opiera się na prawdziwych wydarzeniach, to podobieństwo bohaterów literackich do realnych postaci jest całkowicie przypadkowe.



# ROK 2014

## Klinika Hepatologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

Kiedy skończyłem czytać, Pilarski<sup>1</sup> się zamyślił.

– Mówi pan, że to ostatni list, jaki Jakubowski<sup>2</sup> napisał przed śmiercią? – zapytał.

– Tak – kiwnąłem głową – przynajmniej do mnie.

– To smutne. – Na ziemistej twarzy policjanta pojawił się grymas uśmiechu. – To bardzo smutne.

– Ma pan rację – przyznałem. – Emigracja powinna być wyrzutem sumienia ojczyzny, która nie potrafiła stać się dla swoich obywateli wystarczająco atrakcyjnym miejscem do życia.

– Owszem, ale nie to miałem na myśli. – Policjant poprawił się na krześle. – Nie chodziło mi o to, że Jakubowski zmarł z dala od kraju, ale o przemijanie, o ulotność naszego życia, o złudność szczęścia.

– Przemijanie... – Po chwili milczenia zrobił długi wdech. – Nieuchronność spraw ostatecznych.

Nie podejmowałem dyskusji. Nie udzielił mi się nastrój Pilarskiego.

– Nigdy nie spotkałem Jakubowskiego – kontynuował swój monolog. – Znałem go jedynie z opowiadań i z kart pańskiej powieści. W mojej wyobraźni zawsze był człowiekiem czynu – energicznym, inteligentnym i nieuznającym porażek. Tymczasem z listu przemawia człowiek schorowany, przegrany i zrezygnowany.

– No wie pan – przerwałem mu – pół wieku jednak robi swoje.

– Tak, tak! – Policjant nieco się ożywił. – Właśnie o tym cały czas mówię

– o przemijaniu. – Pan nie zmienił się wcale od naszego ostatniego spotkania.  
– Mówiąc to, przyglądał mi się uważnie. – Ja natomiast cudem uniknąłem śmierci. – Rozwiązał pasek szlafroka i podciągnął bawełniany podkoszulek. – Widzi pan? – zadał retoryczne pytanie. – Czterdzieści centymetrów!

Brzuch Pilarskiego zdobiła okazała blizna w kształcie odwróconej i spłaszczonej litery „U” gęsto poupinana metalowymi klamerkami. Wraz z brodawkami jego piersi przypominała smutną twarz jednego z emotikonów<sup>3</sup>.

– Widzę – odpowiedziałem niepewnie.

– Mam nową wątrobę! – Opuścił podkoszulek, założył na siebie poły szlafroka i przewiązał je paskiem. – Trochę tu chłodno – dodał, zakładając nogę na nogę. – Rozmawia pan z człowiekiem, który jedną nogą był już na tamtym świecie.

Zakładanie nóg na tyle rozproszyło moją uwagę, że w pierwszej chwili naszło mnie idiotyczne pytanie, którą nogą mój rozmówca dotknął tamtego świata? Czy tą, której stopa spoczywała na podłodze, czy tą drugą, ze stopą wiszącą swobodnie w powietrzu? Pytanie nie pasowało do powagi sytuacji, ale było jakąś formą aktywności umysłu, bo w gruncie rzeczy nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Pożółkła i postarzała twarz Pilarskiego mówiła więcej o cierpieniu i przejściach, jakich doświadczył w ciągu ostatnich dwóch tygodni, niż mogłyby powiedzieć wszystkie słowa świata zebrane przez najlepszego z literackich laureatów Nagrody Nobla. Tak mi się w tamtej chwili wydawało, jednak niebawem miałem się przekonać, że nie mam racji.

Przez kilka kolejnych dni rozmawialiśmy w szpitalnym holu, siedząc na krzesłach przeznaczonych dla odwiedzających. Kondycja mojego rozmówcy nie była najlepsza i dlatego nasze spotkania nie trwały dłużej niż dwie godziny.

– Wie pan – powiedział Pilarski podczas jednego z nich – najciekawsze były pierwsze dwa dni po przeszczepie. Leżałem wtedy na Oddziale Intensywnej Terapii Chirurgicznej. Chyba przez pięć wenflonów<sup>4</sup> i badyla<sup>5</sup>



szpikowano mnie lekami i byłem podłączony do aparatury pokazującej, co się ze mną dzieje.

– Badyła? – zdziwiłem się. – Co to jest badyl?

– To taka rurka wstawiona... o tutaj. – Pilarski przez chwilę przesunął dłoń po ramieniu, a w końcu dotknął palcem szyi na wysokości obojczyka.

– Dostawałem też morfinę.

– Morfinę? – zdziwiłem się. – To przecież narkotyk.

– Proszę pana... – Spojrzał na mnie z politowaniem. – Co z tego, że narkotyk? Lekarze wiedzieli, co robią. Bez morfiny, po tak poważnym zabiegu, bólu nie można byłoby wytrzymać.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Przez te dwa dni przychodziła do mnie Ewa Konieczny<sup>6</sup> – kontynuował po chwili. – Wie pan, o kim mówię?

– Wiem – przytaknąłem.

– Rozmawialiśmy tak jak my teraz. Byłem jednak bardzo osłabiony, co chwilę zamykałem oczy i wtedy on się pojawiał.

– Kto? – zapytałem odruchowo.

– Nie wiem! – odpowiedział. – Po prostu on, facet w czerni. Siedział obok Ewy, cały ubrany był na czarno i brał udział w rozmowie. Zadawał sensowne pytania i sensownie odpowiadał na nasze.

– To musiało być przygnębiające. – Przeszedł mnie dreszcz emocji.

– A wie pan, że nie było! – Policjant dziwnie się uśmiechnął. – Jakoś nie skojarzyłem go z przedstawicielem zakładu pogrzebowego, który przyszedł dyskretnie wziąć miarę.

– Co na to Ewa? – zapytałem ni w pięć, ni w dziewięć.

– Nic. Mówiła, że miałem zamknięte oczy i milczałem. Ja po prostu miałem narkotyczne wizje.

Spotkanie z emerytowanym policjantem przyniosło tyle niezwykłych informacji, że postanowiłem napisać trzecią część *Kresowej opowieści* i nadać jej podtytuł *Nadia*.

---

<sup>1</sup> Andrzej Pilarski – policjant. W *Julii*, II tomie *Kresowej opowieści* prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci starszego człowieka.

<sup>2</sup> Michał Jakubowski vel Jakubek – żołnierz istrebitelnego batalionu zasłużony w walce z UPA. Tytułowa postać I tomu *Kresowej opowieści*.

<sup>3</sup> Symbol graficzny służący do wyrażania nastroju w Internecie.

<sup>4</sup> Plastikowa rurka umieszczana tymczasowo w żyłę przy pomocy stalowej igły.

<sup>5</sup> Wkłucie centralne (w żargonie lekarskim „badył”) – cewnik wprowadzony przez naczynie krwionośne do dużej centralnej żyły. Podczas skomplikowanej operacji umożliwia szybką i skuteczną akcję ratunkową w przypadku wystąpienia komplikacji zagrażających życiu.

<sup>6</sup> Ewa Konieczny – policjantka, asystentka Andrzeja Pilarskiego. Występuje w *Julii*, II tomie *Kresowej opowieści*.

ROK 2011

## Pierwsze opowiadanie Andrzeja Pilarskiego

Wyjazd na Ukrainę z biurem turystycznym „Komasznia” dostarczył Pilarskiemu tak wielu wrażeń, w większości negatywnych i stresujących, że po powrocie do Wrocławia długo nie mógł się psychicznie pozbierać.

Stres był wynikiem kilkudziesięciu godzin spędzonych w podziemnym bunkrze UPA<sup>1</sup>. Wtrącony tam przez ludzi, dla których banderowski etos był i jest świętością, związany przez nich i skazany na śmierć głodową w absolutnych ciemnościach, leżąc obok ciał dwójki młodych turystów, musiał nabawić się stresu. Początkowo nie mógł uwierzyć, że tak właśnie zakończy życie, jednak ciemność, zatęchłe powietrze i nieznośna wręcz cisza sprawiły, że do jego świadomości powoli, a później coraz szybciej, docierała myśl, że ratunku już nie ma. Wtedy żałował, że na wyjazd zdecydował się sam.

Ewa na pewno znalazłaby wyjście z tej sytuacji, powtarzał w myślach.

Z drugiej jednak strony było bardzo prawdopodobne, że gdyby wyjechali we dwoje, to również we dwoje byłiby tutaj, w tym żmijowisku. Właśnie takie określenie podziemnego bunkra UPA najbardziej Pilarskiemu pasowało. To ponure miejsce będące grobem banderowskiej sotni lubującej się w zadawaniu okrutnej śmierci polskiej ludności cywilnej, nieodparcie kojarzyło się mu z gniazdem żmij. Gniazdem, które miało stać się też miejscem jego zejścia z tego świata. Myśl ta dołowała go coraz bardziej, a w końcu pragnął już tylko jednego – aby koniec nastąpił jak najszybciej.

Tracił świadomość i ją odzyskiwał, śnił i przytomnie odbierał smutną rzeczywistość, by w końcu wpaść w rodzaj dziwnego letargu, gdzie wszystko mieszało się ze wszystkim.

Głosu Ewy długo nie kojarzył z rzeczywistością. Obecność nieodłącznej towarzyszki swoich zmagania z zawilościami zabójstwa Jakubka, a właściwie Izaaka Wise<sup>2</sup> wydawała się czymś tak nierealnym, że był przekonany o kolejnym śnie. A jednak nie miał racji. Próbując go ratować, sama podzieliła

jego los.

Ewa, pomyślał, uratowała mi życie, ale to, co zrobiła później... Tyle planów mi pokrzyżowała, tak bardzo skomplikowała życie, które wreszcie zaczynałem porządkować.

\*\*\*

Rozmowa z szefem też była stresująca, nawet bardzo. Dopiero z niej dowiedział się o międzynarodowym skandalu, który pośrednio wywołał. Skandalu z największym trudem zażegnanego przez naszą dyplomację.

– Inspektorze Pilarski! – Szef, też inspektor, mówił podniesionym głosem. – Sam minister Sikorski musiał interweniować w MSZ Ukrainy i gdyby nie fakt, że przekazujemy temu państwu grube miliony w ramach sąsiedzkiej pomocy, to nie wiadomo, jak zakończyłaby się ta sprawa!

Z dalszego przebiegu rozmowy, a właściwie monologu szefa, Pilarski dowiedział się szczegółów akcji uwolnienia jego i Ewy z bunkra UPA. Zrobili to Polacy, tego nie dało się ukryć i o tym dobrze wiedział, ale nic więcej. Milczenie wyzwolicieli, cecha profesjonalistów, podsuwało mu na myśl różne teorie, jednak tej prawdziwej nigdy się nie domyślał.

Okazało się, że Rafał, jego kolega z konsulatu we Lwowie, po otrzymaniu SMS-a z prośbą o pomoc, nie zaangażował do niej ukraińskiej milicji, której nie ufał, ale oddział antyterrorystyczny z Lublina. To znaczy część tego oddziału, która po cywilnemu, w sobie tylko znany sposób, z ukrytą bronią, przekroczyła granicę dwoma terenowymi samochodami. Podróż do Paliwki<sup>3</sup> zajęła im pięć godzin, co, biorąc pod uwagę stan ukraińskich dróg, uznać należy za wynik znakomity.

Zmowę milczenia w sprawie tajemnicy Rabińca<sup>4</sup> skutecznie złamał studencki banknot. Jeden z mieszkańców wsi zaprowadził antyterrorystów najkrótszą drogą do kapliczki, w której znajdowało się wejście do bunkra.

Tak przeprowadzonej akcji nie dało się ukryć i cała ochrona Michaiła Fedorowicza Gryczki<sup>5</sup>, w liczbie dziewięciu postawnych mężczyzn, ruszyła

ich tropem. Spotkali się gdzieś na stoku góry, ale nim zdążyli cokolwiek powiedzieć, stali z podniesionymi rękami, sterroryzowani bronią. Związano ich, rozbrojono i pozbawiono telefonów komórkowych.

Antyterroryści chcieli zabrać do Polski Pilarskiego i Ewę, ale oni, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zdecydowali się zostać do końca turnusu. Najdziwniejsze jest to, że nie niepokojeni przez nikogo ten cel osiągnęli.

Rozmowy z szefem Pilarski nie wspomina najgorzej. Przełożony, kiedy wylał swoje żale z powodu niesubordynacji podwładnego, jednak na koniec go pochwalił za rozwikłanie zagadki śmierci dwójki polskich turystów. Zagadki, której nie mogła, a raczej nie chciała, rozwiązać ukraińska milicja.

– A teraz wracajcie do sprawy zabójstwa Doroty Woronieckiej. – Na koniec szef protekcyjnie poklepał Pilarskiego po ramieniu. – Od kilku tygodni nie posunęliśmy się z jej rozwiązaniem ani trochę.

– Szefie, poproszę o wsparcie. To skomplikowana sprawa, a ja chciałbym wziąć urlop, gdzieś wyjechać, wypocząć. Nie wiem, co jest, jednak nie czuję się najlepiej.

– Jest pan chory?

– Nie wiem. Właściwie nic konkretnego mi nie dolega, ale jestem słaby.

– Na razie to niemożliwe. – Szef spochmurniał. – Wszyscy są zawaleni robotą, a nowych pracowników nie ma. Może za kilka tygodni sytuacja się zmieni i kogoś panu przydzielę, jednak na razie proszę działać samemu. – Podszedł do drzwi, dając wyraźny sygnał, że rozmowę uważa za zakończoną.

– A jeśli chodzi o urlop, to nie będę robił problemu – uśmiechnął się. Jest pan dobrym detektywem i absencja nie powinna negatywnie wpłynąć na postępy śledztwa.

\*\*\*

– Doroto... – Pilarski przyglądał się fotografii ładnej blondynki o niebieskich oczach. – Kto cię tak urządził?

Odłożył fotografię i otworzył segregator z dokumentacją jej zabójstwa.



Powoli przeglądał protokoły przesłuchań, opinie biegłych i policyjne notatki. Niektóre z dokumentów wyjmował z foliowych koszulek i zapoznawał się z nimi dokładniej. Przypominał sobie fakty poznane przed wyjazdem na Ukrainę i po godzinie był już zorientowany w stanie dochodzenia oraz w innych zdarzeniach w jakiś sposób z nią związanych.

Dorota Woroniecka została zamordowana w Trzebnicy. Morderca próbował upozorować samobójstwo, odkręcając gaz i zostawiając przy niej pudełko po środkach nasennych, ale sekcja zwłok nie wykazała obecności tych środków ani żadnych innych. Pokazała natomiast, że kobieta zginęła porażona prądem. Dorota Woroniecka była ostatnią żyjącą krewną Michała Jakubka.

Wcześniej, przy bezwietrznej pogodzie, utonęli na jeziorze Niegocin rodzice Doroty. Najdziwniejsze w tej sprawie było to, że mieli na sobie kamizelki ratunkowe, które powinny ich przed utonięciem uchronić.

Natalia, córka Jakubka, zginęła w wypadku samochodowym koło Nowej Soli. Kierowca terenówki, który podczas wyprzedzania zepchnął ją do rowu, uciekł i nie został odnaleziony.

Siostra Jakubka, Anna, miała udar mózgu. Żyła jeszcze jakiś czas, ale kontaktu z nią już nie było. Nic nie mówiła, nie reagowała na najprostsze pytania i potoczne określenie – roślinka – jak najbardziej do niej pasowało. Trudno było odgadnąć, czy miała jakąś, chociażby szczątkową, świadomość, tylko ciężko doświadczony mózg nie pozwala schorowanemu ciału wyrazić emocji, czy też jej świadomość nie istniała, a ona sama nie czuła już nic. Tylko jej oczy mówiły. Strach, który się w nich malował, świadczył o stresie, jakiego doznała tuż przed udarem. Taką opinię wyraził uznany we wrocławskim świecie medycznym neurolog, będący jednocześnie biegłym sądowym.

– Cztery zabójstwa. – Pilarski mówił półgłosem bezwiednie obracając w palcach długopis. – Właściwie pięć zabójstw.

Policjant miał rację. Ta seria zaczęła się od niewyjaśnionego wypadku

drogowego w 1993 roku, w którym pod Nową Solą zginęła Natalia, córka Michała Jakubka, ale później był przecież rok 1996 i zbrodnia na wrocławskim Sępolnie. Zbrodnia dokładnie zaplanowana, jednak przez pomyłkę dokonana nie na Jakubku, ale na Izaaku Wise, jego dowódcy z czasów wojny.

Zabójca otrzymał zlecenie od niejakiego Primaka z Kanady – jedyne ocalałego z sotni pogrzebanej żywcem w podziemnym bunkrze na stokach Rabińca przez żołnierzy Armii Czerwonej. Schron tej sotni wytropił Jakubek – w czasie wojny dowódca oddziału zwiadowczego istriebitielnych batalionów<sup>6</sup>.

Kiedy egzekutor zorientował się, że to nie Jakubek otworzył mu drzwi, było za późno, by z morderstwa zrezygnować. Motyw zemsty po latach został wykazany w prowadzonym śledztwie, a jej wykonawca i zleceniodawca – osądzeni i ukarani.

W przypadku pozostałych zabójstw, bo tegoroczne przypadki śmierci krewnych Jakubka Pilarski intuicyjnie uważał za zbrodnie, jedynym wytłumaczeniem, przynajmniej na razie, również była zemsta. Tę formę odpowiedzialności zbiorowej stosowali podczas wojny Niemcy, Rosjanie, ale także Ukraińska Powstańcza Armia. Ukraińscy nacjonałści nie zadawali sobie trudu, by czyjaś winę udowodnić – wystarczyły same podejrzenia, na przykład o pomoc Polakom, by zlikwidować zdrajcę i jego najbliższych. Tak postępowała UPA ze swoimi rodakami, natomiast polskie rodziny mordowano jedynie dlatego, że były polskie.

– Z takich nawyków się nie wyrasta, nie porzuca się ich – konstatował Pilarski. – Jeśli mam rację – nadal mówił sam do siebie – to te cztery śledztwa, dotąd prowadzone niezależnie, trzeba połączyć.

\*\*\*

Oprócz ścigania przestępców inspektor Andrzej Pilarski prowadził walkę, której stawką było jego własne życie. Od wielu lat był on pacjentem poradni chorób wątroby, a skierowała go tam lekarka rodzinna.

– Musi pan być pod opieką specjalistów – mówiła, wypisując skierowanie. – Wirusy B i C, z którymi zetknął się pan w przeszłości, doprowadziły pańską wątrobę do marskości, a ona jest zaproszeniem dla nowotworu. Jest pan książkowym przykładem pacjenta, który musi zachorować na raka.

W poradni badano go regularnie, a ponieważ wyniki miał zawsze bardzo dobre, wizyta z reguły była sympatyczną rozmową z doktor Marzeną Wilk.

Doktor Wilk cieszyła się wśród pacjentów dobrą opinią i Pilarski ufał jej całkowicie.

Ta niewysoka kobieta o szczupłej, wręcz filigranowej sylwetce dobiegała sześćdziesiątki. Była hepatologiem z ponad trzydziestoletnią praktyką, co w oczach pacjentów stanowiło wystarczający dowód jej zawodowych kompetencji.

Ten dzień policjant zapamiętał bardzo dobrze. To była zwyczajna planowa wizyta.

– Proszę się rozebrać i położyć na kozetce. – Doktor Wilk zapisywała coś w karcie choroby.

Manualne badanie wątroby i całego brzucha należało do obowiązkowych czynności podczas każdej wizyty w poradni. Doktor Wilk na tej podstawie oceniała wielkość i wrażliwość narządów wewnętrznych, ze szczególnym uwzględnieniem wątroby.

Badania początkowo go deprimowały, bo lekarka prosiła o dość znaczne odsłonięcie brzucha, ale szybko się do nich przyzwyczaił i po pewnym czasie zaczęły mu się nawet podobać.

– Wszystko w porządku, tylko wątroba jest trochę powiększona – mówiła lekarka, myjąc ręce. – Wyniki też ma pan dobre, jedynie alfa-fetoproteina jest nieco podwyższona.

Zaskoczyła go ta informacja. Przyzwyczajony do tego, że wszystkie wyniki zawsze miał w normie, uznał, że coś jest nie tak.

– Jak się ten parametr nazywa? – zapytał.

– Alfa-fetoproteina. – Lekarka pochyłona nad dokumentacją nie przerywała pisania. – W skrócie AFP – dodała.

Z poradni wrócił do Komendy Policji i od razu włączył komputer. Przeglądarka internetowa odnalazła blisko sto osiemdziesiąt tysięcy haseł ze słowem AFP, a pod jednym z linków przeczytał:

*Podwyższony poziom AFP występuje u większości pacjentów z pierwotnym nowotworem wątroby oraz u niektórych pacjentów z nowotworami zarodkowymi jąder i jajników. Zazwyczaj im wyższy poziom AFP, tym większy, bardziej zaawansowany nowotwór.*

Wyłączył komputer, założył ręce za głowę, a wzrok wbił w okno.

Czyżby się zaczęło? – pomyślał. – Ale dlaczego doktor Wilk to zbagatelizowała?

Następną wizytę miał za cztery miesiące. Postanowił, że badanie poziomu AFP zrobi prywatnie. Zmęczony pracą i zestresowany wiedzą o możliwym raku postanowił odpocząć z dala od Wrocławia.

\*\*\*

Gospodarstwo agroturystyczne znalazł w Internecie – właściwie to ono znalazło jego. Ofertę wczasów w samotnej leśniczówce położonej na skraju lasu jego poczta zakwalifikowała jako spam, ale dziwnym zbiegiem okoliczności on jej nie skasował. Zainteresował go tytuł wiadomości – *Szukasz ciszy? Przyjedź!* To miejsce leżące z dala od wiejskich zabudowań wydawało się być gwarantem powrotu do psychicznej równowagi i normalnego życia, a on szukał ciszy i samotności. Nie chciał spotykać się z ludźmi, zwłaszcza z kobietami, ale los po raz kolejny miał mu udowodnić, że ma w tej sprawie odmienne zdanie.

\*\*\*

Poznał ją pod koniec lata. Nie pamiętał dokładnej daty, ale teraz nie wydawało mu się to ważne. W jego świadomości pozostał jedynie obraz

mazurskiej łąki – pachnącej, falującej w podmuchach gorącego wiatru – i młodej kobiety zbierającej zioła.

Była zgrabna i ładna. Miała duże oczy, których koloru już nie pamiętał, i krótkie jasne włosy. Ubrana w zwiewną sukienkę zdawała się być częścią tej dzikiej natury.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, szybciej zabiło mu serce, ale niewiele brakowało, a w ogóle by się nie poznali. Jego wrodzona nieśmiałość i trudności w nawiązywaniu kontaktów z kobietami podpowiadały, aby powiedzieć zwyczajowe dzień dobry i kontynuować poranny spacer. Stało się jednak inaczej.

Kobieta położyła na ziemi wiklinowy koszyk i przysłoniła dłonią oczy, chroniąc je przed słońcem.

– Dzień dobry panu – ubiegła go.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Ciepło dzisiaj – zaczął nieśmiertelną w takich sytuacjach rozmowę o pogodzie.

– Nawet gorąco – podjęła temat, wachlując dłonią twarz. – Pustkowie tu, tylko łąki, lasy, jeziora i nic więcej.

– Ja to lubię – odpowiedział.

– A ja uwielbiam. Czyste powietrze, brak przemysłu, nawet pola uprawne z całą chemią są daleko stąd. Dlatego tutaj przyjechałam.

– Przyjechała pani zbierać kwiaty?

– Można tak powiedzieć – uśmiechnęła się.

– Po co pani te kwiaty?

– Nie kwiaty, tylko zioła – wyjaśniła. – Nie słyszał pan o ziołolecznictwie?

– Jest pani pracownikiem firmy zielarskiej?

– Nie. – Zaprzeczyła ruchem głowy. – Robię to dla siebie.

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem, kiedy zauważył, że ma obrączkę, i mało taktownie zapytał, dlaczego na tym odludziu jest sama.

– Są takie sytuacje, kiedy dobrze jest być samemu – powiedziała oficjalnie. – Zna to pan?

– Znam. – Potwierdził skinieniem głowy. – Jestem tutaj z tego samego powodu.

– Pan wybaczy, ale powodu mojego pobytu pan nie zna. Powiedziałam jedynie o sytuacji, a nie o powodach.

– Tak, oczywiście – przyznał. Jej trafna uwaga nieco go speszyła. – To zresztą nie ma znaczenia. – Z daleka pani przyjechała? – zapytał.

– Z daleka – przytaknęła.

– A konkretnie skąd, jeśli oczywiście mogę wiedzieć?

– Z południa. Jesteśmy na Mazurach, więc musiałam przyjechać z południa.

– Niekoniecznie – zauważył. – Mogła też pani przyjechać z zachodu.

– Czy to ważne...? – Zamyśliła się. – Szukałam ciszy, czystego środowiska i samotności. Były mi potrzebne, a tutaj je znalazłam.

– Ja mieszkam w...

– Nie – przerwała mu w pół zdania. – Proszę nie mówić. – Nie chcę wiedzieć, gdzie pan mieszka, jak ma na imię ani ile ma lat. Zwyczajnie nie chcę.

\*\*\*

– Dlaczego jest pani smutna? – zapytał, kiedy z koszem pełnym ziół usiedli w cieniu rozłożystego jesionu. – Znamy się już kilka godzin, a pani uśmiechnęła się dopiero raz, może dwa.

– Nie mogę uśmiechać się ot tak, na zawołanie. By człowiek mógł się uśmiechać, radość musi wypływać z głębi jego duszy. Zgadza się pan z tym?



Kiwnął głową, że tak.

– To dobrze. – Splotła dłonie i objęła nimi kolana. – Moje życie mocno się skomplikowało. Przyszły problemy, odeszła radość. Z niektórych planów musiałam zrezygnować, inne zmienić. Nie tak sobie to wszystko wyobrażałam.

– Mówi pani bardzo tajemniczo – zauważył.

– I niech tak zostanie. Proszę nie pytać o szczegóły.

Siedzieli w milczeniu. Obserwowali stada ptaków nad rozkołysaną wiatrem łąką.

– A wie pani – odezwał się pierwszy – że mógłbym powiedzieć to samo?

– Wiem.

– Skąd? – zdziwił się.

– Intuicja. Kobięca intuicja. Smutek emanuje z całej pańskiej postaci, z każdego słowa, z ruchu i spojrzenia. Nie trzeba być psychologiem, aby to zauważyć.

– No to jesteśmy podobni – stwierdził.

– To źle? – zapytała.

\*\*\*

W ciągu kilku następnych dni zbliżyli się do siebie. Razem jadali posiłki, razem chodzili na spacer, tak że postronny obserwator bez wahania stwierdziłby, iż stanowią dobrze rozumiejącą się parę.

Okolicę również zwiedzali razem. On, jako że w leśniczówce mieszkał dłużej, był jej przewodnikiem. Ona wprowadzała go w tajniki leczenia ziołami, a że jej wiedza była ogromna i chętnie się nią dzieliła, już dawno się w tym pogubił.

Lubił barwę jej głosu. Lubił pasję, z jaką przekazywała informacje, i chociaż szybko ulatywały one z jego pamięci, słuchał jej słów z uwagą.

Rozmowy były tym, co najbardziej łączyło ich dusze. Prowadzili ożywione dyskusje na niemal każdy temat. Czasem się ze sobą zgadzali, czasem nie, ale zawsze robili to kulturalnie.

Ucieszył się, kiedy zaproponowała, aby przestali zwracać się do siebie przez pan i pani. Nie, nie poznali swoich imion, ale ich rozmowy stały się mniej oficjalne, jakby bardziej serdeczne.

Nie wiedział, czy jej też, ale jemu te rozmowy przestały już wystarczać.

\*\*\*

W piątym dniu znajomości wybrali się na spacer dłuższy niż zwykle. Postanowili wykorzystać czas między obiadem a kolacją, dodatkowo prosząc o przygotowanie jej późnym wieczorem.

– Dużo ryzykujecie – ostrzegał leśniczy. – Po południu zapowiadają burze, a wtedy najlepiej być pod dachem.

Przyznali mu rację, ale planów nie zmienili. Każde z nich wzięło mały plecak z butelką wody mineralnej i drożdżówkami domowego wypieku, które na poobiedni deser podała żona leśniczego.

Trasa, którą zaplanowali, prowadziła przez niewysokie wzgórza porośnięte sosnowym lasem i według jego obliczeń liczyła ponad dziesięć kilometrów. Jej punktem zwrotnym było nieduże jezioro wciśnięte pomiędzy wzgórza. To z niego wypływał strumyk, przy którym stała leśniczówka.

– Jezioro jest wyjątkowo czyste – mówił leśniczy poproszony o garść informacji – ale wzdłuż strumyka tam nie dojdziecie, po prostu nie ma drogi. Jeśli będziecie mieli szczęście, uda się wam je odnaleźć, ale to wcale nie jest łatwe.

Leśniczy udzielił jeszcze kilku praktycznych rad, życzył im powodzenia oraz dobrej pogody i zajął się naprawą drewnianego ogrodzenia. Wyszli przed czternastą.

Lekka mgiełka i zapierająca dech wilgotność powietrza potwierdzały prognozę pogody i ostrzeżenia leśniczego. Burza dosłownie wisiała w

powietrzu. Mimo przewiewnego ubioru, już po godzinie marszu ich koszule lepiły się do ciała. Niewielką ulgę znajdowali w cieniu świerków i sosen, ale one z kolei hamowały ruch powietrza.

\*\*\*

Obserwował ją uważnie. Widział, że każdy krok sprawia jej coraz więcej wysiłku i obawiał się, że wkrótce powie, iż dalej iść nie może.

– Odpocznijmy trochę – zaproponował, zdejmując plecak i siadając na powalonym pniu dorodnego świerku.

Bez słowa sprzeciwu zrobiła to samo.

– Proponuję zawrócić – powiedział, patrząc przed siebie. – Nie wiemy, gdzie jest to jezioro, a upał nas wykończy.

– A ja z przyjemnością odświeżyłabym twarz w zimnej wodzie. Może nam się uda ją znaleźć?

– Może – powtórzył bez przekonania. – Nie jesteś zmęczona?

– Trochę, ale dam radę.

– Ściągnijmy buty i skarpety – zarządził. – Niech nasze stopy też odpoczywają.

Zrobili to i natychmiast poczuli ulgę.

– A może dalej pójdziemy na bosaka? – zapytał.

– Jak chcesz, to idź, ale mnie do tego nie namówisz.

– No coś ty! Na żartach się nie znasz? – odpowiedział z uśmiechem.

Siedzieli obok siebie, dotykając się ramionami i gimnastykując oswobodzone stopy.

Ruszyli w dalszą drogę z postanowieniem, że jeśli w ciągu pół godziny nie znajdą jeziora, to wracają. Szczęście uśmiechnęło się do nich już po kwadransie, kiedy pomiędzy drzewami zobaczyli połyskującą w słońcu tafłę wody.

Jeziro nie było duże i wydawało się nie sprzyjać kąpielom. Jego brzegi porastały trzciny, a na powierzchni wody unosiły się białe nenufary. Przeciwległy brzeg był jednak inny. Wzgórze łagodnie wsuwało się do wody wąskim piaszczystym jezorem, tworząc niewielką plażę. Poszli tam.

– No i co, stokrotko! - cieszył się jak dziecko. – Wreszcie będziesz mogła umyć twarz w chłodnej wodzie.

Nie wiedział, dlaczego nazwał ją stokrotką. To stało się tak nagle, tak spontanicznie, że naprawdę nie wiedział. Ale spodobało mu się to, i jej też.

– No właśnie – przyznała z uśmiechem. – Bardzo tego potrzebuję. Zobacz... – Dotknęła dłonią bawełnianego podkoszulka. – Jest cały mokry. A i twój nie jest lepszy.

Położyli plecaki na wysuszonym igliwiu i przyglądali się sobie nawzajem.

– Ściągamy? – zapytał.

– Oczywiście – zgodziła się. – Przez godzinę powinny wyschnąć.

Podkoszulki rozwiesili na gałęziach skarłowaciałego drzewa wyrastającego wprost z wody, zdjęli buty i spodnie, które położyli na plecakach. Był zaskoczony, kiedy dziewczyna na tym nie poprzestała i nago weszła do wody.

– A ty? – zapytała, śmiejąc się. – Na co czekasz?

Odwzajemnił uśmiech i po chwili znalazł się obok niej.

Woda była kryształowo czysta i nie taka zimna, chociaż lato już się kończyło. Chłodzili nią twarze, ramiona i uda, spłukując trudy długiej wędrówki. Ochłodziła ich ciała, ale nie emocje. Objął dziewczynę i mocno przytulił. Nie broniła się.

– Stokrotko – mówił – tak bardzo się cieszę, że jesteś, że mogę cię dotykać, że..

– Ciii... – Przytknęła palec do jego ust. – Nic nie mów. Wykąpmy się i

wracajmy. Tak będzie lepiej. Nie poznaję siebie i boję się tego.

\*\*\*

Kolację zjedli w milczeniu. Dzisiejsze popołudnie dostarczyło im tylu wrażeń, że ciągle żywe emocje skłaniały do rozmowy i jednocześnie sprawiały, że nie była potrzebna. Pożegnali się zwykłym „dobranoc” i poszli do swoich pokoi.

Usiadł na skraju łóżka i odruchowo włączył telewizor. W lokalnym programie trafił na koncert Starego Dobrego Małżeństwa. Solista zespołu śpiewał jeden z ich przebojów.

*Czemu cię nie ma na odległość ręki?*

*Czemu mówimy do siebie listami?*

*Może sen przyjdzie, może mnie odwiedzisz...<sup>7</sup>*

Przez chwilę nucił razem z zespołem, aż w końcu cicho powiedział:

– Nie, to ja ją odwiedzę.

Ubrał się w pośpiechu i wybiegł na pobliską łąkę. Szukał stokrotek. Nie było to łatwe, bo już zapadał zmierzch, jednak udało mu się zebrać tyle, że zrobił z nich zgrabny bukiet.

Zawahał się przed drzwiami jej pokoju. Może już śpi? – pomyślał.

Delikatnie zapukał, a kiedy za drzwiami nadal panowała cisza, zapukał mocniej.

– Chwileczkę – usłyszał jej głos – już idę.

Stała przed nim w nocnej koszuli sięgającej do połowy uda.

– To dla ciebie. – Wyciągnął rękę z bukietem. – Mogę wejść?

– Chcesz mnie przekupić? – Wierzchem dłoni tłumiła ziewanie.

– Tak, to znaczy nie. Sam już nie wiem. Chciałem zwyczajnie z tobą być.

– Nie mogę przyjąć tych stokrotek. Gdybym to zrobiła, musiałabym spełnić twoją prośbę. Wracaj do siebie, tak będzie lepiej, dobranoć. – Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Położył stokrotki pod drzwiami jej pokoju i ze zwieszoną głową wrócił do siebie. Zwalił się na łóżko i prawie od razu usnął. Sen przyszedł wyjątkowo szybko.

On nazywał się Niktoniusz i kroczył na czele rzymskich legionów. Objął stanowisko dowódcy, kiedy jego poprzednik po mocno zakrapianej uczcie założył się z nim, że gołymi rękami pokona lwa. Przegrał, a on zajął jego miejsce. Podlegało mu kilka tysięcy ludzi – uzbrojonych, walecznych i gotowych oddać za niego życie.

– Niktoniusz! Niktoniusz! – rozbrzmiewały gromkie okrzyki, ilekroć siedząc na gniadym koniu, odwracał się w stronę idącego za nim wojska.

Kilka dni temu wkroczyli do pustynnego kraju Maurów, ale dotąd nie napotkali żadnego oporu. Zaprawione w bojach wojsko łaknęło walki i zwycięstwa, które zawsze kończyło się grabieżą, burzeniem, paleniem i gwałtami. Legionistom brakowało tego coraz bardziej.

Zbliżało się południe, kiedy zatrzymał konia. Stał w strzemionach, aby lepiej widzieć horyzont, i przyglądał się czemuś uważnie. Czemuś, co z wysokości końskiego grzbietu mógł zobaczyć, a jego piechurzy jeszcze nie. Nagle ściągnął uzdę i koń posłusznie się odwrócił.

– Niktoniusz! Niktoniusz! – rozległo się ponownie.

Uciszył wojsko, podnosząc prawą rękę.

– Legioniści – mówił donośnym głosem – przed nami miasto wroga. Szykujcie się do walki.

Kiedy byli już na odległość strzału z łuku od bram miasta, zamiast wojska zobaczyli tłum zwykłych ludzi. Tłum liczniejszy niż jego legion – i nieuzbrojony. Wśród zebranych wyróżniał się starzec z długą siwą brodą,



otoczony roślami mężczyznomi w galabijach wysadzanych cekinami. Jego głowę ozdobił połyskujący w słońcu diadem.

– Czcigodny Niktoniuszu – odezwał się na powitanie. – Przybywasz do nas na czele wojska, ale my walczyć nie chcemy. Bierz wszystkie nasze skarby, całe złoto, ale nie niszczyć naszych domów i uszanuj godność naszych kobiet. Damy wam żywności i wina tyle, ile zapagniecie, a tobie, czcigodny Niktoniuszu, w czasie pobytu towarzyszyć będzie Sara – moja najpiękniejsza niewolnica.

Propozycja była tak interesująca, że przystał na nią od razu. Legion rozłożył się obozem pod murami miasta, a straż powiodła go do pałacu.

On, Niktoniusz Zdobywca i mieszkaniec Rzymu, zachwycił się subtelną lekkością architektury Maurów, artyzmem jej projektantów i kunsztem budowniczych. Jakże inne były te budowle od tych, które znał ze swojego miasta.

Może dlatego, zastanawiał się, że i ludzie tutaj są inni? Serdeczni, otwarci i pokojowo nastawieni.

Strażnicy zaprowadzili go do dziwnego pomieszczenia i dyskretnie się ulotnili. Dziwnego, bo na samym środku stała marmurowa wanna, a pod ścianą długa i szeroka kamienna ława.

Poczuł się nieswojo i sięgnął po miecz, kiedy zza cedrowych drzwi dobiegły odgłosy, których nie umiał odgadnąć. Uspokoił go widok dwóch półnagich kobiet niezwyklejurody, które stanęły obok niego z przyjaznym uśmiechem. Po chwili pojawili się czterej niewolnicy niosący duże stągwie z wodą. Napełnili wannę, a jedna z kobiet sprawdziła temperaturę. Kiwnęła głową, że woda jest ciepła i niewolnicy wyszli. Druga z kobiet wyciągnęła rękę.

– Niktoniuszu – powiedziała – tutaj miecz nie będzie ci potrzebny.

Oddał broń bez słowa protestu i w tej samej chwili uświadomił sobie, że to może być zasadzka. Mylił się jednak. Niewolnice zdjęły z niego szaty i powiodły nagiego do wanny.

Tak przyjemnej kąpieli nigdy dotąd nie zaznał. Kobiety myły i masowały całe jego ciało. Czasem w wannie leżał, czasem siedział, ale były i takie sytuacje, kiedy musiał wstać. Robił to bez wahania, jakby to nie one, ale on był niewolnikiem.

– Która z was nazywa się Sara? – zapytał, kiedy osuszyły jego ciało i poprosiły, aby położył się na pledzie z wielbłądziej wełny, który rozpostarły na kamiennej ławie. – Obie jesteście tak samo ładne, dlatego pytam.

– Żadna z nas, panie – odpowiedziała jedna z nich. – Nasza uroda jest pospolita. Jesteśmy jak kwiaty w wazonie, a Sara to najjaśniejsza z jasnych gwiazda na niebie. Żadna z nas nie może się z nią równać.

Wcierały w jego ciało olejki i balsamy, a kiedy skończyły, zaprowadziły do pomieszczenia obok. Szerokie łóże z aksamitną pościelą i baldachimem pachniało egzotyczną świeżością. Obok stał drewniany mebel przypominający szafkę, a na nim nocna elektryczna lampka. Dzień powoli ustępował miejsca nocy i w pomieszczeniu panował półmrok.

– Połóż się, panie, i czekaj. – Jedna z kobiet pokłoniła się nisko. – Sara przyjdzie razem z nocą.

Obie niewolnice pokłoniły się raz jeszcze i wyszły.

\*\*\*

Czekanie na noc wydawało się nie mieć końca. Jego wyobraźnia podsuwała obrazy dziewczyny niebiańskiej urody i sceny, w których razem brali udział. Niebawem to wszystko miała zweryfikować rzeczywistość.

Ledwie słyszalny szelest wyostrzył jego zmysły. Ciemność skrywała szczegóły, ale był pewien, że obok łóża ktoś stoi.

– Przyniosłam stokrotki – usłyszał. – Leżały w korytarzu obok drzwi mojego pokoju.

– Sara? – zapytał.

– Sara? – usłyszał szept gościa. – Kim jest Sara?

\*\*\*

Obudził się z bólem głowy. Bólem pulsującym, powracającym niczym fale na brzeg morza i wymazującym z pamięci senne fantazje. Niczego nie pamiętał, czuł tylko ból. Jedyne jakiś nieznany zmysł podpowiadał mu, że śnił o czymś tak niezwykłym, że chciałby, aby to stało się rzeczywistością.

Spojrzał na zegarek – dochodziła dziewiąta.

– Śniadanie – krzyknął. – Spóźniłem się całą godzinę.

Umył twarz w zimnej wodzie i ubrał się w pośpiechu. Orzeźwiony zbiegał po schodach do jadalni z postanowieniem, że opowie jej dzisiejszy sen. Wprawdzie niewiele pamiętał, ale nie zamierzał ograniczać swojej wyobraźni.

Na ich stoliku było tylko jedno nakrycie i pomyślał, że zasnęła bardziej niż on. Dopiero po chwili zauważył białą kopertę leżącą tam, gdzie zawsze był jej talerz i sztucce. Na kopercie niebieskim długopisem było wypisane jego imię – Andrzej.

Ciekawe, skąd ona zna moje imię? – pomyślał. Przez chwilę walczył z głodem i z ciekawością, nie wiedząc, czemu przyznać pierwszeństwo, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

– *Cieszę się bardzo, że Cię poznałam – przeczytał. – Dzięki tobie ten pobyt będę wspominała niezwykle miło. Uznałam jednak, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjadę. Nie szukaj mnie, proszę. Mam swoje życie, a ty wracaj do swojego. Myślę, że tak będzie najlepiej. Sara.*

– Sara? – powtórzył na głos. – Skąd ja znam to imię?

Wydawało mu się, że mówił tak przed chwilą do pięknej nieznajomej, ale nie potrafił sobie przypomnieć nic więcej.

Nie pamiętał, co było na śniadanie, kiedy wracał na górę do swojego pokoju. Uznał, że dalszy pobyt bez niej nie ma sensu i postanowił, że też wyjedzie.

Po kwadransie był spakowany. Zgasił nocną lampkę i postawił

przewrócony flakonik. Nie wiedział, co ma zrobić z bukiecikiem nieco zwiędniętych stokrotek leżących na stole.

Taki sam bukiecik zostawiłem wczoraj pod jej drzwiami, przypomniał sobie i zmarszczył czoło.

\*\*\*

A jednak nie wyjechał. Kiedy spakował rzeczy i zszedł do recepcji, zobaczył karetkę pogotowia z siedzącym w niej kierowcą. Dwoje ratowników, postawny mężczyzna i filigranowa blondynka, rozmawiało z żoną leśniczego.

– Co się stało? – zapytał kierowcę. – Ktoś zachorował? W pierwszym odruchu pomyślał o leśniczym, którego dzisiaj jeszcze nie widział.

– Gorzej. – Kierowca splótł ręce nad głową przeciągle przy tym ziewając.  
– Zgon mamy. – Mówił to tak znudzonym głosem, jakby słuchał wielogodzinnego kazania.

– Zgon? – Pilarski był zaskoczony. – A kto umarł? – Znowu pomyślał o leśniczym.

– Ojciec leśniczego. – Kierowca, który w międzyczasie zaczął konsumpcję kanapki, mówił z pełnymi ustami. – Dziewięćdziesiąt lat miał dziadek, to nic dziwnego – kontynuował. – Nam taki wiek nie grozi. – Spojrzał na Pilarskiego. Usiłował się przy tym uśmiechnąć, ale z powodu pełnych ust wyszedł z tego tylko grymas.

W kwestii przyczyn śmierci staruszka ratownicy musieli mieć wątpliwości, bo zawiadomili policję, a ta prokuraturę. W tej sytuacji Pilarskiemu nie pozwolono wyjechać, natomiast poddano długiemu przesłuchaniu. Wypytywano o cel pobytu w leśniczówce, o sposób spędzania czasu i o to, czy nie zauważył czegoś, co wydało mu się podejrzane. Ponadto o szczegóły spotkań z kobietą, o jej dane personalne oraz miejsce zamieszkania. Po południu powrócono do tej kwestii, kiedy okazało się, że leśniczy jej nie zameldował i też tych danych nie posiadał.

– No wie pan... – Prokurator, nie podnosząc wzroku znad służbowych notatek, odpowiadał na pytanie Pilarskiego o związek kobiety ze śmiercią staruszka. – Niczego nie możemy wykluczyć.

Bzdura, pomyślał wtedy, chociaż podczas długiej pracy w policji nieraz spotykał się z zaskakującymi rozwiązaniami prowadzonych śledztw. Ona i morderstwo? Absolutnie niemożliwe! – tego był pewien.

---

<sup>1</sup> UPA – Ukraińska Powstańcza Armia – zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. W latach 1943-1944 dokonała na Wołyniu i w Galicji Wschodniej masowego ludobójstwa polskiej ludności cywilnej. Historycy szacują, że zginęło wtedy około 100 000 osób.

<sup>2</sup> Izaak Wise – oficer NKWD, w czasie wojny przełożony Michała Jakubowskiego. Występuje w I i II tomie *Kresowej opowieści*.

<sup>3</sup> Paliwka, Rybaki i Karlików to fikcyjne nazwy małych wsi.

<sup>4</sup> Jeden ze szczytów Grzbietu Sokolskiego w Karpatach Wschodnich na Zachodniej Ukrainie.

<sup>5</sup> W *Julii*, II tomie *Kresowej opowieści*, M.F. Gryczko jest nowobogackim lokalnym „panem i władcą”, z którym liczą się państwowi urzędnicy, milicja i prokuratura.

<sup>6</sup> Paramilitarne oddziały w strukturze NKWD formowane z ludności cywilnej.

<sup>7</sup> A. Ziemianin, *Czarny blues o czwartej nad ranem*, Stare Dobre Małżeństwo.

# ROK 2012

Zapisać się na badanie USG do docent Mareckiej było niezwykle trudno. Uzasadniona opinia jednego z najlepszych specjalistów w Polsce sprawiała, że grono jej pacjentów, już bardzo liczne, ciągle się powiększało. Wrocławscy lekarze bardziej ufali jej diagnozie niż postawionej przez radiologów na podstawie tomografii komputerowej czy rezonansu magnetycznego.

– Co cię sprowadza? – zapytała pani docent, kiedy Pilarski wcisnął się do jej gabinetu razem z następną pacjentką, którą była postawna sześćdziesięciolatka.

– Mam marskość wątroby, rośnie mi AFP, a moja pani hepatolog twierdzi, że nic się nie dzieje – wyrecytował jednym tchem.

– Rozbieraj się – rzuciła krótko lekarka, otwierając podręczny kalendarz.

– Ja? – przestraszył się Pilarski.

– Nie ty. – Przewracała kolejne strony. – Ona.

– Ależ pani docent... – Tym razem przestraszona była kobieta. – Przy obcym mężczyźnie?

Docent Marecka swoim zdecydowaniem i bezpośredniością wzbudzała wśród pacjentów dziwne odczucie będące mieszanką podziwu, uznania, szacunku i strachu. Nie używała słów pan i pani, a swoją poprawną, wręcz piękną polszczyznę ubarwiała słownictwem dalekim od salonowego. Jednych tym bawiła, a innych poważnie stresowała.

– Żartowałam – zwróciła się do kobiety. – A ty przyjdiesz czternastego, na dziesiątą trzydzieści. – Spojrzała na Pilarskiego i zapisała termin na ulotce zawierającej opis, jak trzeba się przygotować do badania.

\*\*\*

Majowe popołudnie było wyjątkowo upalne. Słońce stojące wysoko na



bezczmurnym niebie paliło niemiłosiernie. Ludzie, których wielu spacerowało po wrocławskim Rynku, szukali chłodniejszych miejsc, a było o nie niezwykle trudno. Jedyne urokliwe, odrestaurowane kamieniczki dawały namiastkę chłodu i przechodnie tłumnie przemierzali się w ich krótkim cieniu.

Pilarski siedział pod parasolem w letnim ogródku jednej z licznych kawiarni i delectował się schłodzoną coca-colą. Obserwował młodzież ubraną adekwatnie do panującego upału i żałował, że jego młodość skończyła się całe pokolenie temu.

Jego uwagę zwróciła dziewczyna, której wiek oceniał na dwadzieścia kilka lat. Ubrana w kuse szorty i bawełnianą koszulę z jakimś napisem i kolorowym, czerwonym i czarnym elementem, przechodziła niedaleko jego stolika kolejny już raz.

Na kogoś czeka – pomyślał i upił łyk napoju. Zastanawiał się, jakie działania ma podjąć w sprawie zabójstwa Doroty Woronieckiej, kiedy jego rozmyślania przerwały krzyki grupy osób przy jednym ze stolików sąsiedniej kawiarni.

– Ściągaj to, ty banderowska dziwko – krzyczał młody człowiek, szarpiąc dziewczynę w bawełnianej koszuli.

– Ja Wołyn przeżyłem! – Kościsty staruszek wygrażał laską. – Ojcu język wyrwali i oczy wydłubali, a ta dziwka śmie nosić flagę, pod którą oni to robili!

Do szarpiącego dziewczynę chłopaka dołączyli jeszcze dwaj mężczyźni i zanosilo się na lincz.

Pilarski energicznym krokiem podszedł do grupy rozemocjonowanych osób.

– O co chodzi? – zapytał, stając obok dziewczyny.

– Nie wtrącaj się, stary zgredzie – wypalił jeden z młodzieńców – to nasza sprawa. My z tą banderowską kurwą zrobimy porządek.

Sytuacja stawała się coraz bardziej poważna. Młodzi ludzie, najwyraźniej z tej samej grupy, otaczali Pilarskiego i dziewczynę ciasnym, coraz ciaśniejszym kręgiem.

– To narodowcy z Przemyśla – usłyszał fragment rozmowy. – Oni są uczuleni na ukraiński nacjonalizm.

Nie było rady, trzeba było się ujawnić.

– Andrzej Pilarski z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji! – wykrzyczał pokazując służbową legitymację. – O co tutaj chodzi? – ponowił pytanie.

Wiadomość, że mają do czynienia z policjantem, wyraźnie ostudziła zapał młodych ludzi.

– Ona propaguje banderowskie symbole – powiedział jeden z nich. – Niech pan spojrzy na jej koszulę.

– *Dwa kolory* – przeczytał Pilarski. Pod tym napisem był czerwony prostokąt, a obok niego napis *to lubov*<sup>1</sup>. Pod nim, w niewielkiej odległości, znajdował się czarny prostokąt i drugi napis: *to żurba*<sup>2</sup>.

– I co wam się nie podoba?

Pytanie Pilarskiego na nowo rozпалиło emocje.

– Czerwono-czarne kolory miały banderowskie flagi – odezwał się inny mężczyzna. – Z nimi szli mordować Polaków. Pod nimi świętowali udane bestialskie akcje. A ta, – chciał użyć wulgarnego słowa, ale się opanował – śmie na naszej ziemi przywoływać ich faszystowskie symbole.

– Niczego nie chcę przywoływać – broniła się dziewczyna. – Na koszulce są symbole ukraińskiej piosenki pod tytułem *Dwa kolory*.

– Już my dobrze wiemy, czyje to są symbole! – Chłopak stojący najbliżej dziewczyny ponownie wpadł w furję. Nie zważając na policjanta zdarł z niej plecak i chwycił za koszulę. Pomogli mu dwaj inni młodzieńcy i po chwili dziewczyna została w samych szortach zasłaniając piersi rękami. Płakała.

Pilarskiego zamurowało. Policyjna legitymacja pomogła tylko na chwilę. Był sam, a naprzeciw miał dwudziestu rozemocjonowanych młodych ludzi. Uznał, że powinien wezwać pomoc, ale nie mógł tego zrobić w tym miejscu. Nie był pewien reakcji narodowców. Z tego samego powodu nie chciał zostawić dziewczyny.

– Gośka! – krzyknął najbardziej aktywny młodzieniec, przerywając rozterki Pilarskiego. – Daj tej dziwce coś do ubrania, bo ludzi gorszy.

Jedna z dwóch dziewczyn towarzyszących wycieczce zaczęła przeszukiwać zawartość plecaka.

– Ta powinna być dobra – oznajmiła zadowolona, podając koszulkę młodemu człowiekowi.

Ten przyjrzał się jej uważnie i głośno się zaśmiał.

– Tak, ta będzie idealna. Tylko musisz uważać – zwrócił się do dziewczyny – byś swoich nie spotkała, bo zatłuką cię na śmierć. Zakładaj! – Podał koszulkę dziewczynie.

Zrobiła to, ciągle płacząc i nieudolnie zasłaniając piersi. Kiedy wyprostowała materiał, wycieczka z Przemyśla wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Tak, musi uważać na swoich – powiedział ktoś ze środka grupy i wszyscy, nie spiesząc się, ruszyli w stronę pomnika Fredry. Na koszulce widniał rymowany dwuwiersz:

*OUN/UPA – gównno/gnój*

*S. Bandera – wielki chuj*

\*\*\*

– Nie może pani chodzić w tej koszulce. – Pilarski podniósł plecak dziewczyny. – Pójdziemy do mojego mieszkania, to niedaleko. Proszę się niczego nie obawiać – dodał, widząc jej niepewną minę.

Napis na koszulce wzbudzał zainteresowanie mijanych ludzi. Przyglądali się mu z ciekawością, niektórzy unosili dłoń z kciukiem skierowanym ku górze, jakiś staruszek zaczął klaskać. Niestety napisem zainteresował się też patrol straży miejskiej i Pilarski ponownie musiał pokazać legitymację służbową, by odwieść strażników od wypisania mandatu za obnoszenie się w miejscu publicznym z napisami zawierającymi wyrazy uważane powszechnie za wulgarne.

– Niech pani ją włoży. – Pilarski położył plecak i zdjął marynarkę. – To tylko kilka minut drogi, ale nie chciałbym się znowu tłumaczyć.

W marynarce dziewczyna wyglądała komicznie. Podwinięte rękawy, wiszące ramiona, bo policjant do szczupłych nie należał, a przede wszystkim długość do połowy uda sprawiały, że przechodnie nadal przyglądali się jej z zaciekawieniem, a Pilarski z trudem tłumił śmiech.

– Proszę mi wybaczyć bałagan – uprzedził na korytarzu, szukając kluczy do mieszkania. – Są u pani w marynarce. – Przypomniawszy sobie nie znalazłszy ich w kieszeniach spodni ani w aktówce.

\*\*\*

Pilarski nie wiedział, co nim kierowało, kiedy zapraszał nieznaną kobietę do swojego mieszkania. Gdyby się zastanowił, gdyby wziął pod uwagę wieloletnie doświadczenie zawodowe i przypadki kradzieży, z jakimi się zetknął, to z pewnością nie zdecydowałby się na ten krok. Jednak on, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zadziałał pod wpływem impulsu. Fizyczna atrakcyjność dziewczyny i przykre zdarzenie, jakie było jej udziałem na wrocławskim Rynku, wyzwoliły jakąś nieznaną mu mieszkankę empatii i pożądania.

Ech ty! – pomyślał. – Stary zgred jesteś, jak słusznie usłyszałeś od narodowców, a kręcą cię dziewczyny, dla których mógłbyś być ojcem. Z drugiej jednak strony kto ma mnie kręcić, jak nie one? Przez chwilę próbował rozwiązać targające nim rozterki, ale w końcu dał sobie spokój.

– Skąd pani przyjechała? – zapytał, próbując bezskutecznie ogarnąć

wszechobecny bałagan.

– Z Ługańska. To wschodnia część Ukrainy.

– Daleko, będzie z półtora tysiąca kilometrów. Jak się pani udało przyjechać do Polski?

– Są sposoby. Na wszystko są sposoby. Nie chciałabym jednak rozwijać tego tematu.

– Doskonale mówi pani po polsku. Skąd ta umiejętność?

– Moja babcia jest Polką. Jeszcze żyje, ma osiemdziesiąt sześć lat. Moja prababcia i mój pradziadek byli Polakami. Mieszkali w małej wsi koło Czortkowa<sup>3</sup>, a moja babcia była ich jedyną córką. W czterdziestym czwartym uciekli przed banderowcami za Zbrucz<sup>4</sup>, ale osiedlili się dopiero w Donbasie. Tam już prawie nie ma Ukraińców, przeważają Rosjanie. Babcia wyszła za mąż za jednego z nich. To było udane małżeństwo, któremu urodziło się troje dzieci – dziewczynka i dwóch chłopców. Tą dziewczynką była moja mama, która wyszła za mąż za rodowitego Polaka. Poznała go w czasie studiów w Kijowie, a po ślubie nie wyjechali do Polski, ale na wschodnią Ukrainę.

– Źle wybrali. – Pilarski założył nogę na nogę.

– Teraz widać, że bardzo źle – zgodziła się dziewczyna – jednak to był początek lat osiemdziesiątych. W Polsce stan wojenny, a w Związku Radzieckim względny spokój i dostatek. Można ich zrozumieć.

Rozmowa przeciągnęła się do wczesnych godzin wieczornych, a Pilarskiego nurtowało pytanie: co dalej? Odpowiedziała na nie coraz bardziej podobająca się mu, a przy tym intrygująca, nieznajoma.

– Przyjechałam do pracy – powiedziała i sięgnęła do zewnętrznej kieszeni plecaka. – Tutaj mam adres. – Podała kartkę.

– Karlików, koło Obornik Śląskich – przeczytał na głos i uśmiechnął się.

– A co w tym śmiesznego? – zapytała, zalotnie przekrzywiając głowę.

– Nic. Ja po prostu znam tę wieś.

– Zawiezie mnie pan tam?

– Dzisiaj raczej już nie, ale nad jutrem możemy się zastanowić.

– Miałam się spotkać z człowiekiem, który tę pracę zorganizował, jednak nie przyszedł. Może i był, ale się przestraszył awantury. Gdyby nie pan, to nie wiem, co bym zrobiła.

Pilarskiemu nie zostało nic innego, jak zaproponowanie noclegu, co też uczynił.

– Bez żadnych zobowiązań! – dodał, kiedy na twarzy dziewczyny zobaczył zakłopotanie i niepewność. – Ale proponuję już iść spać – powiedział, kiedy zegar pobliskiego kościoła wybił dwudziestą trzecią. – Muszę wstać o siódmej. – Podniósł się z fotela.

– Ten pokój będzie dzisiaj pani sypialnią. – Otworzył drzwi pomieszczenia, które w przeszłości często zajmowała Ewa Konieczny. Nie używał go na co dzień i nieporządek panował w nim mniejszy niż w małym salonie będącym jednocześnie kuchnią.

\*\*\*

Obudził się kwadrans po siódmej. Był już o ten kwadrans spóźniony i z pokoju do łazienki prawie biegł. Nie przystanął w salonie, ale w podświadomości zarejestrował inny jego obraz, niż znał do tej pory. Nie wiedział, co się stało, ale że coś się stało, tego był pewien.

Kiedy wyszedł z łazienki, oniemiał. Na stole przykrytym wyprasowanym obrusem stał dzbanek z herbatą i drugi z kawą z mlekiem. Na półmisku piętrzyły się kanapki z wędliną i żółtym serem przybrane papryką lub sałatą lodową. W salaterce kusila sałatka z pomidorów i ogórków posypana drobno pokrojonym szczypiorkiem. Przed dziewczyną stał wiklinowy koszyczek ze świeżym pieczywem. Ona sama siedziała z łokciami opartymi na stole, a na splecionych dłoniach opierała podbródek. Była poważna, tylko jej oczy się śmiały.

– Co to ma znaczyć? – zapytał. – Kiedy to pani przygotowała? W

lodowce były tylko parówki!

– Ale po drugiej stronie ulicy jest sklep otwarty od szóstej – uśmiechnęła się. – Nie jest pan zadowolony?

– Ja miałbym nie być zadowolony? – Wskazującym palcem dotknął mostka. – To najbardziej wystawne śniadanie w moim życiu! Dziękuję pani. Odruchowo chciał ją pocałować, ale się odsunęła.

– Miało mi z pana strony nic nie grozić. Obiecał mi pan to.

\*\*\*

Korzystając z otwartej bramy, Pilarski wjechał na podwórze gospodarstwa Karoliny Matusiak.

– Koniec jazdy – oznajmił, wysiadając z samochodu. – Pani pozwoli. – Z szarmanckim ukłonem podał rękę dziewczynie.

Kobieta przeciągnęła się z dłońmi splecionymi nad głową, jakby przejechała dwieście kilometrów, a nie dwadzieścia.

– Ładnie tu i tak spokojnie – dzieliła się pierwszymi wrażeniami.

– Wieś taka sobie... – Pilarski zapalił papierosa. – Ale ludzie są sympatyczni. Zaraz się pani przekona.

Wygląd domu Karoliny Matusiak nie zmienił się od jego ostatniej wizyty. Te same nieotynkowane pustaki świadczyły o tym, że ubodzy mieszkają tu ludzie. Na podwórzu stadko kur wygrzewało się w słońcu, a poza tym panowała cisza. Przez otwarte drzwi obory widać było puste żłoby i klepisko bez ściółki – widomy znak, że krów już nie ma.

Kilka razy zapukał do drzwi, ale nikt mu nie odpowiadał. W końcu, niemal odruchowo, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Zaskoczeni tym faktem weszli do sieni.

– Nikogo nie ma w domu, a drzwi otwarte? – zdziwił się.

Z sieni można było wejść do piwnicy, schodami na piętro lub do dwóch domowych pomieszczeń. Pilarski zapukał do jednych z dwojga drzwi.

– Kto tam? – usłyszał słaby kobiecy głos.

– Andrzej Pilarski – przedstawił się. – Byłem tutaj jakiś czas temu z panią Romaną Manug. Pamięta pani?

Za drzwiami zapanowała długa cisza.

– Nie pamiętam, ale niech wejdzie – usłyszeli w końcu.

W pokoju panował półmrok. Firanki i zasłony dokładnie skrywały niewielkie, wychodzące na północ okno i skutecznie tłumiły dzieńne światło jasnego przecież dnia. Niemalowane od lat ściany dźwigały wyłącznie sakralne symbole i obrazy, z których największym był Jezus pokazujący oburącz swoje promieniujące serce z krzyżem. W jednym rogu pokoju stała staromodna szafa, prawdopodobnie przywieziona z Kresów albo pozostawiona przez Niemców. W drugim rogu był rozłożony tapczan, na którym, przykryta pierzyną, z dwiema poduszkami pod głową, leżała staruszka. W jej pomarszczonej starością i pożółkłej twarzy Pilarski ledwie rozpoznał Katarzynę Matusiak – babcię Karoliny.

– Dzień dobry. – Podał dłoń na powitanie. – Poznaje mnie pani?

– Teraz musowo poznaje, no jak nie? – uśmiechnęła się staruszka. – Surowe mleko bał się pić, ha?

– Tak. – Pilarski odwzajemnił uśmiech. – Pani Manug też się bała.

– Kiedy to było? – Kobieta zamyśliła się na chwilę. – Tak dawno.

– Nie tak dawno. – Pilarski ciągle nie cofał dłoni. – A pani dobrze wygląda – skłamał.

– Nie. – Staruszka pokręciła głową. – Nie ma racji. Dobrze wygląda to dziewczę, co z tobą przyszło. Jak się nazywa?

– Mam na imię Nadia – ożywiła się dziewczyna. – Ten pan ma rację, dobrze pani wygląda.

Staruszka machnęła od niechcienia ręką, wypuszczając dłoń Pilarskiego, co ten natychmiast wykorzystał, by się cofnąć o krok.



– Leżeć do końca dni moich mnie przyszło – mówiła, wpatrując się w sufit. – Z drabiny ja spadła. Niewysoko, dwa szczebelki, no kość złamała się. Gips założyli, no nie zrosła się. Kości dziurawe, bez wapna, kruche, to jak ma zrastać się? Operacji zrobić nie można, taj gnić na kanapie do śmierci mnie przyszło.

W tej niewesołej sytuacji Pilarskiemu i Nadii zabrakło słów pocieszenia. By zmienić temat, policjant zapytał o Karolinę.

– Karolcia? Karolcia w pracy, na wieczór wraca. Gdzieś w szpitalu w mieście robi. Sale sprząta. Pieniędzy z gospodarki nie było. Krowy my sprzedali. – Staruszka wytarła poszewką wilgotne oczy. – Żal było gadziny. One też tak patrzyły na Karolcię i na mnie, jak na auto je wprowadzali, jakby wiedziały, gdzie jadą. Aż serce ścisnęło. Tyle lat u nas były, mleko dawały, ser i masło my robili, a śmietana jaka była... – Ciężko westchnęła. – Do rzeźni je zabraly! – Rozpłakała się, pociągając nosem. – A teraz obora pusta i mleka nie ma. To kupne to nie jest mleko. – A Marysią sąsiady opiekują się, jak Karolcia w pracy. Jak ja chodziła, to ja opiekowała się nią, a teraz sąsiady.

– Kim jest Marysia? – zainteresował się Pilarski.

– To prawnusia moja, nie wie? Karolci córcia. Do szkoły chodzi i sąsiady ją z busa odbierają.

Opowiadanie staruszki przerwał jakiś hałas w sieni i dziecięcy głos.

– Musi Karolcia wróciła – ożywiła się. – Z Marysią przyszła. Zobaczą, jaka z niej pannica.

Karolina z córką weszły do pokoju.

– Kogo ja widzę! – Kobieta uśmiechnęła się, podając Pilarskiemu rękę. – Pan Andrzej z asystentką. Ładna! Jak się nazywa?

– Nadia Iwanowna. – Dziewczyna dygnęła jak uczennica i natychmiast się zarumieniła.

– Ładna, dobrze wychowana i na dodatek nieśmiała. – Karolina nie

ustawała w prawieniu komplementów.

– Słusznie chwali pani moją znajomą. – Pilarski był zadowolony. – Ale Marysia i pani... – Chciał coś powiedzieć, jednak przytomnie skonstatował, że może strzelić gafę i zamilkł.

– Co chciał pan powiedzieć? – Karolina zmarszczyła czoło.

– Coś miłego – wił się detektyw – ale nie wiedziałem, jak to zrobić.

– Ech, wy, mężczyźni! Potraficie bajerować! – Karolina zaśmiała się w głos.

– Ja nie bardzo. – Pilarski zrobił skruszoną minę. – A przyjechałem w sprawie Nadii. Ktoś załatwił jej pracę w Karlikowie, ale nie przyszedł na umówione spotkanie. Pani Nadiu, proszę pokazać ten adres.

Dziewczyna podała kartkę Karolinie.

– Ciężka praca panią czeka – powiedziała kobieta po chwili namysłu, kiwając głową, jakby sama sobie chciała przyznać rację. – Zbieranie truskawek. Praktycznie każdego dnia, niezależnie od pogody. Pani pracodawca jest moim sąsiadem z naprzeciwka. Już zatrudnia dziesięć osób – samych Ukraińców. Mieszkają w domu obok. Widzimy się często, kłaniamy się sobie i mogę powiedzieć, że to bardzo sympatyczni młodzi ludzie. Jest sześć kobiet, a mężczyzn chyba czterech. Ale pozwólcie, że zanim pójdziemy do pana Władysława, najpierw coś zjem.

Poszły obie – Karolina i Nadia. Nie było ich przez pół godziny, które Pilarski spędził z prababcią Marysi i z nią samą.

Kobiety wróciły zadowolone. Pan Władysław ucieszył się z kolejnego pracownika, bo urodzaj truskawek był w tym roku nadzwyczajny, a jedna z Ukrainek się rozchorowała. Nadia miała zamieszkać ze swoimi rodakami, ale kiedy chciała się pożegnać z Karoliną i Pilarskim, przez otwarte okno dobiegł ich dźwięk gitary i śpiew.

– Ciii! – Nadia przyłożyła palec do ust. – Panie Andrzeju, niech pan słucha.

Pilarski zamienił się w słuch, a Nadia, Karolina i Marysia zaczęły śpiewać razem z Ukraińcami.

*Jak ja małym zbyrawsja nawesni  
Pity u swit neznany my szljachamy,  
Soroczku maty wyszyła meni,  
Czerwonymy ta czornymy,  
Czerwonymy ta czornymy nytkamy.*

*Dwa kolory, moji dwa kolory,  
Oba na połotni, w duszi mojij oba.  
Dwa kolory, moji dwa kolory,  
Czerwonyj – to łjubow, a czornyj – to żurba.*

[...] <sup>5</sup>

– Czy teraz mi pan wierzy? – Nadia spojrzała na Pilarskiego, kiedy śpiew się zakończył. – Te dwa kolory na moim podkoszulku to nie były banderowskie symbole. To były kolory z tej właśnie piosenki.

Zapadał zmierzch, kiedy pożegnał się z rodziną Matusiaków. Nadia odprowadziła go do samochodu.

– Dziękuję panu za przywiezienie do Karlikowa i za wszystko, co pan dla mnie zrobił. – Podała dłoń na pożegnanie.

Chciał ją przytrzymać dłużej, ale nie pozwoliła.

– Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić. – Posłała dłonią całusa.

\*\*\*

Pilarski był na siebie zły. Uroda Nadii, jej sposób bycia, bardzo bezpośredni i kobiecy, nie dawały mu spokoju. Nie pozwalały na pełną koncentrację w pracy, co szef zdawał się zauważać.

– Przechodzi pan trudny okres – powiedział. – Czy mogę panu jakoś pomóc?

Pilarski złożył wszystko na przemęczenie, podziękował za ofertę pomocy i zapewnił, że sam da sobie radę. Mizernie mu to jednak wychodziło, dlatego postanowił spotkać się z dziewczyną.

Plantacja truskawek pana Władysława znajdowała się niedaleko drogi z Wrocławia do Obornik Śląskich i już z samochodu widać było pracujących ludzi. Jedni w kucki, inni na kolanach napełniali łubianki dorodnymi owocami. Za jedną łubiankę dostawali złotówkę i musieli ciężko pracować, by zarobić kilkadziesiąt złotych w ciągu dnia.

Zaparkował focusa niedaleko toia stojącego przy polnej drodze. Grupa zbieraczy była dość daleko i nie chciał wchodzić na plantację. Liczył na to, że Nadia pozna samochód i przyjdzie do niego. Nie pomylił się.

– Dzień dobry panu. – Podała mu rękę. – Co pana tutaj sprowadza?

Fizycznie nie była już tak atrakcyjną osobą, jaką znał do tej pory. Ubrana u luźny, zdecydowanie za duży, niebieski kombinezon z napisem *Big Brother*, z niedbale zaczesanymi i upiętymi w dziwaczny kok włosami oraz ziemistą ze zmęczenia twarzą była kobietą przeciętnej urody.

– Chciałem panią zobaczyć i porozmawiać.

– No to mnie pan zobaczył, a porozmawiać pan chciał o czym?

– To dłuższa rozmowa i nie tutaj, na polu.

– Panie Andrzeju – Nadia uroczo przekrzywiła głowę – jest tylko jedna szansa na spotkanie. Jeśli będzie lało i nie wyjdziemy w pole. Jest wysyp truskawek i pracujemy do wieczora, a później, to nawet jeść i myć się nam nie chce.

– Nie pozostaje mi nic innego – zrobił tajemniczą i poważną minę – jak

spotkać się z wróżką i zamówić niepogodę.

– Chyba tak – zgodziła się. – Ale muszę pana już pożegnać, bo grupa mi ucieknie. Do widzenia. – Odwróciła się i pewnym krokiem ruszyła w stronę zbieraczy.

\*\*\*

– Rozbieraj się. – Docent Marecka wykreśliła jego nazwisko z listy dzisiejszych pacjentów. – Masz opis ostatniego USG, tomografu albo rezonansu?

– Nie mam. Nigdy takich badań nie robiłem. Byłem zdrowy jak ryba.

– Głupie porównanie – pani radiolog wycisnęła zimny żel na brzuch Pilarskiego. – Nigdy nie widziałeś zdechłych ryb?

– Nigdy – przyznał. – Śnięte tak, ale zdechłych nie.

– Ty głupi jesteś, czy takiego udajesz? Przecież to jeden czort.

Zabezpieczyła bokserki Pilarskiego papierem i ściągnęła je tak nisko, że jeszcze trochę i penis cieszyłby się wolnością.

– Prostata nie jest powiększona – komentowała na bieżąco obserwowane narządy – śledziona też nie. Nerka lewa mi się nie podoba, masz torbiel piętnaście milimetrów, ale to nic groźnego. – Nagle zamilkła. Bez słowa zmieniała parametry, tak że obraz na ekranie stawał się coraz większy. Głowicę USG to trzymała pod łukiem żebrowym z prawej strony, to przesuwiała ją wysoko i obserwowiała wątrobę przez same żebra. Milczenie przerwała po kilku minutach. – Chłopie – powiedziała i delikatnie ujęła go za nadgarstek – coś się dzieje w ósmym segmencie wątroby. To guz dwadzieścia na piętnaście milimetrów. Nie umiem określić jego charakteru, ale trzeba tego pilnować. No i schudnij koniecznie. Tłuszcz utrudnia obserwację, tłumi fale. Popatrz na mnie – jestem grubsza od ciebie, ale kobiecy tłuszcz jest inny. My, kobiety, jesteśmy takie pampusne i otyłość nie przeszkadza w badaniu, ale ty schudnij! Koniecznie!

\*\*\*

Wynik badania USG mocno go zaniepokoił. Był niemal pewny, że wobec wzrostu AFP wykryta przez docent Marecką zmiana jest rakiem. Leżał na kanapie i rozmyślał. Rozważał różne warianty postępowania, ale do żadnego z nich nie był przekonany.

Z zadumy wyrwał go dzwonek do drzwi. Dziwne, pomyślał, o tej porze?

– Pan Andrzej Pilarski? – zapytał wąsaty mężczyzna z okazałą skórzaną torbą przewieszoną przez ramię.

– Tak. – Pilarski kiwnął głową.

– List polecony do pana. Proszę podpisać, o tutaj. – Mężczyzna długopisem zaznaczył miejsce.

Pilarski podpisał, zamknął drzwi i wszedł do kuchni po nóż. Nim otworzył kopertę, spojrzął na dane nadawcy.

– Ewa Konieczny – przeczytał i usiadł w fotelu. Odłożył kopertę i ponownie oddał się rozmyślaniom. Tym razem nie o raku, ale o tym, co łączyło go z Ewą.

*Drogi Andrzeju! – czytał po kwadransie. – Jeśli masz przed sobą mój list, to znaczy, że to wszystko, co nas kiedyś łączyło, nie do końca jest jeszcze stracone. Tą nadzieją żyję, od kiedy wróciłam do Polski z naszego wyjazdu na Ukrainę.*

*Wiem, zachowałam się okropnie. W przeszłości robiłam tak wiele razy, ale kiedy poznałam Ciebie, myślałam, że to już się skończyło, że teraz będzie inaczej. Niestety myliłam się. Ta podświadoma awersja do mężczyzn skrzywdziła także Ciebie. Chcę jednak, abys wiedział, że zaczęłam się leczyć. Psycholodzy i psychiatrzy próbują wyciągnąć mnie z tej choroby i dają nadzieję, że tak się stanie.*

*Andrzeju, moje zachowanie zerwało nie tylko emocjonalne więzi, które nas łączyły, ale też więzi zawodowe. Niewyjaśniona jest nadal sprawa zabójstwa Doroty, jak również innych krewnych Jakubka. Chciałabym*

*ponownie prowadzić z Tobą śledztwo w tych sprawach. Czy jest to możliwe?*

*Ewa Konieczny*

Nie jest możliwe, pomyślał. Zgniół list i wrzucił go do kubła na śmieci. Kiedyś praca z tobą była samą przyjemnością, ale na Ukrainie mnie upokorzyłaś. Nawet nie wiesz, jak bardzo to boli. Jestem ci wdzięczny za uratowanie życia, ale upokorzenie zabija radość wynikającą z tego faktu. Za późno, moja droga asystentko. Już jest za późno.

\*\*\*

Spotkanie z Nadią zaaranżował Niż Azorski. Przykrył on niemal całą zachodnią Europę grubą warstwą chmur, powodując we Francji i w Niemczech powodzie, a w Polsce tak duże ulewy, że o pracy w polu nie mogło być mowy.

Pilarski pojechał do Karlikowa niemal pewny, że porozmawia z dziewczyną i zaproponuje jej coś, na co wpadł po liście od Ewy. Nie był natomiast pewny jej reakcji. Prawdopodobieństwo, że się zgodzi, oceniał na dziesięć procent, ale gdyby mu się udało, to był przekonany, że tę dziewczynę zdobędzie. Marzył o tym już od chwili, gdy ratował ją z opresji na wrocławskim Rynku.

Dom wynajmowany przez Ukraińców miał cztery pokoje. Największy zajmowali mężczyźni, a w trzech pozostałych mieszkały kobiety. Współlokatorką Nadii była Lena spod Tarnopola. Z okolic tego miasta pochodzili zresztą niemal wszyscy Ukraińcy pracujący legalnie u pana Władysława.

Lena, drobna szatynka, wymieniła z Nadią i Pilarskim kilka zdawkowych słów i wyszła z pokoju.

– No i zostaliśmy sami – ucieszył się policjant. – A to dla pani. – Wręczył dziewczynie trzy czerwone róże.

– Nie trzeba było. – Nadia położyła kwiaty na łóżku i wyszła z pokoju ze słoikiem po ogórkach w dłoni. Wróciła po chwili i włożyła róże do wody. –



Nie trzeba było – powtórzyła, siadając na łóżku.

– Na długo pani przyjechała? – Pilarski odsunął firankę. – Ciągle pada – zauważył, nie czekając na odpowiedź.

– Na trzy miesiące, a jak będzie praca, to może na cztery. Ale proszę usiąść. – Wskazała dłonią jedno z dwóch krzeseł stojących przy stole. – U pana Władysława truskawki będą przez miesiąc, a później to nic pewnego. Trzeba będzie szukać pracy, jednak nie jest o nią łatwo.

– Niech mi pani powie... – Odruchowo sięgnął po papierosa. – Przepraszam, czy mogę zapalić? – zapytał.

– Tu nikt nie pali, ale proszę, jak panu nie szkoda zdrowia – odpowiedziała z uśmiechem, przechylając głowę.

– Skoro nikt nie pali, to i ja nie będę. – Wsunął papierosa do paczki.

Lubił, kiedy przechylała głowę i do tego się uśmiechała. Taka była wtedy dziewczęca, pełna powabu i tajemniczości, że dużo by dał, by trwała w tej pozycji zawsze, gdy z nim rozmawia.

– Niech mi pani powie – powrócił do przerwanej wątku – czym się pani zajmuje u siebie, w Ługańsku<sup>6</sup>.

– Zdziwi się pan może, ale niczym, dlatego tutaj przyjechałam. Skończyłam psychologię na Uniwersytecie Charkowskim, ale w Ługańsku pracy dla mnie nie było.

Informacja, że Nadia jest psychologiem zastanowiła Pilarskiego. Stokrotka poznana na Mazurach też była psychologiem i też, podobnie jak Nadia, bardzo mu się podobała. Zastanawiał się, czy on ma jakąś wrodzoną słabość do psycholożek, czy też one potrafią w nim tę słabość uaktywnić.

– Proszę powiedzieć, na jaki zarobek w Polsce pani liczy? Wiem, że złotówka jest silniejsza od hrywny.

– Dużo silniejsza. U nas minimalna płaca wynosi tysiąc sto hrywien, a w Polsce?

– Tysiąc pięćset złotych.

Za jedną złotówkę dostanę na Ukrainie dwie i pół hrywny. Proszę przeliczyć naszą emeryturę na złotówki.

– Czterysta czterdzieści złotych. – Pilarski zamknął kalkulator i położył telefon na stole.

– A wie pan, że ceny towarów są takie same jak u was, a czasem wyższe?

– To niemożliwe. – Pilarski był naprawdę zdziwiony. – Za czterysta czterdzieści złotych nie można przeżyć nawet tygodnia!

– Trzeba, panie Andrzeju, trzeba – cały miesiąc. U nas ludzie tak żyją, ale jest ciężko, nawet bardzo ciężko.

– Nie do wiary. – Kręcił głową. – Nie do wiary.

W pokoju na krótko zapanowała cisza.

– Czyli przez miesiąc ma pani pracę przy truskawkach, a przez pozostałe dwa lub trzy nie wiadomo. Czy tak?

– Dokładnie tak, panie Andrzeju.

– Ile pani zarobi?

– Nie wiem, dużo zależy od pogody. Chciałabym półtora tysiąca złotych. Ale dlaczego pan pyta? Ja pracuję legalnie i jestem ubezpieczona.

– Proszę się nie obawiać – uśmiechnął się. – Pytam z ciekawości, bo chcę złożyć pani pewną propozycję. Jeśli jej pani nie przyjmie, proszę nie zrozumieć źle moich intencji i nie obrazić się na mnie.

– Słucham, proszę mówić. Zaintrygował mnie pan.

– Pani Nadiu, prawdopodobnie mam raka. To nie jest pewna diagnoza, ale przypuszczenie na dziewięćdziesiąt procent trafne.

– Przykro mi, panie Andrzeju, naprawdę przykro. – Dziewczyna na krótko dotknęła dłoni policjanta.

– Ciężko jest żyć z taką świadomością – kontynuował – a nie można od

niej uciec. Przygnębianie dopada człowieka wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. To koszmar odbierający chęć życia. Póki czuję się dobrze, chciałbym nacieszyć się światem.

– Czyli? – zapytała coraz bardziej zdziwiona.

– Czyli chciałbym zobaczyć Włochy i Chorwację. Z panią chciałbym zobaczyć te dwa kraje. Nigdy w nich jeszcze nie byłem. Od razu mówię, że to propozycja bez żadnych z pani strony zobowiązań – blefował – a za ten miesiąc, w którym miała pani pracować w Polsce, zapłacę.

Zamurowało ją na tę propozycję. Zmieszała się, nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. On widział jej rozterki i cieszył się, że skoro od razu nie usłyszał odmowy, to może jednak się zgodzi?

– Panie Andrzeju – powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę – bardzo mnie pan zaskoczył. Ja też nie byłam jeszcze we Włoszech i w Chorwacji, ale nie mogę panu dzisiaj powiedzieć tak lub nie. Muszę to wszystko dokładnie przemyśleć.

Yes, yes, yes! – krzyczał w myślach. Był już pewien, że odpowiedź dziewczyny okaże się pozytywna.

\*\*\*

Deszcz nadal nie pozwalał wejść na plantację, dlatego spotkali się w tym samym pokoiku następnego dnia.

– Zimno tu u was. – Powiesił przemoczoną kurtkę na oparciu krzesła. – Ja zdecydowanie wolę ciepło.

– Wiem. – Dziewczyna zamknęła szeroko otwarte okno. – Gdyby pan lubił zimno, to jechałby pan do Finlandii albo Norwegii, prawda? – Pytając przyjęła tę ulubioną przez niego niewinną, ale uwodzicielską, pozę.

Kiwnął głową.

– A pan jedzie do Włoch i jeszcze mnie chce tam zabrać – uśmiechnęła się. – Też lubię ciepło, ale do zimna jestem przyzwyczajona – mówiła dalej. – Węgla na wschodniej Ukrainie nie brakuje, ale kupić go nie ma za co i ludzie

marzną. Węgłem palimy w największe mrozy, a normalnie, czym tylko się da... – Zamyśliła się. Usiadła na łóżku i objęła rękami złączone kolana. Krótka spódniczka odsłoniła jej zgrabne uda.

W pokoju zapanowała cisza. Słysząc było tylko krople deszczu spadające na blaszany parapet.

– À propos wyjazdu do Włoch... – Pilarski spojrzał jej prosto w oczy. Nie na twarz, ale prosto w oczy. – Czy podjęła już pani decyzję?

– Widzę, że z pana też jest niezły psycholog – powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. – Tak, podjęłam tę decyzję. – Znowu zamilkła.

– I? – Ogarnęła go niepewność.

– I jest ona pozytywna – uśmiechnęła się, tym razem nie przechylając głowy. – Są tylko dwa warunki, które musi pan spełnić.

Tymi słowami poczuł się urażony. Jak to, myślał, proponuję atrakcyjne wakacje, chcę za nie zapłacić i mam jeszcze spełniać jakieś warunki? Zmarszczył czoło.

Zauważyła to od razu, odgadując jego myśli.

– Nie pojedę, jeśli ich pan nie spełni. – Tym razem przekrzywiła głowę, ale bez uśmiechu.

– Niech pani wreszcie powie, o jakie warunki chodzi? – Uniósł głos i od razu tego pożałował.

– Do tej pory był pan dla mnie bardzo miły i czuły. – W jej głosie zabrzmiał smutek. – Teraz pan na mnie krzyczy. Dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślał. Dlaczego uniosłem głos? Przecież ją lubię, pożądam jej. Kompletny ze mnie idiota!

– Dlatego, pani Nadiu – odpowiedział – że trzyma mnie pani w niepewności.

– Tak bardzo panu zależy, żebym z panem pojechała, że pan na mnie krzyczy?

– Nie krzyczę, tylko niepotrzebnie podniosłem głos. Przepraszam. Tak, na wyjeździe z panią bardzo mi zależy.

– Jestem psychologiem, ale nie trzeba nim być, aby wiedzieć, co za pana atrakcyjną propozycją się kryje. To seks, panie Andrzeju, to seks.

– Nieprawda – odpowiedział.

Prawda, pomyślał.

Uśmiechnęła się, przechyliła głowę i tym razem to ona spojrzała mu prosto w oczy. Mnie pan nie oszuka – mówiło jej spojrzenie.

– Pojadę z panem, ale będzie to podróż bez żadnych zobowiązań z mojej strony. – Nie trzymała go dłużej w niepewności. – No i nie przyjmę od pana pieniędzy za nieprzepracowany w Polsce okres. Dobrze pan wie, jak nazywa się płatny seks, jeśli o nim i o pieniądzach pan myślał. Ja nie jestem z tych Ukrainek, które za dobry obiad idą z facetem do łóżka.

Zupełnie niespodziewanie rozmowa przyjęła tak niefortunny przebieg, że atmosfera bardzo zgęstniała. Chłód, jaki z niej powiał, zmroził go bardziej niż ten z za otwartego wcześniej okna.

– Pani Nadiu – zaczął, bo wiedział, że musi coś powiedzieć – jest inaczej, niż pani myśli. Wypadło bardzo niezręcznie, przyznaję, ale nigdy swojej propozycji nie rozważałem w tych kategoriach. Bardzo, ale to bardzo panią za to przepraszam. – Skrzyżował dłonie na piersiach i pochylił głowę. – Warunki oczywiście przyjmuję i cieszę się, że pojedziemy razem. To już niedługo. Od razu, jak tylko skończą się truskawki.

Nic na to nie powiedziała i wyszła z pokoju, czym spowodowała u niego niepewność.

Czyżby wszystko było stracone? – pomyślał. – Niemądrze, wręcz głupio, to rozegrałem.

Dziewczyna wróciła po kilku minutach z butelką ukraińskiej wódki i z dwoma kieliszkami. Nic nie mówiąc, napełniła je i jeden podała Pilarskiemu.

– Andrzeju – uśmiechnęła się – mów mi Nadia.

Stuknęli się kieliszkami, przepletli ramiona i wypili bruderszaft.

\*\*\*

Bruderszaft z Nadią wprowadził go w doskonały nastrój. Ostatnia rozmowa, która niespodziewanie przyjęła tak niefortunny przebieg, zdawała się pójść w niepamięć. Wierzył, że zaczyna się nowy etap ich wzajemnych stosunków, intymnych nie wykluczając, na co, mimo zdecydowanych deklaracji, że nie chodzi mu o seks, jednak bardzo liczył.

Z zapalem zabrał się do zaległych spraw, a zaczął od zabójstwa Doroty Woronieckiej. W tym celu pojechał do Trzebnicy, by jeszcze raz porozmawiać z dozorczynią.

Odnalazł ją na ławeczce przed blokiem, w którym mieszkała Dorota. Siedziała z szeroko rozłożonymi nogami, na których opierał się jej nienaturalnie duży brzuch. Sukienka z niedopiętymi guzikami odsłaniała niezgrabne uda.

– Dzień dobry. – Pilarski starał się zachować możliwie delikatną barwę głosu, pamiętając o dość nieprzyjemnym charakterze kobiety, z którą już raz się spotkał. – Poznaje mnie pani?

– Jak mam nie poznać? – obruszyła się. – Taż pan policjant z Wrocławia. Wystraszył pan wtedy tutejszych pijaczków! – Zaśmiała się rubasznie. – Oj, bardzo ich pan wystraszył.

– Ja tam do nich nic nie mam.

– A ja mam. – Dozorczyńni wzruszyła ramionami. – Puszki i butelki rzucają na trawnik, szczą po bramach, jak jaki lokator ich nie zamknie, a panem ich przez kilka dni straszylam. Mówiłam, że pan niedługo przyjedzie i żaden się tutaj nie pokazał.

– Jeśli tak było, to cieszę się, że trochę pani pomogłem. Czy mogę tu usiąść?

– A siadaj pan. Ja dwa miejsca zajmuję, ale pan się zmieści.

– Jak się pani nazywa? – zapytał, chcąc skrócić dystans podczas rozmowy.

– Kowalska – odpowiedziała. – A po co to panu? Przesłuchanie chce pan zrobić, czy co? Prokuratura już mnie tak maglowała, że ja wszystko im powiedziała.

– Nie, nie o przesłuchanie mi chodzi, ale o rozmowę o pani Dorocie Woronieckiej. Nie chcę, żeby nasza rozmowa była oficjalna, dlatego zapytałem, jak się pani nazywa.

– Kowalska. – Kobieta zrobiła zdziwioną minę. – Już pan mnie o to pytał.

– Tak, pytałem, ale bardziej chodziło mi o pani imię niż o nazwisko.

– Kazimiera. Stary i znajomi wołają mnie Kazia.

– Pani Kazimiero... – Pilarski chciał zacząć właściwą rozmowę, ale przerwała mu w pół zdania.

– Pana widzę już drugi raz, to pan też znajomy.

Rozmowa z kobietą, która mogła znać pozornie nieprzydatne w postępowaniu kryminalnym szczegóły, tak rozbawiła Pilarskiego, że z trudem starał się zachować powagę.

– Pani Kaziu – ledwie przeszło mu przez gardło – proszę powiedzieć wszystko, co jest pani wiadome o życiu denatki. No wie pani, zakupy, znajomi, tryb życia, zwyczajne codzienne sprawy.

– A co ja mogę powiedzieć? Zakupy robiła w Biedronce. Jest blisko, a jeszcze jakiś Lidl chcą postawić. Nasze sklepiki padają jak muchy. Mało kto w nich kupuje, w Biedronce taniej.

– A znajomi, może goście Pani Doroty? Wie pani coś na ten temat?

– A wiem, wiem! – Na twarzy kobiety zagościł dziwny uśmiech. – Był taki jeden. Skóra jak kawa z mlekiem, kręcone włosy. Piękny mężczyzna – rozmarzyła się. – Dorota przychodziła z nim do domu, czasem on sam do niej przychodził.

– Miał klucze do jej mieszkania?

– Miał, musowo... – Dozorczyni zamyśliła się na chwilę. – Przychodził, kiedy pani Dorota była w pracy, to musowo miał. Musi jej kochaś być, bo jak kobita i chłop pod jednym dachem są, to inaczej być nie może! – Znowu zaśmiała się rubasznie. – A wie pan, że jej mąż do Anglii pojechał?

– Nie wiem. – Pilarski zmarszczył czoło. – Czyli mąż w Anglii, a pani Dorota z jakimś południowcem się spotykała?

– Jak nie, jak tak! Ale to Ruski jaki albo Ukrainiec. Ja raz ich pod bazyliką widziała.

– Dorotę i jej znajomego? – dopytywał Pilarski.

– A coś pan! – Kobieta machnęła ręką. – Kochaś pani Woronieckiej z jej mężem rozmawiał. To też Ruski chyba był, może Ukrainiec. A jaki samochód on miał, to aż głowa boli. Duży, ciemne szyby, że nic nie widać, a z przodu gruba wygięta rura. Nie zwykła rura, tylko srebrzysta, błyszcząca.

– Kochanek Doroty rozmawiał z jej mężem? – Pilarski wytarł pot z czoła. – To się kupy nie trzyma! Jest pani pewna, że to był mąż Doroty? A może wie pani, o czym oni rozmawiali?

– A coś pan, ruskiego nie znam, a po rusku gadali albo ukraińsku. A mąż pani Doroty to był, jak dwa i dwa cztery.

– A inni znajomi, może znajome, pani Woronieckiej? Byli tacy?

– Może byli, może nie. – Pani Kazimiera wzruszyła ramionami. – Jakaś pracowała w urzędzie, chyba skarbowym, to niech tam pyta – kobieta wstała z ławki uznając rozmowę za zakończoną. Wzięła grabie, foliowy worek i poszła zbierać skoszoną trawę.

– Przypomniała ja sobie – zatrzymała się po kilku krokach – że ten kochaś Dorotki tatuaż na ramieniu miał, taki dziwny jakiś, krokodyl czy coś podobnego. Słucha mnie pan?

– Tak, oczywiście. – Słowa kobiety wyrwały go z zamyślenia. – Krokodyl czy coś podobnego... – bezwiednie powtórzył jej ostatnie słowa.



\*\*\*

– Prusicka dwa – odczytał ze smartfona adres urzędu skarbowego. – Pani Kaziu – zawołał – gdzie jest ulica Prusicka?

– Ja tam nie wiem! A co tam chce znaleźć?

– Urząd skarbowy.

– To niech od razu tak mówi – zachnęła się. – Niech wsiada w auto i jedzie prosto. Bedzie rondo, to na nim w prawo. Potem cały czas prosto, aż na klasztor. Przed nim w lewo i prosto. Bedzie krzyżówka ze światłami, to prosto i zaraz za nią jest skarbówka. Po prawej niech szuka.

Informacje przekazane przez kobietę okazały się tak dokładne, że po kilku minutach znalazł się na niedużym, kompletnie zapełnionym parkingu urzędu skarbowego. Nie miał wyjścia i musiał szukać innego miejsca. Znalazł je na parkingu przed bazyliką św. Jadwigi.

To tutaj dozorczyńni widziała męża i kochanka Doroty, przypomniał sobie i ponownie ogarnęły go wątpliwości. Mąż i kochanek razem i w zgodzie? A może było tak, że przystojny południowiec został kochankiem dopiero po wyjeździe męża do Londynu? Ta wersja wydała się Pilarskiemu najbardziej prawdopodobna. Zamknął samochód i ruszył z powrotem do urzędu skarbowego.

– Andrzej Pilarski z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu – przedstawił się młodej pracownicy z informacji. – Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa Doroty Woronieckiej – mówił, obserwując coraz większe przerażenie dziewczyny zza kontuaru. – Wiem, że tutaj pracuje koleżanka pani Woronieckiej i chciałem z nią porozmawiać. Czy zna ją pani?

– Nie. – Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy. – Jestem nowa, pracuję od dwóch tygodni, ale proszę poczekać – mówiła coraz bardziej spokojnym głosem.

Wyszła zza kontuaru, do głównej sali urzędu.

Jest zgrabna, zauważył Pilarski, obserwując krótką, obcisłą spódniczkę

koloru czarnego i czerwone buty na wysokich i niezwykle cienkich obcasach. Jak w czymś takim można chodzić? – nie mógł się nadziwić.

Dziewczyna wróciła po kilku minutach.

– To pani Joanna – powiedziała zadowolona. – Zaraz tutaj przyjdzie.

– Joanna Przybysz. – Rudowłosa piękność, może czterdziestoletnia, przedstawiła się, podając rękę.

– Andrzej Pilarski z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Muszę powiedzieć, że skarbówkę zawsze kojarzyłem z oschłymi i nieprzyjaźnie nastawionymi do klientów kobietami, a tu taka niespodzianka – zdobył się na zdawkowy komplement.

– Nie może pan wiedzieć, jak będę do pana nastawiona. – Pokręciła głową. – A skoro tak, to ocenia mnie pan wyłącznie po wyglądzie. Nie uważa pan, że to seksistowskie?

Gdyby nie mowa jej ciała jednoznacznie sugerująca zadowolenie, to musiałby przyznać, że ma rację. Teraz jednak był przekonany, że z jej strony to wyłącznie kokieteria.

– Nie uważam – odpowiedział pewnie. – Powiedzenie pięknej kobiecie, że jest piękna, to tylko stwierdzenie faktu, a nie seksizm.

Uśmiechnęła się, a on zauważył, że ma brązowe oczy. Zdziwił się przy tym, ponieważ nie pamiętał koloru oczu żadnej innej kobiety, z którą łączyła go intymna zażyłość.

– Chciałem porozmawiać o Dorocie Woronieckiej. Znała ją pani?

Kobieta zacisnęła usta, a po jej policzku spłynęła łza.

– Tak, znałam Dorotkę, przyjaźniłyśmy się, ale – spojrzała na zegarek – to będzie chyba dłuższa rozmowa, a ja mam dzisiaj dużo pracy. Spotkajmy się za dwie godziny, dobrze?

– Oczywiście. Tylko gdzie? Samochód mam na parkingu przed bazyliką, a Trzebnicy nie znam.

– Przyjdę tam. – Urzędniczka wycierała wilgotne oczy. – W pobliżu jest kawiarnia i w niej spokojnie porozmawiamy. A pan może w tym czasie zobaczyć barokowe sanktuarium Świętej Jadwigi. To zabytek klasy zerowej, na pewno będzie pan zachwycony.

Pilarski był zachwycony! Mieszanka stylów, z przewagą baroku, oszałamiała artystycznym bogactwem, wręcz przepychem. Piękne, tylko po co to komu? – zastanawiał się. – Rozprasza tak samo jak wydekolowane dziewczyny w kusych sukienkach i nie pozwala skupić się na modlitwie. Uważał, że dziewczynom słusznie każe się zakrywać ciała, ale artystyczny przepych złoconych ołtarzy, chrzcielnic i innych kościelnych obiektów, których nazw nawet nie znał, przyciąga wzrok i raczej rozprasza niż skłania do modlitewnej jedności z Bogiem.

Usiadł w ławce, oparł łokcie na blacie i objął dłońmi pochyloną głowę. Wyglądał na człowieka pogrążonego w modlitwie, a tymczasem jego myśli podążały w zupełnie innym kierunku.

Wakacje z Nadią, zabójstwo Doroty, prawdopodobny rak wątroby – to zaprzętało jego uwagę.

Boże, spraw proszę, aby to nie był rak – zdziwił się, że tak pomyślał, bo wątpił w istnienie Boga. Ukołysany śpiewem chóru, który właśnie miał próbę, zasnął.

– Bardzo przepraszam, że przerywam modlitwę – usłyszał czyjś aksamitny głos – ale zamykamy kościół.

Półprzytomnym wzrokiem spojrział na człowieka w koloratce, ubranego na czarno, stojącego obok jego ławki.

– Raz jeszcze pana przepraszam, ale naprawdę musimy zamknąć – tłumaczył się ksiądz.

Kiedy opuścił bazylikę z zakłopotaniem stwierdził, że Joanna przechadza się po parkingu. Przyspieszył kroku.

– Bardzo panią przepraszam za spóźnienie, ale bazylika jest tak piękna,

że trudno było z niej wyjść i czas tak szybko upłynął. – Nie przyznał się, że trzy czwarte tego czasu przespał. – Długo pani czeka?

– Godzinę, może półtorej – powiedziała z tak poważną miną, że z jeszcze większym zakłopotaniem wyciągnął smartfona.

– Wyszła pani wcześniej z pracy?

– Nie, skądże. – Ciągle była poważna. – Mówiłam, że mam dużo obowiązków. I tak się dzisiaj z nimi nie uporałam.

– To przyszła pani dopiero przed chwilą. – Zmarszczył groźnie czoło. – Dlaczego mnie pani stresuje?

– Dlatego że za chwilę pan będzie stresował mnie. Rozmowa o Dorotce nie będzie dla mnie przyjemna.

– Tak myślę – mówił łagodnym głosem. – Wspomnienia o kimś, kogo już nie ma, nie zawsze należą do przyjemnych.

– Zwłaszcza jeśli się tego kogoś bardzo lubiło, a nawet kochało – uzupełniła jego wypowiedź.

Kawiarnia Markiza znajdowała się po drugiej stronie ulicy, ledwie dwie minuty drogi od parkingu.

– To moje ulubione miejsce – wyjaśniała Joanna, zajmując stolik w rogu prawie pustego lokalu.

– Tutaj często spotykałam się z Dorotką. Tym częściej, w im większym była ona dołku. Zajmijmy miejsca obok siebie, będzie nam łatwiej rozmawiać.

Usiedli na głębokich, obitych na beżowo krzesłach, które bez obawy popełnienia większej pomyłki można było nazwać fotelami. Zamówili herbatę i przekładane kremem ciastka posypane rodzynkami i orzechami.

– Są pyszne – powiedziała Joanna. – Zaraz się pan przekona. Dorotka też je bardzo lubiła, chociaż później żałowała, bo miała obsesję na punkcie odchudzania.

– Chyba robiła to skutecznie. – Pilarski zabrał wreszcie głos. – Znałem panią Woroniecką i pamiętam, że była bardzo szczupłą dziewczyną.

– Znał pan Dorotkę? – zdziwiła się Joanna. – Prywatnie czy służbowo, jeśli mogę zapytać?

– Służbowo, oczywiście służbowo. Prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstwa jej krewnego.

– I udało się wykryć mordercę?

– Tak, już został osądzony i skazany.

– A kto nim był? Jaki był motyw zbrodni?

– Pani Joanno... – Pilarski uśmiechnął się, patrząc kobiecie w oczy. – Przyjechałem do Trzebnicy, aby zadać kilka pytań na temat pani Woronieckiej, a okazało się, że to ja jestem przesłuchiwany.

– Bardzo pana przepraszam, ale ciekawość mnie zżera, bo to chyba ma związek z Dorotką.

– Chyba ma – zgodził się – ale musimy to udowodnić i pani może mi w tym pomóc. Wracając do pani pytania, powiem, że dziadek Doroty Woronieckiej, Michał Jakubowski, zmarł śmiercią naturalną. Gościł on człowieka z Izraela, ale wyszedł na krótkie zakupy i cudem uniknął śmierci. W tym czasie zjawił się płatny morderca, który nie znał swojej ofiary. Wiedział tylko, pod jakim adresem samotnie mieszka pan Jakubowski i przypadkowo zamiast niego zabił kogoś innego. To zabójstwo zleciła diaspora ukraińska z Kanady, a wykonała mafia, też ukraińska, działająca w Polsce.

– To bardzo dziwne, interesujące i straszne – skomentowała Joanna.

– Moim zdaniem Dorotka też została zamordowana przez Ukraińców. Powiem coś panu w największej tajemnicy i proszę o dyskrecję. Stwierdził pan, że Dorotka była szczupłą dziewczyną, a ja powiedziałam, że bardzo lubiła te ciastka, które właśnie niesie kelnerka.

Rzeczywiście duże i smakowicie wyglądające ciastka znalazły się przed

nimi.

– Proszę oddać się kulinarnej rozkoszy – zachęcała Joanna. – Jestem pewna, że jeśli kiedyś odwiedzi pan Trzebnicę, to przyjdzie pan do Markizy właśnie na nie.

– Ma pani rację – odpowiedział, delektując się ciastkiem o niezwykłym smaku, którego do tej pory nie znał.

– Powiedziałam też – Joanna kontynuowała przerwany przez kelnerkę wątek – że Dorotkę kochałam. Dosłownie kochałam. Żeby spalić kalorie, a takie ciastko ma ich naprawdę dużo, biegałyśmy godzinę każdego dnia. Musi pan wiedzieć, że bardzo forsowne to było bieganie. Tutaj tereny do niego są wprost wymarzone, ale okoliczne wzgórza potrafią solidnie dać w kość. Zwykle po takim biegu każda z nas udawała się do siebie, ale raz złapała nas ulewa i zakończyliśmy bieganie w moim mieszkaniu. Byłyśmy przemoczone, spocone i zdeterminowane, aby jak najszybciej wziąć prysznic i przebrać się w suche ciuchy. Żadna z nas nie chciała jednak ustąpić pierwszeństwa drugiej i droczyłyśmy się przez długą chwilę. Wtedy Dorotka zaproponowała, byśmy wzięły kąpiel razem. I tak się zaczęła nasza przygoda. Ona była samotna, ja też, no i wie pan... – Joanna zamyśliła się. – Tak, to była prawdziwa miłość, pełna szaleństwa, pełna scen, które pan prawdopodobnie uznałby za wyuzdane, a myślę, że nawet nie potrafiłby pan sobie ich wyobrazić. Tylko kobieta zna najlepiej potrzeby drugiej kobiety, a mężczyźni, jestem tego pewna, są w tych sprawach dyletantami lub co najwyżej przeciętnie zdolnymi kochankami.

Pilarski słuchał z coraz większym zaciekawieniem. Po rozmowie z Joanną spodziewał się wiele, ale na pewno nie przyznania się do miłości lesbijskiej.

– Nie potępia nas pan, prawda? – zapytała proszącym głosem. – To była prawdziwa miłość, której teraz bardzo mi brakuje.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział zgodnie z własnym przekonaniem. – Jestem bardzo tolerancyjny i nie mam nic przeciwko

związkom partnerskim. Oczywiście ta rozmowa zostanie między nami, chyba że ... – Zamyślił się.

– Chyba że co? – zapytała zaniepokojona, kładąc dłoń na jego dłoni.

– Pani Joanno – mówił wolno, ostrożnie dobierając słowa – jeśli w trakcie postępowania okaże się, że mogła mieć pani motyw zabójstwa, to waszego związku nie będzie można ukryć.

Słowa Pilarskiego załamały kobietę.

– To ja panu zaufałam, prosząc o dyskrecję! – Rozpłakała się głośno, zwracając tym uwagę starszego małżeństwa zajmującego stolik obok. – Pan obiecał dochować tajemnicy, a teraz co? Chce mi pan złamać życie? Wie pan, jak będę traktowana w pracy, kiedy wszystko się wyda? Zawiodłam się na panu! Bardzo się zawiodłam. – Cofnęła dłoń.

Atmosfera niewinnej kokieterii uleciała bezpowrotnie, a w jej miejsce wkrały się nieufność i emocjonalna obojętność.

Mam jednak zdolności do psucia relacji z kobietami, pomyślał, przypominając sobie niedawne zdarzenie z Nadią. Dlaczego powiedziałem to właśnie teraz, kiedy na zaufaniu zależy mi najbardziej? Związek Doroty i Joanny może nie mieć w tej sprawie żadnego znaczenia, a intuicyjnie czuję, że naprawdę go nie ma.

– Pani Joanno – powiedział szeptem, widząc ciągle zainteresowanie starszego małżeństwa ich stolikiem – proszę już nie płakać. Moja uwaga to sytuacja zupełnie hipotetyczna, która z całą pewnością nigdy się nie zdarzy.

– To dlaczego mnie pan dołuje? – spytała, pociągając nosem.

– Nie chciałem tego – kajał się. – Naprawdę nie chciałem. Ale zmienmy miejsce.

Zabrali herbatę i talerzyki z ciastem i zajęli stolik w drugim końcu sali.

– Nasz związek trwał kilka lat. – Joanna przestała płakać i kontynuowała opowiadanie. – Nikt o nim nie wiedział, nawet pani Anna, babcia Doroty, chociaż razem mieszkały.

Któregoś dnia zjawili się oni – Sasza i Czechen – dwaj Ukraińcy. To były ich pseudonimy i nigdy nie mówili do siebie inaczej. Ich prawdziwych imion i nazwisk nie znałam. Sasza tak się Dorotce spodobał, że nasz związek rozpadł się z dnia na dzień. Dorotka była szczęśliwa, a ja czułam się podle. Nie jest pan sobie w stanie wyobrazić, co czuje porzucona kobieta.

– Nie jestem – przyznał – natomiast doskonale wiem, co czuje porzucony mężczyzna.

– Porzuciła pana kobieta?

– Tak.

– To mamy ze sobą więcej wspólnego niż mi się wydawało po spotkaniu w urzędzie. Jeszcze kilka minut temu, przy tamtym stoliku, byłam pewna, że nic, kompletnie nic nas nie łączy. – Znowu położyła dłoń na dłoni Pilarskiego.

– Nie wiem, gdzie ci Ukraińcy mieszkali, ale Dorotkę i panią Annę odwiedzali regularnie. Po jednej z ich wizyt pani Anna dostała wylewu, przestała mówić, a wkrótce umarła. I wtedy stała się rzecz dziwna, której nie potrafię zrozumieć. Dwa tygodnie po pogrzebie babci Dorotka wzięła ślub z Saszą. Ona, taka pobożna, nagle, nie zachowując przyzwoitego okresu żałoby, wychodzi za mąż! W dodatku za obcokrajowca, którego niedawno poznała.

– Mówią, że miłość jest ślepa – skomentował słowa Joanny.

– Jest – przyznała – ale w tym przypadku było inaczej. To Sasza bardzo nalegał na małżeństwo. Podobno zależało mu na polskim obywatelstwie i możliwości swobodnego podróżowania po krajach Unii Europejskiej.

– Skąd to pani wie?

– Od Dorotki. Był taki krótki czas między wyjazdem Saszy do Anglii a zamieszkaniem u niej Czechena, kiedy kilka razy mogłyśmy się spotkać.

– Jak to możliwe – zapytał wprost – że taka kobieta jak pani Woroniecka, łamie tym razem śluby wierności, i to wkrótce po wyjeździe męża.



– Nie miała wyjścia. Czeczen się wprowadził, nie pytając o zgodę. Ona się go panicznie bała.

– Powinna to natychmiast zgłosić na policję.

– Może powinna, a może nie wierzyła, że będziecie w stanie jej pomóc. Ale może było jeszcze coś innego. Czeczen, przy Dorotce, zatelefonował kiedyś do Saszy. To była towarzyska rozmowa, jednak podczas niej Dorotka dowiedziała się, niby przypadkiem, że jej mąż zamieszkał u samotnej Ukrainki od lat przebywającej w Anglii. Okazało się też, że z tą Ukrainką Sasza od dawna był umówiony. To załamało Dorotkę i na pewno ułatwiło wprowadzenie się do niej Czeczena, bo on jest przystojny i każdej kobiecie, bez wyjątku, musi się podobać.

– Co takiego on w sobie ma, że tak bardzo się wam podoba? – zapytał w nadziei, że w jakiś sposób z odpowiedzi skorzysta i podniesie swoją atrakcyjność.

– Co ma? – zamyśliła się Joanna. – Ma urodę południowca, czyli śniadą cerę, regularne rysy twarzy i ciemne, kręcone włosy. Jest zdecydowany i męski. Taki typ macho, który odpowiada wielu kobietom. Ma tatuaż dwugłowego smoka na ramieniu i łopatce, który może nic nie znaczyć albo to, że kiedyś miał więzienny epizod. W przypadku Czeczena uważam to za bardzo prawdopodobne.

– To jestem na przegranej pozycji – podsumował. – Jedyne, co mogę zrobić, to tatuaż, o reszcie nawet nie myślę.

– Ale ma pan inne cechy, które też mogą się kobietom podobać – pocieszała go. – Bo każda z nas jest jedyną w swoim rodzaju. Proszę mi wierzyć, że nie ma dwóch takich samych kobiet.

– OK, dajmy już spokój tematom damsko-męskim. – Chciał zakończyć kolejny wątek wiodący na manowce ważną z jego punktu widzenia rozmowę.

– Czy pani Woroniecka mówiła coś jeszcze o mężu i o Czeczenie?

– Tak, i wydaje się to ważne. W czasie tej telefonicznej rozmowy

Czeczen w pewnym momencie wyszedł do pokoju. Dorotka uznała, że chce ukryć jakąś kolejną nieczystą sprawkę jej męża i dyskretnie podeszła do uchylonych drzwi. Słabo było słyszeć, a w dodatku rozmawiali po ukraińsku, ale już nic nie mówili na temat, jak to pan ujął, stosunków damsko-męskich. Kilka razy natomiast usłyszała słowo „pamiętnik” i przez szparę widziała, jak Czeczen zapisuje coś w notesie. To wszystko.

– Nic więcej pani nie wie na ten temat? Dorota nic więcej nie mówiła?

– Nic, naprawdę nic. Jeśli będzie pan kiedyś w Trzebnicy, proszę zatelefonować – podała wizytówkę na koniec rozmowy. – Z przyjemnością zaproszę pana na ciastko.

Pożegnali się uściskiem dłoni.

\*\*\*

Na wizytę kontrolną w poradni chorób wątroby Pilarski przyszedł dobrze przygotowany. Wiedział, co może oznaczać wzrastający poziom AFP i miał opis badania USG docent Mareckiej. Doktor Marzena Wilk potraktowała jednak jego obawy lekceważąco.

– Jest zmiana w wątrobie, ale niewielka i niepotrzebnie badał pan AFP. To robi się raz na trzy lata, a pan nie wytrzymał nawet trzech miesięcy. Przy marskości wątroby AFP może wynosić nawet dwieście, a u pana jest tylko sześćdziesiąt! Skąd ta panika?

– Pani doktor, a jeśli to jednak jest rak? – Pilarski poczuł się urażony beztróskim podejściem lekarki do groźnej choroby. – AFP rzeczywiście wynosi sześćdziesiąt, ale proszę zwrócić uwagę, że przyrasta coraz szybciej. Trzy kolejne pomiary to pokazują.

– Raz jeszcze powtarzam – w głosie lekarki zabrzmiała nuta irytacji – że nawet trzykrotnie wyższy poziom alfa-fetoproteiny nie musi nas niepokoić. Znam przypadek wycięcia guza wielkości złączonych męskich pięści, który miał łagodny charakter. Ten człowiek żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

– Pani doktor – nie ustępował Pilarski – to dobrze, że tamten guz nie był

rakiem, ale to wykazało dopiero badanie histopatologiczne. A co by było, gdyby to jednak był rak? To moje życie i boję się je stracić! Proszę mnie dobrze zrozumieć.

– Mnie też proszę zrozumieć. – Lekarka nagle spochmurniała. – Mam trzydzieści lat praktyki.

Po tej wizycie Pilarski uznał, że dalszy kontakt z doktor Wilk nie ma już sensu. Jeszcze tego samego dnia zarejestrował się do profesor Tułackiewicz, gastroenterologa, ordynatora jednego z oddziałów Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego.

Pilarski znał profesor Tułackiewicz, ale pierwszy z nią kontakt wspominał jak najgorzej.

Rok wcześniej Ewa Konieczny namówiła go na udział w badaniach przesiewowych w kierunku raka jelita grubego. Kolonoskopia, którą w ramach tego programu wykonała pani profesor, była tak bolesna, że chociaż uchodził za twardziela, to krzyczał tak głośno, aż dwie pielęgniarki przybiegły pani profesor na pomoc.

– To wina poskręcanych jelit – tłumaczyła z uśmiechem profesor Tułackiewicz po zakończeniu badania.

Profesor przeczytała uważnie opis USG docent Mareckiej i z dopiskiem „pilne” zleciła powtórzenie badania na miejscu. Wykonano je od razu, a jego opis pokrywał się z tym, który przyniósł Pilarski.

– Jest zmiana, nie da się ukryć – komentowała profesor Tułackiewicz – ale poziomem AFP bym się nie przejmowała. Gdyby to było tysiąc, to moglibyśmy się zastanawiać. Przebadamy jednak pana dokładniej u nas na oddziale. Proszę czekać na telefon z rejestracji. To potrwa jakieś dwa, trzy miesiące.

\*\*\*

Spotkanie w Trzebnicy nie wyjaśniło podstawowych wątpliwości Pilarskiego, a nawet wprowadziło nowe. Dlaczego Sasza wybrał na żonę

Dorotę Woroniecką, ostatnią żyjącą krewną Jakubka? Było oczywiste, że przystojny mężczyzna z łatwością rozkochał w sobie samotną trzydziestolatkę jedynie po to, by móc wyjechać do Anglii, ale dlaczego właśnie ją? Przypadek? Intuicja mówiła Pilarskiemu, że jednak nie.

Dlaczego po wyjeździe kompana do Londynu Czechen wprowadził się siłą do Doroty? Chciał mieć bezpłatne lokum czy z zupełnie innego powodu?

Dlaczego i przez kogo Dorota została zamordowana? Wersja o ukraińskim komandzie likwidującym krewnych Jakubka, jaką przedstawiła Ewa Konieczny, zdawała się być coraz bardziej prawdopodobna. Jeśli tak, to Sasza i Czechen z pewnością byli jego członkami. Jedynymi czy jednymi z wielu?

Jak udowodnić wersję zabójstwa Doroty? Że nie było to samobójstwo, które ktoś usiłował upozorować, wykazała sekcja zwłok, ale porażenie prądem mogło być przypadkowe. Śmierć dziewczyny nastąpiła wprawdzie wtedy, kiedy mieszkał z nią Czechen, ale w jaki sposób mógł to zrobić? Jeśli w ogóle była to jego sprawka!

Z bagażem tych wątpliwości wjeżdżał Pilarski do Karlikowa. Sądził, że być może ktoś z mieszkańców wsi widział Czczena.

Karlików od Trzebnicy dzieli zaledwie kilkanaście kilometrów, a na plantacji pana Władysława pracują Ukraińcy, więc było prawdopodobne, że Czechen tu bywał. Drugim powodem przyjazdu była chęć spotkania z Nadią.

Karolinę Matusiak spotkał na podwórzu, kiedy szła karmić kury. Zamknięte w ciemnym kurniku głośno, chociaż daremnie, domagały się wolności.

– Dzień dobry i nie przeszkadzam w pracy – powiedział na powitanie.

– Nie mogę ich wypuścić – tłumaczyła się Karolina. – Gdzieś wykryto ognisko ptasiej grypy i kury muszą być zamknięte. A w ogóle to witam pana – podała wytartą o fartuch rękę.

Pilarski skierował się w stronę wejścia do domu.

– Babcia jest słabiutka – mówiła, stawiając na stole czajnik z gorącą wodą i czajniczek z herbatą. – Martwi mnie, bo coraz bardziej się zapomina. Nie może chodzić, ale porozmawiać z nią było można, a teraz już nie bardzo. Coraz trudniej jest się nią opiekować i będę musiała poprosić opiekę społeczną o pomoc. No wie pan, panią na kilka godzin dziennie. Gorzej w soboty i w niedziele. Opieka wtedy nie pracuje, a szpital sprzątać trzeba. – Napełniła filiżanki wodą. – Esencję proszę nalać według uznania. Ale ja mówię i mówię, a pana pewnie jakaś ważna sprawa tutaj sprowadza. – Uśmiechnęła się smutno.

– Nawet bardzo ważna. – Pilarski, chociaż lubił mocną herbatę musiał zadowolić się średnią, bo na esencję zabrakło w filiżance miejsca. – Kilka tygodni temu, w Trzebnicy, zamordowano krewną Michała Jakubowskiego.

– Panią Dorotę?

Pytanie Karoliny zdziwiło policjanta.

– Skąd pani o tym wie? – zapytał.

– My, Kresowiacy, znamy się dobrze i wiemy, co się u nas dzieje. Coś ważnego, oczywiście, nie tam jakieś małżeńskie nieporozumienia. Chociaż o nich też – dodała po chwili namysłu. – Ale to sprawa Ukraińców. Michał w czasie wojny za bardzo zalazł im za skórę i teraz się mszczą.

– Ja właśnie w sprawie tych Ukraińców przyjechałem. Konkretnie to w sprawie jednego. Śniada cera, południowa uroda, kręcone włosy i dwugłowy smok wytatuowany na ramieniu i łopatce.

– A, myśli pan pewnie o Czeczenie.

Informacje Pilarskiego nie zdziwiły Karoliny, ale ona swoją wiedzą bardzo go zaskoczyła.

– Skąd pani zna tego człowieka? – zapytał zdziwiony.

– Bywa tutaj. Przyjeżdża terenowym samochodem, zostaje dzień albo dwa i odjeżdża. Ukraińcy boją się go panicznie, bo potrafi być brutalny. Prawdopodobnie haracz od nich ściąga, ale to tylko moje domysły, bo może

chodzi mu o coś innego. – Wstała od stołu i z wiszącej szafki wyjęła salaterkę z ciastkami.

– Zapomniałam, przepraszam. Ale przed ciasteczkami coś jeszcze panu powiem i pokażę. Proszę pójść ze mną.

Wąskimi i stromymi schodami zaprowadziła go na piętro do mansardowego, ale przytulnego pokoju z niedużym oknem dachowym. Pokój nie był umeblowany i najwidoczniej pełnił jedynie funkcje gospodarcze, o czym świadczyły dwie składane suszarki stanowiące jego jedyne wyposażenie. Okno wychodziło wprost na dom wynajmowany przez Ukraińców, a że tuż za oknem rósł okazały świerk, to praktycznie z tamtej strony nie było widoczne.

– Jakiś czas temu przyszedłam powiesić pranie. – Karolina ściszyła głos, jakby bała się, że ktoś ją usłyszy. – Robiło się już ciemno, ale nie zapalałam światła. Kiedy wychodziłam, spojrzałam przez okno. Między gałęziami jest prześwit. – Uchyliła okno i wyciągniętą ręką pokazała to miejsce. – Widać przez niego okno pokoju, w którym mieszka pana znajoma. Jak jej na imię, bo zapomniałam?

– Nadia.

– A tak, Nadia. Wtedy mieszkała tam inna dziewczyna, którą Czeczen zgwałcił.

– Zgwałcił? – Pilarski zmarszczył czoło. – Jak to możliwe?

– Zwyczajnie. Był silniejszy. Nie zasłonili okien i wszystko widziałam. Był brutalny, szarpał ją za włosy, zdarł z niej ubranie, to jak to nazwać? Chociaż później nie wyglądało to już na przemoc, bo Ukrainka nie broniła się, była uległa.

– Przykra sprawa. – Jedyne na taki komentarz zdobył się Pilarski. – A może zapamiętała pani numer terenówki Czeczena?

– Nie. – Karolina zaprzeczyła ruchem głowy. – Kolor granatowy lub czarny, przyciemniane szyby i gruba chromowana rura z przodu. Tyle

zapamiętałam.

Relacje Joanny i Karoliny o Czechenie pokrywały się. To nie był typowy gastarbajter<sup>7</sup> zza wschodniej granicy, tacy zresztą nie przyjeżdżają terenowymi samochodami, ale ktoś zdecydowany na wszystko, brutalny, dla którego zabicie człowieka prawdopodobnie nie stanowiło żadnego problemu.

Pilarski chciał u źródła zasięgnąć dodatkowych informacji, ale wśród Ukraińców panowała w tej sprawie istic sycylijska omerta. Nawet Nadia, z którą jedynie przez kwadrans rozmawiał, prosiła, żeby nie zgłębiał tego tematu.

– Jak mam nie zgłębiać – oburzył się – kiedy wyjaśniam sprawę zabójstwa człowieka?

– Nie zgłębiaj, zaufaj mi – powtórzyła, a on jej to obiecał, mając na względzie wspólne wakacje.

\*\*\*

Jechał do Nowej Soli, by zapoznać się z materiałami dochodzenia w sprawie wypadku drogowego sprzed dwudziestu lat, w którym zginęła Natalia, córka Michała Jakubka.

Obietnice są po to, by ich nie dotrzymywać, powtarzał w myślach. Nadia, chociaż emocjonalnie bardzo mi bliska, nie będzie dyktować, co mam robić, a czego nie, jeśli sprawa jest tak poważna jak morderstwo.

Materiały dotyczące śledztwa w sprawie śmierci Natalii, które uzyskał w prokuraturze, były dość skromne. Policyjne protokoły opisywały, a fotografie z miejsca zdarzenia pokazywały, czerwone seicento, które przodem uderzyło w drzewo rosnące za płytkim rowem kilka metrów od drogi.

Jedyny świadek zdarzenia, kierowca dostawczego busa jadącego za seicento zeznał, że oba samochody jechały z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę z zachowaniem bezpiecznej odległości. Droga w tym miejscu była prosta, ale prowadziła pod górę. We wstecznym lusterku świadek zobaczył szybko zbliżający się samochód

terenowy. Kiedy go wyprzedzał, ocenił, że jechał co najmniej sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Tuż przed szczytem wzniesienia kierowca terenówki zrównał się z wyprzedzonym samochodem Natalii i wykonał gwałtowny skręt w prawo, jakby chciał uniknąć zderzenia z pojazdem wyłaniającym się zza wzgórza. Tym manewrem zepchnął z drogi seicento, które po przejechaniu rowu uderzyło w drzewo.

Skręt kierowcy samochodu terenowego wyglądał na celowy, ponieważ z przeciwnej strony nie jechał żaden pojazd. Kierowca busa nie potrafił powiedzieć, czy doszło do bezpośredniego kontaktu obu samochodów, czy jedynie kobieta prowadząca auto osobowe wystraszyła się i zjechała na pobocze. Nie potrafił też podać marki samochodu terenowego. Zapamiętał natomiast, że był koloru czarnego, a jego rejestracja zaczynała się od GPU.

Z dalszej lektury materiału dochodzeniowego wynikało, że sprawdzono wszystkie samochody terenowe w powiecie puckim, ale ich kierowcy mieli alibi. Nie zgłoszono też ani na policji, ani w starostwie powiatowym kradzieży tablic jakiegokolwiek samochodu.

Nic więcej, żadnych innych śladów mogących prowadzić do wznowienia umorzonego śledztwa.

– Dwadzieścia lat! – mówił półgłosem, wracając do Wrocławia. – Tej sprawy nawet Archiwum X już nie rozwiąże.

\*\*\*

Zupełnie inne oczekiwania wiązał Pilarski ze sprawą wyjaśnienia okoliczności śmierci rodziców Doroty na jeziorze Niegocin. Zdarzenie stosunkowo nowe, pozwalało przypuszczać, że uda się je powiązać z zabójstwem ich córki. Jak? Tego jeszcze nie wiedział.

Architektonicznie nieciekawy budynek Prokuratury Rejonowej w Giżycku mieścił się przy ulicy Gdańskiej, na którą GPS zaprowadził go bez problemów.

Pani prokurator, kobieta w jego wieku, szczupła, z krótko obciętymi, farbowanymi na blond włosami, która zajmowała się tą sprawą, poczęstowała



go nie tylko kawą i paluszkami, ale także wystawnym posiłkiem, które przygotowała jej asystentka.

– Przyjechał pan z daleka – mówiła – proszę się częstować i nie krępować.

I Pilarski się nie krępował, bo chociaż po drodze zapomniał o głodzie, to głód nie zapomniał o nim. Kanapki znikły jedna po drugiej, a że były wizualnie i smakowo znakomite, wkrótce zawartość sporego półmiska zmniejszyła się o połowę.

Podobnie jak w Nowej Soli, materiały zgromadzone przez policję i prokuraturę w interesującej Pilarskiego sprawie nie były zbyt bogate. Zeznania wędkarza łowiącego z łódki blisko brzegu, który widział przez lornetkę moment wywrotki żaglówki, protokół WOPR-u z – jak to niebanalnie napisali, „podjęcia ciał topielców w kapokach” – wyniki sekcji zwłok i to wszystko.

– Niewiele tego – rozczarowany dzielił się opinią z panią prokurator, co ta odebrała jako kwestionowanie jej osobistych kompetencji.

– Był upalny dzień – tłumaczyła się, już mniej sympatycznym głosem. – Kompletna flauta, nikogo na jeziorze, tylko oni, nawiedzeni żeglarze, którym pogoda była obojętna. Deszcz, burza, flauta, przenikliwie zimno i nieżnośny upał im nie przeszkadzały. Wyłączyli codziennie, wtedy też. Ale proszę przejść do tego pokoju. – Uchyliła drzwi za jego plecami. – Tutaj w spokoju będzie pan się mógł zapoznać z treścią dokumentów.

Najcenniejsze wydawały się zeznania wędkarza. Był wprawdzie daleko od miejsca zdarzenia, ale lornetka pozwoliła mu dużo zobaczyć.

Łowiłem w zatoczce koło Osady Kleszczewo od czwartej rano – przeczytał w protokole, który podpisał wędkarz. – *Okolo siódmej zobaczyłem żaglówkę płynącą z lewej strony przy przeciwległym brzegu. Wiatru nie było, tafla jeziora była gładka, a żaglówka płynęła powoli, wykorzystując poranną bryzę. Okolo dziewiątej znalazła się na środku jeziora i się zatrzymała, bo bryza ustała. Oceniam, że mogła się znajdować na wysokości Osady Grajewo*

*albo Wilkasów. Ryby nie brały i już chciałem wracać, gdy zobaczyłem motorówkę płynącą z dużą prędkością od strony Bogaczewa w kierunku stojącej żaglówki. Łódka kilka razy ją okrążyła. Przy drugim nawrocie żaglówka się przewróciła, ale łódka się nie zatrzymała, nie udzieliła pomocy, tylko dalej okrążyła przewróconą żaglówkę, która zrobiła grzybka<sup>8</sup>. Nie miałem komórki i nie mogłem wezwać pomocy. Na wiosłach dopłynąłem do brzegu, co zajęło mi kilka minut. Turystów z Włocławka, którzy zatrzymali się na parkingu poprosiłem, by zadzwonili na 112. WOPR z Giżycka zjawiał się natychmiast po ich telefonie. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie.*

– Krótki ten protokół, – Pilarski przeciągnął się, odreagowując skutki długiej jazdy samochodem. Wiedział, że musi osobiście porozmawiać z wędkarzem.

W protokole WOPR-u nie znalazł interesujących go informacji. Wyłowienie ciał, postawienie i odholowanie żaglówki – typowe działania w takim przypadku, które nic nowego nie wniosły do sprawy. Ciekawe okazały się natomiast wyniki sekcji zwłok.

Matka Doroty utonęła, a jej mąż miał zawał, chociaż przyczyną jego śmierci też było utonięcie. Początkowo Pilarski dziwił się, że w kapokach można utonąć, ale kiedy doczytał opis wyników sekcji zwłok do końca, sprawa się wyjaśniła.

Oboje żeglarze mieli kapoki zwykłe, kamizelkowe, bez kołnierza utrzymującego głowę nad powierzchnią wody. Były one wystarczające dla człowieka przytomnego, kontrolującego swoje zachowanie, ale śmiertelnie niebezpieczne w sytuacji utraty przytomności.

*Z prawdopodobieństwem bliskim pewności – napisał lekarz sądowy w obu protokołach – można powiedzieć, że przyczyną utonięcia był splot dwóch niekorzystnych czynników: nieodpowiednich kamizelek asekuracyjnych i utrata przytomności ich właścicieli po wpadnięciu do wody.*

\*\*\*

Wędkarza odnalazł w Rydzewie, na placu kempingowym Mazuria. Zarośnięty, z ogorzałą od wiatru i słońca twarzą, w towarzystwie dwóch podobnie wyglądających mężczyzn, konsumował przy piwie wędzonego kurczaka z frytkami i kiszonym ogórkiem.

– Pan do nas? – Przerwał konsumpcję, kiedy Pilarski zatrzymał się obok ich stolika.

– Do pana, a może do wszystkich panów. Przyjechałem z Wrocławia. Jestem policjantem i wyjaśniam sprawę utonięcia dwójki żeglarzy na jeziorze Niegocin. Pamiętacie panowie to zdarzenie?

Mężczyźni zgodnie przerwali kolację i niepewnie spoglądali po sobie. Pilarski odebrał ich zachowanie jako niechęć, a może i strach przed policją. Wkrótce okazało się jednak, że to nie on jest powodem ich zmieszania i niepewności.

– Co tu dużo mówić – odezwał się jeden z wędkarzy. – Utopili ich.

– Kto? O kim pan mówi? – Pilarskiego zaskoczyła pewność wędkarzy, kontrastująca z niemocą prokuratury.

– Oni! – Wykonał nieokreślony ruch ręką. – Mafia – dodał już szeptem.

– Ludzie mówią, że w lasach koło Kętrzyna mają swoją bazę. Jakiś Ukr czy Łemko tam podobno mieszka i on ich przyjmuje. Dobrowolnie czy musi, my tego nie wiemy, ale tak podobno jest.

– My od tego z daleka – włączył się do rozmowy wędkarz, który był przesłuchiwany przez prokuraturę. – Im mniej człowiek wie, tym lepiej, ale pana Jana i jego żony szkoda. Mili byli, zawsze grzecznie się kłaniali, chociaż żeglarze i wędkarze bardzo się nie lubią, nigdy złego słowa nie powiedzieli.

– A może powiemy panu policjantowi – odezwał się trzeci, milczący dotąd wędkarz – co my widzieli?

Przy stoliku ponownie zaległa pełna niepewności cisza. Mężczyźni, chłopcy jak dęby z Knyszyńskiej Puszczy, nagle zgarbili się, jakby zapadli w

sobie i ciągle milczeli.

– Gwarantuję pełną dyskrecję – zadeklarował Pilarski przeczuwając, że wiedza wędkarzy jest w tej sprawie istotna, a sytuacja, w której będą chcieli się nią podzielić, może się już nie powtórzyć.

– Kazik był wtedy na jeziorze. – Wędkarz, który postanowił przerwać milczenie, wskazał na kumpla.

– Wstał o czwartej, ale my nie mogli. – Ruchem głowy wskazał drugiego towarzysza. – My wieczorem trochę za dużo wypili i wstać było ciężko. My wstali o dziewiątej i spokojnie pili piwko Pod Czarnym Łabędziem. Oni wjechali na parking dżipem z przyczepą. Trzech ich było. Młodzi, wysportowani, aż przyjemnie było patrzeć, jak bez wysiłku ściągają z przyczepy gumowy ponton, taki wyścigowy i doczepiają do niego jamahę. Panie, jak oni wystartowali... – Wędkarz uniósł z zachwyty obie ręce.

– Chwila i nie było ich widać. Nie minęło piętnaście minut, jak wrócili. Załadowali ponton i odjechali. Kazik widział, gdzie oni byli i co zrobili.

– I nikt panów nie przesłuchiwał? – dziwił się Pilarski. – Ani policja, ani prokurator?

– Nikt. I dobrze. – Tym razem odezwał się drugi wędkarz. – Kazika przesłuchiwali i wystarczy. Panie policjancie – pochylił się nad stołem – oni tutaj rządzą i robią, co chcą, a policja udaje, że nic nie widzi.

Z dalszego przebiegu rozmowy Pilarski dowiedział się, że dżip był koloru kawy z mlekiem, z wyraźną domieszką kawy, a jeden z mężczyzn miał na ramieniu jakiś duży tatuaż. W tej ostatniej sprawie wędkarze nie byli zgodni, na którym ramieniu. Numeru samochodu nie zapamiętali.

\*\*\*

We Wrocławiu czekał na Pilarskiego list. Obejrzał kopertę z obu stron, ale nadawcy nie znalazł.

Dziwne, pomyślał, wkładając list do torby.

W mieszkaniu panował kilkudniowy zaduch i pierwszą czynnością, jaką

wykonał, było wietrzenie. Drugą miało być zaspokojenie głodu. Niestety, jeśli nie liczyć masła, przeterminowanego jogurtu i kilku jajek, lodówka świeciła pustkami.

Jajecznicą! Tylko to mogę zrobić, pomyślał. Do sklepu miał bardzo blisko, ale długa trasa powrotna tak go zmęczyła, że nie miał ochoty opuszczać mieszkania.

O kopercie zapomniał. Natknął się na nią dopiero wieczorem, kiedy zajrzał do torby w poszukiwaniu okularów. Znajdowała się w niej karteczka z jednym niepodpisanym zdaniem – *To powinno pana zainteresować* – oraz fotografia przedstawiająca kobietę i mężczyznę w miłosnym uścisku. Kobieta była blondynką z krótko obciętymi włosami, a mężczyzna miał kręcone włosy i niewyraźny tatuaż na lewej łopacie.

Podejrzewał, że to Dorota Woroniecka i Czechen, ale dla pewności oddał zdjęcie do ekspertyzy. Intrygowało go natomiast pytanie o autora tej przesyłki.

Ekspertyza, którą wraz ze zdjęciem otrzymał po dwóch dniach, w pełni potwierdziła jego przypuszczenia. Z fotografią i dokumentem identyfikującym osoby na niej występujące ponownie udał się do Trzebnicy.

Policja i prokuratura nie знаły zdjęcia. Joanna z urzędu skarbowego też nie. Natomiast rozpytywani sąsiedzi pani Woronieckiej, tradycyjnie okupujący ławeczkę przed jej blokiem, powiedzieli, że kilka dni temu widzieli nieznaną im kobietę.

\*\*\*

– Panie, niezła dupa z niej była – emocjonował się jeden z nich popijając piwo. – Kręciła się od rana do późnej nocy. Węszyła jak pies myśliwski. Diabeł jeden wie po co.

Opis zachowania nieznajomej, a zwłaszcza jej dość dobrze zapamiętany wygląd, skierowały podejrzenia Pilarskiego na Ewę Konieczny – asystentkę, z którą tak wiele go łączyło.

Wieczorem chciał się z nią skontaktować, ale w słuchawce słyszał ciągle komunikat, że nie ma takiego numeru.

Dziwne, pomyślał.

Nie miał jednak wątpliwości, że musi wyjaśnić okoliczności, w jakich zdjęcie zostało zrobione, oraz celu, jakim kierowała się Ewa, kiedy mu je wysyłała.

Całodniowa wyprawa do Poznania niczego jednak nie wyjaśniła. Mieszkanie zajmowane kiedyś przez jego asystentkę otworzyła nieznana mu kobieta, która nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę. Ewa gdzieś zniknęła.

\*\*\*

– Słowo się rzekło i trzeba go dotrzymać. – Pilarski z uśmiechem wręczył Nadii bukietek polnych kwiatów kupiony od ulicznej kwiaciarki. – Jutro wyjeżdżamy. Jesteś już spakowana?

– Nie mam czego pakować. – Podziękowała za kwiaty uśmiechem, przechylając przy tym głowę. Wiedziała, że on tę jej spontaniczną pozę lubi najbardziej. – Cały dobytek mam tam. – Ruchem głowy wskazała wypełniony w trzech czwartych duży plecak.

– W takim razie zabieram cię do Wrocławia. Przez Karlików nie jest po drodze na południe Europy.

Truskawkowy sezon skończył się w połowie czerwca i Nadia, podobnie jak reszta zbieraczy, została bez pracy. Znajdowali ją wprawdzie u innych mieszkańców wsi, częściej mężczyźni niż kobiety, ale były to zajęcia sporadyczne, z których zarobek pozwalał pokryć zaledwie koszt wynajęcia mieszkania i skromnego wyżywienia. W takiej sytuacji trwanie bez gwarancji znalezienia dłuższej sezonowej pracy było stresujące i wszyscy bez wyjątku gratulowali Nadii tego wyjazdu.

– Odpoczniesz i kawał świata zobaczysz – mówiła ze łzami w oczach jej współlokatorka Lena. – Tobie to dobrze, a my nie wiemy, co robić.

\*\*\*

Wyruszyli wczesnym rankiem, dokładnie tak, jak zaplanowali. Wybrali drogę przez Niemcy, która nie była wprawdzie najkrótsza, ale prowadziła do Włoch wyłącznie autostradami.

– Andrzej, mieszkasz w prawdziwej Europie. – Nadia była zachwycona, kiedy minęli Krzyżową i zjechali na autostradę do Zgorzelca. – Droga równiejsza od stołu w wynajmowanym przez nas domu. – I te przejścia dla zwierząt i czyste parkingi – nie przestawała się zachwycać, kiedy na jednym z nich się zatrzymali.

– Tak, mieszkam w prawdziwej Europie – potwierdził Pilarski. – Może nie do końca jeszcze prawdziwej, ale jednak w Europie. A wy do niej kiedy?

– My? – Nadia uśmiechnęła się smutno. – Może za pięćdziesiąt lat. Nasze domowe toalety są często w gorszym stanie niż u was na parkingach. Nie, Europa jeszcze nie jest dla nas.

– To dawna granica z Niemcami – wyjaśnił, gdy znaki drogowe ograniczały prędkość, a tablice informowały, że właśnie wjeżdżają do Niemiec. – Kilka lat temu trzeba było stać w kolejce do odprawy, a teraz spokój i cisza.

– Po prostu Europa – powtórzyła zamyślona.

Wjazd do Niemiec nie wyglądał jednak imponująco. Autostrada do Drezna była w remoncie. Czynny był tylko jeden pas ruchu, a na dodatek miał uszkodzoną nawierzchnię. Po polskiej, równej jak stół autostradzie sprawiało to kiepskie wrażenie.

– U was lepsza Europa niż w Niemczech – skomentowała to z uśmiechem Nadia.

– Niemieckie autostrady mają po osiemdziesiąt i więcej lat – odpowiedział. – Są intensywnie eksploatowane i wymagają remontu.

Po przejechaniu niemal dziewięciuset kilometrów, tuż przed zmrokiem, dotarli w pobliże niemiecko-austriackiej granicy, ale nie chcieli jej

przekraczać.

– Na niemieckich parkingach można spać w samochodzie – tłumaczył. – Nie wiem, jak jest w Austrii.

Zatrzymali się na ostatniej niemieckiej stacji benzynowej. Duży parking niemal w całości zajmowały TIR-y, których kierowcy przygotowywali się do noclegu.

Na parkingu dla samochodów osobowych tablice informowały, że parkować można przez cztery godziny, a później trzeba zjechać na parking płatny. Bardzo łamaną angielszczyzną, taką z pogranicza komunikatywności, Pilarski zapytał grubego Niemca z obsługi stacji o całonocny koszt postoj. Niemiec nie znał angielskiego, ale poprosił o pomoc kolegę o południowych rysach twarzy.

– W zasadzie można parkować tylko cztery godziny – oznajmił tamten – ale ...

Przymknięte oko dopowiedziało resztę.

Tej nocy focus kombi po raz pierwszy miał się sprawdzić jako kamper. Bagażnik i rozłożone na stałe tylne siedzenia w czasie jazdy zapewniały pojemną przestrzeń towarową, a po przepakowaniu bagaży na przednie siedzenia były wygodnym miejscem do spania. Ta czynność zajęła im tylko kilka minut i zmęczeni podróżą położyli się spać. Każde w swoim śpiworze.

Parking szybko zapełnił się samochodami z niemal całej Europy. Nikt nie przejmował się zakazem postoj dłuższym niż cztery godzinny.

\*\*\*

– Italia już chyba niedaleko? – Nadia lekko uchyliła okno.

– Tak – przyznał. – GPS mówi, że do przełęczy Brenner mamy kilka kilometrów.

– Nie możemy jechać szybciej? – pytała, kiedy na szerokiej drodze wyprzedzały ich kolejne samochody. – Tylko terenówkę z koniem wyprzedziliśmy.



– To koń kierował terenówką? – Pilarski zrobił zdziwioną minę. – Że też mu prawo jazdy dali! Dziwna jest ta Austria.

– Ech, ty! – zaśmiała się w głos. – Dziwne to mogą być Włochy.

Austria żegnała ich deszczową pogodą, a nisko wiszące chmury nie pozwalały na podziwianie alpejskich widoków.

– Zobacz tam – wołała co jakiś czas, gdy chmury na krótko się rozstępowały, pokazując surowe piękno Alp. – Chmura dziura, dziura chmura!

– Ci Austriacy są jak Szkoci – skomentował po uiszczeniu opłaty. – Siedem i pół euro za winiety i jeszcze osiem na Brenner? Serca nie mają!

– Ale Szkoci nie mają ani serca, ani Alp – zauważyła rezolutnie.

– Dokąd teraz, moja pani? – zapytał podczas postoju na pierwszym włoskim parkingu.

– Prowadź! – Uśmiechnęła się, tradycyjnie przechylając przy tym głowę. – Ty jesteś kierowcą, przewodnikiem i panem. No, z tym ostatnim to chyba przesadziłam.

– Pogoda się poprawia, więc proponuję Dolomity i Cortinę d'Ampezzo. To miejscowość olimpijska z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, może warto ją zobaczyć?

– Może... – Nie przestawała się uśmiechać. – Kiedy zobaczymy, to będziemy wiedzieli.

– Dolomity są niesamowite – wołała zachwycona, gdy wąską, krętą i zatłoczoną drogą dojechali do szerszej, na której końcu piętrzyły się jedne obok drugich wapienne postrzępione szczyty.

– Jak kopki siana na huculskich połoninach, tylko blisko siebie! – Nie ustawała w zachwycie.

– W przewodnikach piszą, że Dolomity to jedne z najpiękniejszych gór świata. – Pilarski pewnie pokonywał serpentyny. – W sumie niewiele gór

widziałem, ale Sudety, Karpaty, bułgarska Stara Płanina czy nawet Pireneje, nie mogą się z nimi równać.

Kemping Olimpia, pierwszy z przygotowanej listy włoskich kempingów, na którym zamierzali się zatrzymać, był zamknięty do piętnastej. Po krótkiej naradzie zdecydowali, że w tej sytuacji pojedą do odległej o pięć kilometrów Cortiny. Wiedzieli, że kolejką linową można wyjechać na jeden z najwyższych szczytów Dolomitów o nazwie Tofana di Mezzo.

– Masz lęk wysokości? – spytał niepewnie, ponieważ sam cierpiał na tę przypadłość. – To ponad trzy tysiące dwieście metrów nad poziomem morza, a wagonik kolejki w niektórych miejscach jest kilkaset metrów nad ziemią.

– Nie mam – odpowiedziała.

W kasie zostawił prawie sto euro i trochę żałował pomysłu bujania w dolomickich przestworzach, ale szybko się przekonał, że było warto. Widoki, jakimi mogli się upajać, pokonując trzy odcinki kolejki, z nawiązką wynagrodziły jego finansowe straty. Ostatni, prawie pionowy odcinek zakończyli w chmurach.

– Tu jest po prostu cudownie! – Nadia była tak podekscytowana, że mocno ścisnęła nadgarstek Pilarskiego. Szybko jednak cofnęła rękę i przeprosiła. – To z emocji, więcej nie będę.

Nic nie odpowiedział, ale zaczął się zastanawiać, jakich innych emocji mógłby jej jeszcze dostarczyć.

\*\*\*

Wieczorem Cortina d'Ampezzo przywitała ich deszczem, który z różną intensywnością miał im bez przerwy towarzyszyć jeszcze przez półtora tygodnia.

– Pogody to ty nie zamówiłeś – mówiła zaspanym głosem, kiedy bębniący o karoserię deszcz budził ich ze snu. – U nas, w Donbasie, mamy taką w listopadzie, a tu sierpień, Włochy i to samo.

Przekomarzali się jeszcze przez kwadrans, ciesząc się ciepłem, którego

nie było na zewnątrz.

– Musimy wstawać – oznajmił w końcu. – Dzisiaj Wenecja, a do niej daleko. Uchylił drzwi i sięgnął po buty. – Jasna cholera! – krzyknął nagle. – Wszystko mokre.

– Co mokre? – zapytała przestraszona gwałtownością jego reakcji. – Co tam zostawiłeś?

– Buty. Zostawiłem buty i zapomniałem wsunąć je pod samochód. Mają gąbkę i każdy waży chyba po kilogramie!

– Masz inne na zmianę?

– Tylko sandały. Też spodziewałem się lepszej pogody.

Po kilku godzinach jazdy lokalnymi drogami dotarli do Chioggii-Sotomariny i zatrzymali się na kempingu. Ta miejscowość miała być ich bazą wypadową do Wenecji.

W recepcji dowiedzieli się, że raz dziennie można do tego miasta dopłynąć statkiem i że bilet powrotny nie jest drogi.

\*\*\*

Dzień przywitał ich mgłą tak gęstą, że idąc do przystani, musieli uważać, aby nie zgubić drogi.

– Zobacz – zawołała, pokazując autobus, za którego szybą widniał napis VENÉZIA.

– OK, sprawdzimy tę możliwość – zgodził się. – Przez tę mgłę z laguny i tak nie byłoby nic widać.

Trochę kluczyli w poszukiwaniu miejsca, z którego odjeżdżają autobusy, ale po informacjach od przechodniów w końcu je znaleźli. Wybór drogowego, a nie wodnego, środka lokomocji okazał się trafnym posunięciem. Co prawda autobus pokonywał dwukrotnie dłuższą trasę niż statek, jednak bilet też był dwukrotnie tańszy.

Piazzale Roma w Wenecji znajduje się na końcu długiej czteropasmowej

grobli i na nim kończy się wszelki ruch kołowy. Od tego miejsca wszystkie weneckie służby komunalne i transport publiczny zamiast ulic wykorzystują niezliczone kanały, z ich niekwestionowanym królem Canale Grande.

– Zgubimy się w tym labiryncie wąskich uliczek. – Nadia bezradnie rozłożyła ręce, widząc, że jej towarzysz zupełnie stracił orientację. Patrzył co chwilę to na mapę, to na oznakowanie widniejące na ścianach budynków i niewiele z tego rozumiał.

– Cierpliwości, Nadiu, jestem na tropie – odpowiedział – i już chyba wiem. Te strzałki prowadzą do najważniejszych miejsc Wenecji, czyli do placu Świętego Marka, trzech mostów nad Canale Grande, Piazzale Roma, Akademii i głównej przystani tramwajów wodnych. – Odetchnął głęboko.

Szli wzdłuż kanałów w kierunku placu Świętego Marka. Mijali gondole z ich właścicielami, których nachalność przekraczała granice przyzwoitości. Grzecznie dziękowali świadomi, że cena krótkiej przejażdżki jest bardziej słona od wody w Morzu Martwym. Na brak klientów gondolierzy jednak nie narzekali, a główną wożoną nacją byli Japończycy.

– Andrzeju – mówiła przejęta Nadia na placu Świętego Marka – dziękuję, że mogę to zobaczyć. Nikt mi nie uwierzy, że byłam w Wenecji.

Bazylika Świętego Marka oraz Pałac Dożów zrobiły na nich duże wrażenie. Wnętrze bazyliki miało surowy wystrój, utrzymany w tonacji ciemnego brązu.

– Ładnie tu – szepnęła mu do ucha.

– Ładnie i dwanaście wieków historii nam się kłania – odszepnął. – W dziewiątym wieku wybudowano tu pierwszy kościół, w którym złożono prochy świętego Marka.

– Tego od Ewangelii?

– Tak, właśnie jego.

Gołębie, przyzwyczajone do przewalających się tłumów turystów, były bardziej nachalne od gondolierów. W nadziei na pokarm siadały na rękach,

ramionach i głowach, bawiąc przy tym dziewczynę.

– Te ptaki to problem Wenecji – studził jej emocje. – Innych miast włoskich też, i wszyscy się głowią, jak go rozwiązać.

– U nas nie byłoby problemu. Zarobki niskie, a rosół pożywny – śmiała się całą sobą.

Liczne restauracje z własnymi zespołami muzycznymi, domy mody światowych marek, butiki ze wszystkim, co można sprzedać, w tym ze słynnymi maskami weneckimi, okalały plac Świętego Marka bądź znajdowały się w jego okolicy. Szli bez pośpiechu, delektując się klimatem tego niezwykłego miasta.

\*\*\*

– A wiesz, że Padwa jest miastem studentów i że znajduje się w niej jeden z najstarszych uniwersytetów w Europie? Założono go w tysiąc dwieście dwudziestym pierwszym roku, czyli ponad sto czterdzieści lat wcześniej od Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Ma on jakichś znanych absolwentów? – zapytała, zatrzymując się, aby zawiązać sznurowadło.

– Ma, pewnie, że ma! Galileusz, Kopernik, Dante i Petrarca, mówią ci coś te nazwiska?

- Nie mówią – obruszyła się. – Pierwszy raz je słyszę!

Zamilkł, nie chcąc zaognić sytuacji, ale jej złość okazała się pozorna.

– Tak, to miasto studentów – przyznała. – Zobacz, jak są poprzebierani! Chyba obchodzą jakieś święto.

Miała rację. Na podeście okalającym fontannę stała dziwnie ubrana dziewczyna, która z butelką piwa w dłoni wygłaszała odezwę do otaczających ją rówieśników. Miała niebieskie rybaczkę, białe rajstopy, a na plecach na tle włoskiej flagi plakat z nagim mężczyzną. Zebrani co chwila wybuchali śmiechem, a dziewczyna kwitowała to łykiem piwa.

Nadia czytała napisy na tabliczkach mijanych domów i była zachwycona. Jaki ten język włoski jest melodyjny. Jest bardziej podobny do ukraińskiego niż polskiego – powtarzała.

Z tą opinią Pilarski też musiał się zgodzić. Wiedział na przykład, że łąki nad Czeremoszem Polacy nazywali tłoką, a Ukraińcy tołoką.

Jedna mała samogłoska, a jak potrafi zmienić wymowę słowa, nadać mu melodię, zastanawiał się wtedy. Pewnie dlatego lubił słuchać kozackich dumek.

Spacerowali wąskimi uliczkami miasta pełnego młodzieży, po bruku pamiętającym średniowiecze. Mijali skromne budowle i okazałe budynki, których piętra wsparte na lekkich kolumnach okalały urokliwe krużganki. Od czasu do czasu zaglądali do przewodnika i poznawali historię obiektu, przy którym się znaleźli. Przed Palazzo del Monte di Pietà zatrzymali się ponownie.

– *Can I help you?*<sup>9</sup> – zapytała przechodząca dwudziestolatka, widząc ich pochylonych nad planem miasta.

Była ładna, na co Pilarski od razu zwrócił uwagę. Jej długie, falujące włosy spadały na odkryte ramiona, a wesołe oczy deklarywały pomoc. Sukienka w kwiaty, krótka i luźna, kiedy pochylała się nad mapą trzymaną przez policjanta, pozwalała mu dostrzec nie tyle pokazywane przez nią obiekty, ile jej prawie nagie ciało. Od ramion aż po stopy!

– Nadiu, zaznacz drogę do bazyliki. – Pilarski oddał jej mapę, wycierając chusteczką czoło.

Pokazaną przez studentkę drogę do bazyliki Świętego Antoniego odbywali w milczeniu.

– To już tutaj – powiedziała oficjalnym tonem, kiedy Via del Santo doprowadziła ich do okazałego placu. – Gorący mamy dzisiaj dzień! – zauważyła z przekąsem.

Przed bazyliką Pilarski doznał olśnienia. Jego przekonania, dość luźno związane z Kościołem i wiarą w istnienie Najwyższego, pozwoliły jednak w przeszłości zapamiętać imię świętego Antoniego Padewskiego. Był przekonany, że to jego rodak wyniesiony na ołtarze, i zdziwił się, kiedy przeczytał, że święty Antoni był Portugalczykiem mieszkającym kiedyś w Padwie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jest Tomasz z Akwinu i Franciszek z Asyżu, a nie ma Antoniego z Padwy.

– To musi być marketingowe posunięcie polskiego Kościoła – kombinował – który z braku znaczącej liczby rodzimych świętych posłużył się niewinną manipulacją. Antoni Padewski, jakie to ładne polskie nazwisko. Kiedy wyjaśnił tę sprawę, Nadia pokręciła głową, a w końcu się roześmiała.

– Jednak gorący mamy dzisiaj dzień – powtórzyła już normalnym głosem. – Zobacz, jak tu ładnie – powiedziała prawie szeptem, kiedy weszli do bazyliki. – Surowość zamknięta w tonacji ciemnego brązu, podobnie jak w bazylice Świętego Marka w Wenecji. Szkoda, że nie wolno robić zdjęć.

Zatrzymali się w kaplicy świętego Antoniego. Liczni turyści z uwagą przyglądali się szklanemu naczyniu, w którym umieszczono coś nieokreślonego i zalano to coś brunatną cieczą. O tym, co było w naczyniu, informowały napisy po włosku i po angielsku, ale oni włoskiego nie znali, a ten drugi język mieli opanowany w stopniu nikłym.

– Rozumiesz coś z tego? – pytał. – Piszą o jakimś urządzeniu dźwiękowym.

– Może to mikrofon? – zapytała zaczepnie.

– Oszalałaś? – Nie wyczuł ironii pytania. – Mikrofonów wtedy nie było, a gdyby nawet, to dzisiaj nie trzymano by ich w pojemniku z cieczą.

Nie zgłębiwszy tajemnicy świętego Antoniego, skierowali się do wyjścia, ale w drzwiach natknęli się na wycieczkę z przewodnikiem mówiącym po polsku. Postawny zakonnik o aksamitnym głosie opowiadał o ciekawych faktach z życia świętego. Bez słowa dołączyli do tej wycieczki. Kiedy ponownie weszli do kapliczki, twarz przewodnika rozjaśnił szczery uśmiech.

– Mają państwo szczęście – mówił podekscytowany. – Relikwie świętego Antoniego wróciły niedawno z Moskwy. W relikwiarzu zobaczą państwo szczękę oraz język ze strunami głosowymi. Jest tam też buława Jana Sobieskiego, którą podarował bazylice po zwycięskiej bitwie pod Wiedniem.

\*\*\*

Przystanek autobusowy, z którego zmierzali dotrzeć do centrum Sieny, znajdował się tuż obok ich kempingu.

– Pytaj. – Pilarski ruchem głowy wskazał młodego mężczyznę, który też czekał na autobus.

Mężczyzna okazał się studentem. Mieszkał poza Sieną i słabo znał miasto, jednak Nadii, atrakcyjnej dziewczynie, bardzo chciał pomóc.

– Też tam jadę – zapewnił z uśmiechem. – Powiem, kiedy będę wysiadał.

Jechali ulicami tak wąskimi i krętymi, że Pilarski wąpił, czy przejechałby przez nie samochód osobowy. Nowe budynki sąsiadowały ze starymi i jeszcze starszymi i trudno było poznać, czy to już stara Siena, czy jeszcze jej obrzeża.

– Jeszcze cztery przystanki – powiedział student, wysiadając z autobusu.

– Teraz twoja kolej. – Nadia wzrokiem wskazała czarnoskórą piękność siedzącą naprzeciw, kiedy na szóstym przystanku starej Sieny nadal nie było widać.

– *Excuse me!*<sup>10</sup> – Pilarski sięgał do najgłębszych pokładów wiedzy nieużywanego na co dzień języka. – *How many bus-stop is from here to the Old Town of Siena?*<sup>11</sup>

– *I don't know, but I will show you.*<sup>12</sup> – Rząd śnieżnobiałych zębów pokazanych w szczerym uśmiechu musiał Pilarskiemu wystarczyć, bo dziewczyna zamilkła i nie zamierzała podtrzymywać rozmowy.

Gdy wysiedli przy średniowiecznej bramie prowadzącej na rynek, sympatyczna dziewczyna powiedziała, że pochodzi z Kamerunu, zna język



francuski, ale angielski bardzo słabo, dlatego milczała.

– Zrób nam zdjęcie. – Pilarski podał Nadii aparat fotograficzny.

– Ty to żadnej nie przepuścisz! – mówiła, fotografując ich z różnych stron.

Włoczyli się wąskimi uliczkami średniowiecznej Sieny, pełnymi motocykli i samochodów. Podziwiali Piazzę del Campo – sieneński rynek. Zachwyliła ich katedra będąca przedmiotem szczególnej dumy mieszkańców Sieny. Mijali studentów malujących urocze zaułki miasta i upajali się klimatem sprzed wieków.

Do Florencji mieli tylko godzinę drogi. GPS bezbłędnie prowadził ich na kemping usytuowany na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na całe miasto. Ponieważ do wieczora było jeszcze trochę czasu, zrobili wycieczkę do centrum miasta. Być może zmęczenie zwiedzaniem Sieny i upalna pogoda sprawiły, że Florencja ich zawiodła. Duże wrażenie zrobiła jedynie katedra Santa Maria del Fiore, ta sama, która w średniowieczu tyle krwi napsuła mieszkańcom Sieny. Ciekawa była również Piazza della Signoria – kiedyś centrum politycznego życia Florencji, a dzisiaj jej reprezentacyjny salon, pełen turystów i studentów.

Siena i Florencja, leżąc blisko siebie, zawsze ze sobą konkurowały. W tej rywalizacji zwykle górą była Florencja, ale im bardziej podobała się Siena.

\*\*\*

Poza odrobiną niewinnego flirtu w relacjach między Pilarskim i Nadią nie było chemii. Policjant nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego tak łatwo udało mu się namówić dziewczynę do wyjazdu i dlaczego, zamiast wdzięczności manifestowanej wspólnie spędzonymi nocami, panowały między nimi poprawne, ale jedynie bratersko-siostrzane stosunki. Jego wątpliwości spotęgowała telefoniczna rozmowa Nadii, której fragment przypadkowo udało mu się usłyszeć.

– Tak – mówiła dziewczyna – wszystko jest pod kontrolą. Myślę, że dokonała pani właściwego wyboru.

Co jest pod kontrolą, tego Pilarski nie wiedział, ale odnosił to do ich wakacji. Nie mogło zresztą być inaczej, skoro Nadia używała czasu teraźniejszego.

\*\*\*

Od kilkunastu godzin padało bez przerwy, a prognozy pogody nie pozostawiały złudzeń – w północnych Włoszech taka pogoda utrzyma się przez kilka najbliższych dni.

– Uciekamy na południe – zdecydował. – Tam jeszcze świeci słońce.

– O dobrą pogodę się nie postarałeś – uśmiechnęła się, zalotnie przechylając głowę – ale masz szansę się poprawić. Jasne, że uciekamy. Rzym, Neapol, Capri – rozmarzyła się.

– Capri? – Pilarski podchwycił temat. – Capri to wyspa kochanków, więc nie dla nas.

– Kto to wie, Andrzeju... – Dziewczyna na chwilę spoważniała. – Kto to wie, co nam przyniesie los.

Losem się nie zaślaniaj, pomyślał. Nie od losu to zależy, tylko od ciebie.

W Rawennie wjechali na E45 – niepłatną drogę szybkiego ruchu prowadzącą wprost do Rzymu. Fragmentami była w remoncie, a że biegła przez Apeniny, więc objazdy prowadzono wąskimi i krętymi drogami. Ku ich zdziwieniu GPS dobrze sobie z tymi objazdami radził. Przejeżdżali przez zaniedbane wsie, położone na zalesionych górskich zboczach, by po kilkudziesięciu kilometrach powrócić na E45. Kilkanaście tuneli, z których najdłuższy miał dwa i pół kilometra, ładne krajobrazy i słońce, chociaż często za chmurami, towarzyszyły im w drodze na południe.

Kiedy przed Perugią na drogowskazach pojawił się Asyż, po krótkiej dyskusji skorygowali plany i postanowili odwiedzić miasto świętego Franciszka.

Asyż zachwyił ich swoim położeniem i niepowtarzalnym klimatem wąskich, średniowiecznych uliczek i budynków. W Bazylice Świętego

Franciszka nie było wolno fotografować. Nie wszyscy turyści przejmowali się tym zakazem, chociaż kilku zakonników starało się go egzekwować.

– Jak nie wolno, to nie wolno, Nadiu. – Pilarski przestrzegał reguł, ale za jej namową zrobił jedno, jedyne zdjęcie – habitu świętego Franciszka.

\*\*\*

Po nocnej ulewie i skromnym śniadaniu zaprogramowali GPS na kemping Seven Hills Village na obrzeżach Rzymu i ruszyli w drogę. Nawigacja prowadziła ich początkowo opłotkami, ale wkrótce ponownie byli na E45.

Po kilkudziesięciu kilometrach GPS nakazał z niej zjechać. Wykonali polecenie i wjechali na takie górskie odludzie, że zwątpili. Mijali skrzyżowania, na których drogowskazy wskazywały Rzym w zupełnie innym kierunku, niż prowadziła ich nawigacja. Słuchali jej, nie potrafiąc zlokalizować się na mapie, a ruch drogowy nie dość, że duży, to jeszcze rządził się swoim własnym kodeksem. Chociaż zdążyli oswoić się z przejeżdżaniem przez Włochów na czerwonym świetle, zawracaniem na podwójnej ciągłej, przejeżdżaniem znaku STOP ze znaczną prędkością, powszechnym trąbieniem, zmianą pasów ruchu bez sygnalizowania tego manewru i dziesiątkami innych w Polsce punktowanych karnie zachowań, to jednak nie potrafili przyjąć w pełni włoskiego stylu jazdy.

GPS bezbłędnie doprowadził ich do celu. Kemping był przyzwoity i niedrogi – piętnaście euro za dobę. Znajdował się trzy kilometry od stacji podmiejskiej kolejki, ale zapewniał do niej wygodny transport. Bus kursował co pół godziny w porannym i popołudniowym szczycie, a powrotny bilet kosztował jedno euro. W recepcji kupili osiem biletów na podmiejską kolej, a sympatyczna recepcjonistka z Indii powiedziała, że aby dostać się do centrum Rzymu, należy wysiąść na stacji San Pietro.

Wysiedli na tej stacji.

– Zobacz. – Pilarski wyciągniętą ręką pokazywał nieodległą kopułę Bazyliki Świętego Piotra, jedyny cel ich dzisiejszej wyprawy.

– Ja chyba śnię – odpowiedziała, kręcąc głową.

Plac Świętego Piotra przytłoczył ich swoim ogromem. Wybrukowany, otoczony portykiem zwieńczonym attyką z posągami świętych, zdawał się przenosić turystów i pielgrzymów do innej rzeczywistości.

Po drobiazgowej kontroli znaleźli się w Bazylice.

– Jesteśmy mali, wręcz mikroskopijni w tym ogromnym wnętrzu. – Pilarski niemal krzychał do ucha dziewczyny, starając się pokonać kakofonię dźwięków generowanych przez przewalające się tłumy turystów. – Bardzo mało wspólnego ma ten przepych i bogactwo z nauką i skromnym życiem Jezusa – dodał.

Nic nie powiedziała, tylko kiwnęła głową, że myśli podobnie.

Z przewodnika wiedzieli, że jeśli chodzi o Rzym i zwiedzanie, to absolutnym i obowiązkowym minimum jest Panteon, Forum Romanum, Koloseum, Bazylika Świętego Piotra i Muzea Watykańskie z kaplicą Sykstyńską. Plan ich włoskiej włości był bardzo bogaty, pogoda kiepska i w perspektywie niepewna, postanowili więc ograniczyć się do tego minimum. Zwiedzanie zaplanowali na następny dzień.

\*\*\*

Poranny szczyt, w pociągu tłok trudny do opisania, ale włoskich rysów twarzy mało.

– Sami Arabowie i Murzyni – szepnął jej do ucha. – To mi się nie podoba – dodał. – Pamiętasz zamach terrorystyczny w Madrycie sprzed kilku lat?

Ośmiogodzinne zwiedzanie Rzymu rozpoczęli ponownie od stacji San Pietro. Dzień był upalny, a niebo bezchmurne – po raz pierwszy podczas ich włoskich wakacji.

– W pociągu mówiłeś o Arabach i Murzynach – powiedziała po kilkuminutowym milczeniu, gdy zatrzymali się na jednym z mostów na Tybrze. Wsparta o kamienną balustradę przypatrywała się tej brudnej rzece. – Słowo Murzyn źle się kojarzy. Chyba w Polsce mówicie Afroamerykanin,

mam rację?

– Masz. Mówimy tak, ale tylko w odniesieniu do Murzynów amerykańskich.

Rzym nie zrobił na nim dobrego wrażenia.

– Trudno powiedzieć, że jest brzydki, – komentował Pilarski, gdy zbliżali się do Panteonu – ale daleki jestem od euforii. Używając kulinarnego porównania, można powiedzieć, że to zakalec z rodzynkami.

– A mnie się podoba. – Nadia zatrzymała się na chwilę, aby zawiązać sznurowadło. – Te rodzynki, o których mówiłeś, nadają mu niepowtarzalny urok i tłamszą architektoniczną brzydotę, która je otacza. Mnie ten zakalec z rodzynkami smakuje.

Panteon, dzieło cesarza Hadriana, zachwycił ich ogromem, prostotą architektonicznej formy, wręcz surowością.

– Z monumentalnych ceglanych ścian przemawia do nas dwadzieścia wieków historii – tym razem Pilarski uległ magii minionego czasu. – Popatrz na kopułę. Ma czterdzieści cztery metry średnicy i otwór o średnicy dziewięciu metrów.

– A czym go zasłaniają, kiedy pada deszcz?

– Niczym. On służy do kontemplacji nieba przez przebywających w świątyni ludzi.

– Też mi coś. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Kontemplować niebo, i to całe, mogę poza Panteonem, a przez tę dziurę w kopule podczas ulewy do środka leją się tysiące litrów wody.

– Ty niczego nie rozumiesz. – Pokręcił z dezaprobatą głową.

Monumentalnej budowli, jaka się znajdowała na placu Weneckim, nie znaleźli w przewodniku. Przeprowadzony rekonesans pozwolił zidentyfikować ją jako Grób Nieznanego Żołnierza. Tablice informowały, czego w tym szczególnym miejscu robić nie wolno. Właściwie dozwolone były jedynie zdjęcia oraz marsz lub stanie, bo siadanie też było zakazane. Te

wszystkie zakazy i nakazy były po to, aby zachować powagę i szacunek. Liczne umundurowane służby surowo tego pilnowały.

– Ruiny Forum Romanum nie przekonywały, że w starożytności były sercem Cesarstwa Rzymskiego. – Historia jest tu wszechobecna – zachwycał się Pilarski – chociaż czas zrobił swoje. Trudno mi uwierzyć, że stąpamy po śladach Juliusza Cezara, Nerona, Kaliguli, Klaudiusza, Hadriana i wielu innych.

Koloseum, dawna arena walk gladiatorów, znajdowało się tuż obok Forum Romanum. Żadne fotografie, których dziesiątki zdążyli zobaczyć, nie oddawały majestatu tej ogromnej budowli, zniszczonej przez czas, trzęsienia ziemi i pożary.

Z góry oglądali odtworzony fragment podłogi areny, pod którą znajdował się labirynt kamiennych nisz i korytarzy. Tutaj gladiatorzy przygotowywali się do walki, tutaj leczyli rany i umierali.

– Wiesz... – Nadia odruchowo ujęła dłoń Pilarskiego, ale natychmiast ją puściła. – Naszła mnie smutna refleksja o cesarzach, gladiatorach, niewolnictwie i igrzyskach. To była okrutna i prymitywna forma zaspokajania ludzkiej próżności.

Kiwnął głową na znak, że uważa tak samo.

Rzymską wędrowkę zakończyli w Muzeach Watykańskich.

– Jezus chyba by się zapłakał. – Pilarski kontestował bogactwo zgromadzonych arcydzieł sztuki. – Jak to wszystko ma się do jego skromnego życia i nauczania?

– Nijak, Andrzeju. Nijak!

\*\*\*

Całodzienne zwiedzanie Rzymu tak ich zmęczyło, że po skromnej kolacji i oddzielnym prysznicu, nad czym Pilarski ubolewał, od razu poszli spać.

Nadia, chociaż narzekała na obolałe łydki i uda, grzecznie odmówiła masażu. Owinęła się śpiworem, powiedziała dobranoc i odwróciła tyłem do

policjanta.

Pilarski długo nie mógł usnąć. Na zmęczenie nałożyła się wysoka wilgotność powietrza, mało dietetyczna kolacja i brzęczenie komarów usiłujących sforsować prowizoryczną moskitierę założoną na otwarte do połowy okno. Nie to jednak było głównym powodem jego bezsenności, a postawa dziewczyny. Był pewien, że pod niebem południa uczuciowo i fizycznie zbliży się do niej, że oddadzą się romantycznemu szaleństwu, że spontaniczność weźmie górę nad chłodną kalkulacją, tymczasem nic takiego się nie stało i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek nastąpi.

Północne Włochy to Europa w znaczeniu takim, jakie przypisuje się zachodnim państwom. Jedną z ich cech jest liberalizm polityczny, gospodarczy i moralny. Ten ostatni w realiach ich kempingu oznaczał oddzielną łaźnię dla każdej z płci, ale z otwartymi na stałe kabinami, właściwie boksami. Łaźnię damską i męską dzieliła dość symboliczna ściana, dodatkowo „przystosowana” przez panów do oglądania tego, co dzieje się po jej drugiej stronie. Obsługa kempingu i same panie o tym wiedziały, jednak nikomu to nie przeszkadzało.

Pilarski wyszedł do łaźni tuż po Nadii. Sekretne właściwości ściany poznał od razu i celebrując mycie, nie przestawał obserwować towarzyszkę podróży.

Nadia zajęła jeden ze środkowych boksów. Upięła włosy w kok, a kiedy zdjęła sukienkę, Pilarski oniemiał – dziewczyna była naga. Nie sam fakt nagości go zdziwił, ale to, kiedy zdążyła zdjąć bieliznę?

Przecież cały czas byli razem!

Nad kwestią majtek i biustonosza towarzyszkę podróży przeszedł szybko do porządku dziennego, a sprawiło to ciało dziewczyny – drobne i wyjątkowo zgrabne. Piersi, średniej wielkości, zachowywały młodzieńczą jędrność i zdawały się być nieco za duże w stosunku do reszty ciała. Kobiecości sylwetki dopełniała mocno wcięta talia. Ten obraz zapamiętał doskonale i właśnie on nie pozwalał mu zasnąć.

Zachowanie Nadii ciągle było dla niego tajemnicą. Wyjazd z nim, w końcu obcym mężczyzną, już budził jego wątpliwości. Oczywiście chciał, by z nim pojechała, ale nie podejrzewał, że zgodzi się tak łatwo. Przypuszczał, że jeśli w ogóle wyrazi zgodę, to po długich namowach i po prawdziwym lub udawanym krygowaniu się. Tego jednak nie było. Bez przekonania tłumaczył to chęcią przeżycia przygody z siwiejącym już starszym panem, ale we Włoszech okazało się, że te przypuszczenia są błędne.

Relacje między nimi były więcej niż przyjacielskie, w tej sprawie miał pewność. Jej reakcja na różne wydarzenia przejawiała się chociażby spontanicznym chwytniem go za rękę, delikatnym dotykiem, co bardzo lubił, ale też natychmiastowym wycofywaniem się, czego już nie rozumiał. Wyglądało to tak, jakby jej naturalne, bardzo dziewczęce zachowania tłumiała wierność wyznawanym zasadom, o których na chwilę zapomniiała. Jakże to mogły być zasady, tego już nie wiedział.

Jego marzenia o seksie, wyniesione przez ażurową ścianę w łaźni na wyższy poziom nieprzyzwoitości, miały na zawsze pozostać w sferze fantazji.

Drugi powód bezsenności był z pogranicza świata magii, wróżb i przeznaczenia, ale też policyjnej intuicji wypracowanej przez blisko ćwierć wieku praktyki. Ten pierwszy świat z natury był mu obcy, tego drugiego nie lekcewał.

Jesteśmy śledzeni! – ta myśl towarzyszyła mu niemal od pierwszego dnia pobytu we Włoszech. Pobyt w Muzeach Watykańskich wzmocnił ją tak bardzo, że niemal zamienił w pewność. Problem w tym, że nie miał żadnych materialnych dowodów na poparcie tej tezy. Nie kojarzył twarzy osoby, którą w ich otoczeniu widział dwa lub więcej razy. Postanowił, że zwróci większą uwagę na to, co dzieje się w pobliżu.

– Podglądałeś mnie w łazience. – Z rozmyślań wyrwał go jej głos. – Nieładnie, Andrzej, nieładnie.

– Ja? Nigdy w życiu! – skłamał tak spontanicznie, że zabrzmiało to



wiarygodnie.

– Nie kłam – ziewnęła. – Ja zresztą ciebie też podglądałam, tylko dyskretnie.

\*\*\*

W Cassino złapała ich krótka, ale intensywna ulewa. Nie znali nazwy ulicy, a właściwie drogi, którą trzeba wspiąć się na szczyt, nie zapisali jej więc w GPS-ie. Byli zdani na własne siły, jednak orientację uniemożliwiały nisko wiszące chmury, całkowicie zasłaniające górę i klasztor. Błądzili po mieście, a w końcu wjechali na stację benzynową. Przypuszczając, że pracownicy stacji nie będą znali angielskiego, odszukali w polsko-włoskim słowniku wyrazy „cmentarz”, „żołnierz” i „Polska” i napisali je na kartce. Przez przypadek zapytali jednak nie pracownika stacji, ale tankującego benzynę kierowcę ambulansu medycznego. Ku ich zdziwieniu, nie wiedział. Kierowca długo rozmawiał z pracownikami stacji, a w końcu zwrócił się do Pilarskiego i Nadii po włosku. Widząc, że nie rozumieją, zaczął rysować. Kiepsko mu to jednak wychodziło, dlatego odłożył długopis i gestami dał do zrozumienia, że po zapłaceniu podprowadzi ich pod samą górę.

Czekali kilka minut i ruszyli za ambulansem, który wcisnął się w lukę między pojazdami jadącymi w stronę centrum Cassino. Im się nie udało. Musieli przepuścić sześć pojazdów, na ich szczęście osobowych, tak że nie stracili wzrokowego kontaktu z ambulansem.

Jechali przez Cassino kilka kilometrów. Po drodze na skrzyżowaniach między ich samochód i ambulans wjechało jeszcze kilka aut. Na kolejnym skrzyżowaniu ambulans zawrócił i zatrzymał się, a jego kierowca pokazał im początek drogi prowadzącej na Monte Cassino.

Podziękowali przyjaznym kiwaniem dłoni, Nadia posłała im nawet całusa i rozpoczęli kilkukilometrową wspinaczkę.

– Mamy do pokonania czterysta metrów różnicy poziomów – zauważył Pilarski, kręcąc kierownicą to w prawo, to w lewo.

Po kilkunastu minutach byli na szczycie.

Kompletnie zniszczony klasztor został po wojnie odbudowany i był celem wielu wycieczek. Najwięcej było tutaj Niemców, a Pilarskiego intrygowało pytanie, o czym opowiadają im przewodnicy?

Zostawili samochód na przyklasztornym parkingu i do polskiego cmentarza poszli na piechotę. Wędrówka asfaltową drogą, cały czas prowadzącą w dół, zajęła im dwadzieścia minut.

Cmentarz poległych pod Monte Cassino, to blisko tysiąc sto grobów z jasnego piaskowca. Przechodzili między nimi, odczytywali wiek poległych, zwykle młodych ludzi, wymieniali zdawkowe uwagi.

Niespodziewanie trafili na początek mszy, odprawianej dla polskiej pielgrzymki i zostali do jej końca. Wysłuchali homilii o patriotyzmie, a po mszy jedna z pielgrzymujących dziewczyn zaśpiewała przez mikrofon *Czerwone maki*. Pielgrzymi włączyli się do śpiewu i Pilarski też chciał, ale nie był w stanie – wzruszenie odebrało mu głos, łzy płynęły jedna za drugą, a on nie potrafił ich zatrzymać. *Czerwone maki* śpiewał wiele razy przy różnych okazjach i zawsze bez problemów, jednak tutaj, między żołnierskimi grobami i wznoszącym się nad nimi klasztorem, zwyczajnie nie potrafił.

– Duży i zadbany cmentarz – zauważyła Nadia, gdy wracali do samochodu.

– Duży i zadbany – powtórzył jak echo. – Wiesz... – Zatrzymał się na chwilę. – Kolejny raz naszła mnie refleksja na temat Powstania Warszawskiego? Wiesz, co to było za powstanie?

– Wiem – odpowiedziała bez namysłu. – Niepotrzebny zryw mieszkańców Warszawy przeciwko Niemcom.

– Niepotrzebny to mało powiedziane. – Pilarski ruszył w dalszą drogę. – Ten zryw był bezsensowny! Chociaż powstańcy, którzy przeżyli, mówią, że powstanie musiało wybuchnąć, to ci, którzy wydali rozkaz o jego rozpoczęciu, byli krótkowzrocznymi lub co gorsza wyrachowanymi politykami. Komu potrzebnych było dwieście tysięcy ofiar? To trzy cmentarze takie jak ten, w każdym z sześćdziesięciu trzech dni Powstania!

Wyobrażasz sobie cmentarz dwieście razy większy? Bezsens, całkowity bezsens! Dwieście tysięcy zabitych! – Pilarski nie mógł się uspokoić.

Nadciągająca burza sprawiła, że przyspieszyli kroku. Po mozolnej półgodzinnej wspinaczce dotarli na parking razem z pierwszymi kroplami deszczu.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Nadia rozczesywała włosy, a kolejna ulewa wylewała na samochód hektolitry wody. – Tylko się nie śmiej.

– Mów, obiecuję, że wysłucham z powagą.

– To żaden konkret, raczej babska intuicja, ale ktoś nas obserwuje.

– Jesteś tego pewna? Może tylko ci się wydaje? – W głosie Pilarskiego nie słyhać było jednak zwykłej pewności siebie. Przecież wczoraj doszedł do tego samego wniosku.

– Nie wydaje mi się, Andrzeju. Jestem tego pewna.

\*\*\*

Ich następnym celem był kemping Averno w Pozzuoli pod Neapolem. W tym samym Pozzuoli, w którym dzieciństwo spędziła Sofia Loren.

Zatankowali do pełna i ruszyli na południe. Droga ekspresowa E45, zaczynająca się gdzieś w północnej Finlandii i kończąca na południu Sycylii, stanowiąca komunikacyjny kręgosłup Półwyspu Apenińskiego, miała zaprowadzić ich do Neapolu i Pompejów. Chociaż ruch panował duży, to jazda przyniosła ulgę po rzymskim komunikacyjnym maglu.

Minęli miasto Caserta i zjechali na lokalną drogę prowadzącą do Pozzuoli. Krajobraz południa, czyli gór i ziemi spalonej słońcem, stał się ich stałym towarzyszem podróży.

– Zobacz, jak tu ładnie. – Nadia była zachwycona. – Podobne widoki z południa Stanów Zjednoczonych i z Hiszpanii oglądałam na filmach na National Geographic.

– Ładnie – przyznał, chociaż jako kierowca nie mógł widzieć tak dużo jak

ona.

Za miasteczkiem o wąskich ulicach i z warownym zamkiem na wzgórzu, droga zwężała się i skręcała na południe. Prowadziła przez nieużytki porośnięte wysoką trzcina, od których była odgradzona barierką energochłonną. Przedpołudniowe słońce świeciło prosto w oczy.

– Nic nie widzę. – Pilarski opuścił przeciwsłoneczne zasłony. Pomogło, ale tylko trochę. Pokryta rozmazanymi owadami szyba rozpraszała promienie i mocno utrudniała obserwację.

– Podaj okulary – poprosił dziewczynę. – Są w schowku.

– I jeszcze ten idiota z tyłu... – Zdenerwowany poprawiał lusterko wsteczne. – Świeci prosto w oczy. No OK. – Nieco się uspokoił. – To słońce odbija się od jego niklowanego zderzaka.

Samochód terenowy z masywnym niklowanym zderzakiem od kilku minut jechał za nimi w bezpiecznej odległości. Pilarski uznał, że prędkość, z jaką się poruszają, odpowiada też kierowcy terenówki, który nie zamierza ich wyprzedzać. Bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył, że w coraz szybszym tempie się do nich zbliża. Jego kierowca zdecydował się na wyprzedzenie, chociaż z przeciwnej strony nadjeżdżał autobus. Nie było mowy, aby trzy pojazdy mogły się bezkolizyjnie minąć. Pilarski zjechał na utwardzone pobocze niemal dotykając barierki.

– Co ten idiota robi! – krzyk Pilarskiego wyrwał z zamyślenia Nadię.

– O co chodzi? – zapytała przejęta.

Tymczasem kierowca samochodu terenowego zrównał się z nimi i wykonał zdecydowany obrót kierownicą. Zetknięte błotniki wydały głuchy odgłos.

Mimo usilnych starań Pilarski nie był w stanie utrzymać się na drodze. Bariierka energochłonna zdierała lakier z błotników i drzwi focusa, sypiąc snopami iskier.

– Do kurwy nędzy! – Pilarski, bezskutecznie kontrował kierownicą. – Co

on robi? Zabije nas!

– Matko Boska, ratuj! Matko Boska, ratuj! – modliła się na głos Nadia. Była blada i cała się trzęsła.

Barierka energochłonna kończyła się przed znakiem drogowym z ograniczeniem prędkości i jedynym dla nich ratunkiem było natychmiastowe zatrzymanie się. Pilarski wcisnął pedał hamulca i stanęli po kilkunastu metrach. Terenówka pojechała dalej.

– Jeszcze tego nam brakowało! – Policjant drżącą ręką odpinał pas bezpieczeństwa. – Dwa tysiące kilometrów od domu! – mówił wzburzony. – Co za debil! Pieprzony południowiec! – Dawał upust emocjom.

– To nie był Włoch, Andrzej. – Nadia odpięła pas, ale nie mogła wysiąść.

Nie chcąc blokować ruchu, ruszyli w dalszą drogę. Zatrzymali się na pierwszym napotkanym parkingu, by obejrzeć samochód.

– Nie wygląda to dobrze. – Pilarski był zmartwiony.

Jeśli nie liczyć stłuczonego bocznego kierunkowskazu, lewa strona samochodu była prawie nieuszkodzona. Niewielkie wgniecenie błotnika mówiło, że mieli kolizję z samochodem koloru kawowego. Dużo gorzej wyglądała prawa strona. Wyraźne wgniecenie ciągnęło się przez całą długość auta, a najbardziej poturbowany był przedni błotnik. Bruzda w przednich i tylnych drzwiach znajdowała się dość nisko, co dawało nadzieję na ich bezpieczne zamykanie. Pilarski sprawdził to od razu i odetchnął z ulgą.

– Blacharz i lakiernik będą mieli sporo pracy, ale możemy jechać dalej – podsumował wstępne oględziny. – A ten skurwiel nawet się nie zatrzymał! – powiedział poirytowany, gdy ruszyli w dalszą drogę.

Chociaż mieli zaprogramowany adres kempingu, to już cztery kilometry wcześniej GPS zakomunikował, że dotarli do celu. Pytanie o dalszą drogę nie było łatwe z racji ich słabej znajomości angielskiego i niemal całkowitej nieznajomości tego języka u pytanych przypadkowych ludzi. W końcu, po

niemal godzinnym błędzeniu, udało się im odnaleźć kemping.

Mimo późnego popołudnia, chcąc odreagować stres, postanowili zobaczyć Neapol. Przystanek autobusowy znajdował się tuż obok, a od recepcjonisty dowiedzieli się, że powinni wysiąść na Dworcu Centralnym.

Autobus był pełen śniadych i czarnoskórych imigrantów, a oni byli jedynymi białymi ludźmi. To, i jasne włosy Nadii, skupiło na nich uwagę pozostałych pasażerów.

Dziewczyna była spanikowana. Drogowy incydent odcisnął swoje piętno i wydawało się jej, że zaraz ich pobiją, a w najlepszym razie okradną. Nie cieszyła się z widoku przepięknej Zatoki Neapolitańskiej, ładnie położonego Neapolu i budzącego respekt Wezuwiusza. Mogła to wszystko oglądać z wysokiego wzgórza, przez które prowadziła autostrada.

Neapolitański Dworzec Centralny okazał się małym asfaltowym placem pełnym dziur, bez stanowisk dla autobusów, nie mówiąc już o kasach. Tłoczyło się na nim kilkanaście autobusów, których kierowcy wygasili tablice informujące o miejscu, do którego pojedą. Od jednego z nich, sobie tylko znanym sposobem, Nadia dowiedziała się, do jakiej dzielnicy Neapolu ma jechać ich powrotny autobus. Zadowoleni z uzyskania tej informacji ruszyli pieszo do miasta.

Przewodniki dość enigmatycznie piszą o atrakcjach Neapolu. Do największych zaliczają jakieś dwa muzea, ale one ich nie interesowały. Po godzinnym spacerze już wiedzieli, że Neapol żadnych architektonicznych atrakcji nie posiada. Duży uliczny ruch, mnóstwo Arabów i czarnoskórych, sterty śmieci i obskurne sklepiki – to im wystarczyło, by bez żalu powrócić na dworzec autobusowy.

– A Goethe powiedział kiedyś *Zobaczyć Neapol i umrzeć* – zauważyła Nadia, gdy wsiedli do zatłoczonego autobusu.

– Nie wiem, czym urzekło go to miasto. – Pilarski kwaśno się uśmiechnął. – Ja nie żałowałbym, gdybym umarł i Neapolu nie zobaczył.

Zatłoczony autobus wracał inną trasą niż ta, którą jechali do miasta.

Wprawdzie wsiadając, zapytali kierowcę o ich kemping i poprosili, by dał im znak, kiedy mają wysiąść, ale nie mieli pewności, czy o ich prośbie pamiętał.

Po dwudziestu minutach ogarnął ich niepokój i zaczęli wymieniać półgłosem obawy, co wzbudziło zainteresowanie postawnej kobiety, która bez przerwy i głośno rozmawiała z pasażerami. Mówiła do nich po włosku, więc nie rozumieli ani słowa.

– *This is our camping*<sup>13</sup> – Pilarski pokazał jej prospekt.

Włoszka kiwnęła głową, co zinterpretowali, że wie, o co chodzi. Kobieta krzyknęła coś do kierowcy, coś mówiła do nich, a ponieważ się uśmiechała, wnioskowali, że sytuacja jest pod kontrolą. W każdym razie pod jej kontrolą, bo pod ich w żadnym razie nie była.

Jechali przez peryferie Neapolu. Trudno powiedzieć, że to były slumsy, bo w ich opinii całe miasto było jednym wielkim slumsem. Nie zmienił tej opinii duży i ładny stadion FC Napoli, który właśnie mijali i do którego podążały niezliczone tłumy ludzi w różnym wieku, nie zważając na sygnalizację uliczną. Autobus zatrzymał się na kilka minut, a później powoli zaczął torować sobie drogę. Wielu pasażerów właśnie tutaj wysiadło, ale ich postawny anioł stróż jechał dalej. Kobieta od czasu do czasu pokrzykiwała coś w stronę kierowcy, a w końcu pokazała im, że to już tutaj. Rzeczywiście zatrzymali się naprzeciw wjazdu na kemping.

Wieczorem zaczęła się burza. Deszcz był ulewny, a pioruny uderzały co kilka sekund i bardzo blisko. Dzień pełen wrażeń kończył się mocnym pogodowym akcentem.

\*\*\*

Pilarski przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Z jednej strony sprawiała to kolejna burza z blisko uderzającymi piorunami, a z drugiej drogowy incydent.

– Andrzej! – Jego rozmyślenia przerwał głos dziewczyny, którą też gnębiła bezsenność. – Jestem pewna, że oni chcieli nas zabić.

– Skąd ta pewność? – Odwrócił się w jej stronę. – Myślę, że było to nieodpowiedzialne zachowanie drogowego pirata. Włosi słyną z gorącego temperamentu i brawury.

– Kierowca nie był Włochem. Mówiłam już, ale nie zwróciłeś na to uwagi.

– Jak to nie był Włochem? Skąd to wiesz?

– Nie zapamiętałam numeru, ale na tablicy terenówki były litery PL i polska flaga.

– Chcesz powiedzieć, że to byli Polacy?

– Nie wiem, czy Polacy, ale mieli polskie tablice. Poza tym wcale nie chcieli nas wyprzedzić. Przerwali wyprzedzanie, kiedy się z nami zrównali, a potem zaczęli nas spychać. Robili to wtedy, gdy autobus jadący z przeciwka już nas minął i było miejsce na drodze. Gdyby nie barierki, znaleźlibyśmy się w rowie albo na tych mokradłach.

„Znaleźlibyśmy się w rowie” – te słowa Nadii zaczęły drażnić umysł Pilarskiego. Przecież tak samo zginęła Natalia pod Nową Solą. Tam też była terenówka i też jej kierowca uciekł z miejsca wypadku. Przypadek? Być może, ale jednak on i Natalia byli powiązani z Jakubkiem. Ona była jego wnuczką, a on prowadził śledztwo w sprawie jego śmierci.

\*\*\*

Obudził ich wilgotny poranek. Noc uspokoiła wczorajsze emocje, ale ich nie wygasiała.

– Jedźmy na cywilizowaną północ! – nalegała dziewczyna. – Południe Włoch to mafia. Neapol ma swoją kamorrę i nie wiadomo, co może nas jeszcze spotkać. Tą terenówką, no wiesz, nie wiadomo, kto jechał. Polskie tablice o niczym nie świadczą. Przestępcy często używają kradzionych samochodów i fałszywych tablic.

– Ale jaką korzyść miałaby neapolitańska mafia z uśmiercenia nas? – Pilarski podciągnął spiwór pod brodę. – Moim zdaniem w terenówce byli



Polacy albo... – Zrobił krótką przerwę. – Albo Ukraińcy. Tak, to mogli być oni.

– A nie bierzesz pod uwagę możliwości, że kamorra mogła dostać zlecenie sprzątnięcia nas?

– I co? – zapytał mało taktownie. – Chcieli to zrobić terenówką na polskich tablicach? Poza tym, gdyby tak było, to nigdzie nie będziemy bezpieczni. Na północy Włoch też.

Po skromnym i pospiesznie zjedzonym śniadaniu przełożyli bagaże z przednich siedzeń do tyłu, zapłacili za kemping i ruszyli w dalszą drogę.

– Oczywiście jedziemy na północ – upewniała się Nadia.

– Oczywiście jedziemy na południe – stanowczo odpowiedział. – Być w Neapolu i nie wstąpić do Pompejów, nie stanąć na szczycie Wezuwiusza? To byłby niewybaczalny błąd.

Dziewczyna zamilkła i mimo prób z jego strony nie podejmowała rozmowy. Jej milczenie trwało pół godziny, czyli tyle, ile zatłoczoną autostradą zajął im dojazd do Pompejów. Odszukanie kempingu Zeus, na którym chcieli się zatrzymać, zajęło im jeszcze kwadrans.

Widząc bezsilną złość Pilarskiego, usiłującego w ulicznym tłoku bezskutecznie znaleźć drogę do celu, dziewczyna włączyła się do poszukiwań. Jej cenne uwagi pozwoliły w końcu odnaleźć kemping. Zatrzymali się pod niewysokimi drzewami, na których rosły małe, ciemnozielone cytryny.

– Widomy znak południa Włoch. – Pilarski dotknął jednego z owoców.

– Widomy znak męskiej dominacji i arogancji – odcięła się.

\*\*\*

Chodzili uliczkami starożytnych Pompejów, mijali kamienne domy. Były dokładnie takie, jak w siedemdziesiątym dziewiątym roku, ponieważ wulkaniczny popiół świetnie je zakonserwował. Ten spacer był dla nich dużym przeżyciem, zwłaszcza że Wezuwiusz, sprawca katastrofy sprzed

niemal dwóch tysięcy lat, znajdował się zaledwie kilkanaście kilometrów stąd.

Za metalową kratą widzieli pomieszczenie pełne zakurzonych amfor, a między nimi z mumifikowane wulkanicznym popiołem ciała tych, którzy wtedy zginęli.

– Gdybym był na ich miejscu i widział oznaki nadciągającego kataklizmu – mówił Pilarski – to nie wiem, jaką bym podjął decyzję. Opuścić Pompeje czy zostać?

– Teraz wiemy, że należało uciekać. – Głos Nadii był pełen współczucia. – Ale wtedy takie oczywiste to chyba nie było, skoro sześć tysięcy ludzi zostało.

– Wiesz, Nadiu, jaka myśl przyszła mi teraz do głowy? – Pilarski ujął dłoń dziewczyny.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami, ale dłoni nie cofnęła. – Skąd mogę to wiedzieć?

– Taka mianowicie, że być może brzydota pięknie położonego Neapolu bierze się z przeświadczenia jego mieszkańców o tymczasowości życia w tym właśnie miejscu. Przecież Wezuwiusz może w każdej chwili znowu wybuchnąć.

– Spójrz na tych dwóch facetów. – Dziewczyna zbliżyła usta do ucha Pilarskiego. – Chodzą za nami od dwudziestu minut. Są z tyłu z lewej strony. Oglądają z mumifikowane ciała. Odwróć się dyskretnie.

Pilarski zrobił to, ale przed pomieszczeniem, o którym mówiła Nadia, znajdowała się jedynie grupka zakonnic.

– Zakończmy już zwiedzanie. – Pociągnęła go za rękę. – Ci faceci, którzy zniknęli, i to miejsce źle na mnie działają.

\*\*\*

Za dwa powrotne bilety na szczyt Wezuwiusza zapłacili trzydzieści pięć euro. Kupili je w jednym z punktów sprzedaży, upewniając się, że na pewno

są powrotne. Dowiedzieli się też, że ostatni autobus odjeżdża za pięć minut z miejsca oddalonego o kilometr.

– Nie zdążymy – powiedział łamaną angielszczyzną.

– Zdążycie na pewno. – Sprzedawczyni pożegnała ich uśmiechem.

Szli szybko, prawie biegli. Perspektywa spóźnienia się na autobus dodawała im sił i zdążyli. Pusty autobus stał we właściwym miejscu z włączonym silnikiem. Kiedy podali bilety, kierowca zapytał ostro, także łamaną angielszczyzną, gdzie je kupili?

– W kasie, o tam. – Pilarski wyciągniętą ręką pokazał kierunek, z którego przyszli.

Kierowca pokręcił ze złością głową i kazał im wsiadać. Biletów nie oddał – leżały na kokpicie obok niego. Usiedli, nie wiedząc, o co chodzi. Po chwili do autobusu weszła młoda anglojęzyczna para. Też miała bilety, czym wprowadziła kierowcę na wyższy poziom irytacji. Było ich w sumie tylko czworo i kierowca ruszył z dziesięciominutowym opóźnieniem.

Jeździli pobliskimi uliczkami, zatrzymywali się na placykach, kilka razy powracali w to samo miejsce. Było jasne, że kierowca szukał dodatkowych pasażerów. W końcu jego starania przyniosły efekt. Do autobusu wsiadł włoskojęzyczny Japończyk, który nie miał biletu, co bardzo poprawiło samopoczucie kierowcy. Po kilkuminutowej, niemal przyjacielskiej rozmowie, Japończyk usiadł z ich biletem w garści.

– Teraz wszystko jasne. – Pilarski uśmiechnął się do dziewczyny.

– U nas, na Ukrainie, jest tak samo – odpowiedziała.

Z godzinnym opóźnieniem wyruszyli do Neapolu, bo przez to miasto prowadziła droga na szczyt Wezuwiusza.

Na wąskim i krętym podejździe wsiadła trójka pasażerów, którzy też nie mieli biletów. Ich drugi bilet i dwa bilety Anglików zostały sprzedane powtórnie.

Nowi pasażerowie to pięćdziesięcioletnia kobieta i młoda para w wieku

studenckim. Znali włoski i długo rozmawiali z kierowcą, ale, ku radości Pilarskiego i Nadii, między sobą po polsku.

Po tej rozmowie kierowca wygłosił długie przemówienie po angielsku, z którego zrozumieli tylko pojedyncze słowa.

– Bardzo panią przepraszam – zwróciła się do kobiety Nadia – proszę powiedzieć, o czym mówił kierowca?

Po krótkiej wymianie uprzejmości wynikającej z niespodziewanego spotkania rodaków w dość niezwykłym miejscu kobieta wyjaśniła, że kierowca mieszka w Neapolu, a ich kurs był ostatni. Kierowca nie chce wracać do Pompejów i proponuje, że podwiezie wszystkich do stacji kolejowej, z której za jedno euro i dwadzieścia centów można powrócić do Pompejów.

Wszystkim pasażerom takie rozwiązanie odpowiadało, Pilarski też był gotów przystać na propozycję kierowcy, ale Nadia zdecydowanie zaprotestowała:

– Mamy powrotne bilety, nie znamy miasta i nie będziemy w nocy szukali drogi na kemping! – powiedziała oburzona, a jej wypowiedź Polka przetłumaczyła na włoski. Kierowca stracił dobry humor i ruszył bez słowa.

Wspinali się mozolnie drogą wąską i krętą, trudną dla samochodów osobowych, a oni jechali pełnowymiarowym autobusem marki Mercedes. Często musieli się zatrzymywać, aby zjeżdżające pojazdy mogły ich minąć. Czasem musieli się cofnąć.

Spotkana w autobusie trójka Polaków to matka, córka i jej chłopak. Panie pochodziły z Wrocławia, a matka od szesnastu lat mieszkała na Capri. Ciągłe żywa pamięć o drogowym incydencie skłoniła Pilarskiego do podzielenia się z nimi emocjami.

– Tutaj każdy sam ustanawia prawo, a na policję nie możecie liczyć. – Kobieta kręciła głową. – Kilka lat temu zostałam okradziona przed posterunkiem policji. Wiedziałam, kto to zrobił, i poprosiłam o interwencję. Myślę państwo, że mi pomogli? Nie. Żaden z policjantów nie opuścił

budynku. Bali się, bo tutaj każdy nosi nóż. Tak, tak... – Położyła protekcyjnie dłoń na ramieniu Pilarskiego. – Są państwo na osławionym włoskim południu.

Na jednym z zakrętów kierowca niespodziewanie zjechał z drogi, w jakąś jej odnogę, na której końcu znajdował się mały placyk, a na nim sklep z pamiątkami.

– Panie kierowco, o co chodzi? – zapytał piegowaty Anglik.

– Specjalnie się tu dla was zatrzymałem. – Kierowca wyłączył silnik. – To jest ostatnie miejsce przed szczytem, w którym możecie tanio kupić pamiątki z Wezuwiusza.

– W sumie to fajny gość z tego kierowcy – powiedział Pilarski, płacąc dziewięć euro za figurkę Matki Boskiej z wulkanicznej lawy.

Kupowali wszyscy, spodziewając się na szczycie wulkanu cen proporcjonalnych do jego wysokości. Jedyne trójka Polaków nie była zainteresowana zakupami. Po dwudziestu minutach ruszyli w dalszą drogę.

Parking znajdował się na wysokości tysiąca metrów nad poziomem Zatoki Neapolitańskiej i dalej trzeba było iść pieszo. Wędrówka na szczyt zajęła im pół godziny. Przed stoczeniem się ze stromego zbocza chroniła symboliczna drewniana balustrada.

Na górze przywitał ich księżycowy krajobraz – popiół i skały. Na niewielkim placyku przycupnęło kilka sklepików z pamiątkami, w których taką samą Matkę Boską można było kupić za sześć euro.

– Cofam to, co powiedziałem o kierowcy. – Pilarski był zły. Dodatkowo zestresowała go Nadia, która kupiła trzy figurki za piętnaście euro.

Wędrowali wokół krateru, zaglądali do jego środka. Widok był o tyle niezwykły, że Wezuwiusz nie wygasł, on tylko spał. Z bocznej ściany krateru wydobywał się delikatny dym, może para – oddech groźnego wulkanu, który w zgodnej opinii specjalistów w niedalekiej przyszłości na pewno się obudzi.

Do pogody znowu nie mieli szczęścia. W słoneczny dzień z Wezuwiusza

roztacza się wspaniały widok na Neapol, Zatokę Neapolitańską, półwysep, na którym leży Sorrento, i wyspę Capri. Oni byli na górze, której wierzchołek wystawał ponad gromadzące się burzowe chmury. Otaczały wulkan gęstym, pofałdowanym pierścieniem, ale znajdowały się na wysokości parkingu, gdzie zatrzymał się autobus. Nad tymi chmurami, poprzez inne, ażurowe, znajdujące się wysoko, przedzierały się promienie popołudniowego słońca. W tym lekko zamglonym pasie powietrza między dwiema warstwami chmur można było w oddali dostrzec zarysy Capri.

– Widzisz tę wyspę? – Pilarski wyciągniętą rękę naprowadzał wzrok dziewczyny. – To Capri, wyspa zakochanych.

– A ja słyszałam, że wyspa kochanków. – Nadia oparła głowę na jego ramieniu. – To bardziej pociągające, nie sądzisz? – ujęła jego dłoń.

\*\*\*

Na kempingu zjawili się, gdy było już ciemno. Przygotowanie kolacji zajęło trochę czasu, chociaż robili ją razem. Zeszkłona na oleju cebula dusiła się z pomidorami i drobno pokrojonymi parówkami prawie pół godziny.

Pod drzewkiem z niedojrzałymi cytrynami spędzili prawie godzinę. Rozmawiali o kończącym się dniu pełnym zaplanowanych i nieoczekiwanych zdarzeń. Obserwowali błyskawice burzy nadciągającej od strony Wezuwiusza.

– Zwijamy majdan – oświadczył Pilarski, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. – Czas na kąpiel i do łóżka.

– O tak! – zgodziła się dziewczyna. – Kąpiel po dzisiejszym dniu jest absolutną koniecznością. Z łóżkiem to jednak gruba przesada. To przecież samochód, a nie pięciogwiazdkowy hotel.

Prysznice na włoskich kempingach to zupełnie oddzielny temat. Wszystkie są czyste i zadbane, a w zależności od stopnia zapewnianej intymności podzielić je można na kilka rodzajów.

W tradycyjnych drzwi są zamykane od środka, a półeczki na mydło i

szampon oraz wieszaki znajdują się wewnątrz – to kempingowy standard.

Inne mają dwuskrzydłowe wahadłowe drzwi bez zamków. Na nich wieszka się odzież, a osoba z zewnątrz może podziwiać nogi, ramiona i twarz kąpiącego się.

Trzeci rodzaj pryszniców zmusza do ekshibicjonizmu. Półki i wieszaki znajdują się na zewnątrz, a kabiny nie mają drzwi. Na ich kempingu były właśnie takie prysznice.

Ech, Nadia, Nadia! – Pilarski splukiwał namydlone ciało. – Czemu nie ma cię obok mnie? Może jednak nie wszystko stracone? – pocieszał się. – Na szczycie Wezuwiusza dałaś przecież wyraźny znak, że dużo może się zdarzyć. Zakochani i kochankowie... – Mimowolnie się uśmiechnął, wypluwając strużkę wody z mydlinami. – Nigdy się nie zastanawiałem nad subtelną różnicą między tymi pojęciami.

\*\*\*

Gwałtowna burza, która wieczorem przetoczyła się przez Neapol i Pompeje, przyniosła zmianę pogody. Niebo zakryły ciemne deszczowe chmury i o wycieczce na Capri nie mogło być mowy.

– Nie jestem pewien – dzielił się wątpliwościami Pilarski – czy przy takiej pogodzie w ogóle jakieś promy wypływają z Sorrento?

Po długiej rozmowie zdecydowali, że nie zobaczą Capri.

– Przejechać dwa tysiące kilometrów i przegrać z pogodą? Nie zobaczyć Lazurowej Groty? – Nadia była niepoczyszona. – To niesprawiedliwe!

– Masz rację. – Uruchomił silnik focusa. – Ale wycieczka w strugach deszczu nie ma sensu. Zapewniam jednak, że dostarczę ci wielu wrażeń innego rodzaju, i to już niedługo.

Z Pompejów pojechali do Sorrento. Mimo chwilowej poprawy pogody i pojedynczych turystów chętnych do zobaczenia Capri, stateczki wycieczkowe nadal pozostawały w bezpiecznej przystani. Od właściciela jednego z nich dowiedzieli się, że do wieczora nie wypłynie ani on, ani nikt

inny.

Z Sorrento skierowali się do Salerno drogą prowadzącą przez Wybrzeże Amalfitańskie.

– Weź głęboki oddech, zaufaj kierowcy i samochodowi – powiedział tajemniczo. – No i przygotuj się na niezwykłe widoki.

W kwestii wrażeń Pilarski mówił prawdę. Z Sorrento drogą wąską i krętą, prowadzącą przez góry wysokie jak nasze Beskidy, ale inne krajobrazowo, bo spalone słońcem, dotarli do Positano – miasteczka jak każde inne na tym wybrzeżu. Część budynków leżała przy samym morzu, a niektóre były przyklejone, jak jaskółcze gniazda, do niemal pionowych skał.

Droga, którą jechali do Salerno, wiła się jak wąż, to sięgając poziomu morza, to wspinając się serpentynami wysoko ponad śródziemnomorskie fale.

– Andrzeju, kiedy to się skończy? – pytała przestraszona Nadia. – Nie mam lęku wysokości, ale się boję.

– Zupełnie odwrotnie niż ja – uśmiechnął się, nie odrywając oczu od drogi. – Nie podoba ci się tutaj? W przewodnikach piszą, że to jedno z najpiękniejszych widoków na świecie.

– Nie o to chodzi. Rzeczywiście czegoś podobnego nie widziałam, ale strach nie pozwala mi się cieszyć.

Z Salerno pojechali do Bari. Nie spieszyli się. Podróż w poprzek półwyspu przez Apeniny, wyraźnie niższe niż w środkowej części Włoch, nie dostarczyła już takich emocji.

Niestety spóźnili się na prom. Trudno zresztą było mówić o spóźnieniu, skoro jedyny prom odpływał o dwunastej, a oni dotarli do Bari pięć godzin później. W tej sytuacji postanowili przenocować gdzieś poza miastem. Po krótkiej naradzie wybrali kemping o sympatycznej nazwie Pinocchio. Był wprawdzie dość odległy od przystani promowej, ale mniej zatłoczony od pozostałych.



\*\*\*

Adriatyk ich wykołysał i wysmagał twarze wiatrem i deszczowymi szkwałami.

– To dobrze wpływa na cerę. – Nadia szukała pozytywnych stron nienajlepszej pogody. – Ujędrnia skórę i wygładza zmarszczki.

– O tak, tak! – Pokręcił z uznaniem głową. – Twoje zmarszczki na pewno wygładzi i założy się, że zrobi to natychmiast. Odwróć się.

– Miałem rację! – śmiał się, gładząc twarz Nadii. – Nie ma ani jednej zmarszczki, a dopiero wystawiłaś buzię na wiatr!

Zaskoczyło go, że nie było z jej strony żadnego znaku, że to gładzenie jej się nie podoba. Nie było żadnego protestu. Podtrzymało to nadzieję na bardziej zażyłe stosunki.

Do Dubrownika przyłączyli się zgodnie z planem. Wiedząc, że nie ma w nim kempingów, od razu pojechali na północ i zatrzymali się w Orašac.

– Myślę, że zostaniemy tutaj dwa, może trzy dni. – Spojrzał na dziewczynę. – Co o tym sądzisz?

– Dzień na odpoczynek, dzień na Dubrownik i w dalszą drogę? – zapytała, przekrzywiając głowę. – To miałaś na myśli?

– Dokładnie to, moja pani. Czytasz w moich myślach.

– Oj, oj, Andrzeju! – zaśmiała się. – Tak, czytam i wiem, że masz nieprzyzwoite myśli.

– Żebyś wiedziała, jak bardzo są nieprzyzwoite! – zdobył się na odwagę.

– Wiem – powiedziała i nagle spoważniała.

\*\*\*

Obudziło go nie tyle słońce, schowane za drzewami porastającymi skalisty cypel, ile dziwny dźwięk, którego dotąd nie słyszał.

– Co to może być? – Ziewnął przeciągle, zakrywając dłonią usta.

Odpowiedziało mu milczenie dziewczyny. Był odwrócony tyłem i nie wiedział, czy jeszcze śpi, czy może nie ma ochoty na poranną rozmowę.

– Śpisz? – zapytał i odwrócił się.

Nadia leżała na plecach. Zwichrzone włosy zakrywały jej twarz, a ręce spoczywały na rozpiętym śpiworze. Podwinięta nocna koszula odsłaniała zgrabne uda.

Śpiwór zakrywał jedynie jej piersi. Najwidoczniej ciepła noc sprawiła, że dziewczyna rozsunęła zamek, a później w trakcie snu, to przykrywała się, to odkrywała.

Ciekawe, czy ma majtki? – ta myśl zaczęła go prześladować.

Tymczasem Nadia wymamrotała coś przez sen i odwróciła się tyłem, prostując prawą nogę, a lewą zginając tak, że kolano niemal dotykało jej piersi. Podciągnięta koszula odsłoniła wiele, ale nie zaspokoiła ciekawości Pilarskiego.

– Czy te cykady muszą tak wcześnie wstawać? – Dziewczyna budziła się, ziewając i zasłaniając usta dłonią. Niespiesznie opuściła podwinięta koszulę i poprawiła śpiwór.

– Zrobisz śniadanie? – Położyła dłoń na ramieniu Pilarskiego. – Ja jeszcze nie dojrzałam do wstania.

Kemping Pod Maslinom leżał przy słynnej Via Adriatica, biegnącej wzdłuż morskiego wybrzeża, od Rijeki aż za Dubrownik, do granicy z Czarnogórą.

Do kamienistej plaży schodziło się drogą asfaltową i krętą, miejscami stromą. Dla starszych wiekiem turystów ten marsz do morza, a zwłaszcza powrót, były nie lada wyzwaniem.

Sama plaża od strony morza wyglądała tak, jakby ktoś wyrwał kawałek skalistego wybrzeża i pozwolił turystom cieszyć się wąskim pasem kamienistej ziemi. Tuż za plażą piętrzyły się skały kilkunastometrowej wysokości. Krystalicznie czysta woda z powodu dużego zasolenia

umożliwiała pływanie nawet tym, którzy tej umiejętności nie mieli. Na plażowiczów brodzących po kamienistym dnie czekała jednak nieprzyjemna niespodzianka w postaci jeżowców.

Nadia wcierała krem do opalania o faktorze czterdzieści. Robiła to powoli i z rozmysłem, nie chcąc pominąć żadnej dostępnej jej części ciała.

– Ale plecy to ty mi posmarujesz – zwróciła się do Pilarskiego, który przypatrywał się czemuś na końcu plaży.

– Tak, tak! – powiedział odruchowo, biorąc tubkę z kremem. – Naturyści! – szepnął jej do ucha. – Tam są naturyści. Pójdziemy do nich?

– A po co? – zapytała, mrużąc oczy. – Tutaj jest całkiem fajnie. Zdjęła górę bikini i została w samych majteczkach.

– Oddaj jeszcze tubkę – poprosiła. – Muszę nasmarować piersi.

Wycisnęła między nie niedługi pasek kremu i okrężnymi ruchami dłoni zaczęła wcierać go w obie piersi jednocześnie.

Obserwował tę czynność z zainteresowaniem, żałując, że jemu do ochrony przed chorwackim słońcem zostały jedynie jej plecy.

Tutaj, wśród ludzi, nie może być inaczej, pocieszał się.

Z Ewą w Hiszpanii było podobnie, przypomniał sobie służbowy wyjazd do Morairy, jednak od razu jego pamięć przywołała upokorzenie, jakiego doznał podczas wyjazdu na Zachodnią Ukrainę. Ciągle miał nadzieję, że finał znajomości z Nadią będzie inny.

\*\*\*

Dubrownik ich rozczarował. Położony malowniczo, jak większość nadmorskich chorwackich miejscowości, jeśli zasłużył na miano perły Adriatyku, to jedynie z powodu widoków, jakie można było oglądać z pokładów stateczków i ogromnych statków wycieczkowych. Półwysep, zatoczki, dachy domów przyklejonych do stromego zbocza wysokiej góry i mury obronne otaczające miasto od strony morza z pewnością były jego niezwykle malowniczą wizytówką. Za murami było ładne, ale bez przesady,

miasto. Kamieniste centrum, domy z jasnego piaskowca, wąskie uliczki i urocze zatoczki z mnóstwem zacumowanych łodzi musiały się podobać, jednak nie wywołały ich zachwyty. Podobnie było poza ścisłym centrum z palmami, przydomowymi ogródkami pełnymi kwitnących krzewów i kwiatów.

– Jestem trochę zawiedziony – dzielił się wrażeniami na niewielkim dworcu autobusowym.

– Ja też... – Dziewczyna szukała czegoś w torebce. – Ale się nie dziwię. Przewodniki zawsze upiększają rzeczywistość. – Andrzeju – powiedziała po chwili namysłu – kilka minut temu widziałam jednego z tych facetów. Jestem przekonana, że nas śledzą.

– O kim mówisz?

– O tych mężczyznach, którzy chodzili za nami w Pompejach. Ten incydent na drodze i ci sami faceci w różnych miejscach we Włoszech i w Chorwacji to nie jest przypadek. Jestem tego pewna.

\*\*\*

O ile Dubrownik ich rozczarował, o tyle Korčula oczarowała. Miasteczko leżące na wyspie o tej samej nazwie to miejsce urodzin słynnego podróżnika Marco Polo i miejsce jego śmierci, miasteczko, do którego powrócił po życiu pełnym przygód, po prostu ich urzekło.

Do Orebiću, skąd kursują promy na Korčulę, jechali drogą wąską i krętą, wśród winnic kuszących winem wytwarzanym na miejscu. W drodze powrotnej postanowili ulec tym pokusom.

– Być w Chorwacji i nie przywieźć wina, to niewybaczalny błąd – Pilarski kręcił głową. – Lubisz wino? – zapytał, na chwilę przenosząc wzrok z drogi na dziewczynę.

– Może tak, może nie – odpowiedziała tajemniczo. – Przekonaj się.

Odczytał jej słowa jako sugestię spędzenia kolacji przy świecach w jednej z licznych tutejszych kafejek. Wspólna kolacja, wspólny wieczór, a może

wspólna noc... – rozmarzył się.

Jego marzenia były uzasadnione. Od jakiegoś czasu zachowanie Nadii zmieniało się. Początkowo okazywała mu sympatię, jednak jej zachowanie wobec niego było wyraźnie powściągliwe. Teraz dziewczyna wydawała się przekraczać dawniej wytyczone granice. Pilarski widział to doskonale. Wiedział, że przebywanie razem przez dłuższy czas musi prowadzić do bardziej zażyłych, wręcz intymnych, relacji.

Dobrze pamiętał opowieść znajomego, który pojechał do Hiszpanii z wycieczką autokarową. Skład grupy był zróżnicowany. Oprócz kilku małżeństw i par większość stanowiły osoby samotne i te, które na tę wycieczkę wybrały się bez życiowych partnerów. Panowie od początku starali się o względy pań, ale nie przynosiło to oczekiwanych rezultatów. Ich wytrwałość jednak się opłacała, bo już po tygodniu tylko dwie panie nie miały partnera, a powód był prosty – zabrakło panów.

Zostawili auto na parkingu niedaleko przystani. Jedyne tam było wolne miejsce, niestety pozbawione cienia.

– Po powrocie będziemy mieli piekarnik – przewidywał nieodległą przyszłość.

– Damy radę. – Dziewczyna poprawiała słomkowy kapelusz, który dzięki szerokiemu rondu doskonale sprawdzał się w upałach południa Europy.

Najbliższy prom na Korčulę odpływał za pięćdziesiąt minut. Chociaż przedpołudniowe słońce dawało się już mocno we znaki, postanowili wykorzystać ten czas na spacer nadmorską promenadą.

– Przynajmniej one dadzą nam trochę cienia. – Ruchem głowy wskazał okazałe palmy, którym klimat tej części Chorwacji bardzo odpowiadał.

Między promenadą a morzem znajdował się wąski pas zieleni. Rosło na nim kilka gatunków egzotycznych roślin poprzedzielanych okazałymi agawami. Na niewiele szerszej kamienistej plaży pojedynczy turyści zażywali słonecznej kąpieli. Kilka osób ostrożnie, z uwagi na jeżowce, wchodziło do wody.

– Też bym się wykąpał. – Wierzchem dłoni wytarł spocone czoło.

Dziewczyna kiwnięciem głowy przyznała mu rację.

Z nadmorskiej promenady Korčula wydawała się być nieodległą wyspą, jednak prom płynął na nią prawie pół godziny. Szeroki kilwater, tuż za promem biały i spieniony, w oddali był już tylko gładką wstęgą i stopniowo wtapiał się w morze. Okazała wapienna góra wznosząca się nad miastem z pokładu promu wydawała się jeszcze większa. Wysoko na jej zboczu i daleko od miasteczka znalazł sobie miejsce niewielki kościółek. Jego wąska kamienna wieża upodabiała go do minaretu. Drzewa w zwartym szyku porastające górę do połowy jej wysokości stopniowo ustępowały miejsca południowej kosodrzewinie, by przed wierzchołkiem zniknąć i zostawić gołą szarobiałą skałę.

– Morze i góry to piękne zestawienie – zachwycał się, ale dziewczyna milczała.

Do Korčuli zbliżali się powoli, chociaż brak punktów odniesienia sprawiał wrażenie, że to ono wychodzi im naprzeciw rosnąc z minuty na minutę. Widoczna z oddali czerwona bezkształtna plama zamieniała się wolno w dachy domów, a nieokreślona szarość w ich kamienne ściany i mury obronne z okrągłymi basztami, broniącymi niegdyś dostępu do miasta od strony morza.

– Rodzinna wyspa Marco Polo – zauważył, nie wywołując tym stwierdzeniem żadnej reakcji Nadii.

– Obraziłaś się na mnie? – zapytał. – Dlaczego nic nie mówisz?

– Andrzeju – odezwała się szeptem, kiedy znaleźli się sami na jednej z wąskich kamiennych uliczek – oni nas ciągle obserwują. W Orebiću widziałam ich obu, a jeden z nich przyplłynął tym samym promem, co my. Na brzegu wmieszał się w tłum i straciłam go z oczu, ale jestem pewna, że gdzieś tutaj się kręci. Drugiego nie widziałam, jednak na promie było dużo ludzi, to może też przyplłynął.

– Mówisz ciągle o tych samych facetach, co to niby śledzili nas w

Pompejach? – W jego głosie pobrzmiwał ledwie wyczuwalny ton niedowierzania.

– Nie kpij! – z dezaprobatą pokręciła głową. – To poważna sprawa. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Oni mają złe zamiary. Chcą nas przestraszyć, może nawet zabić.

Niepokój dziewczyny udzielił się Pilarskiemu. W geście solidarnej postawy wobec realnego lub tylko wymyślonemu niebezpieczeństwa ujął jej dłoń. Spodziewał się, że na tę poufałość mu nie pozwoli, ale się mylił.

Przechadzali się zacienionymi uliczkami – kamiennymi, wąskimi i krótkimi, to pnącymi się schodami na wzgórzu, to schodzącymi niemal do samej wody. Przyglądali się basztom – kiedyś obronnym, dzisiaj zapraszającym gości na kawę, herbatę i degustację miejscowego wina. Oglądali witryny sklepików, z których niemal każdy za swój obowiązek uważał odwołanie się do nazwiska słynnego podróżnika.

Na dłuższą chwilę zatrzymali się w zacienionym przejściu, by odetchnąć, ale i posłuchać rzewnego śpiewu grajków akompaniujących sobie na gitarze i akordeonie. Niewielką kwotą wsparli ich występ, tak charakterystyczny dla Chorwacji.

\*\*\*

– Miałaś rację z tym piekarnikiem. – Nadia cofnęła się z grymasem bólu na twarzy po otwarciu drzwi samochodu.

– Pięćdziesiąt stopni – odczytał wskazanie termometru. – Poczekajmy kilka minut.

Wietrzenie auta niewiele dało. Popołudniowe słońce operujące na bezchmurnym niebie ani myślało ulżyć mieszkańcom i turystom w Orebiću.

– Klimatyzacja nam pomoże. – Uznał, że nie ma co dłużej czekać, i uruchomił silnik.

Jechali wśród willi z ogródkami drogą prawie pustą, którą na horyzoncie zamykało pasmo gór. Mijali winnice położone na przedmieściach miasteczka

i winiarnie zapraszające do degustacji i kupna win.

Jakaś kobieta prowadziła rower, gdyż podjazd okazał się być ponad jej siły. Staruszek z siwą brodą prowadził objuczonego osiołka.

Zaniepokoiło go dziwne zachowanie samochodu. Nieznanego charakteru stukanie i jakby pływanie auta pojawiło się niespodziewanie, ale w miarę pokonywania kolejnych zakrętów było coraz bardziej odczuwalne.

– Andrzeju, – dziewczyna spojrzała na kierowcę – co to jest?

– Nie wiem, – odpowiedział – ale musimy się zatrzymać!

Przestraszyła ją odpowiedź i skupiona twarz Pilarskiego. Dodatkowy niepokój wprowadził fakt, że znajdowali się na krętym odcinku drogi z linią ciągłą oddzielającą dwa wąskie pasy ruchu.

– Stań natychmiast! – odruchowo chwyciła go za ramię, gdy coraz wyraźniejsze pływanie samochodu zamieniło się w kołysanie, któremu towarzyszyło głośne dudnienie i uderzanie metalu o metal.

Zatrzymali się gwałtownie na nieco szerszym w tym miejscu szutrowym poboczu, wzbijając tuman pyłu. Samochód stał dziwnie pochylony na prawą stronę, a spod maski wydobywała się para.

Pilarski wyskoczył z auta i obszedł je szybkim krokiem. Zatrzymał się z przodu i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Wypuść mnie! – dobiegł go krzyk Nadii i głuchy odgłos uderzania dłonią o szybę. – Nie mogę wysiąść!

– Szlag by to trafił! – cedził przez zęby, mocując się z zablokowanymi drzwiami. – To koniec podróży! Dopiero po kilku minutach bezskutecznych prób udało mu się wreszcie uwolnić dziewczynę.

Stali oboje w milczeniu, przyglądając się okaleczonemu samochodowi, który jeszcze niedawno śmigał po wymagających chorwackich drogach.

Przednie prawe koło z przebitą oponą leżało w płytkim kamienistym rowie, a tarcza hamulcowa do połowy zagłębiona była w kamienisto-



piaszczystym podłożu. Para wydobywająca się spod maski wprowadzała dodatkowy niepokój.

– To koniec podróży – powtórzył beznamiętnie. – Taki pech! Taki pech!

– Raczej szczęście, Andrzeju. – Ujęła jego dłoń. – Nie jechaliśmy szybko. Przy zjeżdżaniu byłoby gorzej.

Focus na chorwackich numerach, prawdopodobnie powodowany solidarnością w nieszczęściu auta tej samej marki i tego samego modelu, zatrzymał się przed nimi. Wąsaty pięćdziesięciolatek z rozpiętą koszulą podszedł wolnym krokiem i w milczeniu oglądał zniszczenia.

– Imjeliste puno sreće. Kada biste silazili, moglo bi je biti sa vama jako loše<sup>14</sup>.

– *powiedział, patrząc na dziewczynę.*

– O co mu chodzi? – Nadia spojrzała pytająco na Pilarskiego.

– Pojęcia nie mam. – Policjant wzruszył ramionami.

Chorwat chwilę się im przyglądał, ale widząc, że nie rozumieją, wyciągnął telefon i gdzieś zadzwonił. Podczas rozmowy gestykulował, milkł na krótko, podnosił głos, patrzył raz w jedną, raz w drugą stronę drogi, a na koniec powtórzył kilka razy *tako*.

– Pozvao sam cestovnu pomoć<sup>15</sup> – powiedział do Pilarskiego, uściskał mu dłoń i odjechał.

– No i zostaliśmy sami. Zrozumiałaś coś z jego mowy? – Policjant oparł się o samochód.

– Chyba wezwał pomoc drogową – odburknęła, marszcząc czoło. – Kulturą to on nie grzeszy. Ze mną się nie pożegnał.

– To południe, moja droga. – Mimo trudnej sytuacji uśmiechnął się. – Są kraje, gdzie kobieta ma dokładnie takie samo poważanie i prawa jak koza.

– Dzięki za pocieszenie – odfuknęła.

\*\*\*

Uczynny Chorwat rzeczywiście wezwał pomoc drogową. Czekali na nią blisko godzinę, ale jej przyjazd udobruchał Nadie. Kierowca, którym był przystojny trzydziestolatek, co prawda najpierw przywitał się z Pilarskim, a później z nią, jednak patrząc przy tym głęboko w oczy. Dopiero później zajął się prawdziwym powodem przyjazdu i oglądał auto ze wszystkich stron. Z rozmowy prowadzonej po polsku, chorwacku i angielsku dowiedzieli się, że najbliższy warsztat samochodowy mogący zająć się naprawą jest w Orebiću i że on ich tam zawiezie.

Wciąganie auta na lawetę poszło sprawnie i po półgodzinie zatrzymali się obok warsztatu mieszczącego się w okazałym garażu równie okazałej willi, przy jednej z bocznych uliczek miasteczka, z którego wyjechali zaledwie dwie godziny temu. Kierowca wyładował auto i skasował trzysta kun, co Pilarski uznał za akceptowalną kwotę.

Właściciel warsztatu, wyrwany ze sjeisty, po obejrzeniu focusa długo rozmawiał z kierowcą z pomocy drogowej. Obaj patrzyli przy tym, co jakiś czas, to na Nadie i Pilarskiego, to na ich auto.

– Danas radionica je već zatvorena<sup>16</sup> – oznajmił w końcu przystojny Chorwat, uśmiechając się cały czas do dziewczyny. – Sutra ujutrom Marko. – Ruchem głowy wskazał właściciela warsztatu. – će naručiti potrebne dijelove i prekosutra automobil biće gotov. Imate dva slobodna dana. I dvije noće<sup>17</sup> – dodał na pożegnanie

Domyślili się, co powiedział i chociaż ta wiadomość zmartwiła Pilarskiego, to dziewczyna była zadowolona.

– Podobał ci się! – zauważył z przekąsem.

– Phi! – Wzruszyła ramionami. – Przystojny, ale bez przesady.

Zatrzymali się w hoteliku dwie ulice dalej i chociaż nalegał na pokój dwuosobowy, to Nadia się nie zgodziła. Wzięli dwa jednoosobowe.

– W samochodzie cały czas jesteśmy razem, to chociaż tutaj odpocznijmy

od siebie – tłumaczyła. – Poza tym rozłąka sprzyja romantycznym powrotom.

\*\*\*

Siedzieli w restauracji małego hoteliku i jedli kolację. Ona piła czerwone wino, on wodę.

– Lubię niepijących mężczyzn – powiedziała. – Lubię, bo mam pewność, że to, co mówią i robią, wynika z ich przekonania i potrzeby, a nie z wypitego alkoholu.

– A ty? – zapytał. – Czy po tej lampce wina będziesz robiła to, czego chcesz naprawdę?

– Może. – Uśmiechając się, przekrzywiła głowę. – Kto to wie? Może po tej lampce wina będzie mi łatwiej przekraczać granice? – Spojrzała na niego wzrokiem, którego dotąd nie poznał. – Czy będzie ci to przeszkadzało?

– Chyba nie, ale mogłabyś bardziej konkretnie?

Zamyśliła się.

– OK, – odpowiedziała po chwili, patrząc mu prosto w oczy – pokażę ci, co mam na myśli. Pocałuj mnie.

Zdziwiony wstał od stolika, podszedł do niej i cmoknął w policzek, a potem usiadł.

– Nie o to mi chodziło. – Pokręciła głową.

Wstał raz jeszcze, pocałował ją namiętnie w usta i usiadł zadowolony z siebie.

– Nie, o to też nie. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

Unióśł brwi i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– To gdzie mam cię pocałować?

– Niżej. – Spuściła oczy.

– Niżej? – zachnął się. – Tutaj? W publicznym miejscu?

– Na stole jest długi obrus, a ja nie mam majtek. Upuszczę widelec, a ty wejdiesz pod stół, znajdziesz go i dasz mi szybkiego buziaka.

Był przerażony. Nie dość, że nigdy nie całował waginy, to teraz miał to zrobić w restauracji, w której byli ludzie! Krew uderzyła mu do głowy i musiał chwilę spokojnie pooddychać.

– OK – powiedział w końcu. – Raz kozie śmierć. Zrzucaj ten widelec.

Rozejrzała się dyskretnie, teatralnym gestem podniosła wysoko widelec i upuściła go.

– Ups – powiedziała – ale ze mnie gapa, przepraszam. Kiedy nikt nie patrzył, wsunęła nogą widelec pod stół.

Wstał, podniósł obrus i na czworaka wszedł pod blat. Długi obrus nie przepuszczał zbyt dużo światła i pod stołem panował półmrok. Zobaczył jej nogi, a obok widelec. Zbliżył się do niej. Krew niemal się w nim gotowała. Zauważył, że zsunęła się na sam brzeg krzesła i szeroko rozsunęła nogi. Chciał ją szybko pocałować i wyjść spod stołu, bo czuł się idiotycznie, jak sztubak.

Ona to ma pomysły, pomyślał. Trzydziestka na karku, a głupoty w głowie jak u nastolatki.

Od razu jednak zwątpił, bo nie był pewien, jakie pomysły mają nastolatki.

Dotknął jej wargami i chciał się cofnąć, ale złączyła nogi i jego głowa znalazła się w kleszczach. Uniosła nieco biodra, a on nie namyślając się wsunął w nią język. Usłyszał głośnie sapnięcie i zamarł. Wyobrażał sobie, że wszyscy na sali patrzą teraz na nią. Kiedy poluźniła uścisk, natychmiast wyszedł spod stołu. O widelcu oczywiście zapomniał. Był czerwony jak burak, a ona patrzyła na niego z psotnym uśmiechem.

– To takie delikatne przekraczanie granicy – powiedziała.

– A jak wygląda bardziej zdecydowane przekraczanie granic? – zapytał szeptem, rozglądając się niespokojnie po sali.

– Nie mam widelca, zresztą już się najadłam. – Zignorowała jego pytanie.

– Idziemy?

– Tak, oczywiście – odpowiedział.

W pokoju zdjął marynarkę i rzucił się na łóżko. Rozczesywał włosy palcami, ciągle nie wierząc, że historia z widelcem wydarzyła się naprawdę.

– Niemal zero intymności i taki numer – śmiał się, cieszył i uspokajał jednocześnie.

W przekonaniu, że nic strasznego nie zrobił, utwierdzał go fakt, że kiedy opuszczali restaurację, nikt z gości nie zwracał na nich uwagi. Jedyne kelner stojący za kontuarem uśmiechał się do niego konspiracyjnie.

Z rozmyślań wyrwał go SMS od niej.

*Piłka jest po twojej stronie* – przeczytał. *Nie zawieźdź mnie, proszę. Czekaam w pokoju. Kochaj mnie tak, żebyam odleciała do samego nieba.*

*Będę za kwadrans* – odpisał.

Szybko wziął prysznic, wskoczył w dżinsy i włożył bawełnianą koszulę. Zapomniał o dezodorancie, jednak po namyśle uznał, że nie jest potrzebny. Przejrzał się w lustrze. Dwudniowy zarost prosił o żyletkę, ale na golenie nie miał czasu. Ostrożnie wyjął z wazonu bukiet czerwonych róż, raz jeszcze przejrzał się w lustrze i wyszedł na korytarz. Serce, które biło coraz szybciej, przed drzwiami jej pokoju omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Zapukał delikatnie, ale po drugiej stronie panowała cisza. Kiedy chciał ponowić pukanie, otworzyła mu drzwi.

– Wejdz – powiedziała szeptem.

Cicho jak kot wśliznął się z bukietem róż schowanym za plecami.

Przekręciła zamek i uśmiechnęła się. Mimo zwykłej pewności siebie tym razem wydawała się być nieco zagubiona.

– To dla ciebie – powiedział, wręczając róże. – To moje podziękowanie za wspólne wakacje.

– Piękne. – Przytuliła kwiaty do twarzy.

Była w sukience wkładanej przez głowę, bez guzików i zamka błyskawicznego.

Podszedł do niej i lekko cmoknął w policzek.

Zmarszczyła czoło i zdziwiła się. Spodziewała się bardziej namiętnego powitania, a ten całus zupełnie nie pasował do jej scenariusza. Nic jednak nie powiedziała. Tym razem inicjatywę postanowiła całkowicie pozostawić w jego rękach.

Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy poprosił, aby uniosła ręce. Zrobiła, o co prosił, a on przykucnął, ujął dół sukienki i uniół ją zdecydowanie. Wykonał jeszcze kilka niewprawnych ruchów i przy jej pomocy w końcu zdjął sukienkę. Stała przed nim cudownie naga. Tak piękna i od tak dawna pożądana, że oddałby wszystko, by móc oglądać ją wiecznie. Nie mógł jednak, bo nagle w nią wstąpił jakiś demon. Szybko rozpięła zamek jego spodni i zsunęła mu dżinsy. Sam podniósł ręce zachęcając ją do ściągnięcia koszulki. W pośpiechu zdejmował buty i wkrótce oboje byli nadszy.

– Andrzej, przewiąż mi oczy – poprosiła, podając mu czerwoną chustę.  
– Kobiety nie są wzrokowcami. Chcę się upajać samym dotykiem, zapachem i smakiem.

Był zdziwiony, ale tak zrobił. Chciała pociągnąć go w stronę rozłożonej kanapy, jednak przypomniała sobie, że to on ma dzisiaj decydować o wszystkim, a on o tym doskonale wiedział.

Jeszcze stali, ale ich dłonie poruszały się z niespotykaną intensywnością. Zachowywały się tak, jakby ich ciała za chwilę miały zniknąć, a one chciały zapamiętać wszystko, każdy ich szczegół.

– Nie wiesz, jak bardzo czekałem na tę chwilę – szeptał jej do ucha, wichrząc włosy. – Każdej nocy zasypiałem z tobą w ramionach. Kochaliśmy się.

– To na co czekasz? – Nie wytrzymała i pociągnęła go na kanapę.

Przylgnął do niej całym ciałem. Chwycił jej nadgarstki i rozłożył ręce, jak do ukrzyżowania. Rozgniatął ustami jej usta, klatką piersiową jej piersi, swoim łonem jej łono. Wił się w konwulsjach przed ekstazą, która miała dopiero nadejść.

– Brak mi tchu – ledwie zdołała powiedzieć. – Pozwól zaczerpnąć powietrza.

Nie pozwolił. Wciskał uda między jej nogi, rozchyłał je i złączał, całował bez opamiętania. Nagle przestał. Odchylił się do tyłu, cały czas trzymając ją za nadgarstki. Ich uda i łona były złączone, a on patrzył w jej oczy. Kiedy się uśmiechnęła, wiedział, że nie zrobił niczego, co by się jej nie spodobało. Wiedział też, że tym uśmiechem dała mu pozwolenie na więcej.

Uwolnił jej ręce i swoje też miał wolne. Brodawki, drażnione opuszkami palców, natychmiast się uniosły i stwardniały. Pieścił je dłonią i ustami. Robił to delikatnie, czule i ciągle patrzył na jej reakcję. Wzmacniał te pieczyoty, które ona odbierała najpełniej. A ona, ciągle z opaską na oczach, przeżyła ciało, jakby leżała na rozżarzonych węglach, zaciskała usta, by nie usłyszał, jak jest jej dobrze, jak bardzo nie chce, aby to się skończyło, ale w końcu uległa. Jej głos, dla niego dziwny, bo bez komukolwiek znanych słów, głos szczęśliwej kobiety, mówił, że pragnie jeszcze więcej, że spełni każdą jego fantazję i niczego mu nie zabroni.

\*\*\*

Naprawa samochodu wydłużyła się o jeden dzień, z powodu zgniecionego przewodu hamulcowego, z którego przesączał się płyn. Jego ubytek był wyraźny, chociaż jeszcze nie tak duży, by mówić o nieskutecznym hamowaniu. Podczas pierwszego przeglądu Marko nie zauważył zgniecenia przewodu i musiał go dodatkowo zamówić. Z jego słów wynikało, że uszkodzenia samochodu nie były dziełem przypadku.

– Twierdzi pan, że ktoś zrobił to umyślnie? – pytał przejęty Pilarski.

– *Tako, tako.* – Marko skinął głową.

Podjezdzieniami właściciela warsztatu od razu podzielił się z dziewczyną.

– A widzisz! – tryumfowała. – Nie wierzyłeś mi, mówiłeś, że zmyślam.

– Jestem policjantem – powiedział, nie odnosząc się do jej wypowiedzi – i wielu bandziorów wsadziłem do więzienia. Myślę, że ktoś chce się na mnie zemścić. Nie wiem tylko, dlaczego wybrał Chorwację?

– I Włochy – dodała.

– I Włochy – powtórzył jak echo.

\*\*\*

W ostatnią noc spędzoną w hoteliku Pilarski prawie nie spał. Zastanawiał się, kim mogą być ci, którzy chcą go zabić i dlaczego nie wahają się użyć metod, w wyniku których może też zginąć Nadia? Najbardziej prawdopodobnymi egzekutorami wydali się mu Ukraińcy od Czeczena, jednak dlaczego wybrali Chorwację i Włochy, tego nie wiedział. Wiedział natomiast, że muszą zachować wzmożoną czujność.

– Tylko co z tego – skonstatował – jeśli nie mam broni? Jak się przed nimi obronić, skoro są zdecydowani na wszystko?

Nie znalazł odpowiedzi na te pytania, dlatego uznał, że jak najszybciej muszą wracać do Polski. Dla niego było to ważne z jeszcze innego powodu.

Włoskie i chorwackie wakacje z atrakcyjną dziewczyną pozwoliły zapomnieć o poważnej chorobie, z którą się zmagał. Zapomniał też o dodatkowych badaniach, na przeprowadzenie których profesor Tułaczkiwicz rezerwowała mu miejsce w szpitalu. Przyjęcia spodziewał się w każdej chwili i wolał, aby wezwanie zastało go w Polsce.

Samochód odebrali późnym popołudniem, co uniemożliwiło tego dnia zbyt daleką jazdę. Po krótkiej naradzie zdecydowali się na kemping w miejscowości Brijesta, odległej od Orebića o kilkadziesiąt kilometrów.

– Leży na uboczu, z dala od turystycznych atrakcji – przekonywał Pilarski. – Jestem pewien, że pozwoli nam dobrze wypocząć przed powrotem do Polski.

Jego argumenty zdawała się potwierdzać rzeczywistość. Wiele



kilometrów trasy wiodło przez niezamieszkałe tereny, co w Chorwacji nie zdarzało się często.

Do Brijesty dotarli przed zmrokiem. Kemping znaleźli po krótkich poszukiwaniach, ale jego lokalizacja przyprawiła oboje o dreszcz emocji. Niewielki zadrzewiony teren z trzech stron otaczał cmentarz. Oprócz nich zatrzymały się tu dwie przyczepy kempingowe, kamper z francuską rejestracją i kilka samochodów osobowych.

– Tutaj ciągle chowają zmarłych. – Nadia mocniej ścisnęła dłoń policjanta. – Ten umarł rok temu. – Przystanęła obok grobu pięćdziesięcioletniego mężczyzny. – To nie jest moje wymarzone miejsce, Andrzej.

– Moje też nie jest – przyznał. – Skąd mogłem wiedzieć, że to tak wygląda?

Późna pora sprawiła, że mimo licznych wątpliwości zdecydowali się na nocleg.

\*\*\*

Po śniadaniu przygotowali samochód do drogi. Ta czynność polegająca na przeniesieniu bagaży z przednich siedzeń do tyłu pojazdu nie zajęła im nawet dziesięciu minut.

– Sprawnie nam poszło. – Pilarski spojrzął na zegarek. – Zdążymy jeszcze zwiedzić Brijestę.

Od Polaków z Katowic, którym obecność cmentarza nie przeszkadzała, a jego sąsiedztwo uznali wręcz za pożądane z uwagi na panującą ciszę i spokój, dowiedzieli się, że kilkaset metrów dalej znajduje się sztolnia będąca kiedyś kryjówką jugosłowiańskich łodzi podwodnych. Pilarski, mimo protestów Nadii, uznał, że to miejsce koniecznie muszą zobaczyć.

– Ciebie rajcują wystawy sklepów – przekonywał dziewczynę – a mnie coś innego. Ty jesteś z Wenus, a ja z Marsa.

Tego porównania Pilarski nie dobrał najlepiej. Nadia, która nie spotkała

się dotąd się z tym lakonicznym opisem różnic płci poprosiła o wyjaśnienia, a że była dociekliwa, zaś on kojarzył je raczej intuicyjnie, to osiągnięcie porozumienia w tej kwestii zajęło im niemal kwadrans.

Głęboko wcinająca się w ląd zatoka, nad którą leżała Brijesta, była miejscem hodowli muli. Styropianowe boje, charakterystyczne dla tej hodowli, unoszące się na znacznej części zatoki, na pewno nie były jej ozdobą, ale dawały pracę miejscowym. Ażurowe skrzynie wypełnione po brzegi małżami piętrzyły się na przycumowanych zadaszonych łodziach. Kobiety czyściły mule, przygotowując je do sprzedaży. Rozmawiały przy tym głośno, śmiejąc się w kierunku Pilarskiego i zapraszając do pomocy.

Sztolnię znaleźli bez problemu. Znajdowała się w miejscu, gdzie betonowe nabrzeże niewielkiego portu zamieniało się w szutrowy dukt, a wejście do niej zamykał wysłużony prom samochodowy. Był takiej szerokości, że między jego burtami i skalisto-betonowym nabrzeżem sztolni pozostawał niewielki, może dwudziestocentymetrowy odstęp. Do sztolni weszli wykutym w skale krótkim tunelem – wąskim, niskim i nieoświetlonym.

– Niezła kryjówka – zauważyła Nadia, a jej głos odbił się echem od ścian i sufitu.

– W czasach Jugosławii z pewnością. – Pilarski, pochylony nad wodą, próbował dojrzeć dno, jednak z uwagi na brak słońca nie było ono widoczne.  
– Dzisiaj, przy takiej precyzji pocisków i rakiet, byłaby to raczej pułapka.

Ich uwagę zwrócił odgłos hamowania na szutrowej nawierzchni. Samochodu nie widzieli, ale tuman kurzu, który pojawił się tuż obok promu, świadczył, że auto zatrzymało się blisko niego.

– Andrzej! – Nadia zbladła. – To my jesteśmy w pułapce. Wyjdźmy stąd jak najszybciej!

Przyspieszyli kroku, ale było już za późno. W wąskim prześwicie między ścianą sztolni a promem zobaczyli dwóch mężczyzn zmierzających szybkim krokiem w ich stronę.

– Andrzej, cofnijmy się! – Głos Nadii brzmiał zdecydowanie. – I nie graj bohatera. To ludzie Czeczena. Znają swój bandycki fach. – Jej zdania były krótkie jak wojskowe rozkazy.

– Ale posłuchaj...

– Nie ma żadnego „ale”! – przerwała mu. – Rób to, co ci powiem. Teraz stań za mną.

Kiedy mężczyźni zniknęli w krótkim tunelu, Nadia szybko otworzyła turystyczną torbę przewieszoną przez szyję i podała Pilarskiemu nóż. Był ciężki i bardzo nietypowy.

– Schowaj go za plecami – powiedziała szeptem. – Podasz, kiedy krzyknę „dawaj”.

– Co ty kombinujesz? Nie mamy szans, pertraktujmy. – Także szeptał.

– Zamknij się, nie upuść noża i nic przy nim nie majstruj!

Waży chyba z kilogram, pomyślał, splatając ręce na plecach.

Kiedy mężczyźni wyszli z ciasnego tunelu, okazało się, z kim będą mieli do czynienia. Obaj byli wysocy i nosili marynarki, które prawdopodobnie miały ukryć broń. Rysy ich twarzy, z uwagi na panujący półmrok, trudno było dostrzec, ale sprężysty krok obu świadczył o dobrej kondycji i przygotowaniu do zadania, jakie mieli wykonać.

– Teraz już nam nie uciekniesz, ty putinowska kurwo! – wycodził przez zęby pierwszy z nich. – Pożegnaj swojego przyjaciela. – Wyciągnął spod marynarki nóż z długim i wąskim ostrzem.

Dzielił go od dziewczyny metr, może półtora. Szedł powoli, stawiając małe kroki. Od czasu do czasu wykonywał pchnięcie nożem, jak szpadzista. Ona cofała się w tym samym tempie z rękami podniesionymi jak do bokserskiej walki. Pilarski też się cofał, utrzymując stały dystans między nimi. Drugi z napastników zatrzymał się przy wyjściu z tunelu i założył kastet.

– Pożalujecie tego, co robicie! – Na twarzy szpadzisty pojawił się grymas

uśmiechu. – Ty i twoja *holowa*<sup>18</sup>.

Do skalnej ściany będącej zakończeniem sztolni zostało tylko kilkanaście metrów, gdy Nadia wydała okrzyk głośny, wręcz przeraźliwy, odchyliła ciało, w ułamku sekundy wykonała obrót i ze wszystkich sił kopnęła mężczyznę w krocze. Ten wrzasnął, a jego krzyk zwielokrotniło echo, upuścił nóż, złapał się oburącz za krocze i zgięty wpół zwałił się do wody.

– Dawaj! – Nadia, nie spuszczać z oczu mężczyzny z kastetem, przeniosła rękę za siebie. Przez sekundę, może dwie manipulowała przy nożu i wolno ruszyła w stronę napastnika. Mężczyzna w pośpiechu schował kastet i sięgnął po pistolet. Zanim go odbezpieczył, w sztolni rozległ się krótki trzask, a ręka dziewczyny została odrzucona do tyłu. Napastnik złapał się za szyję. Jego pistolet odbił się od ściany i spadł na betonowe nabrzeże sztolni. Mężczyzna, ciągle trzymając się za szyję, padł na kolana, a spomiędzy jego palców tryskała krew.

\*\*\*

Wrócili na kemping szybkim krokiem. Samochodu, którym ktoś przywiózł ludzi Czeczena, nigdzie nie spotkali. Jego kierowca musiał obserwować sztolnię i odjechać natychmiast, kiedy Nadia unieszkodliwiła drugiego napastnika.

Niemieckiemu turyście zostawili dziesięć euro dla właściciela kempingu i spokojnie odjechali. Przyspieszyli dopiero za Brijestą.

– Zagrzeb! Lotnisko! – Dziewczyna nie przestawała wydawać rozkazów. Była tak podekscytowana, tak zdeterminowana, że Pilarski nie wątpił, iż próba kwestionowania jej słów źle by się dla niego skończyła. Jej dziewczęcy urok i subtelność kochanki zniknęły i nic nie wskazywało na to, by miały powrócić. On sam z towarzysza wakacyjnej podróży stał się nagle kierowcą taksówki, której pasażerka żąda, wymaga i nie znosi sprzeciwu.

Rozumiał tę zmianę. Jeśli nikt nie zajrzy szybko do sztolni i nie udzieli pomocy, to dziewczyna będzie odpowiedzialna za śmierć dwóch ludzi – jeden się wykrwawi, a drugi utonie. Nieważne, że to byli przestępcy i że ona

działała w obronie własnej, ważne, że będzie odpowiedzialna za ich śmierć.

Targały nim jeszcze innego rodzaju wątpliwości. Dlaczego nazwano ją putinowską kurwą? Skąd miała ten dziwny nóż i znała metody samoobrony, które on widział podczas gali MMA albo turnieju wschodnich sztuk walki? No i dlaczego chciano ją zabić? Nie jego, jak podejrzewał, ale właśnie ją?

Via Adriatica, którą od godziny jechali, nie urzekła już ich widokami zapierającymi dech w piersiach. Tak, one były, bo zdaniem wielu, to jedna z najbardziej malowniczych dróg świata, ale ich umysły zaprzętały zupełnie inne sprawy.

– Wracasz na Ukrainę? – przerwał długie milczenie.

– Tak, wracam do siebie – odpowiedziała, nie przestając śledzić drogi na mapie. – Ty nie musisz się obawiać konsekwencji. W każdym razie nie takich, jak ja, gdybym wróciła do Polski.

– Myślisz, że na Ukrainie nic ci nie grozi?

Nic na to nie odpowiedziała.

Był przekonany, że dziewczyna jest agentką Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i że rozpracowuje mafię ściągającą haracz od Ukraińców pracujących w Polsce. Najwidoczniej mocno musiała się mafii dawać we znaki, skoro postanowiono ją zabić. Tylko czy na Ukrainie będzie bardziej bezpieczna? Nie będzie, tego był pewien.

Za Makarską stromo pnącym się łącznikiem dotarli do autostrady Dubrownik-Zagrzeb i mogli przyspieszyć. Adriatyk ustąpił miejsca górcom, które otaczały ich ze wszystkich stron.

– Jak oni to robią? – zastanawiał się głośno po wyjeździe z drugiego tunelu o blisko sześciokilometrowej długości. – W takim terenie budują drogi taniej niż my na nizinach.

\*\*\*

Aby dojechać do portu lotniczego nie musieli przejeżdżać przez Zagrzeb. Położenie lotniska na południowy wschód od miasta pozwalało zaoszczędzić

czas, którego mieli bardzo mało.

Oboje chcieli opuścić Chorwację, zanim zaczną ich poszukiwać policja. Istniała wprawdzie możliwość, że tak się nie stanie, ale niewielkie mieli na to szanse. Byli pewni, że napastnicy nigdy sami się na policję nie zgłoszą, jednak obrażenia jednego z nich były na tyle poważne, że jeśli przeżył, musiał skorzystać z pomocy pogotowia, a lekarze, widząc ranę ciętą szyi na pewno powiadomili policję.

– Co to był za nóż? – zapytał, gdy wróciła z biletem lotniczym w dłoni.

– Któraś z wersji NRS<sup>19</sup>. – Schowała bilet do torebki. – Jest na wyposażeniu Specnazu<sup>20</sup>.

Zdziwiła go ta informacja. Wyposażenie służb specjalnych Federacji Rosyjskiej jako uzbrojenie agentów Ukrainy? Z drugiej jednak strony byłem na Ukrainie, myślał, i nic nie powinno mnie dziwić.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał z nutką sentymentu w głosie. – To były niezapomniane wakacje.

– Dla mnie też – odpowiedziała, patrząc na tablicę odlotów. – I to pod każdym względem.

Spojrzał na tę samą tablicę, jednak wśród kilkunastu miast Europy nie znalazł Kijowa. Lwowa, Doniecka i Charkowa, czyli największych, poza stolicą, miast Ukrainy też wśród nich nie było.

– Pasażerów odlatujących do Frankfurtu prosimy o przejście do bramek siedem i osiem – informował po chorwacku głos spikera i Nadia podniosła się z ławki.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że źle zrozumiał albo że dziewczyna chce rozprostować kości, może pójść do toalety, dlatego w skupieniu wysłuchał komunikatu w wersji angielskiej. Brzmiał tak samo.

– Do zobaczenia, Andrzej! – Wtuliła się w jego ramiona. – Dziękuję i przepraszam za wszystko.

– Frankfurt? – zapytał bezgranicznie zdziwionym głosem.

– Frankfurt – odpowiedziała. – Z Zagrzebia nie ma bezpośrednich lotów do Moskwy.

\*\*\*

Poczty nie odbierał przez trzy tygodnie. Nie miałby z tym żadnego problemu ani we Włoszech, ani w Chorwacji, gdyby tylko chciał, ale nie odczuwał takiej potrzeby. Obecność Nadii w tak urozmaicony sposób wypełniała mu cały urlop, że o Internecie nawet nie myślał.

Nadia. Nad tym, kim ona właściwie jest, zastanawiał się przez całą drogę do Polski. Podczas nieprzespanej nocy, którą spędził na parkingu przy węgiersko-słowackiej granicy, a nawet podczas wynoszenia bagaży z samochodu, kiedy już zaparkował pod blokiem. Nie doszedł jednak do konkretnych wniosków, a wszystko przez tę podróż do Moskwy. Tak, Moskwa najbardziej prawdopodobne teorie czyniła nieprawdopodobnymi.

W skrzynce mailowej znalazł prawie dwieście wiadomości. Był to w większości spam, który kasował całymi blokami, dwie reklamy, które go zainteresowały i... list od Ewy Konieczny. Miał romantyczny tytuł – *Czy mnie jeszcze pamiętasz?* – ale nie współgrał on z jego treścią. W mailu wysłanym kilka dni wcześniej Ewa przepraszała za Ukrainę, ale później w dramatycznych słowach prosiła o pilny kontakt. Nie napisała, w jakiej sprawie, jednak ton listu nie pozostawiał wątpliwości, że w ważnej.

– Przynajmniej dla niej jest ona ważna – mruknął pod nosem i sięgnął po telefon.

\*\*\*

Jego urażona duma nakazywała prezentować się godnie, dlatego na spotkanie ubrał się ze swobodną elegancją. Włożył jasną koszulę, krawat, popielatą marynarkę i dżinsy. Przed lustrem spędził prawie kwadrans, uważnie sprawdzając każdy szczegół ubioru. Był przekonany, że Ewa będzie gustownie ubrana i w kwestii ubioru nie chciał od niej odstawać. Nie wiedział tylko, jak ma się zachować. Że godnie, to było oczywiste, ale

konkretnie jak?

Od upokorzenia przez nią minęło już sporo czasu, jednak dla niego było ono tak traumatycznym przeżyciem, że często o nim myślał. Nawet wtedy, kiedy nie chciał, wspomnienia przychodziły same. Był pewien, że będą go prześladowały do końca życia.

Zagłębiając się w takich myślach usiadł przy stoliku w rogu niedużej sali jednej z kawiarni na wrocławskim Rynku.

– Cześć – usłyszał z tyłu znajomy, ale zgaszony głos.

Odwrócił się.

W pierwszej chwili jej nie poznał. Stała przed nim kobieta w szarym płaszczu sięgającym kolan, z niedbale uczesanymi włosami wystającymi spod popielatego kapelusza z niewielkim rondem. Duże ciemne okulary zasłaniały znaczną część twarzy i od razu przywołały wspomnienia Lubow<sup>21</sup>, która pod takimi samymi okularami ukrywała konsekwencje życia z mężem pijakiem. Niedbale zawiązana apaszka i zniszczone buty na płaskim obcasie dopełniały obrazu mało atrakcyjnej kobiety.

– Cześć – odpowiedział zmieszany i zaskoczony. Wstał i podał rękę. – Usiądź, proszę. – Odsunął krzesło.

– Dżentelmen jak zwykle. – Uśmiechnęła się smutno, wieszając torebkę i przerzucając płaszcz przez oparcie krzesła.

Milczeli oboje. On przyglądał się jej uważnie, próbując bezskutecznie odnaleźć niedawną towarzyszkę prowadzonych dochodzeń – energiczną, atrakcyjną, pewną siebie, elokwentną, inteligentną i jednocześnie skromną kobietę. Ona, wpatrzona w blat stolika, unikała jego spojrzenia. Upokorzenie, które mu zaserwowała, wcale nie dawało jej satysfakcji.

– Leczę się, Andrzeju – przerwała nieznośną dla obojga ciszę. – Nie chciałam cię skrzywdzić, ale samo tak wyszło.

Nic samo nie wychodzi, pomyślał.



– Było, minęło – powiedział. – Już mi to obojętne. Już o tym zapomniałem – skłamał.

– To dobrze. – Nieco się ożywiła. – Będzie mi łatwiej powiedzieć o tym, z czym przyszedłam. – Chusteczką przetarła wilgotne oczy. – Pamiętasz Dorotę Woroniecką z Trzebnicy i dochodzenie w sprawie jej śmierci, które razem prowadziliśmy?

– Oczywiście – odpowiedział. – Ja nadal je prowadzę.

– Po przyjeździe z Ukrainy wróciłam do tej sprawy. Sama z siebie, ot tak, po prostu, bo w policji już nie pracuję. Przez przypadek poznałam człowieka, który mieszkał naprzeciw mieszkania Doroty. Był singlem, a że pani Dorota była osobą bezpruderyjną i okien nie zasłaniała, każdego wieczora obserwował jej mieszkanie. Najpierw robił to z czystej ciekawości, może zaspokajając w ten sposób swoje erotyczne fantazje, ale później uznał, że będzie wszystko fotografował. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej niewielki plastikowy przedmiot. – Zanim zginął, zdażył mi przekazać blisko czterdzieści zdjęć – podała go Pilarskiemu. – Tobie mogą się przydać, mnie już nie. Wycofuję się z tego dochodzenia.

– Jak zginął? Wypadek? – Pilarski z zainteresowaniem obracał w palcach pendrive'a.

– Powiesili go. W jego własnym mieszkaniu.

– Może sam odebrał sobie życie?

– Nie, został zamordowany. Na jego ciele znaleziono siniaki i zadrapania. On walczył, Andrzej, może nawet był torturowany.

– Kiedy to było? – Pilarski zmarszczył czoło. – Dlaczego nic o tym nie wiem?!

– Dwa tygodnie temu – zamyśliła się i ponownie sięgnęła do torebki. Wyjęła notes i chwilę go kartkowała. – Nie dwa tygodnie, dziesięć dni. Musiał im powiedzieć, że interesuję się zabójstwem jego sąsiadki. Na szczęście nie wspomniał o tych zdjęciach.

– Coś mi się tutaj nie zgadza. – Pilarski schował pendrive'a do torby. – Przecież Dorota zginęła kilka miesięcy temu. Dopiero teraz ktoś zamordował fotografa?

– Widocznie dowiedzieli się o nim niedawno. Być może fotograf też był przez kogoś obserwowany i ten ktoś przekazał zabójcom informacje.

– Może – powiedział bez przekonania. – A skąd wiesz, że nie wspomniał im o tych zdjęciach?

– Tydzień temu dostałam maila. Ktoś napisał, żebym przestała się interesować Trzebnicą. Dokładnie takiego sformułowania użył nadawca listu. Nie napisał o Dorocie, ale ogólnie o Trzebnicy. Tego samego dnia córka przyniosła kopertę, którą przed szkołą wręczyła jej jakaś młoda kobieta. W kopercie był list tej samej treści. – Ewa ponownie wytarła wilgotne oczy. – Oni znają mój adres! – powiedziała szeptem przez zaciśnięte zęby. – Następnego dnia wywiozłam córkę z Poznania na drugi koniec Polski. Nie wiem na jak długo. To była decyzja podjęta pod wpływem emocji, może nieprzemyślana, ale chciałam chronić dziecko. Pytałeś o zdjęcia. W mailu i w liście wręczonym córce nie było o nich ani słowa. Gdyby wiedzieli, że je mam, to na pewno by po nie przyszli.

– Mówiłaś komuś o tych fotografiach?

– Nie, nikomu nie mówiłam. Te zdjęcia mogą być dowodem w sprawie zabójstwa Doroty. Jestem pewna, że jest na nich jej morderca.

– Sądysz, że mieszkanie Doroty było miejscem spotkań ludzi Czeczena?

– Czeczena? Nie znam. Kim jest Czeczen?

– To dowódca komanda namierzającego i likwidującego ludzi, którzy w czasie wojny dali się we znaki Ukraińskiej Powstańczej Armii.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to w mieszkaniu Doroty spotykali się ludzie Czeczena! Zamordowany fotograf robił nie tylko zdjęcia scen łóżkowych, ale też innych sytuacji. Ja doliczyłam się na tych zdjęciach w sumie aż sześciu różnych osób. Samych mężczyzn. Na pewno nie jest to cała grupa związana z

Czczenem. Brakuje na przykład kobiety, która dała list mojej córce.

\*\*\*

Spotkanie z byłą asystentką nie odnowiło uczucia, którym kiedyś ją darzył.

– Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki – odpowiedział na jej sugestię, że mogliby raz jeszcze spróbować, skoro zaczęła się leczyć.

Przyjęła jego słowa spokojnie, jakby innych nie spodziewała się usłyszeć, podała mu dłoń na pożegnanie i bez słowa wyszła z kawiarni.

Po powrocie do mieszkania od razu zabrał się za przeglądanie fotografii. Ponumerował je, a w notatniku zaczął tworzyć listę osób, które na nich występują. Nie było to łatwe zadanie, chociaż zdjęcia były wyjątkowo dobrej jakości. Starał się identyfikować ludzi po rysach twarzy, kolorze włosów, ubiorze i tym podobnych cechach, jednak ciągle miał wątpliwości. Wracał do już przeanalizowanych zdjęć, porównywał je i poprawiał notatki.

Od mniej więcej połowy przejranych fotografii lista siedmiu osób figurujących w notatniku przestała się powiększać.

Kiedy zrobił krótką przerwę na podwieczorek, zadzwonił telefon. Numeru, który pojawił się na wyświetlaczu, nie miał w książce adresowej, ale praca nad porządkowaniem zdjęć tak go pochłonęła, że był przekonany, iż ktoś chce rozmawiać w sprawie Czczena i jego towarzyszy. Mylił się jednak. To był telefon ze szpitala, do którego zapraszano go już za trzy dni. Profesor Tułackiewicz dotrzymała słowa danego kilka miesięcy wcześniej, a w jego życiu zaczynał się nowy okres. Okres, w którym sprawa Czczena i w ogóle sprawy zawodowe miały się stać tłem zupełnie innych zmaganiań.

\*\*\*

– Brakuje nam dwóch ważnych badań. – Izabela Smolińska, lekarka prowadząca, spojrzała mu prosto w oczy. – Nowego USG oraz rezonansu magnetycznego.

– Ma szaroniebieskie oczy – skonstatował. Na chwilę zapomniał, gdzie

się znajduje i co go tutaj przywiodło. Zapomniał, że w szpitalu jest już czwarty dzień. Wyobraził sobie, że z tą drobną blondynką, zdecydowaną, konkretną, fizycznie niezwykle atrakcyjną, o falujących i spadających na ramiona włosach, znalazł się nagle na bezludnej wyspie. Że idą plażą, trzymając się za ręce do urokliwej zatoczki, w której...

– Badanie USG będzie pan miał w poniedziałek. – Doktor Smolińska sprowadziła go z tropików w realia Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego. – Radiolodzy oglądali płytkę z tomografu komputerowego. W pańskiej wątrobie są dwie zmiany. Niestety znajdują się zbyt wysoko, aby można było wykonać biopsję. Prawdopodobnie trafi pan na chirurgię naczyniową, gdzie wytną tę zmienioną część wątroby. Miał pan wirusowe zapalenie wątroby typu B i C, a marker nowotworowy AFP ciągle rośnie. Nie będę ukrywała – ponownie nawiązała z nim kontakt wzrokowy – że podejrzewamy raka wątroby. Oprócz USG konieczny jest jeszcze rezonans magnetyczny, ale u nas kolejka jest długa. Spróbuję to załatwić, jednak jeśli się nie uda, proszę to badanie zrobić prywatnie.

– A prywatnie nie można u państwa zrobić tych badań wcześniej? Czas jest chyba bardzo ważny.

– Tak, czas jest ważny. – Doktor Smolińska kiwnęła głową. – Ale my nie wykonujemy prywatnych badań, to szpital publiczny. Musi pan czekać albo rezonans zrobić prywatnie. Ja na pana miejscu bym nie czekała.

\*\*\*

Pilarski przyzwyczał się do czekania. Najpierw w kolejce do lekarza kwalifikującego do przyjęcia do szpitala, później do rejestracji, gdzie na nadgarstek założono mu opaskę z kodem paskowym, i wreszcie do pielęgniarki na oddziale gastroenterologii i hepatologii. Przyzwyczał się też do pytań osobistych, chwilami intymnych, zadawanych przez lekarzy i pielęgniarki w obecności innych pacjentów, czasem też ich gości.

– Wiek, wzrost, waga, przebyte choroby, papierosy, alkohol, na co uczulony? – Ładna i postawna pielęgniarka, w białym fartuchu odsłaniającym więcej niż połowę uda, wypełniała kolejne pozycje

kwestionariusza.

– Będzie pana prowadziła doktor Smolińska – powiedziała w końcu i na dużej tablicy umieściła papierowy pasek z jego nazwiskiem wśród kilkudziesięciu innych nazwisk. – Sala numer piętnaście, ale proszę chwilę poczekać. – Odłożyła długopis i wyszła na korytarz. – Krysia! – Usłyszał jej donośny głos. – Piętnastka gotowa?

Zajęta sprzątaniami salowa odpowiedziała coś, czego nie zrozumiał.

– Nie czternastka! – Pielęgniarka przekrzykiwała zgiełk szpitalnego korytarza. – Piętnastka! Skaranie boskie z tymi pacjentami. – Wróciła do dyżurki kręcąc głową. – Napisane wyraźnie, żeby nie używać komórek, a oni nic sobie z tego nie robią. Sala będzie wolna dopiero za godzinę. Proszę na razie rozgościć się w świetlicy. Powiem, kiedy będzie się mógł pan wprowadzić. To sala czteroosobowa i dwa łóżka są wolne – wyjaśniała, podpisując równocześnie jakiś dokument podsunęty bez słowa przez inną pielęgniarkę.

– Łóżka przy oknie są zajęte – kontynuowała. – Na jednym leży emerytowany pracownik Ogrodu Botanicznego. To sympatyczny starszy pan, którego między sobą nazywamy Botanikiem. Drugie zajmuje pan Zygmunt. To ciężki onkologiczny przypadek – rak wątroby.

\*\*\*

Sala numer piętnaście była przestronna i jasna. Biały sufit, jasnobłękitne ściany, okno wychodzące na szpitalne patio i drugie, umieszczone w suficie, dawały wystarczająco dużo światła, by nawet w pochmurny dzień nie trzeba było używać sztucznego oświetlenia. Łóżka z grubym gąbkowym materacem, statywem na kroplówki i wysuwaną częścią pełniącą rolę stolika, wyposażone były w mechanizm umożliwiający ręczne podnoszenie zagłówka. Miały też kółka, pozwalające zawieźć pacjenta na salę operacyjną lub na obciążające organizm badania. Przy każdym łóżku znajdowała się szafka z odkrytą półką i szufladą. W rogu po lewej stronie drzwi był stół i dwa krzesła, a po prawej umywalka.

Botanik leżał na boku tyłem do drzwi przykryty kołdrą i kocem. Spał lub nie usłyszał, bo nie odpowiedział na „dzień dobry” Pilarskiego. Pan Zygmunt leżał na plecach i spał.

Zawartość niewielkiej torby inspektor sprawnie umieścił w szafce, kurtkę i polar powiesił na ściennym wieszaku dla odwiedzających, włożył pasiastą piżamę i z lubością wyciągnął się na łóżku. Kilkugodzinny pobyt w szpitalu, wypełniony czekaniem i załatwianiem różnych formalności, zmęczył go tak bardzo, że od razu usnął.

\*\*\*

– Panie Pilarski! – Ktoś delikatnie potrząsał jego ramieniem. – Proszę się obudzić.

Otworzył oczy i niezbyt przytomnym wzrokiem usiłował odgadnąć rzeczywistość.

– Nazywam się Izabela Smolińska. – Ładna, niewysoka blondynka stała obok łóżka. – Chcę zadać panu kilka pytań.

– Oczywiście. – Usiadł na łóżku. Zapinał bluzę od piżamy, której rozsunięte poły odsłaniały zarośnięty tors. – Przepraszam, trochę się zdrzemnąłem.

Kilka pytań zapowiadanych przez lekarzkę zmieniło się w kilkadziesiąt, a wywiad przeciągnął się do pół godziny.

– Wiem już chyba wszystko. – Lekarka zamknęła gruby notatnik. – Resztę powiedzą wyniki badań. Zbadamy krew i mocz, a jutro czeka pana kolonoskopia. Może pan zjeść lekki posiłek... – spojrzała na zegarek – ale tak do czternastej, później już nie. Aż do samego badania – powiedziała, wychodząc.

\*\*\*

– Pan Pilarski proszony do dyżurki – usłyszał z głośnika, którego nie potrafił zlokalizować. W kolejnych dniach przekonał się wielokrotnie, że oddział był nagłośniony w sposób umożliwiający skuteczne przywołanie

pacjenta niezależnie od tego, w którym miejscu się znajdował.

– Tu jest pojemnik na mocz. – Pielęgniarka, która go przyjmowała, postawiła przed nim plastikowy słoiczek z przykrywką i z nazwiskiem. – Tu są cztery saszetki Fortransu – kontynuowała. – To środek przeczyszczający. Proszę każdą z nich rozpuścić w litrze wody i wypić do dwudziestej pierwszej. Oczywiście nie może pan nic jeść. Teraz proszę usiąść i podciągnąć rękaw – pobiorę panu krew. Cztery fiołki, bo doktor zleciła komplet badań.

\*\*\*

Wypicie czterech litrów rozpuszczonego środka przeczyszczającego, na co dano mu siedem godzin, okazało się dużym wyzwaniem. Lekko słodkawy smak, najpierw całkiem przyjemny, z każdym łykiem stawał się coraz bardziej nieznośny. Smakowy dyskomfort pogłębiała dodatkowo konieczność korzystania z toalety. Był to widomy znak skuteczności działania preparatu, z czego, mimo fizycznych dolegliwości, w gruncie rzeczy się cieszył.

\*\*\*

Botanik obudził się, kiedy Pilarski uporał się z pierwszym litrem.

– O! – zawołał radośnie. – Witam szanownego pana sąsiada. Będę miał z kim pogadać. Od dwóch dni leżę sam. – Spojrzał na ciągle śpiącego pana Zygmunta, skrzywił się i machnął ręką. – A wszyscy narzekają, że szpitale są przepełnione i że nie przyjmują pacjentów.

– Dzień dobry szanownemu panu. – Pilarski także się starał być wyszukanie uprzejmy. Szybko jednak skonstatował, że jego spontaniczna odpowiedź mogła zostać odebrana, jako przedrzeźnianie.

– Ja też się cieszę – skłamał.

Skłamał, bo w gruncie rzeczy był samotnikiem i nad długie rozmowy z przypadkowymi ludźmi przedkładał ciszę sprzyjającą rozmyśleniom. Poza tym pobyt w szpitalu chciał wykorzystać do przeczytania kilku książek, które od długiego czasu czekały w kolejce. Tak, dla ich lektury postanowił zapomnieć o Nadii, Czeczeniu, Dorocie i wszystkich sprawach, które

prowadził. Nie przewidział jednak, że zbyt towarzyscy pacjenci mogą mu w tym skutecznie przeszkodzić.

Botanik był postawnym mężczyzną w podeszłym, ale nieokreślonym, wieku, o ogorzałej od słońca i wiatru twarzy, na której jednak malowało się zmęczenie poważną chorobą. Ostre zapalenie trzustki, które przywiodło go do szpitala, jeszcze kilka dni temu groziło śmiercią, jednak teraz powoli z niego wychodził. Charakter miał pogodny, a usposobienie gawędziarza. Na dowolny temat mógł prowadzić ożywione dyskusje przy użyciu poprawnej polszczyzny, aczkolwiek ze śpiewnym kresowym akcentem.

Pan Zygmunt stanowił przeciwieństwo Botanika niemal pod każdym względem. Chudy mężczyzna, o twarzy pociągłej i żółtej jak воск, którego oczy nijakiego koloru były głęboko zapadnięte, a wrażenie to potęgowały dodatkowo krzaczaste siwe brwi. Sumiaste, także siwe, wąsy upodobniały go do Piłsudskiego. Nogi miał chude i krzywe z licznymi brązowymi plamami. Nienaturalnie duży brzuch sprawiał, że mógł zapiąć jedynie dwa górne guziki piżamy. Spodni nie nosił – zastępował je pampers. Dwa dni później od wnuczki pana Zygmunta Pilarski miał się dowiedzieć, że guza wielkości męskiej zaciśniętej pięści wykazał rezonans magnetyczny zaledwie kilka dni temu, a ogólny stan zdrowia pana Zygmunta i fatalne wyniki badania krwi nie pozwalały go operować. Być może świadomość bliskiej już śmierci sprawiała, że pan Zygmunt prawie się nie odzywał. Całymi godzinami leżał na plecach z otwartymi ustami wpatrzony w sufit, jakby wypatrywał nieba, do którego było mu tak niedaleko.

– Wie pan – zagaił Botanik, podpierając się na łokciu w pozycji półleżącej – że dopiero drugi raz jestem w szpitalu?

– Gratuluję dobrego zdrowia. – Pilarski odwrócił się w stronę staruszka.

– E tam! – Botanik machnął ręką, jakby chciał się obronić przed atakującą osą. – Zdrowia to ja już mam coraz mniej. W czasie wojny to było, w czterdziestym roku.

– Przepraszam, o czym pan mówi? – Pilarski, którego wzrok i myśli



podążyły przez chwilę za odbitą w oknie postacią przechodzącą korytarzem pielęgniarki, bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie wątek opowieści staruszka.

– O szpitalu – zdziwił się mężczyzna. – Mówiłem, że drugi raz jestem w szpitalu. W czterdziestym roku byłem po raz pierwszy. Na wsi koło Kut to było, na wiosnę. Ruscy zażądali od Rumunii Bukowiny, szykowali się do wojny i chcieli przekroczyć Czeremosz, bo Bukowina, drogi panie, za Czeremoszem była. Wrzód mi wtedy wyrósł, o tutaj. – Odrzucił kołdrę i dotknął palcem lewego uda nieco poniżej pachwiny. – Blizna na całe życie mi została. Ten ruski doktor, felczer raczej – poprawił się – to fajny chłop był. W naszej stodole z żołnierzami nocował i nigdy nie trzeźwiał. „Ciąc trzeba”. Skrzywił się, kiedy zobaczył nogę. „No chodź” – powiedział. W stodole podał mi szklanekę, a drugą wziął dla siebie. Ze skórzanej torby wyjął butelkę spirytusu i narzędzia chirurgiczne zawinięte w białe płótno. Rozlał spirytus do szklanek i kazał wypić. Drogi panie, ja miałem wtedy siedemnaście lat! Broniłem się, ale nie pomogło. „Pij” – rozkazał. „To nie będzie bolało”. Nie smakowałem, wypilem trzema łykami i nie mogłem złapać tchu. Myślałem, że gardło mi wypali i oczy z głowy wyskoczą, a doktor śmiał się. „Wot mołodiec<sup>22</sup> – kiwał z uznaniem głową. Wypił swoją porcję, wytarł dłonią usta i kazał się położyć na słomie. Nie wiem, jak to zrobił, bo w jednej ręce miał szczypce, a w drugiej nóż z krótkim ostrzem, ale bolało, jak cholera. Dwaj żołnierze zajrzeli przez uchylone drzwi, aby zobaczyć, kto i dlaczego tak krzyczy. Doktor, drogi panie, dał im znak, że wszystko w porządku, a moją nogę owinął bandażem. Później przykrył mnie wojskowym płaszczem i kazał leżeć do wieczora. To był, drogi panie, mój pierwszy pobyt w szpitalu. He, he – zaśmiał się cicho Botanik. – Szpital, drogi panie, w stodole, a łóżko na słomie. Z tamtego szybko wyszedłem, a z tego już ledwie...

Zanim Pilarski zdobył się na komentarz, Botanik opadł na poduszkę i natychmiast zapadł w drzemkę.

\*\*\*

– Mogę? – zapytała szczupła blondynka, wskazując wolne krzesło obok Pilarskiego, który po półgodzinnym spacerze szpitalnym korytarzem odpoczywał obok dyżurki pielęgniarek.

– Oczywiście! – Policjant energicznie podniósł się z krzesła. – Będzie mi miło.

Blondynka była wnuczką pana Zygmunta. Przyszła do niego po południu, ale dziadek jak zwykle spał.

– To lekarze doprowadzili dziadka do tego stanu. – Kobieta protekcyjnie dotknęła ramienia Pilarskiego. – Dokładnie jedna lekarka. Ta z poradni chorób wątroby.

– Podziwiam pana. – Jedna z pielęgniarek, wychodząc z dyżurki, zatrzymała się na chwilę. – Trzeba mieć zdrowie, żeby podrywać tak atrakcyjne dziewczyny. – Uśmiechnęła się i odeszła, kręcąc biodrami i głową.

– Taktem to ona nie grzeszy. – Blondynka, zadowolona z komplementu, kontynuowała opowieść: – Dziadek od dwudziestu lat chodził do tej przychodni. Ufał lekarce bezgranicznie i złego słowa nigdy o niej nie powiedział. Czuł się dobrze, to myśleliśmy, że jest zdrowy. Zaniepokoił nas jednak guz na wątrobie wykryty podczas badania rezonansem magnetycznym. Od tamtej pory, już prywatnie, zaczęliśmy robić regularnie badania USG. Guz rósł, marker nowotworowy też, a lekarka zapewniała, że na pewno nie jest złośliwy. Podawała uspokajające przykłady, dziadek jej wierzył, a my dziadkowi. – Pokręciła z dezaprobatą głową. – Od jakiegoś czasu zaczął mu rosnać brzuch. Myśleliśmy, że tyje, bo apetyt miał wilczy, ale trzy tygodnie temu dziadek poczuł się źle. Poszliśmy do lekarza rodzinnego, a on od razu dał skierowanie do szpitala. Tutaj wykonali badania i nie mieli wątpliwości, co dziadkowi dolega. Powiedzieli, że to rak, z którym nic już nie można zrobić. Lekarka prowadząca spytała, dlaczego przyszliśmy tak późno. To było dobre pytanie, blondynka sięgnęła po chusteczkę, ale nie do nas. Wytarła łzę spływającą po policzku, tylko do lekarki z poradni. Teraz dziadkowi pozostał najwyżej miesiąc życia, a duży brzuch to woda. –

Kobieta ponownie położyła dłoń na ramieniu Pilarskiego. – Lekarze mówią, że to wodobrzusze i że będą tę wodę ściągali. To jednak dziadkowi już nie pomoże.

Opowiadanie blondynki zaciekało Pilarskiego. Wyłaniał się z niego dobrze znany mu obraz i droga, którą sam przeszedł.

– Pamięta może pani nazwisko tej lekarki z poradni? – zapytał.

– Marzena Wilk – bez wahania odpowiedziała wnuczka pana Zygmunta.

\*\*\*

Spacerom, które szpitalnym korytarzem Pilarski odbywał regularnie, towarzyszyła zawsze refleksja o przemijaniu.

– Przecież ten dziadek, z wyjątkowo krzywymi nogami, w białych kalesonach i z widocznym pampersiem był kiedyś młodym chłopcem, za którym oglądały się dziewczyny. Nie podpierał się, jak dzisiaj, dwiema laseczkami, nie wykonywał z trudem posuwistych kroczków, tylko biegał, grał w piłkę i pewnie uprawiał inne sporty. A ta siwiuteńka jak gołąb babuleńka korzystająca z chodzika? Jest drobna, choroba na stałe zdeformowała jej ciało do pozycji pokory, ale ufne i bystre spojrzenie brązowych oczu oraz rysy twarzy mówią, że kiedyś była ładną dziewczyną.

Ech, czasie, czasie! Dlaczego wciąż płyniesz? Dlaczego się nie zatrzymasz i nie pozwolisz ludziom cieszyć się szczęściem? Dlaczego wszystko kiedyś się skończy? – takie myśli kłębiły się w głowie policjanta zawsze, gdy przyglądał się ludzkiemu nieszczęściu skumulowanemu w szpitalnych salach i na korytarzach.

Życie jest jednak pełne niespodzianek, pomyślał i zaśmiał się w duchu, kiedy zgarbiona staruszka zatrzymała się obok niego.

– Czy pan mnie zna? – zapytała ciepłym głosem. – Bo ja sobie pana nie przypominam. – Zmarszczyła czoło, jakby chciała odświeżyć pamięć.

– Nie, nie znam pani. – Odwzajemnił uśmiech. – W szpitalu, inaczej niż w życiu, czas płynie wolno, to człowiek siedzi, rozmyśla, obserwuje...

– W szpitalu inaczej niż w życiu – powtórzyła staruszka i zamilkła. – Ładnie to pan powiedział. Bo ja młodość pamiętam tak, jakby była wczoraj, a to już tyle lat minęło. Dziewięćdziesiąt trzy lata mam.

– Piękny wiek – odpowiedział. – Ja takiego nie dożyję.

– To i nie ma pan czego żałować. Bo co to za życie jest? Choroba goni chorobę, pieniędzy na leki brakuje, coraz mniej można samemu zrobić, innych prosić trzeba. Byle jaka ta starość, byle jaka.

– A gdzie się pani urodziła?

– Na pięknych i przeklętych Kresach, a konkretnie, to w stanisławowskim województwie. Na wsi, panie... – Zawiesiła głos.

– Mam na imię Andrzej. – Pilarski wstał i lekko się uklonił.

– Nienaganne maniery, panie Andrzeju. Kto dzisiaj wstaje przed starym człowiekiem... – Znowu się zamyśliła. – A ja mam na imię Zofia.

– Panie Pilarski, koniec romansów. – Sympatycznie zapowiadającą się rozmowę przerwała pielęgniarka, ta sama, która komentowała jego spotkanie z wnuczką pana Zygmunta. – Pójdzie pan ze mną.

– A gdzież to dziewczę pana porywa? – W głosie pani Zofii pobrzmiwała symulowana zazdrość.

– Kolonoskopia – skrzywił się.

– Uuuu ... – Udawana zazdrość pani Zofii zamieniła się w prawdziwe współczucie.

\*\*\*

Labiryntem korytarzy dotarli do rejestracji.

– Tutaj już panem pokierują. – Pielęgniarka położyła dokumentację w okienku. – Ja wracam na oddział.

Odpowiedział na kilka pytań zawartych w ankiecie, podpisał zgodę na badanie i zapytał, kto jest ostatni w kolejce.

– Tutaj, proszę pana, to po nazwisku wołają. – Chuda czterdziestolatka o ziemistej cerze poprawiła szlafrok. – Nie trzeba pilnować kolejki, wołają.

Podziękował i uspokojony usiadł na krześle.

Nie czekał długo, najwyżej kwadrans.

– Pana Pilarskiego proszę. – Szczupła pielęgniarka o krótko obciętych jasnych włosach zwróciła się wprost do niego.

W pierwszej chwili się zdziwił, skąd wie, że on to on, ale kiedy wstając, spojrzał przelotnie na oczekujących pacjentów, zrozumiał – był jedynym mężczyzną.

– Założę panu wenflon – zdecydowała pielęgniarka, wkładając lateksowe rękawiczki i manualnie badając jego żyły.

– Nie będzie bolało, prawda? – zapytał przejęty. – To jakaś fobia, ale najbardziej boję się zastrzyków.

– Wenflon nie jest zastrzykiem. – Pielęgniarka otwierała sterylne opakowanie.

– Ale też ma igłę – nie ustępował.

– Owszem, ma. I co z tego?

– Dla pani pewnie nic, ale dla mnie... – Nie dokończył.

– No i po bólu. – Pielęgniarka uśmiechnęła się po wkłuciu w żyłę na wierzchu lewej dłoni. – Teraz pójdziemy do sali zabiegowej. – Wyrzuciła do pojemnika rękawiczki.

Wąskim i pustym korytarzem przeszli do miejsca tortur.

– Za tymi drzwiami jest przebieralnia. Proszę rozebrać się od pasa w dół i okryć tym prześcieradłem. – Wręczyła mu mały, niebieski pakunek. – Osobiste rzeczy proszę położyć na drucianej półeczce pod łóżkiem, na którym będzie pan badany.

O tym badaniu Pilarski chciał zapomnieć jak najszybciej. Było bolesne, i

to pomimo dużej dawki leków znieczulających, jakie mu podano.

– Ma pan nietypowy układ jelit – tłumaczył tę sytuację lekarz przeprowadzający badanie.

Pilarski dobrze o tym wiedział – od pamiętnych badań przesiewowych, podczas których przeszedł pierwszą w życiu kolonoskopię.

Na sali obserwacyjnej spędził pół godziny. Traumatyczne przeżycia związane z przebytym badaniem przywołały w jego pamięci hasło *Leczymy bez bólu*, które widział w jakimś miejscu szpitala.

Kłamią, pomyślał i zapadł w krótką drzemkę.

– Panie Pilarski – obudził go głos pielęgniarki – jak się pan czuje?

– Dobrze – odpowiedział bez przekonania.

O samopoczuciu pytany był kilkakrotnie, a w końcu uznano, że może wracać na oddział.

– Niech się pan ubiera – oświadczyła pielęgniarka – tylko proszę nie robić kina, bo tu są panie.

– A co to panie gołego chłopca nie widziały? – odciął się.

– Jasne, że widziałyśmy! – niemal równocześnie odpowiedziały dwie pacjentki, które, podobnie jak on, przychodziły do siebie po badaniach. – Nie musi się pan krępować.

\*\*\*

– Panie Andrzeju! – usłyszał, kiedy przechodził obok sali pani Zofii. – Proszę, niech pan wejdzie.

Zdziwiło go to zaproszenie i w pierwszej chwili pomyślał, że pani Zofia potrzebuje pomocy. Wiedział, że pacjenci wzajemnie sobie pomagają. Czasem tylko wzywają pielęgniarki, ale zwykle wykonują za nie proste czynności.

Utwierdził się w tych przypuszczeniach, kiedy się przekonał, że w

dwuosobowej sali pani Zofia była jedyną pacjentką. Leżała na boku przykryta kołdrą z czerwoną pieczętą Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego.

– Smutno mi, panie Andrzeju. – Uśmiechnęła się. – Nie mam z kim słowa zamienić, a pana od razu polubiłam. Proszę usiąść i porozmawiać ze mną, bo jak pan widzi, sama jak ten palec jestem. W życiu sama, w szpitalu sama... – Zamyśliła się. – Miałam dwóch synów. – Powłoką kołdry wytarła łzę wolno spływającą po twarzy. – Jeden pracował w wojsku przy izotopach. Dobry był jak mało kto, nieba by każdemu przychylił, ale umarł. – Zamilkła. – Czterdziestu lat nie miał, jak umarł – mówiła po chwili. – Szpik mu przeszczepili, ale nie pomogło. Białaczka go zabiła. Starszy syn od dziecka był niedobry. Żyje, ale co z tego? Od dawna przestał do mnie pisać, telefonować, przyjeżdżać. Kocham go, jak każda matka, ale on mnie nie kocha. Takie życie, panie Andrzeju. – Spojrzała na Pilarskiego smutnym wzrokiem.

– No takie – zdobył się na lakoniczny komentarz, nie znajdując słów, którymi mógłby pocieszyć panią Zofię. – Wczoraj zapytałem, gdzie się pani urodziła – zagadnął, chcąc podtrzymać rozmowę. Odpowiedziała pani, że na pięknych i przeklętych Kresach. To, że były piękne, wiem, ale przekłete?

– Tak, panie Andrzeju... – Kobieta wolno kiwała głową. – Przekłete. To, co banderowcy tam zrobili, to ludzkie pojęcie przechodzi. Polska popełniła błąd, zajmując te ziemie, a my za ten błąd zapłaciliśmy straszną cenę. Po co nam to było? Nas, Polaków, nigdy na Kresach wielu nie było – etnicznie to były ukraińskie ziemie. Czy pan wie, że we wsi, w której mieszkałam, na czterysta numerów tylko dwadzieścia osiem było polskich i dziewięć żydowskich? To jaka to była Polska, panie Andrzeju? Czy to mogło przetrwać?

– Nie mogło, pani Zofio, jednak to, co zrobili banderowcy...

– Tego zrozumieć nie można – dokończyła. – Zwłaszcza że my lubiliśmy Ukraińców i Żydów. Z jednym żydowskim chłopcem to nawet chodziłam... – Zamyśliła się.

– Chodziła pani z żydowskim chłopcem? – zdziwił się. – Takie mieszane polsko-żydowskie związki chyba należały do rzadkości.

– To prawda, ale jaki to był związek? Nic poważnego, taka niewinna młodzieńcza miłość. No, prawie niewinna – dodała, a jej bladożółta twarz lekko się zaróżowiła. – Joel, tak miał na imię, pokazał mi, na czym polega obrzezanie. Ale Ukraińcy i Żydzi nie lubili się nawzajem – dodała szybko, chcąc zakończyć wątek związku z Joelem. „Moszko, Moszko parszywy i parszywy” – wołali Ukraińcy. „Durny Iwanko” – odpowiadali Żydzi. „Ty Iwan, to wodę Żydom nosić! Ty nic innego nie potrafisz!” Dlatego Ukraińcy nie lubili Żydów. Tak było, panie Andrzeju. – Pani Zofia naciągnęła kołdrę na nogi.

Pilarski tym razem się nie odzywał.

– Jak nadszedł szabas – mówiła już po chwili – to Żydzi nigdy nie prosili Ukraińców o pomoc, tylko Polaków. Bo ich wiara była bardzo surowa. W szabas nie wolno im było nawet zapałki zapalić. To my, polskie dzieciaki, przynosiliśmy im drewno z szopy do palenia, sprzątaliśmy u nich. Nie, Żydzi o nic Ukraińców nie prosili. Nie daj Panie Boże, aby jakieś ukraińskie dziecko kręciło się koło żydowskiego domu. Rodzice im nie pozwalali, ale i Żydzi nie chcieli. Trzeba jednak przyznać, panie Andrzeju, że racji trochę mieli, bo ukraińskie dzieci bardzo Żydom dokuczwały, przezywały ich. Żydzi, panie Andrzeju, zwykle mieli dużo dzieci, a ukraińskie siadały i te dzieci liczyły. To Żydzi przeganiali ich, rzucali kamieniami i wołali, żeby swoje zęby liczyli, a nie ich dzieci. Tak, Ukraińcy i Żydzi nie lubili się wzajemnie.

Opowiadanie zmęczyło panią Zofię i zamilkła na kilka minut. Pilarski, który z jednej strony poczuwał się do obowiązku skomentowania słów kobiety, ale z drugiej nie chciał jej dodatkowo męczyć, nie wiedział, jak ma się zachować. Staruszka zauważyła to od razu.

– Proszę usiąść z drugiej strony łóżka. Muszę się odwrócić na lewy bok. Na plecach leżeć nie mogę, garb mi przeszkadza. Ci nasi Żydzi zginęli w okropny sposób – kontynuowała opowiadanie. – Niemcy wywieźli ich do Zabłotowa, do getta. Krótko ich tam trzymali. Wyprowadzili na górę



Chomową, wzgórze raczej, i doły kazali kopać. Nad nim ustawili deski, stawiali na nich Żydów i strzelali. Niemcy strzelali, a ukraińscy nacjonaści pomagali im Żydów prowadzić na te deski. Żydzi spadali do dołu, jedni na drugich. Wieczorem Ukraińcy mieli ich zasypać, ale Niemcy rozkazali poczekać do następnego dnia, do kolejnej egzekucji, i dopiero wtedy ziemię z wapnem zmieszać, żeby zarazy nie było. – Pani Zofia zaczęła płakać. – To z emocji, panie Andrzeju, przepraszam. Nasz sąsiad też tam był – mówiła po chwili, lekko pociągając nosem. – Nazywał się Musyn i był mężem Rywki. Tej, która w szabas prosiła nas o pomoc i dawała za to słodycze. Musyna nie zabili, tylko go ranili. I on się w nocy wydostał spod ciał i przyszedł do nas. Wtedy za pomoc Żydom była śmierć i babcia Kasia strasznie przejęła się przyjściem Musyna. Powiedziała, że nie chce nic widzieć i słyszeć, bo nas wszystkich Niemcy rozstrzelają. A Niemcy byli blisko, w dworze naszego hrabiego mieli sztab. Żyd przebrał się, ogolił i został u nas ponad pół roku. Wieczorami gdzieś znikał, nocą wracał, a w końcu powiedział, że musi odejść, bo ma jakiś kontakt. Chyba z innymi Żydami, bo powiedział, że pojedzie do Ameryki. W końcu odszedł, chociaż nikt mu nic nie mówił i nie prześladował. Powiedział, że będzie się z nami kontaktował, ale nigdy tego nie zrobił. Może zginął? Od nas na Chomów<sup>23</sup> było trzy kilometry. Ukraińcy posypali ciała rozstrzelanych Żydów wapnem i jakimś środkiem dezynfekcyjnym, a później zasypali grób, ale dość cienką warstwą ziemi. Polacy, którzy tam jeździli, mówili, że przez kilka dni ziemia się ruszała. Nikt nie wiedział, czy byli tam jeszcze żywi ludzie, czy już zachodziły procesy chemiczne. Mogli być żywi, bo Żydów ustawiano na deskach grupami, w których były matki z dziećmi na rękach i strzelano do nich seriami z karabinów. Więc chyba nie wszystkich zabili od razu.

Ostatnie słowa pani Zofia wypowiadała coraz wolniej i ciszej, a w końcu usnęła. Pilarski nasunął kołdrę na jej odkryte ramię i dyskretnie opuścił salę.

– Tyle zupy to on nie zje – usłyszał, zanim wszedł do swojej sali i zaintrygowany zatrzymał się przed drzwiami. – Szpinak proszę zabrać, on nie cierpi szpinaku! Albo nie, może jednak zje. Niech pani da połowę. Nie, ryżu to on nie lubi bardziej od szpinaku, ale więcej sosu to niech pani da. Albo

nie, niczego nie wezmę! Proszę zabrać wszystko!

– O ludu! Odwiedzający są gorsi od pacjentów! – Jedna z salowych rozwożących obiad przykneła oko, patrząc na Pilarskiego. – Nijak dogodzić im nie można, a przecież nie oni będą jedli.

– No jedz! – Postawna brunetka, jak się okazało, siostra pana Zygmunta, teraz strofowała brata.

– Moje lepsze niż szpitalne! Bitki z indyka w orientalnych przyprawach ci zrobiłam. Nie przyprawiałam na ostro. No wiesz, oregano i takie tam. Strują was w tym szpitalu – szerokim uśmiechem przywitała Pilarskiego.

\*\*\*

– Panie Pilarski... – Doktor Izabela Smolińska patrzyła to na opis tomografii, to na niego. – Nie wygląda to dobrze. W tej sytuacji przed gastroskopią zrobimy jeszcze USG.

Tomografię komputerową zleciła lekarka rodzinna kilka tygodni wcześniej na usilną prośbę Pilarskiego.

– Jest pan leczony w poradni chorób wątroby – oponowała. – To oni powinni dać to skierowanie, ale widocznie uznali, że nie jest konieczne.

Pilarski wysłuchał jeszcze kilku cierpkich uwag, jednak upragnione skierowanie otrzymał. Badanie wykonano w jednej z prywatnych pracowni, a jego opis znajdował się właśnie w rękach doktor Smolińskiej.

– USG będzie miał pan w poniedziałek u radiologów – kontynuowała lekarka. – Wie pan, jak się do niego przygotować?

– Wiem, ale to dopiero za cztery dni! Czy będę miał w tym czasie jakieś badania?

– Nie, innych badań nie będzie. Proszę odpoczywać.

\*\*\*

Dwa pierwsze dni minęły Pilarskiemu nadspodziewanie szybko. Stało się tak za sprawą pani Zofii, emerytowanej nauczycielki języka polskiego, która

w policjancie znalazła wiernego słuchacza opowiadań ze swojej młodości.

– Mój pierwszy syn, ten niedobry – zaczęła – urodził się w listopadzie czterdziestego drugiego roku, a na wiosnę w czterdziestym trzecim już chowaliśmy się przed UPA. To byli miejscowi banderowcy, nie przyjezdni. Wie pan, sąsiedzi, tacy na dobre i na złe, to nam zdawało się, że nie mamy powodów do obaw. Uspokajała nas Ukrainka Katrunia. Nie uciekajcie, nie chowajcie się, niczego nie róbcie. Włos z głowy wam nie spadnie, bo wy dobrzy jesteście. Was nie zabiją – mówiła. Ale my, panie Andrzeju, my baliśmy się. Mój ojciec zrobił schron w ogrodzie. Wykopał głęboki dół, wyścielił go słomą i w nim mogłam się z synkiem schować. Miałam powietrze i było mi ciepło. Karmiłam go piersią, a on ciągle płakał. Żaden z Ukraińców by mnie przyjął. Reszta rodziny ukrywała się w różnych miejscach, zwykle u swoich ukraińskich sąsiadów. Taki to był czas, panie Andrzeju, tak duże to były przeżycia, że pamiętam nazwiska tych dobrych Ukraińców. Jeden nazywał się Petro Tomczuk, a drugi Marusiak. I wie pan, ten Marusiak był taki jakiś inny. Nie wiem, czy się nie bał, czy nas tak bardzo lubił, bo raz przyszedł i powiedział: Chodźcie do mnie, nie bójcie się, nic wam się nie stanie. I babcia Kasia ukrywała się u niego.

Opowiadanie zmęczyło panią Zofię. Leżała na boku z zamkniętymi oczami i złożonymi jak do modlitwy dłońmi pod głową. Oddychała głęboko i Pilarskiemu wydawało się, że usnęła. Siedział jeszcze chwilę, a w końcu uznał, że pora wracać do swojej sali.

– Proszę zostać. – Kiedy ostrożnie wstał, staruszka na chwilę otworzyła oczy. – Trochę się zmęczyłam, ale już jest dobrze.

Usiadł, pogładził kobietę po twarzy i słuchał.

\*\*\*

Ukraińcy mordowali w nocy. W czterdziestym trzecim roku, latem, przyszła do nas Ukrainka Katrunia i mówi:

– Pani, porznęli młynarza Srokowskiego.

Srokowski był głównym młynarzem w dużym hrabiowskim parowym

młynie. Miał pięciu synów i córkę. Tak, panie Andrzeju, banderowcy wyróżnili całą jego rodzinę. Osiem osób! Chociaż to były straszne czasy, to jedno zdarzenie może wywołać, jak by to panu powiedzieć, może nie uśmiech, ale...

Babcia Kasia wracała nad ranem od Marusiaków. Niedaleko domu natknęła się na konny oddział, który wzięła za żołnierzy radzieckich.

– Uważajcie – mówi do nich – tu gdzieś są banderowcy. Wczoraj zamordowali całą rodzinę Srokowskiego.

Jeden z nich zaśmiał się głośno i kazał babci iść do domu. Po chwili cały oddział zaśpiewał *Czerwoną katynę* – pieśń, którą banderowcy śpiewali po udanej akcji. Przerażona babcia ledwie doszła do domu. Później okazało się, że spotkała ten sam oddział, który wymordował Srokowskich. Nasza sytuacja była beznadziejna. W każdej chwili groziła nam śmierć i nie wiedzieliśmy, co robić. Udaliśmy się więc do sielsowietu, gdzie pracował Ukrainiec Petro, przyjaciel dziadka.

– Petro, co my mamy robić? – pyta go dziadek.

– Nie zastanawiaj się, tylko zabieraj rodzinę i uciekaj do Zabłotowa – odpowiedział. – To jest miasto, tam są Rosjanie, będzie lepsza opieka i was będzie więcej.

Tato przyszedł do domu i powtórzył, co mu powiedziano, ale dziadek nie chciał słyszeć o zostawieniu gospodarstwa, więc zostaliśmy.

W październiku czterdziestego czwartego urodził się Franek, mój drugi syn. Franek był bardzo spokojnym dzieckiem. Miał dwa tygodnie, kiedy zaniósłam go do cioci na noc i powiedziałam, żeby się nie martwiła, bo przyjdę przed wieczorem i nakarmię piersią. No i poszłam. Była cudowna pogoda, wkoło wszystko zaczynało żółknąć, bo to była jesień, a ja z maleńkim Rysiem, bo nie powiedziałam panu, że mój pierwszy syn miał na imię Rysio, szłam do cioci na noc, aby nakarmić dziecko. Szłam przez łąkę, a Rysia prowadziłam za rączkę, bo miał już prawie dwa lata. Gdy doszliśmy do skarpy przy moście, z drugiej strony wyszedł Mikołaj Ramiuk – mój

rówieśnik, który ze mną siedział w jednej ławce.

– Teraz cię zarżnę – mówił z poważną miną, a moje nogi zrobiły się miękkie.

– Za co, Mikołaju? – pytam. – Co ja ci zrobiłam? Za co mnie zabijesz?

– Boś ty Polka, a wy, Polacy, cholery nie warci i ciebie zarżnę. Ale wiesz, nie zarżnę ciebie. Nie zabiję ciebie, zostawię, ale pamiętaj, jeśli zdradzisz, że ciebie widziałem i nic ci nie zrobiłem, to zginę, a mnie matka raz rodziła. Ja zginę i wy wszyscy zginiecie, bo za mnie przyjdą inni i was pozabijają.

– Mikołaju, ja nie powiem nikomu.

– A gdzie ty idziesz?

– Do cioci Stefki.

– To pamiętaj, abyś cioci też nic nie powiedziała.

– Mikołaju, no daj spokój, nikomu nie powiem, że cię widziałam.

– No dobrze, to ja ciebie nie ruszę, ja tobie nic nie zrobię, ale powiedz swojemu mężowi, żeby was zabierał, żebyś ciebie już więcej nie spotkał, bo kto wie, czy następnym razem będę mógł ciebie zostawić.

Poszłam z płaczem do cioci i powiedziałam jej o zdarzeniu, a ona bardzo się przestraszyła.

– Wiesz co – mówi – idź ty do Dmytra Waczeszenoho, on ciebie przenocuje, bo już z nim rozmawiałam. Tam będziesz bardziej bezpieczna i ja też.

No to wzięłam Rysia za rączkę i poszliśmy. Poszliśmy do Dmytra, a Franka zostawiłam u cioci. Ciocia mówiła, że dziecko grzecznie spało całą noc, jakby wiedziało, że płakać nie może.

Przyszłam do Dmytra, a on mówi:

– Pani, schowam was, ale się boję. Oni tej nocy mają przyjść.

Dmytro miał łóżko – szerokie i głębokie aż do podłogi, taką jakby

skrzynię. Łóżko było pełne słomy, a na tej słomie było prześcieradło samodziałowe i oni, Ukraińcy, spali na tej pościeli. Było ich siedmioro, spali jedno przy drugim. Dmytro wywalił słomę, nałożył deski, a mnie z Rysiem schował do tego koryta.

– Pani, ale dajcie temu dziecku na sen, żeby nie płakało.

Synek trzymał całą noc pierś i był cicho, ale nad ranem rozplakał się okropnie i Dmytro mówi:

– Pani, wyłóżcie stąd, już jasno.

Wyszedł przed dom, rozejrzał się dokoła i wrócił.

– Pani, już się nie bójcie, ich nie ma. Poszli. Idź sobie, pani, do lasu, tam Biesiadecki siedzi, idź do niego i siedźcie razem. Bo mnie przez was powieszają.

Poszłam do tego lasu i spotkałam Biesiadeckiego. Głęboko w lesie siedział przed zrobionym przez siebie szałasem. Był naszym bliskim sąsiadem i bardzo bogatym człowiekiem. Jego córka mieszkała w Załuczu i była żoną wysokiego urzędnika państwowego, a żona, sparaliżowana, umarła i został sam. Miał blisko osiemdziesiąt lat, miał zaniki pamięci i nie zawsze wiedział, co robi, ale przed banderowcami do lasu uciekał. Nie wiem, co się z nim później stało. Przesiedzieliśmy tam jeden dzień i jedną noc, a w tym czasie banderowcy wymordowali Trójcę, polską wioskę leżącą nad Prutem. Tej samej nocy Ukraińcy napadli na moją wieś. Babcia Kasia ukrywała się wtedy u Dmytra... zaraz, zaraz... Nie, nie pamiętam jego nazwiska. No i do jego domu przyszli banderowcy, a babcia Kasia spała na łóżku z żoną Dmytra.

– U was są Polacy – mówią banderowcy.

– Nie, nie ma – odpowiedział Dmytro, a babcia leżała przytulona do ukraińskiej kobiety.

Ona wstała i mówi:

– Nie ma u nas Polaków, a to śpiąca córka.

Ukrainiec wystrzelił, a babcia od tego wystrzału ogłuchła, ale przeżyła!

\*\*\*

– Panie Andrzeju... – Kobieta ujęła Pilarskiego za rękę. – Dziękuję, że słuchał pan cierpliwie. Jeszcze dużo panu opowiem, ale już nie dzisiaj. Zmęczyłam się. Muszę odpocząć.

\*\*\*

W swojej sali Pilarski nie miał z kim rozmawiać.

Botanik, już prawie wyleczony z ostrego zapalenia trzustki, zmienił się niespodziewanie z gawędziarza w milczka i bez końca przeglądał ilustrowane czasopisma, których kilka przyniósł ze szpitalnej świetlicy.

Pan Zygmunt z godziny na godzinę był coraz słabszy i większość czasu spał. Z tego powodu przez dwa dni Pilarski prawie nie wychodził z pokoju pani Zofii, słuchając opowieści o czasach jej młodości. Nie przerywał opowiadań, tylko czasami zadawał krótkie pytania. To przebywanie razem sprawiło, że obojgu czas szybciej upływał i, co w szpitalnej rzeczywistości miało duże znaczenie, zwyczajnie się polubili.

Sobota zaczęła się podobnie. Po śniadaniu pani Zofia zaprosiła go do siebie, ale nie przyszedł od razu.

– Tylko się ogolę, pani Zofio – powiedział i rzeczywiście miał taki zamiar. W drodze do łazienki, którą każda sala miała na korytarzu, zatrzymała go jednak rozmowa pielęgniarek.

– Może pana Bilońskiego położymy na piętnastce? – usłyszał.

– Bilońskiego? – powtórzył w myślach. – Skąd ja znam to nazwisko?

Goląc się, nie przestawał o tym myśleć i w końcu sobie przypomniał.

To ten pieprzony naukowiec z uniwersytetu, którego poznałem w mieszkaniu Ewy, skonstatował ze złością.

Przypomniał sobie także, że Biloński uwielbiał sałatkę z owoców morza, której on szczerze nie cierpiał. Wtedy, z powodu fascynacji Ewą i zwyczajnej

zazdrości, naukowca nie znosił bardziej od sałatki. Dzisiaj jednak nie miało to już żadnego znaczenia.

Może ją brać, jeśli tylko chce, myślał. Za to upokorzenie na Rabińcu może z nią przerabiać wszystkie pozycje Kamasutry, a jemu, Pilarskiemu, będzie to najzupełniej obojętne. Ale może to nie ten sam człowiek? – wątpił.

Kiedy po kwadransie wrócił do sali, Botanik i pan Zygmunt drzemali, a czwarte łóżko nadal było puste. Nowy pacjent zjawił się wkrótce, gdy Pilarski porządkował szufladę szpitalnej szafki.

– Dzień dobry – powiedział ogólnie i przez chwilę uważniej przyglądał się policjantowi.

– Dzień dobry, panie Pawle – usłyszał w odpowiedzi.

To był ten sam Paweł Biloński.

\*\*\*

Nowy pacjent rozpakował niewielką torbę, podniósł zagłówek łóżka i z rękami splecionymi na karku, z lubością wyciągnął się na kołdrze. Przez chwilę wpatrywał się w sufit, a w końcu odwrócił się w stronę Pilarskiego.

– Pan mnie zna, to i ja pana pewnie też, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

– Mieszkanie Ewy Konieczny, morderstwo na Sępolnie, UPA i mafia ukraińska. – Policjant, który też leżał na plecach, odwrócił się w jego stronę i podparł głowę ręką. – To pana sugestie doprowadziły nas na właściwy trop i pozwoliły ująć morderców.

– Znowu ta Ukraina. – Naukowiec wyduł usta. – Bieda, korupcja i jeszcze ferment na wschodzie. Zobacz pan, że Rosja wkroczy do akcji, a wtedy może być różnie. Amerykanie chcieliby na Krymie mieć swoje bazy, a od tego już tylko krok do wojny.

Rozmowa policjanta i naukowca obudziła Botanika. I ożywiła go tak bardzo, jakby ten temat wstrzyknął mu potężną dawkę adrenaliny.



– Pochodzę z Pokucia – powiedział. – W czterdziestym czwartym tam się dopiero działo! Banderowcy robili, co chcieli, ale kiedy wkroczyli Rosjanie, to już tak dobrze nie mieli.

– Bo Rosjanie nie cierpieli ukraińskich nacjonalistów. – Biloński wszedł w słowo Botanikowi. – Wtedy nie cierpieli i teraz tak samo. Ja im się zresztą nie dziwię. Nacjonaści, obojętnie jakiej narodowości, to bardzo niebezpieczni ludzie. Zdeterminowani, bezwzględni, gotowi siłą bronić wyznawanej ideologii i siłą ją narzucać.

Ciekawie zapowiadającą się rozmowę przerwały panie rozwożące obiad.

– Trzustkowa i dwie wątrobowe. – Jedna z nich czytała rozpiskę diet. – Nowy może dostać tylko zupę.

\*\*\*

Na obiad był barszcz i makaron z serem, ale syn pana Zygmunta przyniósł jeszcze pierogi. Kiedy pacjent uporał się z barszczem i trzema pierogami, ciężko opadł na łóżko. Nie poleżał jednak długo.

– Przyniosłam ci bitki wołowe w sosie musztardowym i kiszzone ogórki – wołała już od progu jego siostra.

– Od dwóch dni mam biegunkę – jęczał pan Zygmunt. – Nie dam rady.

– Dasz, dasz! A biegunka to od szpitalnego jedzenia. Zdrowego mogą otruć, a co dopiero ciężko chorego. No jedz, na zdrowie. – Wpychała w brata bitki i pokrojone ogórki, jak w tuczoną gęś.

Po wizycie syna i siostry pan Zygmunt kilka razy wybiegał do toalety, a wychodząc z niej, nigdy nie mył rąk. Z toalety musiał skorzystać też Biloński, ale po otwarciu drzwi natychmiast się cofnął. Dyskretnie, mimicznym gestem pokazał Pilarskiemu egzekucję przez powieszenie i kręcąc głową położył się na łóżku.

– Co panu dolega? – zapytał po kilku minutach potrzebnych, by ochłonać.

– Lekarze podejrzewają raka wątroby. – Pilarski przykrył się kocem. – Właściwie to pewna diagnoza.

- Skąd się to u pana wzięło?
- Wirusowe zapalenia wątroby. Dawno, dawno temu.
- I co z tym zrobią? Wytną?
- Nie mam pojęcia, chyba tak.

– Mnie wycięli dwa miesiące temu woreczek żółciowy. – Biloński skrzywił się na to wspomnienie. – Jakaś, kwa jego mać, pielęgniarka z bożej łaski, chyba pierwszy raz penisa widziała, bo nie potrafiła mnie zacewnikować. No, nie potrafiła! Tak fiuta pokiereszowała, że porobiły się zrosty i zwyczajnie sikać nie mogę. Cewnikowali mnie kilka razy, kalibrowali i nic. Bolało, jak cholera, a efektu nie ma. Czeka mnie uretrotomia i dlatego tutaj jestem.

– Co to za zabieg? – Pilarski zdziwił się, słysząc to słowo po raz pierwszy.

– Powiem najprościej – przepchanie penisa ostrym wyciorem. Po cholere mi to było, kwa jego mać?

– A ten – Biloński ruchem głowy wskazał pana Zygmunta – to jest szczęśliwy facet.

– Szczęśliwy? Chyba pan żartuje! – Pilarski zrobił zdziwioną minę. – Rak, życia niewiele, a pan mówi, że szczęśliwy.

– A tak! Ma rodzinę, odwiedzają go, wspierają. A ja jestem sam jak palec. – W tym momencie Biloński poczuł się niepewnie, uświadamiając sobie, że tak może powiedzieć jedynie pechowy stolarz.

– A pan? Ma pan rodzinę?

– Nie mam. – Pilarski zamyślił się. – Chciałem założyć, ale nie wyszło. Popieprzone to nasze życie.

– Niech pan tak nie mówi. Wielu ludziom ono się całkiem dobrze układa.

Na dłuższą chwilę w sali zagościła cisza przerywana jedynie niespokojną drzemką Botanika i cichym pojękiwaniem pana Zygmunta.

– Wie pan – przerwał ciszę Biloński, przy okazji zmieniając temat – rok temu byłem w Petersburgu na spotkaniu z naukowcami rosyjskimi. Oni mówili tak: Katyń, nasza wina, OK. Nawiązujecie do tego przy każdej okazji i macie rację. Tylko dlaczego nie mówicie nic o zbrodniach UPA? Dlaczego nie mówicie o okrutnej śmierci stu tysięcy kobiet, osób starszych i dzieci zamordowanych siekierami, widłami i nożami? Panie Andrzeju, oni mieli rację! Co ja mogłem im na to odpowiedzieć? Albo renowacja Cmentarza Orłąt Lwowskich. Mówię do ukraińskiego profesora, że władze Lwowa utrudniają nam prace. „A skąd pan przybywa? – on na to. Z zachodniej Polski? A co wy zrobiliście z niemieckimi cmentarzami? Zrównaliście je z ziemią. Do czego mają przyjeżdżać Niemcy?”.

– No wie pan, to całkiem w stylu „a u was biją Murzynów”. – Pilarski z rękami splecionymi na karku skomentował ostatnią wypowiedź Bilońskiego.  
– Zwyczajnie uciekają od niewygodnych tematów.

– Uciekają, nie uciekają, ale mają rację. Tak, dziwny jest nasz świat. Skomplikowany, niesprawiedliwy i nieludzki.

\*\*\*

– Z żoną rozwiodłem się po ośmiu latach małżeństwa. – Biloński przerwał poobiednią ciszę. – Powodem była jej zazdrość o Ewę Konieczny, pańską asystentkę. Żona była przekonana, że mieliśmy romans.

– A nie?

– Wiem, że pan nie uwierzy, ale nie. Z Ewą to było, jak by to dobrze ująć, no... zwyczajne zauroczenie. Była wybitnie zdolną studentką, na pewno najlepszą na roku. Wiem, że kilku studentów starało się o jej względy, jednak bezskutecznie, a mi robiła nadzieję na... Cholera, brakuje mi słowa, na co robiła mi nadzieję. Na romans, może na stały związek? Na czwartym roku pojechała na obóz naukowy, który prowadziłem, i zakochałem się w niej na zabój! Jak idiota! Żona, dziecko, a ja kocham się w kobiecie o piętnaście lat młodszej! Wyobraża to pan sobie?

– Tak, jak najbardziej. – Pilarski poprawił się na łóżku. – Gdyby była

piętnaście lat starsza, to może miałbym wątpliwości. A spaliście ze sobą?

– Nigdy, mówiłem już, ale Ewa ciągle robiła mi nadzieję, że tak będzie. Kokietowała mnie, doprowadzała do szaleństwa. Wynajmowała niewielki pokój i zapraszała do siebie, częstowała sałatką z owoców morza i winem, ale to wszystko. Mówiła „nie”, chociaż dawała odczuć, że jutro może „tak”. – Naukowiec upił łyk wody mineralnej i po chwili mówił dalej. – Nie wiem, w jaki sposób żona dowiedziała się o naszych spotkaniach. Nie jest pan w stanie wyobrazić sobie piekła, jakie mi zrobiła, a w końcu postawiła ultimatum – ja albo ona. Nic to jednak nie dało. Nie potrafiłem zakończyć tej znajomości, a kiedy żona odeszła, to naszą znajomość zakończyła Ewa. Powiedziała, że czuje się winna rozpadu mojego małżeństwa i odeszła. Po prostu. – Biloński ciężko westchnął i zamilkł.

Pilarski również się nie odzywał.

– Trzy lata byłem sam – kontynuował po kilku minutach naukowiec. – Zaniedbywałem pracę, zapuściłem mieszkanie, nie dbałem o siebie. Sekretarka zwróciła mi kiedyś uwagę, że mam dziurawe skarpety. Wie pan, jak głupio się wtedy czułem? Wszystko zmieniło się, kiedy poznałem Aleksandrę. Ola była wdową. Jej mąż zmarł na zawał przed czterdziestką. Mieszkaliśmy razem osiem lat, ale rok temu też odeszła. – Biloński zasepił się, a wyraz jego twarzy mówił, że ciągle jest to dla niego traumatyczne wspomnienie.

Pilarski taktownie milczał, chociaż opowiadanie towarzysza ze szpitalnej sali go zainteresowało. Dziwił się, dlaczego tak było, i doszedł do wniosku, że to też przez Ewę Konieczny – kobietę, która w życiu ich obu odegrała tak znaczącą rolę.

– Nie pyta pan, dlaczego odeszła? – Biloński usiadł na łóżku i włożył skarpety. – Mam kłopoty z krążeniem – usprawiedliwiał się. – Nogi mi marzną.

– To pana prywatna sprawa. – Policjant zarejestrował, że skarpety dziur nie mają. – Powód odejścia jest pana prywatną sprawą. Powie pan, jeśli uzna

za stosowne.

– Miałem raka! – Biloński wziął głęboki oddech i mówił dalej. – Raka prostaty. Niezbyt agresywnego, ale jednak. À propos – spojrzał na Pilarskiego – jakie ma pan PSA?

– O czym pan mówi? – Policjant zrobił zdziwioną minę. – Co to jest pes-a?

– Co to jest PSA? – powtórzył jak echo Biloński. – Igra pan ze śmiercią. Pięćdziesiątkę pan przekroczył i nie wie, co to jest PSA! – Długo i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Nie przekroczyłem – bronił się Pilarski. – Trzech lat mi jeszcze brakuje.

– Nieważne... – Naukowiec machnął ręką. – Chorują młodszy od pana, a PSA jest markerem nowotworowym związanym właśnie z rakiem prostaty. Zresztą tutaj zrobiono panu cały szereg badań, to może i PSA wyznaczono? – zastanawiał się. – Proszę spytać lekarza prowadzącego. Ale o czym to ja zacząłem mówić? Aha, o raku. No więc zoperowano go, i to radykalnie. A wie pan, jakie są tego konsekwencje?

– Nie wiem. – Pilarski pokręcił głową.

– Takie, panie Andrzeju, że zostałem impotentem! Na rynku dziesiątki leków na potencję, za kilka złotych, dosłownie, ale dla mnie one nie są nic warte.

– Jest aż tak źle? – Policjant był szczerze zdziwiony.

– Aż tak. Są dwie metody operacji. Jedna radykalna, z konsekwencjami, o jakich mówiłem, a druga oszczędzająca wiązki odpowiedzialne za wzwód. Po tej drugiej pacjenci mają szansę na namiastkę wzwodu.

– To dlaczego nie zdecydował się pan na tę drugą metodę?

– Chciałem, ale profesor, który mnie operował, się nie zgodził. „To jest operacja ratująca życie! – powiedział. – Jeśli chce pan wariantu oszczędzającego, to proszę poszukać innego operatora. Zbyt wiele przypadków wznowy widziałem, aby na pańską prośbę się zgodzić”. Wie

pan, o tyle miał on rację, że na stole operacyjnym niemożliwa jest prawidłowa ocena stopnia rozwoju raka, a zostawienie nawet kilku komórek może spowodować nawrót choroby, przerzuty i... no wie pan – *good bye my life!* Z tym rakiem można długo walczyć, lepiej jednak nawrotu choroby nie mieć. No i wycięli te wiązki.

Po tych słowach Biloński odwrócił się na plecy i zamilkł, wpatrując się w sufit. Pilarski też milczał, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Ola była czułą opiekunką i wspaniałą towarzyszką życia, której każdy mężczyzna mógłby mi pozazdrościć. – Biloński powrócił do przerwane opowiadania. – Była, ale... Mówi się, że mężczyzna nie przestaje być mężczyzną, dopóki ma sprawne palce i język. No mam, niech pan spojrzy. – Wyciągnął dłonie i zaczął poruszać palcami, jakby grał na niewidzialnym fortepianie. Niestety Aleksandra nie tolerowała seksu oralnego i manualnych pieszczot. Zawsze była znakomitą kochanką, lubiła seks, a tu nagle nic. Namawiałem ją, prosiłem i wszystko na nic. Przy jakiejś okazji zrobiono mi badanie testosteronu. Był w górnym zakresie normy, jak u dwudziestolatka. Chęci do kochania podobne, a tu kicha. Myślałem, że taka postawa Oli to brak hormonów po menopauzie, ale było inaczej. Moja partnerka, bo ślubu nie wzięliśmy, miała dwie koleżanki, z którymi regularnie się spotykała. Nie zdziwiłem się, kiedy powiedziała, że znowu idzie na spotkanie z nimi. Byłem w domu, kiedy zadzwoniła Halina – jedna z nich. Chciała rozmawiać z Olą. Już miałem powiedzieć, że przecież jest z wami, ale ugryzłem się w język. Skłamałem, że przed chwilą wyszła na targ. Mówi się, że seksu potrzebują głównie mężczyźni, ale kobiety też, przynajmniej niektóre. Ochota na seks wcale Oli nie przeszła, tylko że ja nie mogłem jej go dać. Po kilku tygodniach oświadczyła, że ma przyjaciela, z którym od jakiegoś czasu się spotyka i że wyprowadza się do niego. Podziękowała za wspólnie spędzone lata i powiedziała, że zostawia mnie w dobrych rękach. Byłem tak zszokowany jej odejściem, że ta uwaga mi umknęła i nie dopytywałem. Halina zadzwoniła ponownie jakieś dwa tygodnie po odejściu Oli. Powiedziała, że ma coś do załatwienia w mojej dzielnicy i zapytała, czy może mnie odwiedzić.

– Panowie, dość plotkowania. – Pielęgniarka Sylwia wtoczyła do sali wózek ze strzykawkami, kroplówkami, materiałami opatrunkowymi i lekarami. Termometrem na podczerwień zmierzyła temperaturę pacjentów, odpytała w sprawie stolca i rozdała lekarstwa.

Po jej wizycie Bilońskiemu przeszła ochota na dalsze opowiadanie, co zmartwiło Pilarskiego.

Jest tak jak w telewizji, pomyślał, przerywają film w najciekawszych momentach, aby wyświetlić reklamy.

\*\*\*

– Halina była szczupłą i wysoką brunetką – po kolacji Biloński powrócił do przerwane opowiadania. – Nie przesadnie wysoką, ale metr siedemdziesiąt mierzyła. Wyraźnie zaznaczona talia i duży biust sprawiały, że miała figurę modelki. Zawsze mi się podobała, jednak nie myślałem o niej nigdy w aspekcie seksualnym. Jej mąż przebywał od dwóch lat w Anglii i prawdopodobnie związał się z jakąś kobietą, bo przestał telefonować i odbierać telefony. Od Haliny dowiedziałem się, że ona i jej koleżanki, w tym moja Ola, nie miały przed sobą żadnych tajemnic. Zdziwiło mnie, że swobodnie rozmawiały o seksie i swoich partnerach. „Oli bardzo brakowało tradycyjnego seksu – powiedziała Halina podczas naszego pierwszego spotkania. – Namawialiśmy ją na oral i wibrator, ale nie chciała o tym słyszeć. A ja, Pawle – od razu przeszła ze mną na ty – ja lubię i jedno, i drugie”. To wyznanie mnie zaskoczyło, ale i ucieszyło. Jej słowa były miodem na moje obolałe serce. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, a w końcu zapytała, czy może skorzystać z łazienki. Kiedy brała prysznic, zrobiłem porządek na stole. Miałem z tym problem, bo o porządek nigdy nie dbałem. Rozpaczliwie szukałem czystego obrusa. Przeglądałem w pośpiechu szufladę po szufladzie i w końcu znalazłem biały. Obok niego był krzyżyk, lichtarzyki i świece. To był zestaw do przyjmowania księdza po kolędzie. Wie pan, do kościoła nie chodziliśmy, ale każdego roku przyjmowaliśmy księdza. Stół przykryłem obrusem, do małej karafki wcisnąłem świecę, w barku znalazłem czerwone wino, postawiłem dwa kieliszki. Akurat do szampana, bo jeden z

dwóch do wina stłukłem kilka miesięcy wcześniej. No i spędziliśmy bardzo romantyczny wieczór. „A wiesz, dlaczego Ola nie znosiła seksu oralnego?” – zapytała mnie Halina kilka dni później. „Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – Pytałem ją o to wiele razy, ale jej odpowiedź zawsze była taka sama: Nie, bo nie”. „Nie dziwię się jej – Halina się zamyśliła. – Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć, ale co tam. Wasz związek to już historia. Kiedyś, w chwili wyjątkowej szczerości, Ola powiedziała w tajemnicy, że to jest skutek zdarzenia, jakiego doświadczyła jako siedmioletnia dziewczynka”. Wyobraża pan sobie? – Biloński mówił podniesionym głosem. – Traumatyczne przeżycie w dzieciństwie, prawie pięćdziesiąt lat wcześniej, a jego konsekwencje na całe życie!

Pilarski nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Halina opowiedziała mi całą historię. Ola pochodziła z wielodzietnej rodziny. Mieszkała w jednej z podwrocławskich wsi i jak wszyscy jej mieszkańcy chodziła do kościoła. Proboszcz miał ponad pięćdziesiąt lat i w domu rodziców Oli bywał częściej niż u innych, właściwie był przyjacielem tej rodziny. Na wsi to widziano i zazdrozczono, bo w tamtych czasach ksiądz cieszył się dużym autorytetem. Pewnego razu w sobotę, tak to zapamiętała Ola, ksiądz powiedział jej mamie, że ma bardzo zdolną córkę i on chce ją indywidualnie przygotować do wcześniejszej pierwszej komunii. Oznajmił, że jest jeszcze kilkoro takich dzieci, a zajęcia sobotnio-niedzielne będą w sąsiedniej parafii. Mama Oli była szczęśliwa, że takie wyróżnienie spotkało jej dziecko i zgodziła się od razu. Jak się pan domyśla, panie Andrzeju, nie było innych dzieci. Ksiądz zabrał Olę do domku pod lasem daleko od ich wsi. Ola nie potrafiła powiedzieć, gdzie to było, pamięta tylko, że jechali długo i że z tego domku widać było góry. Co było dalej, to może się pan domyślać. Kąpanie przestraszonej dziewczynki, wspólne spanie, łysiejąca głowa klechy między nóżkami dziecka. Tak, Ola zapamiętała, że miał duży brzuch i przerzedzone włosy. Nie, nie zgwałcił jej, ale cipkę dotykał paluchami i wylizał. Odwożąc Olę do jej rodziców, powiedział, że właśnie zrobili coś pięknego, ale to musi być ich tajemnicą. Ich i Pana Boga. Że Pan Bóg to wie, bo On wie wszystko, i tajemnicy na pewno dochowa, ale



jeśli ona komuś o tym powie, to bardzo się na nią pogniewa.

– Co za manipulacja! – Pilarski z niedowierzaniem kręcił głową. – Jak tak można?

– Klecha wiedział, co mówi! – Biloński podniósł głos. – Ola, przecież jeszcze małe dziecko, bała się panicznie bożego gniewu i milczała. Wtedy milczała i jako osoba dorosła też. Dopiero przed koleżankami się otworzyła. Zboczeniec w sutannie, kwa jego mać!

\*\*\*

– Oj, zapomniał pan o mnie całkowicie, zapomniał. – Pani Zofia z życzliwością w głosie zwróciła się do policjanta. – Ja to rozumiem, chociaż trochę mi przykro. To przez nią? – szepnęła, pokazując ruchem głowy młodą kobietę rozmawiającą z lekarzem.

– Nie, na pewno nie. – Pilarski zatrzymał wzrok na kobiecie wskazanej przez panią Zofię. – Raczej przez nowego sąsiada z sali. Ale kto to jest? Wie coś pani na jej temat?

– Oj, panie Andrzeju. Oj, oj! Jednak nie daje ona panu spokoju.

– Dopiero pierwszy raz ją widzę – bronił się.

– Proszę się nie tłumaczyć. – pani Zofia położyła dłoń na jego ramieniu. – To bardzo atrakcyjna kobieta. Nie wiem, kim jest, ale myślę, że takim samym pacjentem jak pan i ja.

\*\*\*

Pilarski obudził się w środku nocy. Światło pojedynczych lamp ze szpitalnego korytarza wpadające przez uchylone drzwi rozpraszało ciemności i w sali panował półmrok. Sięgnął po komórkę i odczytał czas. Była druga. Ani minuty przed czy po, po prostu druga.

Pan Zygmunt spał na plecach, głośno chrapiąc. Często tracił oddech i wtedy salę wypełniała przejmująca cisza. Jeszcze bardziej przejmującą była jednak chwila, kiedy pan Zygmunt oddech odzyskiwał. Wciągał wtedy powietrze całym sobą z taką łapczywością i szybkością, jakby ktoś za chwilę

miał je całkowicie z pokoju wypompować.

Biloński leżał na boku. Nie chrapał, nie sapał i w pierwszej chwili wydawało się, że nie żyje. Jedynie piórko gęsiego puchu, którym wypełniona była jego prywatna poduszka, a które usadowiło się tuż przed nosem historyka, było na przemian przyciągane i odpychane. Stanowiło to namacalny dowód na to, że pacjent jest ciągle wśród żywych.

Botanik spał na boku z ręką pod głową. Druga, z wenflonem i podłączoną kroplówką, spoczywała na kołdrze.

Pielęgniarki, to mają pomysły z tymi nocnymi kroplówkami, przemknęło przez głowę policjanta. Przecież podczas snu pacjent nie ma żadnej kontroli i łatwo może zrobić sobie krzywdę.

Po omacku wsunął stopy w kaptcie i wyszedł na korytarz. O tej porze był on zupełnie pusty i prawie ciemny, tak jakby dyrekcja szpitala w rachunkach za energię elektryczną szukała sposobu na pozbycie się ciągle narastającego długu.

Chodził z jednego końca korytarza na drugi. Gdzieś pośrodku, między dyżurką pielęgniarek a drzwiami do windy, znajdowała się jednoosobowa sala. Drzwi do niej były uchylone, ale to nie światło z korytarza rozpraszało półmrok w pomieszczeniu, tylko słaba jego smuga padająca na korytarz. Znaczyło to, że w środku świeci się światło. Zaintrygowało go to do tego stopnia, że za każdym razem, kiedy przechodził obok, zwalniał, by zgłębić tę nocną tajemnicę. Nie było to jednak proste i musiał się uciec do podstępów. Przechodząc kolejny raz, upuścił paczuszkę chusteczek higienicznych. By ją podnieść, musiał się zatrzymać, a wtedy przez szparę między niedomkniętymi drzwiami i futryną zobaczył kobietę czytającą książkę. Tę samą kobietę, na którą jego uwagę zwróciła pani Zofia. Była w łóżku w pozycji półsiedzącej, a za jej głową duży panel białego światła rozpraszał nocny mrok.

Patrzyła na niego przez szparę w uchylonych drzwiach i uśmiechała się wiedząc, że upuszczenie paczuszki to było celowe działanie. Przyglądała się

mu przez chwilę, a w końcu charakterystycznym ruchem dłoni zaprosiła go do siebie.

Wszedł cicho jak kot. Właściwie wsunął się przez uchylone drzwi, tylko lekko ich dotykając. Kobieta patrzyła na to kocie skradanie, nie przestając się uśmiechać.

– Proszę usiąść – powiedziała, ruchem głowy wskazując krzesło stojące przy stole. – Nie tam. – Wykonała nieokreślony ruch ręką, jakby się niecierpliwiła. – Proszę usiąść obok mnie.

I tę prośbę spełnił, o nic nie pytając. Inicjatywa od początku do należała niej, a on poddawał się bez sprzeciwu.

– Chcę, by został pan ze mną do rana. By pan jedynie był, nic więcej. – Ujęła jego dłoń. – Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale chociaż pana nie znam, to jest mi pan bardzo bliski. Jak brat – dodała.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, od kiedy wszedł do jej pokoju. Był przekonany, że dużo, ale jakoś dziwnie ten czas mu się nie dłużył. Siedział obok niej, a ich splecione dłonie potęgowały więź, która narodziła się przed chwilą.

Był w trudnej sytuacji. Guz wątroby, prawdopodobnie rak, nie dawał podstaw do optymizmu. Sprawy ostateczne zbliżały się zbyt szybko by, chociaż o tym wiedział, mógł ten fakt zaakceptować. Rozmyślał o tym ciągle, mimo że bardzo tego nie chciał. Ze wszystkich sił szukał zajęć, często bezsensownych, które odwracały uwagę od choroby, a tu taka odmiana. Nie musiał niczego szukać, po prostu był z nią i myślał tylko o niej, nie o raku.

Ona też nic nie mówiła. Cały czas patrzyła przed siebie, a kiedy odruchowo spojrział w tym samym kierunku, zobaczył plastikową figurkę ukrzyżowanego Jezusa rozciągniętego na dwóch patykach połączonych w kształcie krzyża. Dziwne, pomyślał. Był jednak pewien, że ona tej wątpliwej artystycznie kompozycji nie widzi, że jej wzrok podąża dalej – za ścianę, za budynek szpitala, w nieskończoność bytu.

– Niech pan coś powie.

Z rozmyślań wyrwał go jej spokojny głos.

Nie wiedział, co ma powiedzieć, i wybrał najbardziej idiotyczną z możliwych odpowiedzi. Uświadomił to sobie od razu, kiedy usłyszał własne słowa:

– Jest mi zimno.

W sytuacji bezsłownych rozważań o bycie i niebycie zabrzmiały one jak zgrzyt ostrego narzędzia rysującego tafłę szkła. Z drugiej jednak strony doznał nagłego olśnienia. Być może ona ulituje się nad nim i w geście samarytańskiego miłosierdzia, które dzisiaj nazywa się po prostu empatią, przytuli go i przekaże tę cząstkę fizycznego ciepła, którego ubytek jej nie zaszkodzi, a jemu pomoże uratować się przed hipotermią.

– Proszę zamknąć okno. – Wciąż ten sam spokojny głos. – Wieczorem wietrzyłam pokój i zapomniałam je zamknąć. Przepraszam.

– Jak ma pani na imię? – próbował podtrzymać prawie nieistniejącą rozmowę.

– Nieważne – odpowiedziała, ciągle patrząc w niewidzialny punkt. – Dzisiaj się widzimy, jutro nie. Imiona nie są ważne.

Jakbym słyszał dziewczynę z leśniczówki, pomyślał od razu. Ja to mam szczęście do tajemniczych kobiet.

– Proszę poczekać – powiedziała po kwadransie ciszy. – Muszę wyjść do toalety.

Kiwnął głową, że poczeka, a ona usiadła na łóżku i wyjęła z szafki dużą kosmetyczkę, wręcz saszetkę. Włożyła do niej mydełko, uśmiechnęła się i wyszła na korytarz zamykając za sobą drzwi.

Kobiety nie rozstają się z kosmetyczką nawet wtedy, gdy idą się wysikać, pomyślał. Założył nogę na nogę i cierpliwie czekał.

Wróciła po dziesięciu minutach, które dla odmiany dłużyły się mu niemiłosiernie. Wydawało mu się, że jest jakby inna – mniej serdeczna, a bardziej oficjalna.

– Jestem śpiąca... – Ziewając, przykryła usta wierzchem dłoni. – A panu nie chce się spać?

– Trochę tak – skłamał. – Już idę do siebie. Dobranoc.

– Dobranoc – powtórzyła. Nie zatrzymywała go, a wręcz przeciwnie. Nim wyszedł, położyła się na boku tyłem do niego i przykryła kołdrą.

Niepocieszony wrócił do swojej sali. Biloński, pan Zygmunt i Botanik spali w tych samych pozycjach, w jakich ich zostawił. Podświetlił komórkę – pokazywała czwartą trzydzieści. Skulony przykrył się kołdrą.

\*\*\*

Obudziły go podniesione głosy.

– Dałam tę kroplówkę, którą doktor zlecił! – tłumaczyła się pielęgniarka. – Proszę zobaczyć. – Podsunęła pusty plastikowy pojemnik niemal pod nos lekarza. – Nie wiem, dlaczego pacjent ma duszności.

– Co pana boli? – dopytywał lekarz Botanika, który z coraz większym trudem łapał powietrze. – Siostrzo, tlen. Szybko! – krzyknął, gdy mężczyzna przestał oddychać i palcem pokazał głowę.

– Boli pana głowa?

Botanik nie był w stanie odpowiedzieć, a jedynie zamknął oczy, co lekarz odczytał jako potwierdzenie. Niestety pacjent oczu już nie otworzył i zmarł, pomimo reanimacji prowadzonej przez kilku lekarzy zaczynających właśnie pracę.

Nagła śmierć mężczyzny, który po ostrym zapaleniu trzustki szybko powracał do zdrowia i wkrótce miał zostać wypisany ze szpitala, zaskoczyła wszystkich.

– Panie Andrzeju – mówił przestraszony Biloński – ani dnia człowiek nie zna, ani godziny, kwa jego mać! Zdrowy chłop był, a tu nagle podróż w zaświaty sobie funduje.

\*\*\*

Ten dzień Pilarski i Biloński mieli zapamiętać długo. Ledwie pracownik prosektorium zabrał ciało Botanika, a już zaczęły się problemy z panem Zygmuntem. Od kilku dni jego i tak ciężki stan ulegał systematycznemu pogorszeniu. Pacjent przestał jeść, był coraz słabszy i coraz trudniej było się z nim porozumieć. Przy okazji biopsji wątroby, którą zrobiono dwa dni temu, wstawiono mu przez przełyk rurkę do woreczka żółciowego, co miało zapobiegać wylewaniu się żółci. Po tym zabiegu pan Zygmunt rzeczywiście zrobił się mniej żółty, ale to była jedyna korzyść, jaką odniósł. Korzyść, która ani trochę nie poprawiła ogólnego stanu jego zdrowia.

Przed południem pan Zygmunt zaczął oddychać płytko i z dużą częstotliwością. Biegunka ustała, ale pojawiły się napady nudności i wymioty. Pielęgniarki nie odchodziły od jego łóżka, a w końcu wezwały lekarza.

– Ciśnienie? – Młody doktor z poważną miną przyglądał się ziemistożółtej twarzy pacjenta.

– Sto siedemnaście na sześćdziesiąt siedem – odczytała pielęgniarka.

– Panie Zygmuncie – lekarz podjął próbę nawiązania kontaktu – co pana boli?

Odpowiedział mu niezrozumiały bełkot i ledwie uniesiona ręka pacjenta.

– Dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt dwa – informowała niepytana pielęgniarka. – Cukier czterdzieści i spada.

– Glukoza, szybko! – Lekarz przyłożył stetoskop do szyi pana Zygmunta, który zaczął przewracać oczami, bełkotać i wykonywać nieskoordynowane ruchy rękami. Widać było, że bardzo chce coś powiedzieć, ale nie potrafi. Nagle zastygł z otwartymi oczami i ustami.

\*\*\*

Biloński wyszedł na korytarz, a policjant tuż po nim. Nie chciał przebywać w sali z ciałem pana Zygmunta za parawanem, a zgodnie z medyczną procedurą stan taki miał trwać pełne dwie godziny. Dopiero po

upływie tego czasu zmarły pacjent był odwożony do prosektorium.

Pilarski przemierzał korytarz szybkim krokiem i ze zdziwieniem zauważył, że szpitalne życie toczy się zwykłym rytmem.

Śmierć jest wliczona w tę działalność, pomyślał, dla nich jest to dzień jak co dzień.

Mijał właśnie salę, w której spędził kilka nocnych godzin, kiedy przyszła mu do głowy myśl, by smutną wiadomością o śmierci dwóch towarzyszy podzielić się z tajemniczą nieznajomą. Stanął przed zamkniętymi drzwiami i z pewnym wahaniem uniósł rękę, aby zapukać.

– Nie ma jej – usłyszał głos przechodzącej pielęgniarki.

– Jak to nie ma? – Odwrócił się w jej stronę ze zdziwioną miną. – Trzy godziny temu jeszcze była.

– A teraz nie ma. – Pielęgniarka rozłożyła ręce. – Była, ale się zmyła.

– Została wypisana?

– Mówię, że się zmyła. Po prostu sobie poszła.

– I nikt tego nie zauważył?

– Proszę pana – pielęgniarka pokręciła głową – mamy inne, ważniejsze obowiązki niż pilnowanie pacjentów.

\*\*\*

W bezpośrednich kontaktach doktor Izabela Smolińska zawsze zwracała się do niego po nazwisku – panie Pilarski to, panie Pilarski tamto – a on nie przepadał za tą formą prowadzenia rozmowy. Wolałby, aby młoda i atrakcyjna lekarka zamiast nazwiska używała jego imienia. Nie mógł jej jednak o tym powiedzieć i w końcu się przyzwyczaił. Tym razem było jednak inaczej.

– Panie Andrzeju – powiedziała pani doktor, na chwilę zawieszając głos, co wystarczyło, aby nabrał podejrzeń, że nie ma dobrych wiadomości. – Musimy wykonać rezonans, aby mieć pewność, więc spokojnie. Niestety

USG potwierdza nasze wcześniejsze przypuszczenia – guz ma wygląd typowy dla raka.

Słowa doktor Smolińskiej potraktował jak ogłoszenie wyroku. Znał powszechną opinię, że rak wątroby szybko przenosi pacjentów na tamten świat, a potwierdzeniem jej słuszności był przypadek pana Zygmunta.

– To ile mi jeszcze zostało? – zapytał łamiącym się głosem.

– Panie Andrzeju... – Lekarka ujęła jego dłoń. – Powalczymy. Jestem przekonana, że czeka jeszcze pana długie życie.

– A pan Zygmunt? Kilka tygodni i po człowieku.

– To zupełnie inna historia. – Nadal trzymała go za rękę. – Pan Zygmunt przyszedł do nas w ostatnim stadium choroby, kiedy rak zaczął już dawać o sobie znać, kiedy były przerzuty. Proszę mi wierzyć, że nic nie byliśmy w stanie zrobić. Zapewniam pana, że nikt na świecie nie wyprowadziłby z tego pana Zygmunta. Z panem jest inaczej. Chirurdzy naczyniowi wytną guza i powinno być po kłopotach.

Ostatnie zdanie wypowiedziane przez doktor Smolińską, a przede wszystkim dotyk jej dłoni sprawiły, że opuszczał szpital w lepszym nastroju. Jego dobre samopoczucie wynikało też z faktu, że nie odczuwał żadnych fizycznych dolegliwości.

– Podstępność to cecha wszystkich nowotworów złośliwych – powiedziała kiedyś lekarka rodzinna. – Dlatego warto się badać i warto brać udział w badaniach przesiewowych.

– Rak wcześniej wykryty jest uleczalny? – wszedł jej wtedy w słowo.

– Otóż to! Może nie każdy, ale w większości przypadków jednak tak.

\*\*\*

Dwutygodniowy pobyt w szpitalu sprawił, że nie myślał o prowadzonych śledztwach. Teraz, kiedy był już w domu, mógł do nich powrócić. Intrygowało go jednak coś innego. To mianowicie, że podczas urlopu spędzanego na Mazurach i w czasie pobytu w szpitalu, a więc wtedy, gdy nie



zajmował się sprawami zawodowymi, zdarzyły się rzeczy co najmniej dziwne. Poznał młode i atrakcyjne kobiety, w niejasnych okolicznościach umierali staruszkowie, a one niespodziewanie znikwały. Przypadek? Prawdopodobnie tak, ale intuicja podpowiadała, że może być zupełnie inaczej.

To tylko dwie sytuacje i nie można uogólniać, pocieszał się. Z drugiej jednak strony wiedział, że nie można też ich bagatelizować. Mazury daleko, młoda zielarka to już przeszłość, ale tajemnicę nieznaną ze szpitala postanowił wyjaśnić.

– Inspektor Andrzej Pilarski – przedstawił się pielęgniarce oddziałowej następnego dnia. – Prowadzę sprawę śmierci Botanika – blefował – i muszę się skontaktować z kobietą, która w tym czasie zajmowała salę jednoosobową.

– Znowu to samo! – Pielęgniarka była niezadowolona. – Już policja o nią pytała. Daliśmy wam listę wszystkich pacjentów leżących wtedy na oddziale. Zgubiliście ją?

– Mnie interesuje tylko ta jedna kobieta, a lista rzeczywiście gdzieś się zagubiła.

Pielęgniarka przeglądała opasły segregator, a po dłuższej chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Marzena Kozłowska – oznajmiła. – Adres też pan chce?

Pod wskazanym adresem w dzielnicy wrocławskiego „Trójkąta Bermudzkiego” mieszkała jednak starsza pani.

– Marzena Kozłowska? – Wydęła usta i wolno kręciła głową. – Nigdy nikt taki tutaj nie mieszkał – mówiła przez uchylone, ale zamknięte na łańcuszek drzwi. – Pomylił pan adres.

Do domu wrócił niepokieszony. Nie udało mu się rozwiązać sprawy nieznaną ze szpitala i wiedział, że szybko tego nie zrobi. O ile w ogóle uda mi się do tego powrócić, powtarzał w myślach.

Problem raka wątroby był o wiele ważniejszy.

\*\*\*

Nie znał nie tylko dobrego, ale wręcz żadnego chirurga, który wyciąłby mu kawałek wątroby, w którym usadowił się rak. Wydawało mu się jednak, że to banalna operacja i nadzwyczajne umiejętności nie są do niej potrzebne. Zdziwił się, kiedy z kartą Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego, w skrócie zwanej DiLO, udał się do poleconego doktora, nomen omen, Raczyńskiego, a ten wyraźnie przed operacją się bronił.

– Nie może pan znaleźć kogoś, kto się w operacjach wątroby specjalizuje? – pytał zakłopotany, a ponieważ Pilarski nie ustępował, stwierdził, że w takim razie wykona tę operację. – Gdybym panu odmówił – tłumaczył – poszedłbym do więzienia. Takie są przepisy. Proszę jednak powtórzyć badanie USG, najlepiej u docent Mareckiej.

– Kto pana do niego skierował? – Docent Marecka była oburzona. – On jest dobry od cycków – nie przebierała w słowach – a wątroba to wyższa szkoła jazdy! Profesor Oczkiewicz jest w tym najlepszy. Przyjmuje prywatnie i do niego niech pan się uda.

\*\*\*

Adres gabinetu profesora znalazł w Internecie, a najbliższy wolny termin był za dwa tygodnie.

– Taaak... – Profesor, szczupły, łysiejący mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, zamyślił się po dokładnym poznaniu dokumentacji. – Guz usadowił się wysoko, biopsji zrobić nie można i trzeba ciąć. Problemem jest jednak stan pańskiej wątroby. – Gładził dłonią podbródek. – Jest marska i obawiam się, że potraktowana skalpelem może przestać funkcjonować. Trudna sprawa. Proponuję, co miesiąc, wykonywać USG u docent Mareckiej i obserwować wielkość guza. Jeśli zacznie się powiększać, to nie będziemy mieli wyjścia.

Gabinet profesora odwiedził ponownie już po dwóch miesiącach, w czasie których guz powiększył się o kilka milimetrów.

– Operujemy. – Głos profesora był zdecydowany. – Parametry krwi ma pan dobre, kondycję także, więc jestem optymistą.

Po trzech tygodniach przyjęto go do szpitala i po wykonaniu niezbędnych badań, położono na stole operacyjnym.

– Nie wycięliśmy guza – tłumaczył profesor następnego dnia. – Wątroba jest w gorszym stanie, niż się spodziewaliśmy, dlatego wykonaliśmy termoablację, czyli ugotowaliśmy raka. Wycięcia zmiany mógłby pan nie przeżyć. Oczywiście pobraliśmy materiał do badań histopatologicznych, a wynik powinien być za kilka dni. My zrobiliśmy już swoje – dodał, wychodząc z sali. – Teraz powinni się panem zająć onkolodzy.

– Nie znam żadnego. – W głosie Pilarskiego pobrzmiewało pogodzenie się z losem. – Czy mógłby pan profesor kogoś polecić?

– Monika Józwik. – Profesor Oczkiewicz zatrzymał się w drzwiach. – Kiedyś była w moim zespole, teraz pracuje w innym szpitalu. Jest zdolna, nawet bardzo zdolna. Powodzenia, panie Andrzeju.

Wynik badania histopatologicznego był już po czterech dniach. Rak wątrobowokomórkowy – napisał lekarz, potwierdzając ostatecznie wcześniejsze podejrzenia.

\*\*\*

Pierwszy pomiar markera AFP dawał nadzieję na sukces operacji, jednak kolejne szybko pozbawiły go złudzeń. Rak powrócił i to ze zwielokrotnionym tempem wzrostu. Polecona przez profesora doktor Monika Józwik bezradnie rozkładała ręce.

– Chemia na raka wątroby nie działa – mówiła. – Za Nexavar<sup>24</sup> nie zapłaci NFZ, bo byłaby to już druga kuracja, a refundowana jest tylko jedna. Proszę się cieszyć z dobrego stanu zdrowia. Nie umiem powiedzieć, czy utrzyma się on przez kilka, czy przez kilkanaście miesięcy. Pomożemy, jeśli poczuje się pan gorzej.

– Pomożecie w godnym umieraniu? – zapytał wtedy zaczepnie, ale doktor

Jóźwik nie odpowiedziała.

Po kilku tygodniach zadzwoniła jednak z informacją, że chirurdzy naczyniowi chcą się podjąć operacji poprawkowej i że to jest szansa, z której powinien skorzystać.

– Chcą się państwo podjąć operacji, której nie odważył się przeprowadzić profesor Oczkiewicz? – Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Może dla profesora była to zbyt trudna operacja – odpowiedział młody chirurg – ale dla nas nie jest. Jeśli się pan zgodzi, to w ciągu tygodnia trafi pan na stół operacyjny.

– Od operacji minęło już dziewięć miesięcy i wątroba jest w gorszym stanie, niż widział ją profesor – bronił się Pilarski. – Państwo mają przed sobą jedynie obraz rezonansu magnetycznego, a profesor oglądał żywą wątrobę. Nie mogę już teraz zgodzić się na tę operację.

– Jak pan uważa. – Zirytowany chirurg skierował się w stronę drzwi. – Chcieliśmy panu pomóc!

– Doktor za chwilę ma zabieg – tłumaczyła jego asystentka, która została w pokoju. – Ja doskonale rozumiem pana obawy i mam inną propozycję. Wiodącą jednostką w sprawach wątroby jest klinika przy Banacha w Warszawie. Proszę się do nich udać na konsultację, a to, co powiedzą, pomoże nam w operacji.

\*\*\*

– Nie jest ważna historia pańskiej choroby – mówił profesor Noczewski z kliniki przy Banacha. – Ważne jest to, co mamy teraz. Proszę zrobić badanie PET, wykonać klisze z rezonansu magnetycznego i z tym wszystkim przyjść jak najszybciej, bo czasu praktycznie nie mamy.

Pilarski bardzo się zdziwił, że to, co zlecił Profesor, udało się załatwić w ciągu jednego tygodnia.

– Tu wchodzi w grę przeszczep wątroby. – Profesor Noczewski odłożył klisze i opis PET. – Nie ma przerzutów, więc jeszcze można go wykonać.

Celowaną chemią TACE spowolnimy wzrost guza, przejdzie pan kwalifikację do przeszczepu i będziemy czekali na dawcę.

\*\*\*

W klinice Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przy Banacha spędził Pilarski pięć tygodni. Przebadano go tak dokładnie, jakby miał brać udział w wyprawie na Marsa i, co było dla niego najważniejsze, wykonano pierwszą TACE.

Nie był to przyjemny zabieg. Przez tętnicę udową arteriami układu krążenia wprowadzono sondę do tętnicy zasilającej raka, wstrzyknięto truciznę i zaczopowano tętnicę. Efekt był jednak znakomity – rosnące coraz szybciej wartości markera AFP nagle zaczęły spadać.

– Tego oczekiwaliśmy – mówił doktor Skąlecki, prowadzący Pilarskiego.  
– Zyskujemy czas, a to bardzo dużo.

– Badania kwalifikacyjne Pilarski przeszedł celująco i już tylko od decyzji komisji lekarskiej zależało, czy zostanie zakwalifikowany do przeszczepu i wpisany na krajową listę oczekujących.

Dwie dodatkowe chemie TACE utrzymywały w ryzach wzrost guza, a niezmiennie dobre samopoczucie i kondycja pozwoliły mu na powrót do pracy.

\*\*\*

– Panie Andrzeju, gratuluję! – Inspektor Makiewicz, przełożony Pilarskiego, długo ścisnął dłoń podwładnego. – Pana czas jeszcze nie nadszedł. Wierzę, że przeszczep będzie udany i jeszcze niejednego przestępcę pośle pan za kraty.

– Chciałbym. – Pilarski uśmiechnął się zdawkowo. – Jednak to odległa przyszłość. Teraz, póki jeszcze czuję się dobrze, powinienem powrócić do przerwanych dochodzeń.

– Właśnie w tej sprawie pana wezwałem. Proszę, niech pan usiądzie. – Markiewicz wskazał fotel po przeciwnej stronie stołu pełniącego rolę biurka.

– Kawa? Herbata? – zapytał.

– Kawa. Ze śmietanką, jeśli można.

– Można. Pewnie, że można. – Podniósł słuchawkę. – Pani Ireno, dwie kawy poproszę.

Po chwili kawa została podana.

– Sprawy zabójstwa Doroty Woronieckiej i jej rodziców ciągle czekają na rozwiązanie. – Szef Pilarskiego upił łyk z filiżanki. – Jak postępy w śledztwie? Ma pan jakieś sukcesy?

– Mam – stwierdził Pilarski. – Potrzebuję jednak wsparcia, najlepiej młodego asystenta i zdecydowanie mężczyzny. Z babami są tylko problemy.

– Wiem, wiem... – Inspektor Makiewicz zamyślił się na moment. – Ten prywatny wypad na Ukrainę z Ewą Konieczny prawie się skończył dyscyplinarką. Ledwie udało mi się pana wybronić. Mam nadzieję, że nie będzie już pan prowadził dochodzeń na własną rękę. To ryzykowne i absolutnie niezgodne z przepisami.

Z dotychczasowego przebiegu rozmowy Pilarski wnioskował, że zdarzenie z chorwackiej sztolni nie jest inspektorowi znane. To tak ważna sprawa, że wokół niej toczyłaby się ta rozmowa, dedukował.

Poza tym były jeszcze dwa inne przypadki, które nie dawały mu spokoju i które zamierzał wyjaśnić półoficjalną drogą. Chodziło o tajemnicze zgony ojca leśniczego na Mazurach oraz Botanika we wrocławskim szpitalu. Dziwnym zbiegiem okoliczności łączyły się one z tajemniczymi kobietami, które emocjonalnie były mu bliskie.

– Przyjęliśmy kilku nowych pracowników – kontynuował inspektor Makiewicz – i kogoś panu przydzielę. Zanim jednak wróci pan do dochodzeń, o których mówiliśmy, chciałbym, aby wykorzystał pan zaległy urlop. Takie są przepisy, ale i po tych perturbacjach ze zdrowiem wypocząć warto.

\*\*\*

Inspektor Makiewicz dotrzymał słowa tylko w połowie.

– Młodszy aspirant Ilona Kryszak – przedstawiła się zdziwionemu Pilarskiemu atrakcyjna dziewczyna.

– Przydzielono mnie do dochodzeń, które pan inspektor prowadzi.

– Jaki inspektor? – Pilarski zmarszczył groźnie czoło.

– No pan. – Dziewczyna nie traciła pewności siebie. – Pan inspektor Pilarski.

– Przecież prosiłem o mężczyznę! – mówił podniesionym głosem. – Z wami są tylko same problemy! Proszę wyjść!

– Ale takie dostałam polecenie od pańskiego szefa – broniła się. – Dlaczego nie lubi pan kobiet?

– To nie pani sprawa! – wysyczał.

Ta krótka wymiana zdań uświadomiła mu nagle, że może zostać posądzony o seksizm, a takiej opinii bał się jak przysłowiowy diabeł święconej wody. Musiał załagodzić sytuację, do której sam doprowadził, ale nie wiedząc, jak ma to zrobić postanowił grać na zwłokę.

– Proszę, niech pani usiądzie – powiedział łagodnie.

Dziewczyna zajęła wskazane miejsce, bezskutecznie usiłując naciągnąć na kolana krótką spódniczkę. Była zdezorientowana niekonsekwentnym zachowaniem inspektora.

– Pani Ilono – mówił już spokojnym głosem – mam złe doświadczenia ze współpracy z kobietami.

– Były brzydkie i niedouczone? – zapytała, zalotnie przechylając głowę, podobnie jak Nadia.

No właśnie, pomyślał, kokietowanie już się zaczyna. One mają to we krwi!

– Wręcz przeciwnie – powiedział – były ładne i inteligentne.

– To w czym problem? – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nieważne.

– Nie rozumiem, ale mogę pana zapewnić, że w naszych wzajemnych relacjach nic złego się nie zdarzy.

– Co ty, dziecko, możesz na ten temat wiedzieć? – Spojrzał na nią z wyższością. – Przepraszam za to „dziecko”, ale nie było jeszcze pani na świecie, kiedy zaczynałem pracę, wtedy jeszcze w milicji.

– Mam dwadzieścia pięć lat – odpowiedziała.

– A ja staż tylko o dwa lata krótszy.

– Ma pan moje słowo, powtarzam to jeszcze raz, że pańskie obawy są bezpodstawne. Naprawdę wiem, co mówię.

Kilka minut rozmawiali o nieistotnych sprawach, aż policjantka zmieniła temat:

– Znam pana problemy ze zdrowiem i wiem, że potrzebuje pan wypocząć

– To prawda – przyznał. – Chcę wyjechać gdziekolwiek, byle chociaż na krótko oderwać się od codzienności i natrętnych myśli o chorobie.

– Jeśli gdziekolwiek, to proszę zdać się na mój wybór.

– To znaczy?

– Zarezerwuję wczasy, które będą dla pana niespodzianką.

\*\*\*

– Panie inspektorze, wczasy prawie załatwione – młodsza aspirantka meldowała już następnego dnia.

– Prawie? – Zrobił zdziwioną minę. – Co to znaczy, że prawie?

– Musi się pan pofatygować do biura, aby za nie zapłacić. Jestem zaskoczona, że nie można tego zrobić przez Internet, ale podobno nie można.

\*\*\*



Samolot wyczarterowany przez biuro turystyczne wylądował w Szarm el-Szejk. Zadbane trawniki, palmy i nowoczesny budynek portu lotniczego sprawiły, że pierwsze wrażenie, jakie odniósł, stając na egipskiej ziemi, było pozytywne. Rozczarowało go miejsce zakwaterowania.

Z samolotu podchodzącego do lądowania widział nowoczesne hotele stojące niemal na plaży, a tymczasem jego hotelik znajdował się kilka minut drogi od morza. Miał wprawdzie basen, jednak niebieski, niemal granatowy kolor wody wydał mu się nad wyraz podejrzany.

Jednoosobowy pokój nie grzeszył czystością.

Albo sprzątno go w pośpiechu, dedukował, albo osoba sprzątająca ma poglądy na czystość i porządek odbiegający od ogólnie przyjętego.

Zwilżoną chusteczką wytarł kurz z biurka i z parapetu, przetarł ekran płaskiego telewizora. Rozpakował torbę podróżną, wziął prysznic i uczuciem ulgi wyciągnął się na łóżku. Zapamiętał, że materac jest twardy, poduszka wypchana czymś, czego dotykaniem nie umiał zidentyfikować, a sprężyny nie zaskrzypiały.

Może to łóżko w ogóle nie ma sprężyn? – pomyślał i usnął.

\*\*\*

Dni upływały mu nad wyraz szybko i były do siebie podobne.

Przed śniadaniem robił długi, ponadgodzinny spacer wzdłuż morskiego wybrzeża i tę czynność uważał za najbardziej relaksującą ze wszystkich, jakie dotąd w Egipcie podjął.

Prawie puste plaże, piasek podobny do bałtyckiego i mimo wczesnej pory temperatura przekraczająca dwadzieścia stopni nastrajały go optymistycznie na dalszą część dnia.

Po śniadaniu oddawał się błogiemu lenistwu pod jednym z licznych parasoli ustawionych w równych rzędach niemal na całej długości hotelowych plaż. Kąpał się w kryształowo czystej i ciepłej wodzie zatoki Akaba i obserwował plażowiczów. Byli wśród nich ludzie młodzi i starzy,

piękni i mało urodziwi, samotni jak on, ale częściej z drugą osobą przeciwnej płci, chociaż nie zawsze. Ten muzułmański kraj w kurortach nad Morzem Czerwonym zdawał się zapominać, jak ostre warunki w sferze moralności stawia islam, dlatego od czasu do czasu można było spotkać spacerujące pod rękę kobiety i mężczyzn. Rzadziej widywało się panie w stroju toples i skąpych bikini, nie mówiąc już o naturystach. Wprawdzie z podsłuchanej rozmowy młodej polskiej pary dowiedział się, że taka plaża istnieje, ale nie miał ochoty jej odwiedzić.

Pobyty na plaży kończył przed południem, kiedy nawet wiejący od morza wiatr nie był w stanie złagodzić lejącego się z nieba żaru. Resztę dnia spędzał w klimatyzowanym pokoju na czytaniu powieści, które ze sobą zabrał, i na rozmyślaniach o prowadzonych śledztwach.

O chorobie starał się nie myśleć, ale nie było to takie proste. Natrętne myśli wykorzystywały każdą okazję, by przypomnieć, że żartów nie ma i że ostateczne rozstrzygnięcie zbliża się szybkimi krokami. Nie wiedział, jakie ono będzie – dobre czy jednak złe?

Piątego dnia zdarzyło się coś, co bardzo wpłynęło na jego życie. Jeśli nie całe, to przynajmniej na kilka najbliższych miesięcy.

\*\*\*

– Andrzej, poczekaj! – usłyszał, kiedy z plażowym ekwipunkiem opuszczał hotelik.

Znał dobrze ten kobiecy głos dobiegający teraz zza pleców, ale w pierwszej chwili nie skojarzył, do kogo należy. Zatrzymał się i przez ułamek sekundy odświeżał pamięć, ale kiedy się odwracał, już wiedział.

– Lubow ... – niemal krzyknął. – To ty? Co tutaj robisz?

Stała przed nim kobieta, którą poznał na Ukrainie – córka Petra i Marii, w których gospodarstwie spędzał wczasy wykupione w lubelskim biurze turystycznym Komasznia. Ta sama kobieta, która pracowała w polskim konsulacie we Lwowie, mieszkanka Iwano-Frankowska, mająca męża alkoholika używającego wobec niej przemocy.

Doskonale pamiętał, jak podczas rekonesansu mającego zgłębić mroczną tajemnicę Rabińca spotkał ją schodzącą stromym płajem ze zbocza Hłyniany. Była wtedy w dopasowanych džinsach, wypuszczonej na spodnie flanelowej koszuli, ciemnych okularach i czarnym kapeluszu z dużym rondem, spod którego wylewały się fale długich blond włosów. Ta sama kobieta, z którą spędził niezapomnianą noc i która zostawiła mu na pamiątkę płytę z *Czerwoną rutą*.

–Lubow! – cieszył się, jak dziecko. – Takie spotkanie! Takie miłe spotkanie! – Niemal rzucił plażową torbę i mocno przytulił dziewczynę. – Tak się cieszę, tak się cieszę... – powtarzał, nie wypuszczając jej z ramion.

Pilarski miał powody do radości. Jeśli nie liczyć upojnej chorwackiej nocy spędzonej z Nadią, to właśnie Lubow była jego ostatnią kochanką. Doskonale pamiętał *Czerwoną rutę*, którą każde z nich śpiewało w swoim ojczystym języku, i prośbę, by jako gość spełnił jej marzenie. Wtedy, w Paliwce na Zachodniej Ukrainie, bardzo jej pożądał, ale nie miał odwagi tego powiedzieć. Nie miał też odwagi tak pokierować swoim postępowaniem, aby jedność dusz spowodowała jedność ich ciał. To ona swoją prośbą do tego doprowadziła.

Kiedy nieco ochłonął, zaproponował wspólne plażowanie. Kobieta zgodziła się od razu, co nie zdziwiło go ani trochę. Widocznie nie przestała mnie lubić, pomyślał.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał w drodze na plażę.

– Tutaj czy w ogóle? – odpowiedziała pytaniem.

– Tutaj, oczywiście, że tutaj. Gdzie mieszkasz w ogóle, to przecież wiem.

– Nie wiesz, Andrzeju. – Uśmiechnęła się, kręcąc przy tym głową. – Nie wiesz. Od naszego spotkania dużo się u mnie zmieniło. Opowiem ci o tym, ale jeszcze nie teraz. A w Szarm el-Szejk mieszkam w tym hotelu. – Wyciągniętą ręką pokazała pobliski czterogwiazdkowy obiekt.

– No, no! – wyraził najwyższe uznanie przypominając sobie swój, najwyżej dwugwiazdkowy, pensjonat. – Po prostu luksus.

Pod parasolem spędzili niemal trzy godziny. Im dłużej rozmawiali, przywołując tak bliskie im wspomnienia z Zachodniej Ukrainy, tym łącząca ich kiedyś emocjonalna więź stawała się silniejsza.

– Andrzeju, chodźmy do mnie – zaproponowała w pewnej chwili, zakładając na skromne niebieskie bikini błękitną sukienkę. – Chodźmy – powtórzyła, ujmując jego dłoń.

Niewielką odległość z plaży do jej hotelu pokonali, prawie biegnąc. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi pokoju, dawno skrywana namiętność wybuchła niczym wulkan po stu latach ciszy. Niemalże rzucił ją na drzwi, przywarł do niej i zaczął całować, a wtedy ona oplotła jego biodra nogami.

Przesuwał się w tej niewygodnej pozycji szukając oparcia. Stół. Posadził ją na nim i odsunął od siebie. Oczy, które zobaczył, dzikie, nieprzytomne z pożądania, wyrwały tłumiony jęk z jego piersi. Pchnął ją delikatnie. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami. Chwilę stał, przyglądając się kobiecie, której tak bardzo pożądał, a potem powoli, bardzo powoli zaczął rozchyłać jej uda.

Spojrzała na niego i już cały czas na siebie patrzyli, chłonąc się oczami nawet wtedy, kiedy delikatnymi ruchami przesuwiał po udach sukienkę.

\*\*\*

– Co za pech! – irytowała się Lubow, bezskutecznie wciskając guziki. – Taki upał, czterogwiazdkowy hotel, a klimatyzacja nie działa.

– Złośliwość rzeczy martwych – uśmiechnął się.

Leżał na pościeli z głową podpartą dłonią i obserwował zmagania kobiety. Delektował się widokiem jej nagiego ciała i nie przejmował usterką, z którą ona walczyła.

– Nic z tego nie będzie! – oznajmiła w końcu i położyła się obok niego.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

– Dlaczego masz w dowodzie Ljubov, przez „v” i „j”, a nie Lubow? – zapytał, odwracając się na plecy.

– Skąd wiesz, jak mam w dowodzie? – zapytała, a Pilarski kiwnął głową w stronę komody. Odwróciła się i zobaczyła tam dokumenty, które wypadły z rzuconej niedbale torebki. – Jesteś spostrzegawczy.

Uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami.

– Zawodowe nawyki – mruknął prosto w jej szyję.

– Ljubov, właśnie przez „v”, jest z powodu wódki – zaśmiała się i też położyła na wznak.

– Nie widzę związku.

– To proste, Andrzeju. – Ujęła jego dłoń. – Urzędnik wypisujący akt urodzenia był pijany, pomylił się i tak już zostało. W paszporcie, w dowodzie osobistym i we wszystkich oficjalnych dokumentach mam na imię Ljubov. Śmieszne, prawda?

– Prawda. – Kiwnął głową.

– Na plaży powiedziałam, że dużo się u mnie zmieniło. – Jej ugięta w kolanie noga spoczęła na jego udach. – Nie pracuję już w konsulacie i nie mieszkam w Iwano-Frankowsku. No i jestem wolna, zobacz. – Powoli obracała dłoń eksponując serdeczny palec, na którym nie było obrączki.

– Rozwiodłam się. Moje małżeństwo było pomyłką.

– To gdzie teraz mieszkasz?

– W Domodiedowie.

– Nie słyszałem o takiej miejscowości. To nadal Zachodnia Ukraina?

– To Rosja, Andrzeju! A Domodiedowo leży czterdzieści kilometrów od centrum Moskwy.

Ta wiadomość była dla niego szokiem. Już druga bliska mu kobieta mówi o Rosji! Nie o Ukrainie, ale właśnie o Rosji. O co tutaj chodzi? – zastanawiał się.

– Znasz Nadię? – zapytał, chociaż był przekonany, że to pytanie

retoryczne i że usłyszy odpowiedź twierdzącą.

– Ona miała na imię Katia. Nadią była tylko dla ciebie.

– Lubow, co jest grane? Powiedz, proszę, bo nic z tego nie rozumiem. Czy ty i Katia tropicie mafię ukraińską wymuszającą haracze od pracujących w Polsce Ukraińców?

– Tropimy, ale nie mafię, chociaż właściwie częściowo tak.

– W dalszym ciągu nie wiem, jaką działalność prowadzisz. No i skąd masz pieniądze na taki drogi hotel? Pobyt w nim musi kosztować fortunę!

– I kosztuje, ale fortuna to jest tylko dla zwykłego człowieka.

– No tak, jesteś niezwykła, to nie ulega wątpliwości.

Uśmiechnęła się i splecionymi dłońmi objęła z tyłu głowę.

– Mylisz się, Andrzej. Jestem zwykłą kobietą, tylko pracę wykonuję... Jak by to zgrabnie ująć... – Zmarszczyła czoło. – Powiedzmy: niestandardową.

Tą odpowiedzią nie zaspokoila ciekawości Pilarskiego, ale wiedział, że musi być cierpliwy, bo w końcu pojawią się konkrety.

– Sześć lat temu zmarła Waleria, sąsiadka Marii i Petra. Pamiętasz jej córkę? To o nią była zazdrosna Marija, kiedy Petro opatrywał jej rozcięte kolano. Tak między nami, Petro się w niej podkochiwał. – Lubow ujęła dłoń Pilarskiego.

– Pamiętam, pamiętam. Petro miał z tego powodu problem i prosił mnie o pomoc.

– Waleria umierała na raka. Kiedyś, gdy Petra i Marii nie było w domu, a ja ją odwiedziłam, powiedziała, żebym koło niej usiadła. „Chcę ci coś wyznać” – powiedziała. I wyznała! Sama nie wiem, czy dobrze zrobiła, bo moje życie po tej rozmowie bardzo się zmieniło.

\*\*\*

– Nie jesteś rodzoną córką Petra i Marii! – powiedziała Waleria.

Te słowa, Andrzej, to było takie uderzenie obuchem w głowę. Nie jedno, ale uderzanie bez końca – raz za razem.

– Jak to nie jestem? Walerio, co ty mówisz? – Nie mogłam pozbiierać kłębiących się myśli.

– Nie jesteś – powtórzyła i rozplakała się.

Trzymałam ją za rękę, a ona długo nie mogła powstrzymać łez. To było takie dziwne. Im więcej okazywałam jej czułości, no wiesz, mocniejszy uścisk dłoni, głaskanie twarzy i czułe słowa, tym bardziej ona się rozczulała. Jej nastrój i mnie się udzielił, aż w końcu płakałyśmy obie – dwie dorosłe, trzymające się za ręce i nic niemówiące kobiety. Jedna umierająca i chcąca przed śmiercią wyjawić tajemnicę, która musiała uwierać ją przez całe życie, i druga – nieświadoma niczego córka jej sąsiadów. W końcu Waleria się uspokoiła i poprosiła o szklankę wody.

– W kredensie jest blaszane pudełko. – Drżącą dłonią pokazała starą kuchenną szafkę. – Tam są zdjęcia. Daj mi je, Lubow.

Zdziwiłam się, że zwróciła się do mnie po imieniu, bo nieczęsto to robiła.

Pudełko było stare, jeszcze przedwojenne i miało zdeformowane, fantazyjnie pomalowane boki. Zdjęcia w nim przechowywane w większości były czarno-białe, niektóre w kolorze sepii.

– Daj mi okulary. – Waleria obróciła się na bok. – Też są w kredensie.

Przetarła szkła prześcieradłem i poprosiła o zdjęcia. Podawałam jej po kilka, a ona uważnie się im przyglądała – czasem z obojętną miną, a czasem się uśmiechała, wolno kiwała głową i oddawała fotografie bez słowa.

Na jednym zdjęciu zatrzymała wzrok dłużej. Jej twarz, chociaż poważna, nie była w stanie ukryć emocji. Przytuliła fotografię do piersi, pocałowała ją i znowu się rozplakała.

– To twoi dziadkowie i brat twojej mamy – powiedziała po dłuższej chwili.

Podawała mi zdjęcie i odwróciła się na plecy.

W pierwszej chwili się pogubiłam. Dziadkowie, to jasne, ale określenia „brat mojej mamy” zupełnie nie rozumiałam, bo mama nie miała rodzeństwa.

Na fotografii był młody mężczyzna przytulający ładną brunetkę z długimi falującymi włosami. Oboje trzymali dłonie na ramionach małego chłopca. Z tyłu widoczna była skromna drewniana chata z dachem krytym blachą. Na odwrocie był napis: *Rybaki, maj 1939.*

– Twój dziadek nazywał się Harasymiuk. – Waleria znowu położyła się na boku, a ręce złożone jak do modlitwy wsunęła pod głowę. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku miał trzydzieści cztery lata, tyle samo, co twoja babcia, a ich syn miał wtedy osiem lat. Jesienią tego roku UPA spaliła Trójcę, wieś koło Zabłotowa, i zamordowała wielu Polaków. – Kobieta wysunęła spod głowy dłoń i przeżegnała się. – Polacy w Rybakach bali się, że czeka ich to samo – mówiła wolno już po chwili. – Na noc uciekali ze swoich domów i chowali się. Nie bardzo jednak mieli gdzie się ukryć. Była późna jesień, zboże i kukurydzę z pól już uprzątnięto, było zimno i mokro. Wydawało się im, że najbezpieczniej będzie w ukraińskich zagrodach. Jedni Polacy prosili Ukraińców o schronienie, inni nocowali w ich oborach i stodołach, nie pytając o zgodę. – Waleria położyła się na plecach i zamilkła wpatrzona w sufit. – Boże – westchnęła – jakie okropne to były czasy.

Nie przerywałam jej, Andrzej, nie ponaglałam. To była spowiedź i nie chciałam jej zakłócać słowami, które niechcący mogły zranić albo spowodować, że zamknie się w sobie i nic więcej nie powie.

– Tydzień przed napadem banderowców na Rybaki przyszedł do twojego dziadka ich polski sąsiad. – Waleria wolno wypowiadała słowa. – Mieszkał na drugim końcu wsi, ale obaj dobrze się znali. Polak zapytał, czy może z rodziną nocować w jego oborze. Dziadek zamilkł, jakby nie słyszał pytania – bał się. Za pomoc Polakom czekała śmierć! Nie było tak, że ona groziła w razie dekonspiracji, ona była pewna! „Dzisiaj przenocujcie, sąsiedzie –



powiedział w końcu dziadek. – Robi się już ciemno, ale co dalej, muszę porozmawiać z żoną. To duże ryzyko”. Pod osłoną ciemności Polacy ukryli się w oborze, a dziadek i babcia długo tego wieczora rozmawiali. W końcu uznali, że muszą polskim sąsiadom pomóc. To było dziesiątego listopada czterdziestego czwartego roku. Po zapadnięciu zmroku z gór zeszyły dwie sotnie UPA i Huculi z siekierami i zaczęli się rozprawiać z Polakami. Tych, którzy nie zdążyli uciec, zabijali w domach. Tych, których w domach nie zastali, zaczęli szukać. Przetrzęsali stodoły, obory, stajnie i chlewy – polskie i ukraińskie. W oborze twojego dziadka znaleźli polską rodzinę. Boże, jak ciężko mi o tym mówić... – Waleria cichutko płakała, pociągając nosem. – Matunin nimi dowodził. Pięcioma ludźmi. Młody był, miał tylko dwadzieścia lat. Wyprowadzili konia i krowy, a Polaka i jego syna skatowali. Związali im z tyłu ręce i przykuli łańcuchami do żłobów. Polkę i jej czternastoletnią córkę rozebrali do naga i kolejno gwałcili. Później też przykuli je do żłobów. Wyobrażasz sobie, Andrzeju, upokorzenie matki i córki? Wyobrażasz sobie upokorzenie i bezsilną złość ojca i syna? W końcu oborę zamknęli i podpalili. – Rodzinę twojego dziadka czekał podobny los – powiedziała mi wtedy Waleria. – Twój dziadek mieszkał z rodzicami, siostrą, żoną i synem w jednym domu. Jego i syna posadzili na krzesłach i przywiązali do oparc. Twoją babcię rozebrali i gwałcili przez godzinę. Zmieniali się i gwałcili. Najpierw krzyczała, później prosiła, ale jedyną ich reakcją był śmiech. W końcu już tylko płakała. Kiedy uznali, że mają dość, podnieśli ją, a dwóch z nich złapało ją pod ręce. „Teraz zobaczysz, co czeka każdego, który pomaga Polakom”. Matunin wyjął nóż i wydłubał oczy chłopcu, a później dziadkowi. Rodzice Harasymiuka, jego żona i siostra musieli na to patrzeć. – Waleria kciukiem wytarła spływającą po policzku łzę. – Sąsiedzi znaleźli ich następnego dnia. Dom był częściowo spalony, twój dziadek i jego syn już nie żyli. Nie żyli też rodzice Harasymiuka i jego zgwałcona siostra. Twoją babcię znaleźli koło cerkwi. Siedziała na ławeczce i w koło odmawiała tę samą modlitwę. Nie reagowała na słowa sąsiadów – żyła w sobie tylko znanym świecie. Po jakimś czasie okazało się, że jest w ciąży. Od tego gwałtu zaszła w ciążę i wiesz, cieszyła się, że będzie miała dziecko! Wyobrażasz sobie, jak bardzo musiała ucierpieć jej psychika, że się cieszyła? Nadal unikała ludzi,

ale oni jej nie zostawili i twoja babcia ciążę donosiła. Urodziła dziewczynkę, twoją matkę, ale niedługo po porodzie się powiesiła.

\*\*\*

– Andrzeju... – Lubow przytuliła się do niego. – Jakie to wszystko jest straszne. – Moją mamę przygarnęli obcy ludzie. To było mieszane polsko-ukraińskie małżeństwo, które miało już dwoje własnych dzieci. Taki to był wtedy czas, że ludzie sobie pomagali, nie to, co dzisiaj. Mama była jednak trudnym dzieckiem. Zachowywała się dziwnie i wpadła w podejrzone towarzystwo. Wiesz, to były hipisowskie czasy. Niby Związek Radziecki i komunistyczne zakazy, ale hipisi i tam byli. Marihuana, wolna miłość, pacyfistyczne hasła w rodzaju *Make peace, not war*<sup>25</sup>, jednak moja mama skłaniała się ku innemu – *Make love, not war*<sup>26</sup>. Skłaniała się czynnie, no i się urodziłam. Nie znam ani prawdziwego ojca, ani matki, bo przedawkowała i zmarła, kiedy miałam rok. Oddano mnie do domu dziecka, a po jakimś czasie zostałam adoptowana przez Mariję i Petra.

\*\*\*

Opowiadanie Lubow zszokowało Pilarskiego. Zszokowało do tego stopnia, że podczas wieczornego spaceru plażą nie potrafił sensownie się do niego odnieść.

– Niesamowita historia. – Tak powiedział I to wszystko, na co go było w tym dniu stać.

Lubow też nic nie mówiła. Czuła ulgę, pozbywszy się balastu przeszłości, ale potrzebowała czasu, by wrócić do terażniejszości. Szli więc brzegiem morza, trzymając się za ręce i przeżywając wszystko w milczeniu.

Po kolacji nie pozwoliła wrócić mu do siebie.

– Zostań! – nie tyle poprosiła, ile rozkazała. – Zostań, bo sam widzisz, jakie pokręcone bywa nasze życie. Cieszymy się tym, co mamy. Cieszymy się sobą.

Ta deklaracja brzmiała tak interesująco, że zgodził się od razu. To, co się

za chwilę miało stać, zaskoczyło nie tylko ją, ale przede wszystkim jego. Z uległego w sprawach seksu człowieka stał się niespodziewanie jego demonem.

– Rozbierz się – powiedział zdecydowanie.

– Słucham? – Zamrugła ze zdziwienia oczami, myśląc, że się przesłyszała.

– Rozbierz się, proszę – powtórzył już łagodniej.

Patrzył na nią, a jego wzrok był pełen napięcia i pożądania. Nigdy nie odczuwał emocji większych niż w tej chwili.

Torebka, w której czegoś szukała, wysunęła się jej z ręki i upadła na podłogę. Zaczęła szybciej oddychać i powolnym ruchem podnosić sukienkę. Przez krótką chwilę, kiedy przekładała ją przez głowę, straciła go z oczu, a za chwilę stała przed nim zupełnie naga. Pomimo cechującego ją tupetu poczuła się nieswojo i zakryła piersi rękami.

– Opuść ręce. Chcę cię widzieć całą.

Czy to jest ten sam mężczyzna? – pomyślała. – Zawsze delikatny i czuły, a teraz rozkazujący i zdecydowany? Mówi mi, co mam robić, a ja nie jestem w stanie zaprotestować.

Opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Podejdź do mnie – poprosił.

Zamknęła oczy i zaczęła powoli iść w jego kierunku. Zatrzymały ją jego ręce. Powiódł dłońmi po jej twarzy, muskał opuszkami palców szyję i uszy, w tak delikatny, subtelny, wręcz leniwy sposób, że zaczęła drżeć, a na jej skórze pojawiła się gęsia skórka. To było jak tortura.

Skąd on wie, jak mnie dotykać? Przecież mu tego nie mówiłam, zastanawiała się.

Kiedy dotykał jej piersi, zachwiała się, bo nogi zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wpił usta w jej brzuch,

niemalże gniotąc rękami biodra. Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę. Położył delikatnie, a za chwilę poczuła jego przygniatający ciężar.

– Popatrz na mnie – usłyszała.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem. Pewność jego głosu, to, że wiedział, czego chce, że pragnie się z nią kochać, była obezwładniająca. Jeszcze nigdy w życiu się tak nie czuła. W końcu zdołała wyszeptać, patrząc mu w oczy:

– Kochaj mnie.

\*\*\*

W wędrówkach brzegiem morza Lubow towarzyszyła mu od dnia, w którym się spotkali. Swoją obecnością sprawiła, że tę ulubioną formę spędzania czasu w Szarm el-Szejk polubił jeszcze bardziej. Tak samo uwielbiał też swoją kochankę i nie wyobrażał sobie bez niej powrotu do pustego mieszkania we Wrocławiu. Świadomość, że zbliża się do pięćdziesiątki, a osobistego życia praktycznie nie ma, podsunęła mu myśl, że mógłby się związać Lubow na stałe.

Inteligentna i wyrozumiała kobieta, wspaniała kochanka, myślał. Czego więcej mi trzeba?

– Jutro mój pobyt się kończy – oznajmił podczas porannego spaceru. – Wracaj ze mną do Polski.

– Mówisz poważnie? – Przystanęła zaskoczona. – Co też ci przyszło do głowy?

– Lubow – mówił lekko zawiedzionym tonem – ja nie chcę znajomości z tobą traktować jako przemijającej przygody. Myślę poważnie o naszej wspólnej przyszłości.

Zasmuciła się. Po raz pierwszy zobaczył smutek na jej twarzy i nie wiedział, skąd się wziął.

Kobiety wpadają w rozpacz, dedukował, gdy czują się wykorzystane, słysząc słowa, że wprawdzie było miło, ale się skończyło. W ich przypadku

nic takiego nie miało jednak miejsca i tego nie rozumiał. Czyżby przeszkodą była jej praca? Sama powiedziała, że jest niestandardowa, ale jakie zajęcie może uniemożliwiać założenie rodziny? Przecież niedawno przekroczyła czterdziestkę. To już ostatnia chwila, by mieć dzieci. Dlaczego ona tego nie chce?

– Nie mogę układać życia w Polsce – powiedziała z tą samą, ciągle poważną, miną – ale w Rosji tak. Andrzej, jedź ze mną do Rosji. Mówi się, że Putin jest dyktatorem, że w Rosji nie ma demokracji, ale większości ludzi to nie przeszkadza. Tam można żyć tak samo jak u was. Ludzie do nas przyjeżdżają i czują się dobrze. Pamiętasz francuskiego aktora Gérarda Depardieu?

Potwierdził skinieniem głowy, nie tyle zaskoczony, ile wręcz zszokowany jej propozycją.

– No właśnie – kontynuowała. – Zrzekł się francuskiego obywatelstwa i oficjalnie został Rosjaninem. Ty też możesz tak zrobić. Andrzej, oboje jesteśmy wolni i dobrze nam ze sobą. Jestem pewna, że możemy założyć rodzinę, jednak w Rosji, nie w Polsce.

– Lubow... – Objął ją i mocno przytulił. – Powiedz, o co chodzi? Nic z tego nie rozumiem.

Nie odwzajemniła czułości. Patrzyła nie w jego oczy, jak to często robiła, ale gdzieś w bezkres zatoki Akaba.

– Zapraszam na pożegnalną kolację – powiedziała bez emocji w głosie.

\*\*\*

Dzień spędził w samotności. Lubow nie odwiedziła go ani razu i rozwiązanie zagadki jej dziwnego zachowania musiał odłożyć do wieczora. Musiał, bo z dziesiątków rozważanych scenariuszy ani jeden nie wydawał się prawdopodobny. Pełna temperamentu i bezpruderyjna kochanka bez żadnego powodu zmieniła się nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w opanowaną i chłodną kobietę.

Co zrobiłem nie tak? – zastanawiał się i nie potrafił znaleźć odpowiedzi.  
– Czym tym razem mnie zaskoczy? Seksu nie będzie, tego jednego był pewien.

\*\*\*

Przyjęła go skromną kolacją. Jej głównym daniem była miejscowa potrawa składająca się z owoców morza w jarzynowym sosie mocno przyprawionym czosnkiem. Ciasta nie podała. Zamiast niego głęboki półmisek wypełniały banany, pomarańcze, kiwi i winogrona.

Na pewno nie przytyję, pomyślał.

– Jedz, proszę, nie krępuj się – powiedziała obojętnym głosem. – Na pewno nie przytyjesz.

Miał złe skojarzenia z czymś, co ładnie nazywano owocami morza.

– Pędraki, żadne tam owoce morza – oburzał się. – Trzeba rzeczy nazywać po imieniu.

Poza tym pamiętał spotkanie z Bilońskim w mieszkaniu Ewy. Zdecydowanie źle je wspominał, chociaż prowadzone wtedy śledztwo to właśnie spotkanie skierowało na nowe i dobre drogi. Jego asystentka też poczęstowała ich wtedy sałatką z „pędraków”.

– Ponawiam, Andrzeju, propozycję wyjazdu do Rosji. – Lubow upiła łyk wina. – Zastanowiłeś się nad nią? – Odstawiła kieliszek.

– Jeśli mam być szczery, to w ogóle o tym nie myślałem.

– Szkoda, bo to piękny kraj. – Obracała kieliszek w palcach. – No i bylibyśmy razem. Tak jak mi zaproponowałeś.

– Lubow! Co ty kombinujesz?

Ciszę, która po tym pytaniu zapadła, zakłócały jedynie ledwie słyszalne odgłosy muzyki i śpiewu dobiegające z nadmorskiego bulwaru. Lubow zbierała myśli, chcąc jak najlepiej przekazać to, na czym jej zależało.

– Spowiedź Walerii, o której ci mówiłam, sprawiła, że narodziła się we

mnie chęć zemsty na oprawcy mojej rodziny – powiedziała. Podeszła do uchylonego okna i je zamknęła. – Chęć wręcz obsesyjna, niedająca spokoju, towarzysząca mi niemal w każdej wolnej chwili. Przez gwałt na babci w moich żyłach płynie część banderowskiej krwi. Prawdopodobnie dlatego jestem taka mściwa. Zupełnie jak oni. – Nie pasuje ci to, prawda? – Spojrzała na Pilarskiego, który siedział ze zdziwioną miną i milczał. – Ja i mściwość.

– W żadnym wypadku. – Kręcił z niedowierzaniem głową. – W żadnym wypadku – powtórzył.

Uśmiechnęła się smutno i po chwili mówiła dalej:

– Wtedy, w czterdziestym piątym roku, Rosjanie pozbawili Ukraińców złudzeń. Nie dopuścili do powstania niepodległego państwa, a banderowców albo zabili, albo z całymi rodzinami wywieźli na Sybir. Oczywiście tych najmniej znaczących i tych, którym nie udało się wyjechać za granicę. Czołowi dowódcy UPA przedostali się do Bawarii, do amerykańskiej strefy okupacyjnej i stali się praktycznie bezkarni. Dowódcy niższego szczebla takiej możliwości nie mieli, ale często wyjeżdżali do Polski jako jej obywatele. Przez kilka lat prowadziłam prywatne dochodzenie i dowiedziałam się, że tak właśnie zrobił Matunin – morderca mojej rodziny. Że wyjechał do Polski. Domyśliłam się, że musiał mieć dokumenty jakiegoś zamordowanego Polaka. Innej możliwości nie było. Podejrzewam, a właściwie jestem pewna, że Matunin podał się za syna polskiej rodziny ukrywającej się w oborze mojego dziadka. Wiek obu był zbliżony – dzieliły ich zaledwie trzy lata. Wojna, zniszczone dokumenty, nadpalone fotografie. Było dość łatwo podać się za kogoś zupełnie innego. Domyślasz się, Andrzej, do czego zmierzam?

– Trochę tak, ale nie do końca – odpowiedział.

Opowieść Lubow tak go pochłonęła, że odruchowo zjadł całą porcję owoców morza polanych czosnkowym sosem. Domyślał się, że ona oczekuje od niego pomocy w zatrzymaniu Matunina.

– Trochę tak, ale nie do końca – powtórzyła jego ostatnie słowa.

– Potrzebuję twojej pomocy w odszukaniu Matunina – udzieliła odpowiedzi, której się spodziewał. – Po prostu. Moje możliwości się wyczerpały. – Upiła łyk wina. – Praca w konsulacie w tym przypadku nic nie dała, a kontakty w waszej policji okazały się za słabe. Tylko ty możesz mi pomóc. Proszę cię o to. Bardzo proszę.

– Co zrobisz, jeśli odnajdę Matunina?

– Wymierzę sprawiedliwość, tylko tyle.

– Sama? Bez wyroku sądu? – Nie mógł uwierzyć. – To, co chcesz zrobić, jest przestępstwem! Odszukać starego, pewnie schorowanego człowieka po to, aby bez sądu wykonać wyrok?

– A wiesz, co zrobi wasz sąd? – W jej głosie zabrzmiała irytacja. – Uniewinni go. Andrzej, to, co robię, jest przestępstwem w świetle prawa, wiem, ale to jedyny sposób, by banderowski kat otrzymał karę, na jaką zasłużył. Mam do tego prawo i nie myślę, ani przez chwilę, że jest to niemoralne czy nielegalne.

– Rozumiem cię. Rozumiem chęć zemsty i podziwiam determinację. – Chciał ją objąć ramieniem, ale nie pozwoliła. – Prawo jest jednak prawem i ja, zwłaszcza że jestem policjantem, muszę go przestrzegać. Przykro mi.

– Wykaż trochę empatii i postaw się na miejscu mojego dziadka. – Lubow nie ustępowała. – Co byś czuł, widząc, jak gwałcą twoją żonę? Nie chciałbyś tych skurwysynów nabić na pal? A co musiała myśleć moja zgwałcona babcia, widząc, jak jej mężowi i synowi banderowcy wydłubują oczy? Czy tobie na jej miejscu byłoby to obojętne?

– Oczywiście, że nie. – Pilarski czuł się źle, odmawiając pomocy. – Ty jednak chcesz dokonać samosądu i ja o tym wiem. Jeśli nie poinformuję prokuratury, mogę sam zostać oskarżony i skazany. Dużo ryzykuję, milcząc i chroniąc ciebie, a co dopiero, gdybym ci pomagał.

– Doceniam to. – Lubow kręciła głową. – Doceniam twoją lojalność wobec państwa, ale proszę o pomoc. Twoja odmowa oznacza moją porażkę. Ja muszę znaleźć oprawcę moich przodków. Żywego lub umarłego.



– Lubow... – Pilarski spojrzał jej prosto w oczy. – Jest mi przykro, ale muszę odmówić.

Jego słowa sprawiły, że w ich coraz bardziej chłodnych relacjach pojawił się mróz. Pojawił się i z łatwością unieważnił wspomnienia niedawnych miłosnych uniesień. Wypełnił cały pokój nieznośnym zimnem, nie zostawiając miejsca na dalsze negocjacje.

– Z Nadią spędziłeś trzy tygodnie we Włoszech i w Chorwacji. – Lubow wyjęła z walizki laptopa i usiadła na skraju łóżka. – Wiem, że się nie nudziliście – mówiła obojętnym głosem, włączając komputer. – Pozwól, że ci to przypomnę.

Nie trwało dłużej niż pół minuty, kiedy na ekranie pojawiła się Nadia idąca do drzwi hotelowego pokoju. Dziewczyna na krótko się przed nimi zatrzymała, a po chwili nacisnęła klamkę. W uchylonych drzwiach ukazał się Pilarski z bukietem róż trzymanym za plecami.

– Przypominasz to sobie? – zadała retoryczne pytanie, z ledwie widocznym uśmiechem satysfakcji kobiety, której prośbie odmówiono.

– Do czego zmierzasz? – Pilarski starał się zachować obojętny ton głosu. Nie było to jednak łatwe. Musiał tłumić w sobie złość, bezsilność, upokorzenie i jeszcze kilka innych targających nim emocji.

– To nagranie trwa godzinę. – Lubow przygryzła wargę. – Pochodzi z pierwszej kamery, ale w pokoju pracowały aż trzy. Tak, Andrzeju, wasze igraszki filmowały trzy kamery. Jeśli nie zmienisz zdania, z tych nagrań zmontowany zostanie krótki filmik i opublikowany w Internecie. Dobrze wiesz, co to oznacza. Nadii nikt nie rozpozna, sam założyłeś jej opaskę, ale ty jesteś widoczny w całej okazałości. Jeśli powiesz, że to chamskie zagranie, szantaż, przyznam ci rację! Więc jak będzie?

Nic nie odpowiedział. Kilka ostatnich minut przyniosło zbyt wiele istotnych i zaskakujących zdarzeń, by od razu zdobył się na sensowny komentarz. Z łatwością mógł wprawdzie zabrać laptopa i zniszczyć go, był jednak przekonany, że istnieją kopie kompromitujących go filmów.

– Ja nie żartuję, Andrzeju. – Jej zdecydowany głos przerwał nieznośną ciszę. – Szukając Matunina, zdemaskowałam trzech innych banderowców, którzy pod zmienionymi nazwiskami mieszkali w Polsce. Z dwoma z nich się spotkałeś!

– Teraz to już przesadziłaś – odburknął. Był przekonany, że Lubow chce wmówić mu coś, co nigdy nie miało miejsca.

– Nie przesadziłam, mój drogi, nie przesadziłam. Dziadek z leśniczówki na Mazurach został otruty. Męczył się przed śmiercią, ale w młodości na to zasłużył. To on dowodził oddziałem UPA, który spacyfikował jedną ze wsi. To on i jego ludzie zgwałcili kobietę przy mężu i dzieciach, a później związali ją drutem kolczastym i wrzucili do rzeki<sup>27</sup>.

Egzekutorem była Magda, którą wtedy poznałeś. Magda jest psychologiem i miała sprawdzić, czy jesteś człowiekiem, któremu można zaufać i prosić o to, o co przed chwilą poprosiłam. Wystawiła ci niestety negatywną opinię – z naszego punktu widzenia oczywiście! *Patriota, romantyk, prawdopodobnie nieprzekupny człowiek – jednym słowem wzór obywatela i policjanta, ale dla ciebie zupełnie nieprzydatny. Mógłby pomóc w poszukiwaniach, ma wiedzę i możliwości, jednak raczej tego nie robi* – tak cię podsumowała. – Wiesz, z tobą jest trochę tak jak z banderowcami na dzisiejszej Ukrainie – uśmiechnęła się gorzko. – Dla Ukraińców są bohaterami walczącymi o niepodległe państwo. Mają uprawnienia kombatanckie, Stepan Bandera ma pomniki, ulice i place, a jeśli podasz w wątpliwość ich bohaterstwo i zasługi, to możesz pójść do więzienia. Mówię poważnie – taką ustawę zatwierdził ukraiński parlament! Ci sami ludzie są dla Polaków, ale i dla Rosjan, okrutnymi, pozbawionymi cech człowieczeństwa indywiduami, których potwornych zbrodni nie ukarano. Ci sami ludzie, a jaki różny osąd ich postawy. Z tobą jest podobnie, Andrzeju!

– Niesłychane! Niesłychane – powtarzał w kółko.

Wpatrywał się nie w kobietę, z którą przeżył tyle miłosnych uniesień, ale w krewetki pływające w sosie czosnkowym. Przez chwilę miał wrażenie, że się poruszają.

Taki zwrot sytuacji – z nieba do piekła! Szantaż, z którego nie ma dla niego dobrego wyjścia.

– W szpitalu poznałeś Dmytra Dyrzuka. – Lubow, niezrażona stanem ducha Pilarskiego, kontynuowała opowieść. – Tak, to Botanik, który w Polsce ukrywał się pod nazwiskiem Kazimierza Michałkiewicza. Oddział Dyrzuka działał na terenie dzisiejszego województwa podkarpackiego. W lipcu czterdziestego czwartego roku jego ludzie napadli na małą osadę leżącą na prawym brzegu Sanu. Młoda Polka, będąca w ósmym miesiącu ciąży, zdołała ukryć się w zbożu, jednak jeden z banderowców to widział. Długo szukali, ale znaleźli. Dyrzuk owinął wokół dłoni jej włosy i zaciągnął do pobliskiego lasu. Nożem rozpruł brzuch, wyjął dziecko, a ją wnętrznościami przywiązał do drzewa<sup>28</sup>. – Na twarzy Lubow pojawił się grymas zaciętości. – Botanika spotkałeś w szpitalu dość przypadkowo. – Nie czekała na odpowiedź. – Jego zabójczynię, Raisę, też. Początkowo uważała cię za przeszkodę, ale później uznała, że w razie wpadki możesz zapewnić jej alibi. Raisa nie wyszła do toalety, jak ci mówiła. To znaczy była w toalecie, ale tylko po to, aby włożyć strój pielęgniarki. W takim przebraniu wstrzyknęła do kroplówki Dyrzuka cyjanek. Później przebrała się i wróciła do siebie, a ty ciągle siedziałeś przy jej łóżku! Ech, ty niepoprawny romantyku! – Przelotnie spojrzała mu w oczy. – Przy boku atrakcyjnych kobiet tracisz instynkt samozachowawczy.

– No tak... – W jego głosie była rezygnacja. – Muszę przyznać ci rację. Pognębisz mnie do reszty lub dowartościujesz, jeśli powiesz, gdzie nauczyłaś się takiego wyrachowanego postępowania. Jesteś amatorką czy agentką służb specjalnych Rosji?

– Masz analityczny umysł, to pomyśl – odpowiedziała. – To nie jest trudne pytanie. Z trzecim banderowcem się nie spotkałeś, ale ci o nim powiem. To było w grudniu czterdziestego czwartego roku. Ta polska rodzina miała w domu piec chlebowy i ciasto przygotowane do wypieku. Grzali się przy nim, bo na dworze był mróz, a ich trzyletni synek spał obok w łóżeczku. Wtedy oni weszli. Związali całą trójkę, ojca i matkę posadzili na

krzesłach, a dziecko włożyli do pieca<sup>29</sup>. Nie zakneblowali mu buzi. Banderowcy siedzieli i śmiali się, zaglądając do pieca. „Nie, jeszcze nie gotowy – mówili. – Jeszcze musi się podpiec”. W końcu wyjęli go drewnianą łopatą i położyli na stole. Rodziców nie zabili, a wychodząc, życzyli im smacznego. Nie wzrusza cię to? Chcesz, by takie nieukarane ścierwa żyły wśród twoich rodaków?

Nie odpowiedział.

– Z Nadią to zupełnie inna historia – mówiła po chwili ciszy. – Kiedy miałam pewność, że dobrowolnie mi nie pomożesz, wtedy do akcji wkroczyła ona. Miała zdobyć kompromitujące cię materiały. Kokietowała cię, przespała się z tobą i to nagrała. Andrzej, przykro mi, że tak to wygląda. Mogło być zupełnie inaczej. Mogliśmy być razem, może nawet mieć dziecko, ale teraz jest to już niemożliwe.

– Jak sobie wyobrażasz naszą dalszą współpracę? – zapytał, wiedząc, że to pytanie oznacza przyjęcie jej warunków.

– Bardzo prosto. Ty odszukasz Matunina, a ja skasuję filmy na laptopie i oddam ci kopie filmów, które nagrała Nadia.

– Jakie mam gwarancje, że tak właśnie będzie?

– Masz moje słowo.

– Twoje słowo – zachnął się – niewiele jest warte. Cały czas grałaś, oszukiwałaś mnie.

– Nie masz racji, Andrzej. Tam, wśród Hucułów, u Petra i Marii, łączyło nas nie tylko fizyczne pożądanie. To było coś znacznie więcej. Dopiero później wszystko się zmieniło. Nie wiem, może jestem nienormalna, ale chęć zemsty na Matuninie była silniejsza od uczucia, jakim darzyłam ciebie. A słowa dotrzymam! Tego możesz być pewien.

Podziękował za kolację i bez słowa skierował się ku drzwiom.

– Andrzej, chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Usiądź na chwilę.

– Jestem pewien – odburknął – że już mi wszystko powiedziałaś.

– Nieprawda! Nie powiedziałam ci o ukraińskim komandzie likwidującym tych Polaków, którzy podczas wojny rozpracowywali UPA. Polaków i ich rodziny, żeby było jasne. Natknęliśmy się na to komando podczas naszych akcji. Dowodzi nim człowiek o pseudonimie Czeczen. Wiemy, że udało się im zdobyć czyjeś wspomnienia, w których wymienieni są z imienia i nazwiska Polacy czynnie zwalczający banderowców w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy – czterdzieści siedem.

– Lubow! – Pilarski nagle się ożywił. – To dla mnie bardzo ważna wiadomość. Masz więcej informacji na ten temat?

– No widzisz – uśmiechnęła się smutno – możemy sobie nawzajem pomóc. Innych informacji jednak nie mam. Chociaż poczekaj... – Zmarszczyła czoło. – W podsłuchanej rozmowie ludzi Czeczena pojawiało się nazwisko Jakubowski.

\*\*\*

Szantaż, jaki zastosowała Lubow, sprawił, że ostatniej nocy spędzonej w Egipcie Pilarski nawet nie zmrużył oka.

Bezwzględna suka! – powtarzał w myślach. – Jak mogła coś takiego zrobić?

Musiał jednak przyznać, że jej postępowanie cechował profesjonalizm.

Kto ją tak wyszkolił? – zastanawiał się. – Rosyjskie służby specjalne? A może Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, którą zdradziła? Tego nie wiedział, był jednak przekonany, że obecnie jest agentką którejś ze służb specjalnych Federacji Rosyjskiej – może nawet samego GRU.

Był pewien, że do Rosji nie pojedzie, wiedział jednak, że od pomocy w odszukaniu Matunina też się nie wykręci.

---

<sup>1</sup> Miłość.

<sup>2</sup> Ból, żal.

<sup>3</sup> Miasto w obwodzie Tarnopolskim na Zachodniej Ukrainie.

<sup>4</sup> Zbrucz – rzeka na Podolu, przedwojenna granica Polski z ZSRR.

<sup>5</sup> D. Pawłyczko, *Dwa kolory*, tłum. R. Ulicki.

Gdy byłem chłopcem, chciałem ruszyć w dal,

By iść przez świat nieznanymi szlakami...

Koszulę mama darowała mi

Z czerwonymi – i czarnymi,

Z czerwonymi i czarnymi nitkami.

Kolory te – kolory moje dwa.

Wciąż je na płótnie mam, wciąż idą za mną w dal.

Kolory te – kolory moje dwa.

Czerwony – szczęścia znak,

A czarny – ból i żal...

[...]

<sup>6</sup> Miasto we wschodniej części Ukrainy, przy granicy z Rosją.

<sup>7</sup> Obcokrajowiec zatrudniony w kraju wyżej rozwiniętym jako tania siła robocza.

<sup>8</sup> Grzybek – w żargonie żeglarskim, po wywrotce, odwrócenie się łódki dnem do góry.

<sup>9</sup> Czy mogę wam pomóc?

<sup>10</sup> Przepraszam.

<sup>11</sup> Ile przystanków autobusowych jest stąd do starego miasta Sieny?

<sup>12</sup> Nie wiem, ale ci pokażę.

<sup>13</sup> To jest nasz kemping.

<sup>14</sup> Mieliście dużo szczęścia. Gdybyście zjeżdżali mogło być po was.

<sup>15</sup> Wezwałem pomoc drogową.

<sup>16</sup> Dzisiaj warsztat jest już zamknięty.

<sup>17</sup> Jutro z rana Marko zamówi potrzebne części i pojutrze samochód będzie gotowy. Macie dwa wolne dni. I dwie noce.

<sup>18</sup> Przełożony, szef.

<sup>19</sup> Nóż szturmowy z urządzeniem strzelającym (ostrzem).

<sup>20</sup> Siły specjalne wojsk rosyjskich.

<sup>21</sup> Lubow – córka właścicieli gospodarstwa agroturystycznego na Zachodniej Ukrainie. Występuje w *Julii* – II tomie *Kresowej opowieści*.

<sup>22</sup> Zuch.

<sup>23</sup> Wyrażeniem „na Chomów” posługiwali się ówcześni mieszkańcy tamtych okolic, m.in. ciocia autora, od której czerpał on szczegółowe informacje na temat historii Kresów.

<sup>24</sup> Nexavar – lek firmy Bayer stosowany w leczeniu raka wątroby.

<sup>25</sup> Czyńcie pokój, nie wojnę.

<sup>26</sup> Czyńcie miłość, nie wojnę.

<sup>27</sup> W powieści autor wykorzystuje autentyczne wydarzenia, o których dowiedział się od ich świadków. Historię zgwałconej kobiety opowiedzieli mu czytelnicy podczas spotkania autorskiego w Janowcu Wielkopolskim.

<sup>28</sup> Za podzielenie się tą historią autor dziękuje Czytelnikom z Nozdrzca koło Przemyśla.

<sup>29</sup> Podziękowania za podzielenie się tą historią zechcą przyjąć Czytelnicy z Wiązowny koło Warszawy.

## ROK 2013

Kończyłem obiad, gdy odezwała się moja komórka.

– Dzień dobry. Nazywam się Andrzej Pilarski – informowałem lekko ochryply głos. – Policjant Andrzej Pilarski – powtórzył, kiedy usiłując przywołać w pamięci twarz rozmówcy, na chwilę zamilkłem.

– Jasne, teraz sobie pana przypominam – odpowiedziałem.

– Mam pilną sprawę i proszę pana o pomoc – policjant od razu przeszedł do konkretów. – Czy moglibyśmy się spotkać?

– Oczywiście. Nawet dzisiaj, jeśli to pilne.

Pilarski przyjechał późnym popołudniem. Po krótkim powitaniu i wymienieniu grzecznościowych formułek przeszliśmy do gościnnego pokoju, szumnie i na wyrost nazywanego salonem. Mój gość w oszczędnych słowach przedstawił swój problem i spojrzał na mnie pytająco.

– Podsumujmy. – Nalałem herbaty do filiżanek. – W czasie wojny niejaki Matunin, banderowiec, zamordował polską rodzinę i z dokumentami jednego z jej członków osiadł w Polsce. Pan chce go znaleźć, ale nieznane jest nazwisko Polaka, pod jakim on się ukrywa. Wiadomość o tym, prawdopodobnie, znajduje się w pamiętnikach Jakubowskiego. Czy tak wygląda ta sprawa?

– Dokładnie tak. – Pilarski skrzywił się upijając łyk herbaty. Była gorąca.

Hasło „pamiętniki Jakubka” lub „Jakubowskiego”, bo obu tych nazwisk używał, samo w sobie okazało się dość zawiłym problemem. Po dwóch godzinach dedukcji, w której uwagi policjanta okazały się przydatnym wsparciem, wiedzieliśmy, że były aż trzy pamiętniki.

Pierwszy obejmował okres od 1930 roku do maja 1944, kiedy to Jakubowski wstąpił do istriebitielnych batalionów. To musiało być w maju lub w czerwcu 1944 roku, ponieważ Rosjanie weszli do Kut, gdzie mieszkał



Jakubowski, w kwietniu i trochę czasu musiało upłynąć, zanim powołali tę paramilitarną jednostkę. Ten pamiętnik posiadałem, ale niestety zgubił się gdzieś i nie potrafiłem go odnaleźć. Nie wiedziałem nawet, czy tak dobrze go ukryłem, czy też został wykradzony. Tę drugą ewentualność uważałem za mało prawdopodobną, ale wykluczyć jej nie mogłem.

Drugi pamiętnik Jakubek napisał w 1991 roku, po tym, jak został wyrzucony z Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Uznał wtedy, że go skrzywdzono. Potraktowano go tak za przynależność do istriebitielnych batalionów, którym patronowało NKWD, a przecież dzięki temu mógł skutecznie zwalczać banderowców i ratować życie polskiej ludności cywilnej. Rozgoryczony zajął się opisaniem swojej działalności. Ten pamiętnik posiadała Dorota Woroniecka, ale została zamordowana, a zapiski, najprawdopodobniej, zostały z jej mieszkania wykradzione.

Ostatni, trzeci pamiętnik, to notatki Jakubka z lat 1946-1947. Posiadał je Pilarski, mój gość, jednak w sprawie Matunina nie było w nich żadnych interesujących informacji.

– Napad UPA na Rybaki miał miejsce dziesiątego listopada czterdziestego czwartego roku – analizowałem usystematyzowaną wspólnie wiedzę o pisarskim zacięciu Jakubka. – Skoro pierwszy pamiętnik kończy się w maju czterdziestego czwartego roku, a trzeci obejmuje lata tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć – czterdzieści siedem, to interesujące pana informacje muszą znajdować się w pamiętniku, który miała pani Woroniecka. Problem w tym, że ona nie żyje, a pamiętnika nie ma. Mój zresztą też zaginął. Jeśli dopuścimy do rozważań teorię spiskową, to być może zapiski, które posiadała pani Dorota, i notatki, które miałem ja, są teraz w rękach tych samych ludzi, prawdopodobnie Czeczena. Jeśli tak jest i jeśli Czeczen, jak pan twierdzi, wykonuje wyroki na Polakach i ich rodzinach, to zagrożeni są wszyscy, których nazwiska zapisał Jakubowski. Są więc dwie równoległe toczące się sprawy – aresztowanie Czeczena i odszukanie Matunina.

– Tak jest w rzeczywistości – policjant przyznał mi rację. – Pierwszą prowadzę od jakiegoś czasu, a druga pojawiła się ostatnio.

Cisza, która zapanowała po słowach Pilarskiego miała swoje uzasadnienie. Policjant wrócił wspomnieniami do spotkania z Lubow w Egipcie, a ja usiłowałem przypomnieć sobie fakty z pierwszego pamiętnika Jakubka.

– Ogólnie pamiętam, o czym Jakubek pisał, ale nazwisk sobie nie przypominam. – Odruchowo zmarszczyłem czoło. To były głównie opisy przyrody Pokucia, Czeremoszu i życia mieszkańców wsi Rybaki. Wspomnienia kończą się w czterdziestym czwartym roku, kiedy on i cztery lata młodszy Józef Korzeniowski wstępują do istriebitielnych batalionów.

Niespodziewanie dla samego siebie podałem jednak nazwisko. Zapamiętałem je, bo skojarzyłem z Josephem Conradem.

– Panie Andrzeju, jeśli komando Czeczena, które prawdopodobnie wymordowało całą rodzinę Jakubowskiego, ma jego wspomnienia... – Nie potrafiłem ukryć emocji. – Jeśli tak jest, to będzie też chciało zlikwidować Józefa Korzeniowskiego i jego bliskich.

Pilarski potraktował tę hipotezę niezwykle poważnie.

– O razu zajmę się zbadaniem tego wątku – powiedział. – Ciekaw jestem, ile lat może mieć teraz pan Korzeniowski?

– To można policzyć – odpowiedziałem. – Jakubowski urodził się w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, a Korzeniowski był od niego cztery lata młodszy, czyli urodził się w dwudziestym trzecim – dedukowałem. – Teraz mamy rok dwa tysiące trzynasty, więc pan Józef, jeśli żyje, ma dziewięćdziesiąt lat i pewnie mieszka w którymś z województw obejmujących dawne tereny niemieckie. Opolskie, dolnośląskie, lubuskie, zachodniopomorskie, pomorskie, warmińsko-mazurskie – tam prawdopodobnie mieszka lub mieszkał. A w sprawie Matunina proszę skontaktować się z panią Karoliną. Ona jest młoda i nic panu nie powie, ale jej babcia może coś na ten temat wiedzieć.

\*\*\*

Dzień po naszej rozmowie Pilarski wezwał swoją asystentkę. Przyszła od

razu i natychmiast zauważyła zmianę w wyglądzie przełożonego.

– Źle pan wygląda, panie inspektorze. – Nie zachowywała nawet pozorów taktu. – Myślałam, że wróci pan opalony i wypoczęty, a pan jest...

– Blady i zmęczony? – policjant wszedł jej w słowo. – To chciała pani powiedzieć? Jeśli tak, proszę sobie darować. To moja prywatna sprawa.

– Przepraszam. Nie chciałam pana urazić – odpowiedziała ze skruszoną miną.

– Ale właśnie to pani zrobiła! – zauważył ze złością. – Proszę usiąść, mam dla pani zadanie.

W tej samej chwili przyszła mu do głowy myśl, że Ilona i Lubow się znają i że są ze sobą w kontakcie. Jego wyjazd do Szarm el-Szejk załatwiła przecież jego asystentka i w tej samej miejscowości zjawiała się Lubow! Przypadek? Być może, chociaż niekoniecznie. Lubow wspominała o kontaktach w polskiej policji, ale czy tą osobą jest jego asystentka? Nie wiedział i nie miał czasu, aby zgłębiać ten problem.

– Pani Ilono – powiedział już łagodnie – mam dla pani zadanie. Proszę sprawdzić, czy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, powiedzmy pół roku, zmarł Józef Korzeniowski. Gdyby nie, to proszę odszukać miejsca zamieszkania wszystkich ludzi o tym nazwisku mających około dziewięćdziesięciu lat.

– Panie inspektorze... – Ilona uniosła brwi, jakby się czemuś dziwiła. – Czy to jest kara za moje zachowanie?

– Nie rozumiem. Co pani ma na myśli?

– To, że jest to zadanie wymagające mnóstwa czasu. Chciałabym chociaż prosić o jakieś bliższe dane.

– Gdybym miał, podałbym je pani. Praca w policji, panie Ilono, to same trudne zadania. To, które zleciłem, wcale do nich nie należy.

\*\*\*

Intensywna praca sprawiła, że Pilarski nie miał czasu na rozmyślenia o

problemach ze zdrowiem. Czuł się dobrze i gdyby nie jego dociekliwość i ograniczone zaufanie do opiekujących się nim lekarzy nie wiedziałyby, że ma raka.

Całkowita abstynencja była jedynym działaniem oszczędzającym wątrobę, bo żadnej diety nie przestrzegał. Nie unikał też pracy fizycznej, w której szukał ucieczki od stresujących służbowych obowiązków.

Przeszedł pomyślnie badania kwalifikacyjne, profilaktycznie usunięto mu wszystkie zęby leczone kanałowo i już tylko czekał na informację o zakwalifikowaniu do przeszczepu.

Najtrudniejszy był dla niego wolny czas, a najgorsze bezsenne noce. Od kiedy pamięta, spał najwyżej pięć godzin w ciągu doby. Gdy był zdrowy, snuł wtedy plany na nadchodzący dzień, czasem oddawał się marzeniom – zmiennym, bo zależnym od wieku i tylko niekiedy dotyczącym zdrowia. Teraz jednak wszystkie jego myśli podążały w jednym kierunku. Sytuacja była poważna i starał się, na wszelki wypadek, pozamykać sprawy, które po nieudanej operacji mogłyby komuś sprawić kłopot.

\*\*\*

– Panie inspektorze, panie inspektorze! – Asystentka przyspieszyła kroku.  
– Proszę poczekać.

Zatrzymał się pośrodku długiego korytarza Komendy Wojewódzkiej Policji, przed drzwiami pokoju, w którym pracował.

– Co się stało? – zapytał.

– Wykonałam zadanie. – Kobieta powoli uspokajała oddech. – Józef Korzeniowski został zamordowany w hospicjum w Żarach dwa tygodnie temu.

– Proszę, niech pani wejdzie. Nie będziemy rozmawiali w tym miejscu.

Chwilę mocował się z zamkiem, a kiedy weszli do pokoju, ich oczom ukazała się sterta dokumentów piętrząca się na biurku.

– Przepraszam za ten bałagan. Zaraz się z nim uporam.

Uporanie się z bałaganem polegało na jednorazowym przeniesieniu sterty dokumentów z biurka na stojący w rogu pokoju fotel.

– No i po kłopotcie. – Wytał o spodnie ręce i przysunął krzesło do biurka. Sam zajął miejsce po jego drugiej stronie.

– Proszę, niech pani usiądzie – powiedział. – A teraz czekam na szczegóły.

– Jakie szczegóły? – Kobieta była zdziwiona. – Nie znam żadnych szczegółów. Komenda Powiatowa w Żarach przez telefon nie chce udzielać żadnych informacji. Prosiłam, błagałam, a nawet straszylam, ale nic to nie dało.

– Straszyla pani? – Pilarski uniósł jedną brew, zupełnie jak sienkiewiczowski Zagłoba. – Pani Ilono...

– Nie, nic takiego! – Machnęła ręką. – Pewnie dlatego nie pomogło!

Godzinę po tej rozmowie siedział już w samochodzie. Jazda do Węzła Bielańskiego przez zatłoczone ulice miasta zajęła mu pół godziny, ale na autostradzie nie oszczędzał auta i po godzinie był już w Żarach. GPS zaprowadził go bezbłędnie do celu, którym był długi parterowy budynek Hospicjum św. Brata Alberta. Właśnie u źródła chciał zasięgnąć informacji.

– To było straszne – mówił dyrektor hospicjum. – Moja pracownica, pani Krystyna, która wtedy miała dyżur, do dzisiaj jest na zwolnieniu. Nie, fizycznie nic jej nie zrobili, ale ciągle wymaga opieki psychologa.

– Tutaj, w tym pokoju, przebywał pan Korzeniowski. – Wskazał drzwi po lewej stronie korytarza. – Ciągle są zaplombowane i zupełnie nie wiem dlaczego. – Wzruszył ramionami. – Było ich dwóch. Przyszli o czwartej nad ranem, obaj w kominiarkach. Jeden złapał panią Krystynę za włosy, przyłożył do skroni pistolet i kazał prowadzić do pana Korzeniowskiego. Drugi go ubezpieczał. Gdy weszli do pokoju, pan Józef spał. Obudzili go i ten drugi zapytał, jak się nazywa. Pan Korzeniowski, wyrwany ze snu, nie wiedział, o co chodzi. Pytali go kilka razy, a kiedy usłyszeli nazwisko, ten drugi wyjął pistolet, założył tłumik i strzelił dwa razy w głowę. Wychodząc,

powiedział, że to za istriebitelny batalion. Pani Krystynie rozkazali, żeby nie dzwoniła na policję. Zagrozili, że jeśli zadzwoni, zrobią jej to samo.

– Proszę powiedzieć, czy ktoś pana Korzeniowskiego odwiedzał? Czy miał jakichś krewnych?

Pilarski musiał to wiedzieć. Był pewien, że jeśli zamordowany pacjent miał krewnych, to grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo.

– O ile wiem, pana Józefa odwiedzała tylko jedna osoba. – Dyrektor zmarszczył brwi. – Tak, tylko jedna. Ale przejdźmy do mojego gabinetu, tam podam szczegóły.

Pilarski cierpliwie przyglądał się, jak mężczyzna poszukuje dokumentów.

– O, mam – ucieszył się dyrektor. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale na co dzień tymi sprawami zajmuje się pani Krystyna. Weronika Górka, córka pana Józefa – ona go odwiedzała. Mieszka w Zielonej Górze. Chce pan jej adres?

– Tak, tak. Oczywiście.

Dyrektor hospicjum na odwrocie wizytówki chwilę coś pisał, kilka razy zaglądając do teczek z aktami pana Józefa.

– Tu ma pan adres zamieszkania pani Górskiej, z kodem pocztowym i numerem telefonu.

W Komendzie Powiatowej Policji powtórzono to wszystko, czego dowiedział się w hospicjum. Dodatkową informacją było zeznanie przypadkowego przechodnia, który widział dwóch mężczyzn w pośpiechu wsiadających do samochodu osobowego koloru czerwonego. Świadek nie zapamiętał marki samochodu ani jego numerów rejestracyjnych.

Tych informacji dostarczyły kamery monitoringu miejskiego. Było to audi A3 z rejestracją powiatu mrągowskiego. Samochód kierował się na północ, a ostatni zarejestrowany obraz pochodził z kamery umieszczonej przy stacji benzynowej Orlenu przy ulicy Zielonogórskiej.

Powiedziano mu też, że śledztwo w sprawie zabójstwa Korzeniowskiego

przejęła Komenda Wojewódzka Policji w Zielonej Górze.

\*\*\*

Informacje zdobyte w Giżycku i Żarach kreśliły dość spójny obraz, ale z powagi sytuacji zdał sobie sprawę dopiero we Wrocławiu. W swoim pokoju szybko doszedł do wniosku, że komando Czeczena wykonało wyrok na Korzeniowskim, a w drodze powrotnej na Mazury prawdopodobnie też na jego córce. Ulica Zielonogórska, jak sama nazwa wskazuje, jest bowiem główną drogą prowadzącą z Żar do stolicy województwa lubuskiego, w której ona mieszkała.

W pośpiechu odszukał wizytówkę dyrektora hospicjum i wystukał numer Weroniki Górskiej. Jej telefon jednak milczał.

– Pani Ilono – mówił po chwili do służbowego telefonu – proszę natychmiast do mnie przyjść.

– Co się stało, panie inspektorze? – pytała zdziwiona już po minucie.

Krótko przedstawił jej wnioski, do jakich doszedł, i poprosił o ciągłe telefonowanie do pani Górskiej.

– To sprawa życia lub śmierci, pani Ilono. Dosłownie.

Asystentka wróciła po dwóch godzinach z informacją, że telefon pani Górskiej nadal milczy.

– Ale sprawa nie wygląda tak dramatycznie, jak ją pan inspektor przedstawia – powiedziała. – Po pierwsze, pan Korzeniowski został zamordowany dwa tygodnie temu i jeśli w tym samym dniu egzekutorzy odwiedzili mieszkanie pani Górskiej, to już jest wyłącznie sprawa samej śmierci. Po drugie, mamy numer telefonu stacjonarnego córki pana Józefa, a nie jej komórki. Jeśli wyszła na zakupy, do urzędu albo wyjechała do znajomych, to naszego telefonu odebrać nie może.

– Szlag by te baby trafił! – pomyślał. – Mają bardziej analityczne umysły niż ja.

– OK, ma pani rację – przyznał. – Jednak musimy to wyjaśnić.

Natychmiast.

Chwilę trwało, zanim skontaktował się z właściwym człowiekiem Komendy Wojewódzkiej w Zielonej Górze i poprosił o skierowanie patrolu do miejsca zamieszkania pani Weroniki.

– Jeśli sąsiedzi widzieli ją w ciągu kilku ostatnich dni, proszę się nie wlamywać do jej mieszkania – powiedział na końcu rozmowy.

Tego dnia wyszedł z pracy później niż zwykle. Zrobił zakupy w osiedlowym sklepie, skuszony komunikatem o kumulacji wysłał kupon Lotto i wracał do domu. Kiedy otworzył skrzynkę pocztową, znalazł w niej kilka reklam, które bez przeglądania wrzucił do kubła, oraz awizo. Zaznaczona kratka informowała, że na poczcie czeka list polecony. Spojrzał na zegarek – dochodziła dziewiętnasta. Wiedział, że za kilka minut poczta zostanie zamknięta i postanowił odebrać przesyłkę następnego dnia.

\*\*\*

Z rana, niemal równo z przyjściem do pracy, odebrał telefon z Komendy Wojewódzkiej Policji w Zielonej Górze. Poinformowano go, że Weronika Górka była przez dwa dni u siostry w Mirosławcu i do swojego mieszkania wróciła wczoraj wieczorem.

– Teraz jest w domu – mówił zielonogórski policjant – może się pan z nią skontaktować.

Zatelefonował od razu. Powiedział, że jest policjantem z Wrocławia i prowadzi śledztwo w sprawie śmierci jej ojca. Powiedział też, że chciałby się pilnie w tej sprawie z nią zobaczyć.

– Nawet dzisiaj przed południem – odpowiedział na pytanie, kiedy do niej może przyjechać.

\*\*\*

Weronika Górka mieszkała we wschodniej części miasta na osiedlu Pomorskim. Dla Pilarskiego była to dobra wiadomość, ponieważ od drogi S3, którą jechał, dzieliło je zaledwie kilkaset metrów.



Mimo sześćdziesięciu trzech lat, jak się miało w czasie rozmowy okazać, pani Weronika była atrakcyjną, modnie ubraną i zadbaną kobietą. Delikatny makijaż i proste rude włosy z grzywką zakrywającą czoło, dość skutecznie maskowały skutki upływającego czasu.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, godząc się na tę wizytę – mówiła, zapraszając go do stołu. – Jest pan dla mnie obcym człowiekiem. W dodatku z Wrocławia, a śledztwo w sprawie zabójstwa ojca prowadzi policja z Zielonej Góry.

– Jeśli myśli pani, że zaprosiła do domu przestępcę podającego się za policjanta, to jest już za późno. – Pilarski uśmiechnął się do niej. – Proszę się jednak nie obawiać, jestem prawdziwym policjantem. – Pokazał służbową legitymację.

– Śmierć ojca jest dla mnie szokiem – powiedziała pani Weronika po kwadransie ogólnej rozmowy. – Trzymam się jakoś, bo cały czas jestem na środkach uspokajających, ale nadal nie wiem, kto ojca zabił i przede wszystkim za co? Całe życie był spokojnym człowiekiem. Pomagał ludziom, którzy go o pomoc prosili, nigdy nie odmawiał, a ktoś nie pozwolił mu spokojnie zakończyć życia.

– Właśnie w tej sprawie do pani przyjechałem. – Pilarski oparł łokcie na stole i położył brodę na złączonych dłoniach. – Proszę powiedzieć, czy pani ojciec opowiadał o wojnie i o tym, co wtedy robił?

– Nigdy. Nigdy nie zaczynał rozmowy na ten temat i nigdy w taką rozmowę nie dawał się wciągnąć. Dla jego bliskich okres wojny to była biała karta, po prostu dziura w życiorysie. Wiem, że mieszkał na Pokuciu, nad taką znaną rzeką. Zaraz, zaraz... jak ona się nazywała? No, wyleciało mi całkiem z głowy.

– Czeremosz?

– O, właśnie, mieszkał nad Czeremoszem! Skąd pan to wie?

– Prowadzę nie tylko sprawę śmierci pani ojca, ale też zabójstw innych ludzi mieszkających na tamtym terenie.

– Nie rozumiem!

– Bo to trudno zrozumieć. Powiem krótko: przed wojną na terenach dzisiejszej Zachodniej Ukrainy była Polska. Polacy stanowili tam mniejszość, ale to była Polska. Tak potoczyła się historia tych ziem. W czasie wojny ukraińscy nacjonałiści podjęli walkę o niepodległe państwo. Walczyli z Rosjanami, ale przede wszystkim mordowali polską ludność cywilną. O tym, co stało się na Wołyniu, chyba pani słyszała.

– Tak. Okropne rzeczy tam się działy.

– Rok później to samo było tam, gdzie mieszkał pani ojciec. Kiedy na te tereny wkroczyli Rosjanie, podjęli walkę z ukraińskimi nacjonalistami. Utworzyli w tym celu paramilitarne oddziały, do których mogli wstąpić miejscowi Polacy. Pani ojciec był w jednym z nich.

Wojna się zakończyła, nacjonałiści walkę przegrali, a niektórzy z Polaków zaczęli pisać pamiętniki. Bohaterskie czyny pani ojca opisał jego kolega. Nie zmieniał przy tym nazwisk i to był błąd. Współcześni ukraińscy nacjonałiści zdobyli ten pamiętnik i postanowili się zemścić.

– To straszne, co pan mówi! Zaczynam się bać!

– I ma pani czego się bać! Na terenie Polski działa komando wykonujące wyroki śmierci nie tylko na Polakach zaangażowanych w czasie wojny w walkę z ukraińskim podziemiem, ale też na ich rodzinach. Stosują odpowiedzialność zbiorową, taką jak w czasie wojny. Człowiek, który spisał wspomnienia, zmarł śmiercią naturalną, ale najbliższe mu osoby zginęły w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach.

– Co pan w tej sytuacji proponuje?

– Proszę opowiedzieć o najbliższej rodzinie pani ojca. Kto jeszcze żyje, gdzie mieszka, co robi? Wiem, że w Mirosławcu ma pani siostrę.

– Tak. Ma pięćdziesiąt siedem lat, jest sześć lat młodsza ode mnie, nie pracuje i mieszka na osiedlu wojskowym. Moja mama nie żyje, a innego rodzeństwa nie mam.

– A dzieci? Ma pani dzieci?

– Nie, nie mam. Tak się złożyło, po prostu. – Pani Weronika kciukiem wytarła łzę. – Nigdy nie mogłam mieć dzieci, a mąż bardzo chciał je mieć. Dziesięć lat temu mnie zostawił. Poznał młodszą, dużo młodszą kobietę i ma z nią upragnione dziecko. Został pięćdziesięcioczeroletnim ojcem, ale niech im tam... – Machnęła ręką. – Niech będą szczęśliwi.

– A pani siostra?

– Ma córkę. Magda studiuje we Wrocławiu na Uniwersytecie Przyrodniczym. Piękna dziewczyna, mówię panu.

– Czyli pani, pani siostra i jej córka, to jedyne żyjące, blisko spokrewnione z Józefem Korzeniowskim osoby. Tak?

– Dokładnie tak.

– Pani Weroniko... – Pilarski pochylił się nad stołem. – Jeśli moje przypuszczenia są trafne, to wszystkie jesteście zagrożone. Przepraszam za tę poufałość, za to, że zwróciłem się do pani po imieniu, ale w ten sposób trochę lepiej się rozmawia.

– Oczywiście, że lepiej, i nie ma pan za co przepraszać. No, zmartwił mnie pan z tym zagrożeniem. Poważnie pan tak myśli?

– Jak najbardziej! To mściwi i bezwzględni ludzie.

– Wie pan, panie Andrzeju, wczoraj wróciłam od siostry. Nie mówiłam tego, ale zostawiłam ją w kiepskim stanie. Ona leczy się na depresję, a od dwóch dni nie może skontaktować się z córką. Siostra wyobraża sobie wszystko, co najgorsze, łyka jakieś tabletki i jest kłębkim nerwów.

Pilarski podniósł się z krzesła.

– Proszę zadzwonić do Mirosławca. Może coś się wyjaśniło. Ja na chwilę wyjdę do sklepu.

– A co chce pan kupić?

– Coś do jedzenia. Nic dzisiaj jeszcze nie jadłem.

– Coś podobnego! – Pani Weronika załamała rękę. – A ja pana tak głodzę. Zaraz podam obiad. Bigos! Przywiozłam go od siostry.

– Pani Weroniko, nie trzeba!

– Co trzeba, a co nie, to ja wiem najlepiej. – Uśmiechnęła się, przysmykając oko. – Kwadrans, tyle mi potrzeba.

Kobieta wyszła do kuchni, a Pilarski włączył telewizor. Przełączał kanały, szukając programu, który pozwoliłby mu zapomnieć o głodzie. Na jednym z nich trafił na program informacyjny. Spikerka odczytywała wyniki najnowszego sondażu poparcia dla partii politycznych, ale jego zainteresował pasek u dołu ekranu z przewijającymi się komunikatami.

– No szybciej, szybciej – wyrwało mu się, po przeczytaniu końcówki jednego z nich.

– Ja bardzo przepraszam – pani Weronika wychyliła się z kuchni – ale szybciej nie mogę. Bigos musi być odgrzewany na wolnym ogniu.

– To nie było do pani. – Machnął ręką, jakby odpędzał natrętnego komara. – Sam do siebie, a właściwie do telewizji, tak powiedziałem.

Kobieta zrobiła zdziwioną minę i bez słowa zniknęła w kuchni.

Musiał odczekać dwie długie minuty, zanim interesujący go komunikat pojawił się ponownie. *Dzisiaj rano w pobliżu Wyspy Opatowickiej we Wrocławiu wyłowiono z Odry ciało młodej kobiety* – przeczytał lakoniczną wiadomość.

W czasie obiadu zadzwonił telefon pani Weroniki.

– Tak, słucham. – Kobieta odłożyła kromkę chleba. – A, to ty. No i co słyhać, siostrzyczko?

Z przebiegu rozmowy wynikało, że siostrzenica pani Weroniki ciągle się nie odzywa i że w akademiku, w którym mieszka, nic na jej temat nie wiedzą.

Kobiety rozmawiały prawie pół godziny – wyłącznie na temat Magdy.

– Wszystko będzie dobrze, pa – powiedziała na koniec pani Weronika.

– Bez zmian, panie Andrzeju. Nic się nie wyjaśniło! – krótko podsumowała rozmowę.

Nie komentując tych słów, sięgnął po telefon.

– Pani Ilono – mówił po chwili – co pani wie o tej kobiecie wyłowionej dzisiaj z Odry?

– Jezusie drogi! Matko Boska! – Pani Weronika złapała się za głowę. – O czym pan mówi?

Uniósł dłoń, prosząc, żeby nie przeszkadzała. Kilka razy powtórzył „tak”, coś zapisywał w notesie i cały czas stukał długopisem o blat stołu.

– OK, będziemy w kontakcie. – Włożył do kieszeni telefon.

– Pani Weroniko – zaczął, pełen najgorszych podejrzeń. – Dzisiaj we Wrocławiu wyłowiono z Odry ciało młodej kobiety. Miała zmasakrowaną twarz i związane z tyłu ręce. Znalaziono przy niej legitymację studencką z wyrwanym zdjęciem, ale wskutek długiego przebywania w wodzie, bez specjalistycznych badań niczego nie dało się odczytać. Dziewczyna na lewym przedramieniu miała wytatuowane dwa motyle. Oprócz tego...

– Boże! Boże! – krzyczała pani Weronika. – Za co ją tak pokarałeś?! Te motyle, panie Andrzeju, te motyle... Jezu, to Magda!

\*\*\*

– Nie, nigdzie pan nie pojedzie.

Pani Weronika mówiła spokojnym, ale zdecydowanym głosem. Ten spokój zawdzięczała kolejnej dawce leków, które zażyła, gdy przekonała się, że wyłowioną z rzeki kobietą była jej siostrzenica.

– Dopóki nie wymyśli pan czegoś, co sprawi, że będę bezpieczna, nie wypuszczę pana.

Rozumiał strach kobiety, ale wzywały go służbowe obowiązki. Usiłował gorączkowo wymyślić owo coś, co zapewni jej bezpieczeństwo, jednak nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Mieszkanie w bloku na trzecim

piętrze było wprawdzie bardziej bezpiecznym miejscem od mieszkania na parterze, ale dla profesjonalnych zabójców nie miało to większego znaczenia.

– Pani Weroniko, proszę przestrzegać kilku zasad – improwizował. – Jeśli zadzwoni telefon, a rozmówca będzie pytał o jakieś dziwne rzeczy albo przerwie połączenie, nic nie mówiąc, to prawdopodobnie będzie sprawdzał, czy jest pani w domu. Dobrze byłoby wyłączyć telefon stacjonarny i posługiwać się komórką, ale pani jej chyba nie ma.

– Nie, nie mam. Czasem bardzo mi jej brakuje i na pewno ją kupię, ale teraz nie mam.

– Szkoda, ale idźmy dalej. Jeśli usłyszysz pani dzwonek do drzwi, to przed ich otwarciem musi, powtarzam, musi się pani upewnić, kto jest za nimi. Pytając, proszę nigdy nie stać przed drzwiami, tylko z boku, za ścianą.

– Teraz to już mnie pan zupełnie wystraszył. – Twarz kobiety była blada.  
– Sama w tym mieszkaniu nigdy nie zostanę!

Wiedział, że zalecenia, które jej podał, nie były nawet półśrodkami i że mogły ją najwyżej uspokoić, a nie zapewnić rzeczywiste bezpieczeństwo, jednak pani Weroniki nie uspokoiły w najmniejszym stopniu.

– Czy pani siostra ma duże mieszkanie? – zapytał, szukając innego rozwiązania.

– Tak. Cztery pokoje, prawie dziewięćdziesiąt metrów.

– To najlepiej będzie, jeśli się pani do niej przeprowadzi.

– Na stałe? – Kobieta się przeżegnała. – To niemożliwe!

– Nie na stałe, tylko na czas schwytania morderców pani ojca i Magdy. To wojskowe osiedle, pewnie jest w jakiś sposób chronione. Spróbuję przekonać szefa, żeby załatwił z wojskiem specjalną ochronę dla pani i siostry.

– To już brzmi znacznie lepiej. – Z głosu pani Weroniki emanował spokój. – Tylko jak się do Mirosławca dostanę? Busem?

– Wykluczone. Nawet jazda ze mną nie byłaby dla pani bezpieczna. Spróbuję załatwić policyjną eskortę.

Rozmawiał przez telefon blisko pół godziny i trudna to była rozmowa. Nie miał twardych dowodów na to, że obie siostry są na liście potencjalnych ofiar. Jego intuicja długo nie przekonywała szefa, ale w końcu zgodził się pójść ze sprawą do komendanta. Zrobił to dla świętego spokoju, obawiając się konsekwencji, gdyby jednak pani Weronice rzeczywiście stało się coś złego.

– Proszę czekać na telefon – zakończył rozmowę.

Zadzwoił za pół godziny.

– Załatwione – powiedział. – Komenda w Zielonej Górze obiecała przewiezienie pani Górskiej do Mirosławca jutro o godzinie dziewiątej.

– Jak to jutro? – zaprotestował Pilarski. – Trzeba zrobić to jak najszybciej, koniecznie dzisiaj.

– Dzisiaj nie mogą, nie mają wolnego radiowozu.

– Nie, panie Andrzeju. – Kobieta, która słyszała rozmowę, pogroziła palcem. – Do jutra sama nie zostanę.

Nie był przygotowany na nocleg poza swoim domem. Brakowało mu wszystkiego – od przyborów toaletowych poczynając, a na pidżamie kończąc. Pani Weronika nie widziała w tym jednak żadnego problemu.

– Golić się pan nie musi, szczoteczkę zapasową mam, a pasta będzie wspólna – mówiła z tajemniczym uśmiechem. – Spać może pan w moim dresie. Będzie trochę za mały, ale z pana też nie jest atleta.

\*\*\*

Policyjny radiowóz przyjechał punktualnie.

– Do zobaczenia, panie Andrzeju – powiedziała pani Górka zajmując miejsce obok rosłego policjanta.

– Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

– Może – uśmiechnął się.

\*\*\*

– Pańska delegacja, szefie, trochę się przedłużyła. – Ilona była w tak pogodnym, wręcz radosnym nastroju, że w pierwszej chwili pomyślał, iż jest pod wpływem alkoholu lub jakiegoś dopalacza.

– A pani co tak wesoło? Chyba przyniosę alkomat!

– Daremny trud, szefie. Od mleka nie ma się promili.

– OK, dajmy już spokój tej rozmowie. Mamy poważny problem. Niestety moja teoria się sprawdza – zabijane są te osoby, o których pisze Jakubek. O Józefie Korzeniowskim dowiedzieliśmy się przypadkiem, nie wiemy jednak, jakie inne nazwiska znajdują się w jego wspomnieniach. Pamiętnik Jakubka, który zginął z domu Doroty Woronieckiej, jest nam koniecznie potrzebny. O pierwszym powodzie mówiłem – są w nim nazwiska osób, które mogą być na liście Czeczena. W ogóle, pani Ilono, tę sprawę prowadzą aż trzy powiatowe komendy! W Giżycku, Nowej Soli i Trzebnicy. Właściwie, to nawet pięć, bo Trzebnicę my nadzorujemy, a zabójstwem Korzeniowskiego zajmuje się Zielona Góra, a to prawdopodobnie ci sami zabójcy! Jeszcze dzisiaj przekażę szefowi wszystkie informacje, jakie posiadam, i wycofuję się z tych dochodzeń. Komando Czeczena jest zbyt silne! Policjanci z komend powiatowych nie dadzą sobie z nim rady, a ja tym bardziej. Drugi powód jest bardziej osobistej natury. Chodzi o Matunina, banderowca, który ukrywa się gdzieś w Polsce pod nazwiskiem swojej ofiary. Informacje o nim też mogą być we wspomnieniach Jakubka.

\*\*\*

Czeczen i Dorota Woroniecka – przypomniał sobie wyjazd do Trzebnicy i rozmowę z rudowłosą pięknoscią z urzędu skarbowego, przyjaciółką Doroty. Powiedziała mu wtedy, że z podsłuchanej przez Dorotę rozmowy wynikało, iż na pamiętnikach Jakubka zależało Saszy – jej mężowi, obecnie przebywającemu w Londynie. Nazwiska występujące w tych wspomnieniach zna na pewno Czeczen, ale on, Pilarski, nie ma żadnej możliwości ich



zdobycia. To profesjonaliści. Nie dopuszczają, aby policja dowiedziała się, kogo mają zamordować. Z pewnością nie są też miłośnikami literatury i treść wspomnień Jakubka ich nie interesuje. Jeśli tak, to oryginał pamiętników musi znajdować się w Londynie. Tylko jak je odzyskać?

\*\*\*

– Proszę pana – Karolina Matusiak rozłożyła ręce – jestem już u kresu wytrzymałości. Okropna jest ta starość. Ja praktycznie nie mam życia.

– Chodzi o pani babcię?

– Tak, o nią. Na szczęście w pracy idą mi na rękę i nie mam nocnych dyżurów, ale za to mam je w domu. Muszę wyjść o szóstej, żeby na siódmą dojechać do pracy. O piętnastej kończę, ale w domu jestem o siedemnastej. No wie pan, dojazd, jakieś zakupy, a przy babci trzeba być cały czas. Sąsiadka przychodzi z rana, kiedy ja wychodzę. O ósmej przychodzi pani z opieki społecznej, ale tylko na pięć godzin. Od trzynastej do siedemnastej znowu dyżur ma pani Aniela, no a potem ja. Do samego rana. I tak każdego dnia. Marysia, moja córka, matki praktycznie nie ma. Duża z niej panna, ale się boję, że bez mojej opieki wpadnie w złe towarzystwo. – Karolina się zamyśliła. – Może z opieki społecznej przysłaliby jeszcze kogoś żeby panią Anielę odciążyć, bo też już niemłoda, ale to niemożliwe. Ludzi nie mają, a w dodatku nikt do nas nie chce przychodzić. Wie pan, babcia sąsiadkę zna i ją lubi, ale pań z opieki nie cierpi. Złości się na nie, jest niegrzeczna. Panie wiedzą, że to taki wiek, że zmiany w mózgu i coraz bardziej dziecinny umysł, ale nie każda chce znosić babcine fochy. – Spojrzała na ścienny zegar. – Bardzo pana przepraszam, ale muszę przygotować kolację. Proszę ze mną do kuchni. Wczoraj na przykład – kontynuowała, obierając ziemniaki – pani, która do tej pory przychodziła, powiedziała babci, że jest już ostatni raz. I niech pan zgadnie, jak babcia jej za to podziękowała.

– Nie mam pojęcia. – Policjant wzruszył ramionami.

– „No i całe szczęście!” Tak jej odpowiedziała. Wyobraża pan sobie? Za ciężką pracę takie podziękowanie? A kilka tygodni temu, kiedy ta właśnie pani przysłała po raz pierwszy, to zapytała, ile babcia ma lat, tak kurtuazyjnie,

żeby zacząć rozmowę. I usłyszała: „A co to panią obchodzi!”. Proszę pana, słów brakuje i coraz bardziej sił, ale do domu opieki babci nie oddam! Umrze tu, gdzie żyła tyle lat. Musi umrzeć wśród swoich ścian, kwiatów i kochających ją ludzi. Bo ja, proszę pana, narzekam, ale bardzo babcię kocham. – Przerwała pracę. – Tak, bardzo ją kocham. – Proszę wybaczyć, że tak się rozgadałam, ale musiałam to z siebie wyrzucić! Tak po prostu, żeby było mi trochę lżej. Tylko nawet nie zapytałam, w jakiej sprawie pan przyjechał.

– Po tym, co mi pani powiedziała, pani Karolino, zwątpiłem. Sprawa dotyczy czasów wojny, ale babcia chyba już nic nie pamięta.

– Proszę pana – kobieta wstawiła ziemniaki na gaz – pamięć babcia ma lepszą niż pan czy ja. Czasem wydaje się jej, że żyje w zupełnie innym świecie, ale co było dawno, to wszystko pamięta.

– Karolcia! Karolcia! – dobiegło zza zamkniętych drzwi.

– Słyszysz pan? I tak kilka razy na godzinę! Bez różnicy, czy to noc, czy dzień.

Od ostatniej wizyty Pilarskiego pokój Katarzyny Matusiak nic się nie zmienił. Te same firanki i zasłony, ten sam półmrok i święte obrazy wiszące na zszarzałych ścianach. Jedyne sama pani Katarzyna, przykryta pierzyną, z dwiema poduszkami pod głową zdawała się być drobniejsza, jakby szczuplejsza, wręcz chuda. Tylko jej oczy, duże i smutne, z tą samą ufnością patrzyły na wnuczkę i policjanta.

– Dzień dobry, pani Katarzyno – przywitał się łagodnym głosem Pilarski.

– Jak się pani czuje?

– Karolcia – pani Katarzyna spojrzała na wnuczkę – a ten co za jeden?

– Pan Pilarski, babciu, policjant. Nie pamięta go babcia?

– Nie. Był u nas kiedy policjant? A co my złego zrobili?

– Nic, babciu. – Karolina pogłaskała staruszkę po twarzy. – Myśmy nic złego nie zrobiły. Pan Pilarski interesuje się historią i chciał się od nas czegoś

dowiedzieć. To znaczy od ciebie, babciu.

– Ja w szkole z historii słaba była – staruszka nie spuszczała oka z policjanta – ale niech pyta. Trochu króli pamiętam.

– Pani Katarzyno, ja nie o królów chcę zapytać, ale o pani kolegę ze szkoły. Pamięta pani takiego chłopaka, co go banderowcy w oborze Ukraińca spalili?

– Nu jak nie? Pewno, że pamiętam. Stapczuk ten Ukrainiec był i obora jego od naszej się zajęła. Krowy mu się popalili, konie też. Nie, jeden koń był i świnie. To ja pamiętam.

– A Ukraińca Harasymiuka pani pamięta?

– Musowo. Polaki się u niego chowali, ale bandery ich znalazły. Kobiety pohańbiły, a Władka i ojca jego spalili.

– Ten pani kolega miał na imię Władysław?

– Nie! – ożywiła się staruszka. – Ja mówiła, że Władek. My do jednej klasy chodzili. To Kozłowskie były.

– Czyli Władka Kozłowskiego banderowcy spalili w oborze Harasymiuka. Tak było, pani Katarzyno?

– Oj tak, tak było. A ja we Władku trochę się podkochiwała. Ale porządna rodzina te Kowalskie były nie ma co.

– Babcia dużo pamięta, ale niektóre rzeczy jej się mieszają. – Już w kuchni Karolina tłumaczyła, dlaczego w opowiadaniu staruszki Polacy raz nazywali się Kozłowscy, a raz Kowalscy. – Babcia nie ma czucia i ciągle się moczy. Żeby zmienić pampersa, nieraz muszę się nieźle nagimnastykować, bo jest bezwładna, jak kłoda. Mija kilka godzin i babcia opowiada mi, że ta Karolina ją w nocy szarpała. Ja w jej świecie, proszę pana, występuję pod dwiema postaciami. Jedna Karolina ją szarpie, a drugiej się z tego powodu wyżala. Okropna jest starość. – Wolno kręciła głową.

– Okropna.

\*\*\*

– Proszę pana – usłyszał za sobą, kiedy płacił za pieczywo – coś panu wypadło.

Może dziesięcioletni chłopiec w wyciągniętej ręce trzymał malutki kawałek papieru.

Podziękował, schował do portmonetki zgubę razem z resztą i wyszedł. Przed piekarnią przyjrzał się karteczce – było to zapomniane awizo. Z wypisanej na nim daty policzył, że wystawiono je osiem dni temu. A jeśli odesłali list do nadawcy? – zaniepokoił się.

Pocztę miał po drodze do domu, więc przyspieszył kroku.

Mam szczęście, – pomyślał, widząc jedynie dwuosobową kolejkę.

Już po dziesięciu minutach trzymał firmową kopertę Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Nie czekał z jej otwarciem do powrotu do domu. Torbę z pieczywem położył na stole, a sam usiadł na krześle. Długopisem otworzył kopertę, wyprostował zgiętą kartkę papieru i zaczął czytać.

*Szanowny Pan Andrzej Pilarski*

*Niniejszym informujemy, że został Pan zakwalifikowany do przeszczepienia wątroby.*

*W okresie oczekiwania na odpowiedni, nadający się do przeszczepienia narząd konieczne jest przestrzeganie następujących zasad:*

*Niezbędna jest stała możliwość nawiązania kontaktu z pacjentem i w razie potrzeby wezwania go do Kliniki. Dlatego prosimy o natychmiastowe powiadomienie Kliniki w przypadku: zmiany adresu, numeru telefonu domowego i telefonów kontaktowych oraz innych danych dotyczących stałej łączności, wszelkich (nawet krótkotrwałych) zmian miejsca pobytu, jeżeli pociąga to za sobą zmianę w sposobie kontaktowania się z Panem.*

*Planując przeszczepienie, musimy mieć pewność, że aktualny stan zdrowia pacjenta pozwala na wykonanie operacji. Dlatego prosimy o natychmiastowe skontaktowanie się z Kliniką w razie: pogorszenia stanu zdrowia, jakiegokolwiek nowej choroby lub wypadku, przyjęcia do miejscowego szpitala, jakiegokolwiek innej zmiany w stanie zdrowia.*

Dalej podane były telefony kontaktowe do sekretariatu Kliniki oraz Koordynatora ds. Transplantacji.

I zaczęło się odliczanie! – pomyślał. – Mogą mnie wezwać praktycznie w każdej chwili.

W czasie badań kwalifikacyjnych w klinice przy Banacha zapytał, jak długo czeka się na przeszczep, gdy jest się już do niego zakwalifikowanym.

– Od kilku godzin do kilkunastu tygodni – odpowiedział wtedy profesor Noczewski.

\*\*\*

Przed południem w trybie pilnym Pilarski został wezwany do szefa.

Ciekawe, o co mu chodzi? – zastanawiał się w drodze do jego gabinetu.

Wątpliwości policjanta były w pełni uzasadnione. W przeszłości zdarzały się wprawdzie takie sytuacje, ale były one niezwykle rzadkie i dotyczyły spraw najważniejszych – często wagi państwowej.

– Proszę, niech pan usiądzie, inspektorze Pilarski. – Szef wskazał fotel przy stoliku ze szklanym blatem. Sam zajął fotel po jego drugiej stronie. – Wasze informacje o komandzie Czeczena okazały się niezwykle cenne. Byliśmy na etapie przejmowania spraw od komend powiatowych w Trzebnicy, Nowej Soli i Giżycku, kiedy to się wydarzyło.

– Nie rozumiem, panie inspektorze. – Pilarski zmarszczył czoło. – To, czyli co?

– Godzinę temu w Mirosławcu na osiedlu wojskowym był napad z użyciem broni. Podczas strzelaniny zginęło dwóch bandytów, a wojskowy żandarm został ranny. Zajście miało miejsce przed blokiem, w którym mieszkała siostra pani Weroniki Górskiej. Komenda w Szczecinie zarządziła blokadę dróg w całym województwie. Chłopcy się starali, ale trzeci napastnik uciekł czerwonym audi A3.

– Panie inspektorze – Pilarski starał się tłumić emocje – takim samym samochodem uciekali z Żar zabójcy Józefa Korzeniowskiego.

– Wiem. Dlatego po południu zwołano w Warszawie naradę wszystkich komendantów. Być może sprawę przejmie Komenda Główna Policji. Na razie Szczecin zastanawia się, jaki komunikat przekazać mediom. To ważne, bo media mogą wszystko spieprzyć, a przynajmniej utrudnić dochodzenie.

– „Mafijne porachunki” brzmią dobrze, panie inspektorze. – Pilarski usiłował na poczekaniu podsunąć jakąś myśl kolegom ze Szczecina.

– Nie kupią! – Szef kręcił głową. – Co ma do tego żandarm wojskowy?

– A co z kobietami? Nic im się nie stało?

– Nic, ale są pod opieką psychologów. No, sam pan rozumie, że musiały się cholernie wystraszyć!

– Mam jeszcze jedno pytanie, panie inspektorze. Czy któryś z zabitych bandytów miał wytatuowanego na ramieniu dwugłowego smoka?

– Nie mam takiej informacji! Ale dlaczego to ważne?

– Taki tatuaż ma Czeczen, dowódca komanda.

\*\*\*

Przed wyjściem z pracy Pilarski wezwał asystentkę.

– Pani Ilono – mówił, segregując dokumenty, których okazały się pięć – wczoraj odebrałem list z informacją, że zakwalifikowano mnie do przeszczepienia wątroby. Wpis na listę krajową oczekujących na przeszczepienie, to w tej sytuacji formalność. Oznacza to, że do Warszawy mogę być wezwany w każdej chwili.

– Gratuluję, panie inspektorze. – Policjantka szczerze się ucieszyła. – Ostatnio chodził pan taki jakiś nieswój, taki zgaszony.

– Rak to rak, pani Ilono. Z taką diagnozą najwięksi twardziele wyjątkują. Ale dajmy już temu spokój. Przeszczepienie różnie się może skończyć i być może do pracy nie powrócę. Panią wezwałem, bo jeszcze jedną sprawę chcę załatwić przed pójściem do szpitala. Proszę, żeby pani mi w tym pomogła.

– Panie inspektorze – kobieta spojrzała mu prosto w oczy – zrobię to z przyjemnością. Proszę powiedzieć, o jaką sprawę chodzi.

– Trzeba odszukać człowieka, żywego lub umarłego, o nazwisku Władysław Kowalski lub Władysław Kozłowski, który urodził się w przedwojennym województwie stanisławowskim, prawdopodobnie we wsi Rybaki w roku... Cholera, nie zapisałem roku urodzenia Katarzyny Matusiak – zaklął, kiedy w zapiskach nie znalazł tej informacji. – Chwilkę, zaraz będę to wiedział. – Sięgnął po komórkę.

Ilona spokojnie mu się przypatrywała.

– Andrzej Pilarski – przedstawił się i od razu przeszedł do meritum. – Pani Karolino, w którym roku urodziła się pani babcia? – zapytał. – W tysiąc

dziewięćset dwudziestym czwartym? Jest pani pewna? OK, bardzo pani dziękuję i życzę miłego dnia – pożegnał się i ponownie zwrócił do policjantki: – Więc ten człowiek urodził się prawdopodobnie w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, ale dla pewności proszę założyć, że mógł to być też rok dwudziesty trzeci lub dwudziesty piąty.

\*\*\*

– Pidżama, szlafrok, kilka par majtek i skarpetek, przybory toaletowe, wkładki higieniczne, kaptcie i klapki pod prysznic... – mamrotał, powtórnie przeglądając zawartość torby podróźnej. – To chyba wszystko.

Jakie wszystko! Pilarski zastanów się! – strofował samego siebie po kwadransie. – A ręcznik, chusteczki higieniczne i nawilżane? Jak się umyjesz, kiedy podłączony do aparatury nie będziesz mógł się ruszać? A kubek, nóż, łyżka, łyżeczka i widelec? Jeśli z tego wyjdiesz, to czym będziesz jadł?

W końcu uznał, że nic więcej mu nie potrzeba i z trudem zamknął torbę.

\*\*\*

Po minie Ilony wiedział, że nie ma ona dobrych wiadomości.

– Niestety, panie inspektorze, moje poszukiwania nic nie dały. Przejrzałam wszystkie policyjne bazy danych i nie znalazłam tego człowieka. Cały dzień na to poświęciłam i nic!

– Tak ... – Pilarski się zamyślił. – Gdybyśmy mieli w bazach wszystkich obywateli ...

– A może Matunin umarł? To prawdopodobne, bo dziewięćdziesiątki niewielu mężczyzn dożywa.

– Tę wersję też założyłam i sprawdziłam wszystkie rejestry. Bez rezultatu. Wie pan, panie inspektorze, teraz są komputery i szukanie jest błyskawiczne. Gdyby w bazach był, tobym go miała.

– Jasna cholera! – Pilarski przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Lubow i wiszącą nad nim groźbę.



– W tej sytuacji, pani Ilono, została nam być może jedyna szansa na rozwikłanie tej zagadki. Mam dość ryzykowny plan, ale najpierw proszę sprawdzić, co o mężu Doroty Woronieckiej i o Czeczenie wiedzą nasze służby specjalne. Nie sądzę, żeby chętnie dzieliły się posiadaną wiedzą, ale proszę wybadać sprawę. Udzielę pani pomocy w załatwieniu urzędowych pism, jeśli będą potrzebne.

\*\*\*

– Czeczen, panie inspektorze, to typ żołnierza zabijaki – meldowała Ilona już po kilku dniach. – Brał udział w walkach w Czeczenii. Był wtedy ranny. To człowiek czynu, który dobrze czuje się w walce. Mąż Doroty Woronieckiej jest członkiem nacjonalistycznej partii Swoboda. Ma Kartę Polaka, a dzięki małżeństwu z Dorotą stara się o polskie obywatelstwo. Kartę Polaka załatwił za łapówkę. Pracownik konsulatu, który mu ją wydał, odbywa karę więzienia za korupcję. Aktualnie mąż Doroty Woronieckiej przebywa w Londynie. Nasze służby podejrzewają, że chce się w Anglii osiedlić. Swoją drogą, panie inspektorze, to wyjątkowy cynik! To moja opinia, bo jak, nie kochając, można rozkochać w sobie dziewczynę tylko po to, aby wykorzystać małżeństwo z nią do swoich egoistycznych planów? Pani Woroniecka o tym nie wiedziała. Była naprawdę zakochana, bo ten Ukrainiec jest bardzo przystojny. Dla takiego ja sama też bym chyba straciła głowę.

– Czyli, podsumowując, mąż pani Woronieckiej jest raczej intelektualistą niż zabijaką. – Pilarski zaznaczył coś w notesie. – Gdyby musiała się pani spotkać z którymś z nich w sytuacji sam na sam, to wolałaby pani, żeby to był mąż pani Doroty czy Czeczen?

– Zdecydowanie ten pierwszy. – Policjantka zmarszczyła czoło. – Ale co to za pytanie? Do czego pan zmierza?

– Czy chciałaby pani zobaczyć Londyn?

\*\*\*

Z Wielkiej Brytanii Ilona wróciła po dwóch tygodniach.

– Z tarczą czy na tarczy? – Pilarski zadał retoryczne pytanie, widząc

uśmiechniętą i zadowoloną asystentkę.

– Proszę zgadnąć! – Obróciła się na pięcie.

– Pani Ilono, jesteśmy w pracy, tak nie wypada – skarcił ją pobłażliwie.

– Gdyby pan wiedział, jakie piruety musiałam kręcić w Londynie, toby pan tak nie mówił. – Wykonała jeszcze jeden obrót i pocałowała go w policzek. – Nie wykorzystałam całego budżetu. Przywiozłam siedemset funtów i kserokopie pamiętników Jakubka z dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Tych wcześniejszych nie znalazłam. Oryginał zostawiłam tam, gdzie był. Proszę powiedzieć, że jest pan zadowolony.

– Jestem, to oczywiste, ale jak pani to zrobiła? Prawdę mówiąc, powodzenia pani misji nie oceniałem wysoko.

– Powiem tak: gdyby nie pomoc innych ludzi, to rzeczywiście nie miałabym dużych szans.

– Kto pani pomagał, jeśli mogę wiedzieć?

– Tajemnica, panie inspektorze.

– Ale działała pani zgodnie z brytyjskim prawem, prawda?

– Być może. Nie znam ich prawa.

– Pani Ilono, to mi się nie podoba. Boję się skandalu!

– Skoro z pamiętników Jakubka pan się cieszy, proszę zaakceptować fakt, że cel uświęca środki! A co do skandalu, to zapewniam, że politycznego nie będzie!

– A obyczajowy?

– Jak by to panu dyplomatycznie powiedzieć... – Ilona zamyśliła się teatralnie. – Zobaczymy, ale nie sądzę. Proszę, to efekt mojej pracy poza granicami Polski. – Wręczyła mu grubą kopertę formatu A4.

– Czytała je pani?

– Tylko przeglądałam. To kilkadziesiąt stron maczkiem, panie

inspektorze.

– W takim razie niech pani przeczyta dokładnie, a jutro z rana o nich porozmawiamy. Proszę przyjść bez wezwania. Czytając, proszę mieć na uwadze dwie sprawy: nazwiska Polaków czynnie zwalczających UPA oraz jak najwięcej szczegółów o polskiej rodzinie zamordowanej przez Matunina.

\*\*\*

Pilarski czekał do dziewiątej, ale asystentka nie przychodziła. Chyba zapomniała, pomyślał i sięgnął po telefon.

– Pani Ilono, co z panią? – mówił z lekkim wyrzutem. – Od godziny czekam, a pani ciągle nie ma! – Przez chwilę słuchał. – OK. Wiem, że to żmudna praca. To ile czasu jeszcze pani potrzeba? Dobrze, czekam o jedenastej.

Asystentka przyszła pół godziny wcześniej.

– Rozumiem pana zniecierpliwienie, ale musiałam przepisać na komputerze jedyny fragment wspomnień Jakubka, który nas interesuje – tłumaczyła się. – Reszta wspomnień też jest ciekawa, ale z naszego punktu widzenia chyba nieistotna.

– Chyba czy na pewno? Pani Ilono, to zbyt poważna sprawa, żebyśmy w tak skąpych materiałach mogli cokolwiek pominąć.

– Na pewno. Tak mi się powiedziało. Swoją drogą wspomnienia Jakubka są napisane ładnym, wręcz kaligraficznym pismem, ale ich styl jest chaotyczny. Wygląda mi to nawet na stenogram.

– Co pani ma na myśli?

– To, że Jakubek mówił, a ktoś inny zapisywał to ręcznie.

– Jaki byłby tego sens, pani zdaniem?

– Nie wiem, może Jakubek był chory?

– OK, dajmy spokój tym rozważaniom.

– To ten przepisany przeze mnie fragment. – Wręczyła Pilarskiemu trzy strony wydrukowane na komputerze. – Proszę przeczytać, a później porozmawiamy.

\*\*\*

*Dowiedziałem się od sąsiedniego chłopca, który kiedyś ze mną przemycał, że na Bukowinie jest spokojnie. U nas do Śniatyna do Sowietów nie przejdiesz. Popielniki nie przepuszczą. Tam była bojówka banderowska popielnicka i koniec. Spytałem Pawluka, to był sekretarz gminny, czy on nie ma paszportów ukraińskich jakichś, żeby mi wydał, że my Ukraińcy. Nie, mówi, nie mam. Może nie miał, może nie chciał, tego nie wiem. No co tu robić? Ta nie ma co, ta trzeba uciekać na Bukowinę. Nie chodziło tyle o mnie, bo ja to się mogłem jeszcze ukryć, ale chodziło mi o żonę Julię, która była wysoko w ciąży, jak ją ukryć? Wiedzieliśmy, że mojej matki bratowa ma w Nizzkowcach siostrę swoją. Tam mieszkają. No to ja wziąłem żonę i Kazio Kornaszewski z nami poszedł razem. On się trzymał cały czas z nami i z nami poszedł. Drugi z sąsiedztwa Janek, też odważny był człowiek, pomógł nam i my przyszli do Czeremoszu. Woda zimna bardzo, ale ja wziąłem żonę na plecy, oni wzięli mnie dwaj pod ramiona Kazio i Janek i tak my przeszli rzekę na tamtą stronę. Tu na Bukowinie rzeczywiście spokojnie, dotarliśmy do Waszkowic. W Waszkowcach trafiliśmy do tego domu. Tam nas przyjęli, no cóż mieli robić. Później ja tam przywiozłem konia, przyprowadziłem konia. Kazio był z nami. Jeździł tym koniem po ludziach, coś robił, zarabiał. Trzeba było coś koniowi dać i nam, żeby było z czego żyć. Moczył nogi w szafliku wieczorem, bo strudzony był. I tak czas upływał. Ja wróciłem do domu. Żonę zostawiłem tam, bo ona miała rodzić dziecko za jakiś czas. Zmieniliśmy mieszkanie, do drugiego poszli w lepsze miejsce, później jeszcze do trzeciego, w bardzo dobre miejsce, do bardzo dobrych ludzi. Do Karolci poszliśmy. I tam oni zostali. Ja poszedłem do domu. W domu dowiedziałem się, że Polacy wszyscy organizują się w Kutach w istriebitielny batalion przy NKWD do walki przeciw banderowcom. I Józio Korzeniowski już tam należał i inni, oni wszyscy tam należeli. Zgłosiłem się i ja. Przyjęli mnie oczywiście, zostałem istriebicielem. Czemu ja się zgłosiłem? Nie dlatego, aby walczyć przeciw*

*Ukraińcom, przeciw Samodzielnej Niezależnej Ukrainie. Nie, przeciwko temu ja byłby nie walczył, niech sobie oni sami walczą ze sobą. Ale ja walczyłem przeciwko rezynom, przeciwko tym, co nas mordowali. Pierwszego dnia wieczorem, po zgłoszeniu się w dzień, wieczorem jest wyjazd do Rybak. Komendant NKWD organizuje to. Na furmanki zebrał kilkunastu ludzi, kilku partyzantów, kilku Polaków, wszystko uzbrojone. Ja dostałem karabin węgierski, naboje rosyjskie. Oni mieli lepsze uzbrojenie, Sowietci. Pojechaliśmy do Rybak. Co się okazuje, że stamtąd zgłosił się hołowa tej celerady Iwan Wiruk i powiedział, że do niego przychodzą, jego zabić chcą banderowcy. No to przyjechaliśmy w pobliżu tam, tej rady, zatrzymali się, poszło czterech Polaków, byłych wojskowych, odważni chłopcy byli. Byliby w ogień poszli. Posłał na wioskę tamtędy na dół z takim zadaniem, żeby napotkali się na banderowców. Ci poszli i nie wracają. Dłuższy czas nie ma. Komendant zaczął się niecierpliwić. Oho, mówi, rebjata propali. Pobili ich. I mówi do mnie i do tego hołowy celerady: idźcie za nimi popatrzeć, co się z nimi dzieje. I my we dwóch poszli. Ja uzbrojony w ten karabin, na plecach peleryna, a ten hołowa celerady w cywilnym ubraniu, bez żadnego uzbrojenia. A to mój znajomy był, my znajomi byliśmy z Rybak. I idziemy. Doszliśmy, zapuściliśmy się w łęgi, znaleźliśmy wszystkie ścieżki, bo my miejscowi. Doszliśmy tak do jednego domu, w którym jakaś libacja była. Banderowcy tam wyraźnie byli, śmiali się, cieszyli się, pili, jedli, gawiedzili. No cóż, my we dwóch nie pójdziemy na nich. Ile ich w mieszkaniu było, nie wiem, ale głosów było dużo. Wracajmy. Powiemy naczelnikowi, pójdziemy razem. Zaczęliśmy wracać i tylko usłyszałem takie specjalne cmoknięcie, znane dla przemytników, dlatego znane było. Ja odpowiedziałem na to. Ten znowu, ja znowu, ten znowu, ja znowu. I tak my się w łęgu zeszli. Co się okazało, ich było dwóch, bez broni. Silnych hajdamaków, młodych chłopców. E, to ne swoi, on mówi. To nie są swoi, ja mówię swoi. On złapał mnie za karabin za lufę i odbierał karabin. Oczywiście ja też nie byłem słaby, nie mógł on odebrać tego karabinu, ja miałem nabój wprowadzony do lufy, do komory naboju i tylko pociągnąć za cyngiel i zaraz strzela. Tak my się chwilę szarpali. Ten drugi, co z nim był, uciekł. Ten ze mną z tym karabinem się mocował. Ja chciałem nakierować ten karabin na niego, bo wtedy ja bym*

się z nim rozprawił. Jakby był na niego naprowadzony, to byłbym go zastrzelił. W tym momencie, to wszystko działo się momentalnie, zauważyłem, że ten co ze mną był, hołowa tej celerady, dwa razy silnie uderzył tego banderowca. Bo on miał ręce związane z karabinem z lufą, otwarty cały był, ten go uderzył. Ja myślałem, że on go uderzył, ale on zwiądnął, upadł, a krew mnie oblała całego. Co się okazało, że ten miał w kieszeni nóż i tym nożem dwa razy jego uderzył w gardło. Przerznął mu tę krtań i to wszystko. Trup na miejscu. No my nie mieli już co robić, do naczelnika wracamy, do grupy. Przyszliśmy do grupy, ja cały we krwi, on nie, bo on nie był naprzeciw niego, ja byłem naprzeciw niego. I mówię jemu, że jest grupa banderowców tutaj, chodźmy tamtędy, zaraz ich będziecie mieli. Ale skąd. I naczelnik, i oficer, i inni, no nie pójdziemy, przestraszyli się, jak zobaczyli mnie krwawego. Wystraszyli się, nie pójdziemy za nic. Ja mówię, ta nie ma czego bać się, tylko chodźmy. Nie, nie, nie. Wracamy do Kut. Tych czterech nie ma, wracamy do Kut. Wróciliśmy do Kut, w Kutach okazało się, że ci czterej już są w Kutach, poszli prosto do Kut, nie do naczelnika, i przyprowadzili coś ze dwóch banderowców. I tak się rozpoczęła moja służba. Bardzo szybko później przeszedłem do oddziału wojenno-bojowej rozwiadki, bo ja bardzo dobrze władałem językiem ukraińskim, pieśni znałem, wszystko znałem, lepiej od Ukraińców. Jeszcze tam było parę Ukraińców, trzech, czterech partyzantów i taka grupa dwunastu ludzi działająca osobno. Bardzo to niebezpieczna i ciężka służba była. Dali nam ubrania banderowskie, musieliśmy udawać cały czas banderowców, tak że nieraz jak przychodziliśmy do jakiegoś domu, a ja zaczynałem banderowskie pieśni śpiewać, to płakali ludzie ci nacjonaliści. Oni zresztą nie wszyscy byli nacjonaliści, bo Ukraińcy tylko nie wszyscy działali. Jakies pięć, może dziesięć procent było tych uzbrojonych, co działali.

Co w czasie tej całej swojej służby zobaczyłem dwa najokropniejsze obrazki. Jeden w domu palącym się w Rybakach, to był dom ładny, podłogę miał w kuchni, wszystko. To był dom Harasymiuka, on pomagał Polakom bardzo. Zdecydowali się oni widać przez to, pobić jego rodzinę i dom spalić. Jak my wskoczyli do domu, to był dom palący się, ale wszystko widać było,

*oświetlony, palił się. Po bokach leżeli rodzice jego pobici i jeszcze ktoś. Harasymiuk i jego syn siedzieli na krzesłach. We krwi byli, oczy im bandery wylupili. Na środku podłogi leżała dziewczyna z obciętymi piersiami, jego siostra. Nieżywa, wszystko nieżywe. Wyszli my. W drugim domu palącym się usłyszałem przez okno, ktoś charczał bardzo w mieszkaniu, ktoś się dusił od dymu. Banderowców oczywiście już nie było. Ja zrzuciłem pelerynę z siebie i wszystko ubranie i tylko tak lekko wskoczyłem przez okienko do tego mieszkania. To był stary dom. Dom był pełen dymu, ale usłyszałem, że to charczenie jest pod łóżkiem. To było takie łóżko przy oknie założone deskami od spodu, gdzie trzymali pod spodem kartofle. Wyciągnąłem stamtąd zemdloną, nieprzytomną kobietę. Dusila się po prostu. Przez okno ją wypchnąłem na dwór, chwycili ją ci ludzie nasi i odratowali. To była żona Harasymiuka. Jak się tam znalazła, czemu jej nie pobili, ja nie wiem. Ludzie mówili, no później już, że Harasymiuk w oborze Polaków chował. To Kozłowski byli i marnie zginęli. Żonę i córkę Kozłowskiego pohańbili, obore podpalili i tak wszystkie w ogniu zginęli<sup>1</sup>.*

*Najokrutniejszy wypadek, jaki widziałem, to był w górach. Przyszliśmy rano do stanycznoho, to znaczy takiego sołtysa, wójta, który zbierał dla banderowców jakieś datki, żywność i inne, w ogóle był ich człowiekiem. My znaleźliśmy jego, on nas już poznał jako banderowców i ja od razu jego spytałem: „Słuchaj, nie ma tu sowieckich wojsk?”. „Nie, mówi, nie ma. Ale niedawno teraz było coś sześciu ich, naszych było sześciu z SB Służby Bezopasnosti, to paskudna była rzecz. Pytali o nauczycielkę Polkę, która w tej wiosce była. Ja im pokazałem dom i oni tam poszli, żeby się z nią rozprawić”. Ja, od razu, jak to usłyszałem, mówię: „Szybko tamtędy lećmy! Dom mamy wskazany, więc lećmy, abyśmy zachwycili ich. Oni dla nas byli dobrym kęskiem, a po drugie chodziło o nauczycielkę. To była polska dziewczyna, którą Niemcy zatrudnili. Było więcej takich polskich nauczycielek, aby nie iść do Niemiec na roboty, one pracowały za marne grosze, bo coś tam Niemcy płacili, coś Huculi im niedrogo sprzedali, kawałek masła dali. Biegliśmy tam. Pod górkę, biegiem. Wbiegliśmy na podwórko. Na podwórku Huculka gospodyni płacze jak nie wiem i przepowiada do siebie,*

*gada do siebie. Wskoczyłem do domu. Patrzę, a na ubitej ziemi, bo tam podłogi nie było, na środku, leży naga, całkiem naga dziewczyna z obciętymi piersiami i wbitym w krocze wielkim palem ogrodzeniowym. Ich już nie było, niestety. To było straszne bardzo, to mi pozostało na całe moje życie, ten obrazek. Ja już tego dnia nic nie byłem wart. No ale trzeba zabrać się i z bandytami walczyć, nie ma rady, jako oni takie rzeczy robią.*

\*\*\*

– Moim zdaniem jedyni Polacy, których może ścigać komando Czeczena, to rodzina Michała Jakubka vel Jakubowskiego oraz Józefa Korzeniowskiego. – Pilarski położył na biurku wydrukowany przez asystentkę fragment wspomnień. – Są tu wprawdzie wymienieni inni Polacy, ale nie ma wzmianki, że walczyli przeciwko UPA. Myślę, że nie ma ich na liście Czeczena. No i mamy jasność, co do Matunina. Prawdopodobnie przyjechał do Polski jako Władysław Kozłowski.

– Prawdopodobnie czy na pewno, panie inspektorze? – Ilona miała okazję się odciąć. – To zbyt poważna sprawa, żebyśmy angażowali siły i środki w wyjaśnianie niepewnych hipotez.

Ta uwaga nie spodobała się Pilarskiemu. Nie potraktował jej z przymrużeniem oka, jak oczekiwała jego asystentka, ale śmiertelnie poważnie i ambicjonalnie.

– Ostatnie zadanie wykonała pani wzorowo – stwierdził chłodno – ale nie upoważnia to pani do robienia takich uwag przełożonym! Jest jeden sposób, żeby odpowiedzieć na pani pytanie. Domyśla się pani?

– Tak. – policjantka straciła pewność siebie i dobry nastrój.

– Patrząc na panią, nie jestem tego pewien, ale podpowiem. Trzeba znaleźć datę urodzenia Władysława Kozłowskiego. Myślę, że archiwa państwowe może sobie pani darować. Nie sądzę, żeby znalazła tam pani tę wiadomość. Co innego księgi kościelne. Musi się pani dowiedzieć, gdzie osiedlił się po wojnie proboszcz parafii Kutry, bo Rybaki należały właśnie do tej parafii.



– Ale, panie inspektorze, ja nie wiem, gdzie znajdę taką informację. – Policjantka była szczerze zmartwiona. – Zajmę się tym, tylko nie wiem, od czego zacząć.

– Od kurii. Tam na pewno wiedzą, ale tylko od pani inteligencji zależy, czy udzielią informacji.

\*\*\*

– Spodziewałem się, że zajmie to pani mniej czasu! – Pilarski pozorował niezadowolenie. – Trzy dni to jednak długo.

– Jak pan może! – Ilona była wściekła. –Przez te trzy dni prawie nie jadłam, nie piłam i nie spałam! Pracowałam bez przerwy, a pan mówi, że zbyt długo? To niesprawiedliwe!

– Schlebia mi, że potrafiłem wytrącić panią z równowagi. – Pilarski założył nogę na nogę. – Ale to oznacza, że do profesjonalizmu jeszcze trochę pani brakuje. Nie spodziewam się szybkiego awansu, oj nie spodziewam!

– To interesuje pana ten Kozłowski czy ma go pan w...?

– No, w czym, pani Ilono? Chciałbym usłyszeć, jak zabrzmiało to słowo w pani ustach. – Pilarski ponownie doprowadził do służbowego pata i gorączkowo szukał sposobu, jak z niego wybrnąć. – Gdzie odnalazła pani te księgi parafialne? Tu, na Dolnym Śląsku?

– Dobrze by było! Może wtedy załatwiłabym sprawę tego samego dnia, chociaż znając pana, jestem pewna, że i tak nie byłby pan zadowolony!

– Lubuskie? – Puścił jej uwagę mimo uszu.

– Zachodniopomorskie! Mała parafia koło Drawskiego Pomorskiego.

– To rzeczywiście daleko. Przepraszam, ale to był z mojej strony żart. Bardzo szybko pani tę sprawę załatwiła.

– Władysław Kowalski urodził się czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku – mówiła już spokojnym głosem. – Oznacza to, że poszukiwany Wasilij Matunin, niezależnie od nazwiska, ma

PESEL zaczynający się od dwa-cztery-zero-cztery-jeden-cztery. Dużo czwórek jest w jego PESEL-u, a w numerologii cyfra cztery oznacza powściągliwość i ostrożność. Taki też jest najwidoczniej pański Matunin, ale jutro go będę miała.

\*\*\*

– Wasilij Matunin nazywa się teraz Władysław Mika i mieszka z młodszą o dwadzieścia lat żoną w Szczecinie – tryumfalnie ogłosiła Ilona. – Matunin ożenił się z Polką i przyjął jej nazwisko. To druga żona Matunina i druga zmiana nazwiska – dlatego tak skutecznie nas zwodził.

Oprawca rodziny Lubow został odnaleziony, ale Pilarski miał dylemat. Matunin powinien odpowiedzieć za zbrodnię sprzed siedemdziesięciu lat, jednak z uwagi na podeszły wiek i prawdopodobnie zły stan zdrowia żaden sąd nie wyda wyroku skazującego. Z drugiej strony Lubow dokona samosądu, czym ewidentnie złamie prawo, a przeprowadzone dochodzenie bez wątpienia wykaże udział w tej sprawie jego oraz Ilony. Jest jeszcze trzecia strona – szantaż. Byłby skończony jako policjant i jako człowiek, gdyby posiadany przez Lubow film ukazał się w Internecie.

– Pani Ilono – zaczął bez jasnego scenariusza dalszego przebiegu rozmowy – muszę coś pani powiedzieć. To osobista sprawa, dlatego proszę o całkowitą dyskrecję.

– Zaintrygował mnie pan. – Kobieta uniosła brwi. – Oczywiście dochowam tajemnicy.

– O odszukanie Matunina prosiła mnie znajoma. Ma na imię Lubow, spotkałem ją dwa lata temu na Zachodniej Ukrainie i zupełnie przypadkowo w Szarm el-Szejk.

Mówił, uważnie obserwując asystentkę. Nie chciał wprost zapytać, czy zna Lubow, wolał dowiedzieć się tego od niej samej, jednak twarz Ilony, poza ciekawością, nie zdradzała żadnych innych emocji.

– To jej dziadków zamordował Matunin, ale mam wątpliwości, czy powinienem przekazać Lubow adres banderowca – blefował, wiedząc, że i

tak będzie musiał to zrobić.

– Nie musi się pan martwić. – Na twarzy Ilony pojawił się dziwny uśmiech. – Stary banderowiec jest już na tamtym świecie. Bez genitaliów, jeśli chce pan wiedzieć.

– Jak to? – Pilarski był w szoku. – O czym pani mówi?

– Jeśli o genitalia pan pyta, to owszem, z nimi, ale w gardle. Ale nie rozmawiajmy już na ten temat. Ja dziękuję za współpracę i chcę się z panem pożegnać. Od jutra mam urlop i zmieniam pracę. Myślę, że się więcej nie spotkamy. – Wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

Inspektor patrzył osłupiały.

– Zapomniałabym. – Ilona zatrzymała się przy drzwiach. – To dla pana. – Podała niewielką kopertę i bez słowa wyszła z pokoju.

Bezwiednie, ciągle zszokowany tym, co usłyszał, otworzył kopertę. Były w niej dwie płytki DVD i krótki, odręcznie napisany list.

*Drogi Andrzeju,*

*dziękuję za pomoc i żałuję, że nie możemy być razem. Był taki czas, że się w tobie naprawdę zakochałam, jednak pragnienie zemsty było silniejsze od tego uczucia. Pliki skasowane, dysk sformatowany, a z filmami na płytkach DVD zrobisz, co zechcesz.*

*Całuję*

## *Ljubov*

---

<sup>1</sup> Pisownia i składnia przytoczonego fragmentu pamiętników Jakubka / Jakubowskiego jest oryginalna, a sam pamiętnik to autentyczny zapis wspomnień.

## ROK 2014

Pilarski, wpisany na krajową listę osób oczekujących na przeszczep wątroby, nie sprawdzał już poziomu AFP. Wielomiesięczne oczekiwanie na dawcę wystarczająco go stresowało, by dodatkowo pogłębiał ten stan wiedzą o rozwijającym się nowotworze.

„Ktoś musi umrzeć, bym ja mógł żyć” – ta myśl towarzyszyła mu codziennie i była powodem moralnych dylematów.

Z drugiej strony jest tak, pocieszał się, że ja, otrzymując wątrobę, przedłużę życie części człowieka, który odszedł. Jego wątroby nie spopielą, nie zgnije ona w ziemi i nie zje jej robactwo, ale ze mną przeżyje jeszcze kilka, może nawet kilkanaście lat. Tylko kiedy znajdzie się dawca? Kiedy ktoś, odpowiadający mi pod względem medycznym, tragicznie zginie? Nieważne, czy będzie to mężczyzna, czy kobieta. Ważne, aby jego lub jej rodzina zgodziła się, by był lub była dawcą organów. Ten ktoś umrze, to pewne, bo tysiące ludzi giną corocznie na drogach. Jakie to wszystko jest popieprzone! Dramat jednej rodziny może dać szczęście innej. Dziwny jest ten świat!

\*\*\*

Ze snu wyrwał go sygnał komórki. Był natrętny, burzył panującą ciszę i z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Chwilę trwało, nim się zorientował, że to mu się nie śni, że to się dzieje naprawdę. Numer rozmówcy, który się wyświetlił, nic mu nie mówił, chociaż liczba dwadzieścia dwa na jego początku sugerowała Warszawę.

– Tak, słucham – powiedział ochrypłym głosem.

Odbierając połączenie, zawsze przedstawiał się imieniem i nazwiskiem, ale tym razem tego nie zrobił.

– Mateusz Krupa, wojewódzki konsultant do spraw transplantologii – usłyszał. – Czy rozmawiam z panem Andrzejem Pilarskim?

– Tak – odchrząknął.

– Mamy dawcę. Proszę stawić się w klinice przy Banacha o piątej, najpóźniej szóstej rano. Czy jest to możliwe?

Spojrzał na wyświetlacz komórki – dochodziła północ.

– Tak, oczywiście – głęboko wciągnął powietrze. – Będę na Banacha o piątej.

## EPILOG, CZYLI *NADII* CIĄG DALSZY

Trzeci tom *Kresowej opowieści*, czyli *Nadię*, uznałem za zakończony. Powieść przeczytałem kilka razy, usunąłem drażniące chropowatości tekstu, czasem zmieniałem, dopisywałem lub wyrzucałem całe akapity. W końcu doszedłem do wniosku, że nic więcej nie wymyślę i poprosiłem żonę o krytyczną recenzję.

Jej świeże spojrzenie przyniosło szereg konkretnych uwag. Część z nich odrzuciłem, ale z większością się zgodziłem i ponownie poddałem tekst redakcji.

Kiedy zdecydowałem się *Nadię* przedstawić wydawnictwu otrzymałem maila następującej treści:

*Szanowny Panie,*

*jestem absolwentem Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej Łódzkiej Szkoły Filmowej. Chciałbym porozmawiać z Panem o prawach autorskich do „Julii” – drugiego tomu „Kresowej opowieści”.*

*Marcin Kalina*

Zdziwił mnie ten krótki list, ale odpowiedziałem, że w takim razie czekam na szczegóły dotyczące spotkania. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

*Szanowny Panie,*

*zapraszam do mojego mieszkania w Radomiu. Proszę podać termin spotkania, który najbardziej Panu odpowiada.*

Tego już za wiele! – pomyślałem. – Facet ma niejasną sprawę do załatwienia, bo za taką uznałem rozmowę o prawach autorskich do *Julii*, i każe mi przejechać pół Polski, aby ją omówić? To niegrzeczne z jego strony.

Z odpowiedzią zwlekałem dwa dni, jednak w końcu wysłałem maila z konkretną datą i przybliżoną godziną spotkania. Moja propozycja została przyjęta i z pewną ciekawością czekałem na wyjazd do Radomia.

\*\*\*

Mieszkanie Marcina Kaliny i jego żony Dagmary znajdowało się na trzecim piętrze bloku w zachodniej dzielnicy o nazwie Kaptur. Dwa małe pokoje, kuchnia i łazienka nie miały razem nawet trzydziestu pięciu metrów kwadratowych, a mimo to panował w nich wzorowy porządek.

– To zasługa żony – przyznał gospodarz, kiedy ten porządek pochwaliłem w trakcie długiej rozmowy.

Marcin Kalina był dwudziestosiedmiolatkiem, z wyglądu przypominającym Stana Borysa w czasach, gdy jego *Anna* plasowała się na czołowych miejscach krajowych list przebojów. Szczupła, lekko zgarbiona sylwetka, pociągła twarz z wpadającą w brąz brodą i wąsami oraz



charakterystyczne długie, spadające na ramiona włosy sprawiały, że był przystojnym mężczyzną.

– Jakies dwa tygodnie temu – mówił Marcin – Dagmara wróciła z pracy wyjątkowo zmęczona, zgaszona. Prawda, dźwigała torby z zakupami, ale to nie one były powodem jej złej kondycji.

\*\*\*

– Dzisiaj jednemu gnojkiowi postawiłam jedynekę – powiedziała. – Nic, kompletnie nic nie umiał, nawet na jedynekę! I wiesz, jak się gnojek zachował, odchodząc od tablicy? Pocałuj mnie w dupę, powiedział. Oczywiście wpisałam mu uwagę, którą się nie przejął, wezwałam rodziców, którzy i tak nie przyjdą, i powiedziałam o tym dyrektorce. „Pani Dagmaro – dyrektorka była oburzona – pani sobie nie radzi!”. To był cały jej komentarz! Nie stanęła po mojej stronie, tylko powiedziała, że sobie nie radzę! Mam do sprawdzenia kartkówki, czyli cały wieczór z głowy. A co u ciebie?

– Nic – tylko taka mogła być moja odpowiedź. – Byłem w pośredniaku, owszem, ale mieli jedynie ofertę na pomocnika murarza. Wyobrażasz to sobie? Tyle lat nauki, dyplom magistra sztuki i podawanie cegieł na budowie? Dwa lata po dyplomie i tylko reżyserka jednej reklamy majtek i rajstop? Gównu, nie życie! A co będzie, jak urodzi się dziecko?

Byłem zły na cały świat. Przeklinałem dzień, w którym zostałem przyjęty do Filmówki. Ukończyłem ją i siedziałem w domu bez pracy.

– Dziecko? – Żona uśmiechnęła się wtedy gorzko. – Małe mamy na to szanse, kiedy kochamy się raz w miesiącu.

– Znowu zaczynasz? – odszczeknąłem, bo ten jej gorzki uśmiech działał na mnie jak płachta na byka.

– Masz pracę, nie rewelacyjną, ale jednak, a ja co? Jak długo mogę być na twoim utrzymaniu?

– Będzie zupa jarzynowa i naleśniki – tak mi na to odpowiedziała, krojąc warzywa. Nie pocieszyła, nie zapewniła, że to się jakoś ułoży, wyjaśni, że to

przejściowa sytuacja, tylko zupa jarzynowa i naleśniki!

– A mailowych ofert nie ma? – zapytała.

– Nie ma – odburknąłem. – Sam spam. Jakiś palant z USA zaprasza do Włocławka, niby na spotkanie w sprawie kręcenia filmu, ale pewnie zrobi pokaz garnków za pięć tysięcy.

– Niemożliwe! – Żona odłożyła nóż. – Z Radomia do Włocławka na pokaz garnków? Pokaż tego maila.

Bez przekonania włączyłem komputer i odszukałem wiadomość, do której nie przywiązywałem żadnej wagi.

*Pan Marcin Kalina – Dagmara czytała na głos.*

*Zapraszam do pensjonatu Michelin we Włocławku w sprawie produkcji filmu fabularnego. Zapewniam bezpłatny pobyt z pełnym wyżywieniem. Od pana i innych zaproszonych osób będzie zależało, czy powstanie film, na który zebrałem pieniądze. Proszę nie zmarnować tej okazji.*

*Z wyrazami szacunku*

*Frank Kasprzycky*

## *Chicago*

– Faktycznie dziwna propozycja, – przyznała żona – ale warto ją sprawdzić. Jedź koniecznie.

– Daruj sobie – powiedziałem. – To przecież koszty, a ja nie mam pieniędzy.

– Ale my mamy. Tyle jeszcze mamy, że na bilet wystarczy, a może okazać się, że było warto.

I tak, proszę pana, żona namówiła mnie na ten wyjazd.

W Michelinie spotkałem Krzyśka, Bartka i Damiana. To moi koledzy z roku, którzy też dostali zaproszenia. Krzysiek, podobnie jak ja, ukończył reżyserkę, a Bartek i Damian studia scenariopisarskie. Nie widzieliśmy się od dwóch lat i mnóstwo rzeczy mieliśmy sobie do powiedzenia, a najważniejszą z nich był brak stałej pracy. Tak, brak pracy dokuczał nam najbardziej.

Człowiek, który nas zaprosił, mieszkał w Chicago. Miał około pięćdziesięciu lat, jasną marynarkę w kratę, dżinsy i bawełnianą koszulkę z napisem *You-Es-Ej is OK!* Palił cygara, mówił flegmatycznie poprawną polszczyznę z charakterystycznym akcentem dla wielu z tych, którzy od lat przebywali poza krajem.

– Zrobiłem rozeznanie w materialnej sytuacji absolwentów łódzkiej Filmówki z ostatnich lat – powiedział – i wiem, że poza ciekawymi epizodami nikt z was nie ma pracy.

Byliśmy zdziwieni, w jaki sposób uzyskał te informacje, zwłaszcza że były one prawdziwe.

– Reprezentuję środowisko kresowe amerykańskiej Polonii, które jest rozgoryczone postawą polskich władz wobec polityki historycznej Ukrainy – mówił nasz sponsor. – To środowisko uważa, ja zresztą też, że nie wolno zapomnieć o zbrodniach banderowców, którzy są dzisiaj bohaterami narodowymi Ukrainy. My tego nie zmienimy. Ukraina jest niepodległym

krajem i zrobi u siebie to, co będzie uważała za stosowne, ale naszym moralnym obowiązkiem jest przypominanie, jak było naprawdę. Chcę wam zaproponować zrobienie pełnometrażowego filmu na ten temat.

– Ale proszę pana – zabrałem wtedy głos – Smarzowski zaczyna prace nad *Wołyniem*. Nie możemy powielać tej tematyki. Nawet jeśli zrobimy dobry film, to *Wołyń* i tak będzie pierwszy. Na niego pójda tłumy, a na nasz film mało kto.

– Po pierwsze – odpowiedział Frank – mówcie mi Franek. Odwykłem od „panów” i „pań” i muszę bardzo uważać, żeby w Polsce nie obrazić moich rozmówców. Po drugie twoja uwaga jest trafna. Kolejny film o podobnej tematyce nie przyciągnie takich tłumów jak pierwszy. Nikt jednak nie mówi, że nasz film ma być powieleniem tematyki *Wołynia*. Od kilku lat na rynku jest *Kresowa opowieść*. Gdyby napisać scenariusz na podstawie *Michała*, jej pierwszego tomu, byłyby to kopia filmu Smarzowskiego. Jest jednak tom drugi, czyli *Julia*. Jej końcowa część, wątek sensacyjny, dzieje się w Polsce i na Ukrainie. To już nie jest *Wołyń*, tylko thriller, którego akcja toczy się współcześnie, ale dotyczy czasów wojny. W tym widzę nowość i świeżość, która może przyciągnąć ludzi do kina. Kto z was czytał *Kresową opowieść*? – zapytał Franek.

Spojrzeliliśmy po sobie i naszą zgodną odpowiedzią było wzruszenie ramionami.

– Nikt... – zamyślił się Franek. – Tak przypuszczałem. Wobec ograniczonych środków nasz film musi być niskobudżetowy – mówił dalej Polonus. – Nie wiem, w jakiej kwocie ostatecznie zamknie się budżet *Wołynia*, ale mówi się o dwudziestu milionach. Amerykańska Polonia zebrała trzysta trzydzieści tysięcy dolarów i to jest wszystko, czym dysponujemy. Milion dwieście tysięcy złotych – kilkanaście razy mniej niż będzie miał Smarzowski, a na dotację PISF-u, czy jakiegokolwiek innej instytucji nie możemy liczyć. W tym niskim budżecie jest też szansa, że nasz film uprzedzi *Wołyń*. Smarzowskiemu produkcja filmu zajmie dwa, może nawet trzy lata, a nam najwyżej kilka miesięcy.

– Wasz pobyt tutaj jest na mój koszt. – Franek zapalił cygaro. – Opłacam jedną dobę z pełnym wyżywieniem. Jeśli w ten projekt nie wejdziecie, jutro się rozstaniemy. Jeśli tak, opłacam kolejną dobę, ale pojutrze muszę usłyszeć konkrety.

Zanim zdążyliśmy zadać pytania, odezwał się system antypożarowy. Powstało małe zamieszanie i trzeba było wywietrzyć salę.

– Mój warunek jest taki, że koszt produkcji filmu nie może przekroczyć połowy zebranej sumy. Jeśli wasze dzieło mi się spodoba, to wypłacę resztę. Jeśli nie, stracę tylko połowę pieniędzy – powiedział Franek i wyszedł, zostawiwszy na stole egzemplarz *Julii*.

\*\*\*

Opowiadanie Marcina było tak interesujące, że niepostrzeżenie minęła kolejna, już trzecia, godzina naszego spotkania.

Jadąc do Radomia, nie przypuszczałem, że rozmowa przeciągnie się do późnych godzin popołudniowych, na co się zanosilo, i zwyczajnie nie zjadłem drugiego śniadania. Głód dokuczał mi coraz bardziej, ale niezręcznie było o tym powiedzieć. Moim wybawieniem okazał się powrót Dagmary.

– Dzień dobry. – Kobieta położyła w przedpokoju torbę z zakupami i przywitała się, podając rękę.

– Nie znałam *Kresowej opowieści*, ale po powrocie męża z Michelina zainteresowałam się pana stroną internetową i profilem na Facebooku. Trudną tematyką się pan zajmuje, ale to, co pan robi, jest potrzebne.

Chciałem jej coś odpowiedzieć, ale nie zdążyłem.

– Marcinie, dlaczego stół jest pusty? – zapytała z wyrzutem. – Pan przyjechał z daleka, a ty nawet herbatę go nie poczęstowałaś? Bardzo przepraszam – zwróciła się do mnie – za chwilę coś podam.

Dagmara umyła ręce. Nie rozpakowywała torby z zakupami, wyjęła z niej jedynie chleb i masło. Chwilę krzątała się w kuchni i wkrótce na stole pojawiły się kanapki z szynką, żółtym serem i cienkimi plastrami

pomidorów.

– To przegryzka przed obiadem – mówiła z czarującym uśmiechem. – Trochę potrwa, zanim go zrobię, ale herbata zaraz będzie.

Dagmara była drobną i ładną kobietą o naturalnych i długich blond włosach. Zgrabność sylwetki podkreślały ciemne legginsy i krótka bordowa tunika. Delikatny makijaż dodawał jej wdzięku, ale nie był w stanie ukryć zmęczenia malującego się na twarzy.

– Na czym zakończyliśmy rozmowę? – zapytał gospodarz, sięgając po ostatnią kanapkę. – Aha, już wiem. No więc Franek zostawił nam *Julię* i wyszedł. Czytaliśmy na zmianę, to znaczy jej drugą część, ten sensacyjny wątek. Brakowało nam czasem znajomości faktów z *Michała* i z pierwszej części *Julii*, ale domyślaliśmy się ich. Skończyliśmy czytanie przed północą. Byliśmy zmęczeni i zde gustowani niskim budżetem, kiedy jednak zaczęliśmy rozmawiać o szczegółach, okazało się, że ograniczając plenerowe akcje do minimum, jesteśmy w stanie zrobić film za sześćset tysięcy złotych. Następnego dnia oznajmiliśmy to Frankowi, a on, zgodnie z obietnicą, przedłużył nasz pobyt o dobę.

– Jeśli nie będziecie mieli nic przeciw temu – Dagmara weszła w słowo mężowi – to przysiadę się do was. Barszcz gotuje się na wolnym gazie, pierogi odgrzeję na patelni. Mam chwilę oddechu. – Spojrzała na mnie przyzymkając oko.

Z nieznanymi mi przyczyn włączenie się żony do naszej rozmowy nie przypadło Marcinowi do gustu.

– A barszcz nie wykipi? – zapytał mało taktownie.

– Nie ma obawy – uśmiechnęła się Dagmara. – Pokrywka jest uchylona.

– Nad scenami, które mają się pojawić w filmie, pracowaliśmy do wieczora, a później zabraliśmy się za kosztorys – mówił dalej Marcin, zerkając co chwilę na ścienny zegar. – Ledwie udało się nam wcisnąć go w te sześćset tysięcy, ale zadowoleni przedstawiliśmy Frankowi i ogólny scenariusz, i kosztorys. Zabrał je do swojego pokoju i umówił się z nami za



godzinę.

Opowiadanie Marcina przerwał dzwonek jego komórki.

– Przepraszam na chwilę – powiedział, patrząc na wyświetlacz. Wyszedł do drugiego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Twarz Dagmary zmieniła się w jednej chwili z pogodnej na smutną i poważną.

– Muszę sprawdzić, czy barszcz nie wykipi. – Wyszła do kuchni, pociągając nosem.

Poczułem się nieswojo. Wbrew własnej woli stałem się świadkiem sytuacji, która w każdym małżeństwie może się zdarzyć, ale która nie powinna interesować postronnych osób. Byłem taką osobą i czułem się z tym źle.

Marcin wrócił po kilku minutach i od razu zaczął mówić, co było dalej.

– „A gdzie koszt praw autorskich do *Julii*? – zapytał Franek. – W kosztorysie nie widzę takiej pozycji, a w USA to bardzo pokaźna kwota”.

– Która dzwoniła? – Dagmara uchyliła kuchenne drzwi.

– Odwał się! – Mężczyzna podniósł głos. – Zajmij się garami!

Starałem się nie patrzeć w ich kierunku.

– To babska zazdrość – zwrócił się do mnie. – Z żadną koleżanką nie mogę spokojnie porozmawiać!

Nie odpowiedziałem.

– No więc w tej sprawie się spotykamy – dodał po chwili przerwy.

Musiałem zrobić bardzo zdziwioną minę, bo natychmiast wyjaśnił, że myślał o prawach autorskich do *Julii*.

– Wie pan – mówił ciszej – w Polsce sprzedanie praw autorskich do powieści to średnio pięćdziesiąt tysięcy złotych. Chciałbym, żeby w przypadku pana powieści było to mniej.

Propozycja sprzedaży praw autorskich i kwota, którą wymienił gospodarz, zszokowały mnie.

Przecież to duże pieniądze, pomyślałem w pierwszej chwili, z drugiej strony to dziesięć lat pracy.

I wtedy wpadłem na ten pomysł.

– Proszę pana, mam inną propozycję.

Moje słowa zaciekawiły Marcina.

– Napisałem trzeci tom *Kresowej opowieści*, w najbliższych dniach chcę przedstawić go wydawnictwu. Nosi on tytuł *Nadia* i jest kontynuacją akcji z dwóch poprzednich tomów. Myślę, że jego treść może stanowić fabułę filmu, na którym zależy panu Frankowi. Mam przy sobie jeden egzemplarz *Nadii* i jeśli on pana zainteresuje, jeśli na tej podstawie powstanie film, to za zrzeczenie się praw autorskich nie wezmę ani złotówki.

Tymczasem Marcin ubierał się w pośpiechu. Wyszedł jeszcze przed moim wyjazdem, mówiąc, że propozycja zamiany *Julii* na *Nadię* wydaje się interesująca i że w ciągu dwóch dni odpowie, jaką podjął decyzję.

Zanim wyjechałem z Radomia, dłuższą chwilę rozmawiałem z Dagmarą.

– Przepraszam za swoje zachowanie – powiedziała ze skruszoną miną – ale nasze małżeństwo przechodzi kryzys. Marcin więcej czasu poświęca innym kobietom niż mnie i szukaniu pracy. Staram się, jak mogę, aby dom był zadbane, pranie zrobione i obiad ugotowany, ale Marcin tego nie docenia. Myślę, że przyzwyczał się do takiego stylu życia.

Nie wiedziałem, jak mam na to bardzo osobiste wyznanie zareagować. Zaczynałem żałować, że odpowiedziałem na prośbę Marcina o spotkanie, ale Dagmara mnie uspokoiła.

– Wie pan, że propozycja tego Amerykanina jednak trochę zmieniła mego męża? Po spotkaniu w Michelinie stał się innym człowiekiem, jakby nabrał chęci do życia. To jest też zasługa tego, co pan napisał.

– Pani Dagmaro, nie wiem, co mogę na to powiedzieć. – Ponownie

poczułem się nieswojo. – Nie wiem, jak mogę pani pomóc.

– Proszę zapamiętać, co panu mówiłam. – Zamyśliła się i przez chwilę spoglądała w okno. – To nasz, a właściwie mój problem. Niepotrzebnie panu o nim mówiłam, ale jest mi nieco lżej. Proszę wracać bezpiecznie do domu. – Podała mi dłoń na pożegnanie i uśmiechnęła się smutno.

\*\*\*

Marcin zadzwonił dwa dni po naszym spotkaniu.

– Przegadałem sprawę z kolegami – mówił głosem pełnym emocji. – Naszkicowaliśmy nowy scenariusz, który spodobał się Frankowi i bierzemy się za *Nadię*. Franek jednak prosił, aby deklarację zrzeczenia się praw autorskich do powieści zrobić na piśmie i odpowiedni dokument w tej sprawie prześle na pana adres z prośbą o podpisanie.

Wydawało mi się, że w ten sposób zakończyła się moja przygoda z trzecim tomem *Kresowej opowieści*. Nie wiedziałem, czy zyskałby on uznanie wydawnictwa. Nie wiedziałem też, czy na jego podstawie powstanie film, ale zaryzykowałem.

O tym, co zdarzyło się na planie filmowym, dowiedziałem się od Andrzeja Pilarskiego kilka tygodni temu, kiedy spotkaliśmy się przypadkowo na wrocławskim Rynku. Równie mocno jak jego opowiadanie zaskoczył mnie fakt, że ten emerytowany policjant po przeszczepieniu wątroby powrócił do niemal normalnego życia.

# PLAN FILMOWY *NADII* – DRUGIE

## OPOWIADANIE ANDRZEJA

### PILARSKIEGO

Spotkali się w mieszkaniu Marcina w sobotnie przedpołudnie.

Dwaj reżyserzy, to jest gospodarz i Krzysztof, oraz dwaj scenarzyści – Bartłomiej i Damian, ci sami, których do Michelina zaprosił Frank Kasprzycki, zastanawiali się nad szczegółami scenariusza. Rozmawiając, odpalali papierosa od papierosa i po niedługim czasie pokój wypełnił gęsty błękitnosiwym dymem.

– A gdzie masz żonę? – Przez otwarte drzwi Bartłomiej lustrował pustą kuchnię i taki sam drugi pokój. – Nie ma jej w mieszkaniu.

– Wczoraj wyjechała na wieś, do rodziców. – Marcin zamknął drzwi do kuchni. – Wróci jutro wieczorem z jajkami i mlekiem prosto od krowy.

– Ty to masz dobrze – westchnął Bartłomiej.

– Jajek i mleka mi zazdrościsz? Też mi coś!

– Wyluzuj, Marcin! Wolnej chaty.

– Zaczniemy od rachunków – zaproponował Damian. – *Nadia* ma prawie sto czterdzieści rozdziałów i rozdziałików. Aby powstał półtoragodzinny film, musimy wyrzucić około dziewięćdziesięciu. Moim zdaniem wątek, nazwijmy go medyczny, wprowadza dłużyzny i może zniechęcać widza, dlatego proponuję z niego zrezygnować.

– To nie jest takie proste – oponował Bartłomiej. – Scena, może nawet trzy lub cztery, z pobytu Pilarskiego w szpitalu, powinny się w scenariuszu znaleźć. Można ograniczyć lub nawet wyrzucić opowiadania pani Zofii, można nie uśmiercać pana Zygmunta, ale Botanik, Biloński i Raisa powinni

zaistnieć w naszym filmie. To ważny epizod całej fabuły.

– A włoskie i chorwackie wakacje Pilarskiego i Nadii? – Marcin podsunął następny temat. – Oni zwiedzają niemal całe Włochy i pół Chorwacji.

– Moim zdaniem Włochy trzeba załatwić przebitkami z miejsc, w których byli – do dyskusji włączył się Krzysztof. – Nie więcej niż po piętnaście sekund na Rzym, Neapol, Asyż, Pompeje, Wenecję, Sienę, Weronę, Padwę, Monte Cassino itd. W ten sposób w dwie, najwyżej w trzy minuty załatwi się całe Włochy.

– Niezupełnie, kolego! – ripostował Marcin. – Już we Włoszech daje o sobie znać komando Czeczena. Incydent drogowy pod Neapolem, tajemniczy ludzie w Pompejach, to pierwsze oznaki czekających ich problemów. To trzeba pokazać. To narastające napięcie wciskające się w ich sielankowe wczasy trzeba pokazać. Widz powinien zacząć odczuwać niepokój.

– A co ze scenami seksu? – Damian ponownie zabrał głos. – W powieści jest ich kilka i są dość ostre.

– Dzisiaj nie ma scen ostrego seksu, kolego! – Marcin zrobił zdziwioną minę. – Wejź do Internetu, to zobaczysz, jak wygląda ostry seks. Nie rezygnujemy z żadnej z erotycznych scen. Chyba nie zaprzeczycie, że seks przyciąga!

Poczynione uzgodnienia rozpisali na poszczególne sceny i późnym popołudniem wiedzieli, że ich film będzie trwał prawie dwie godziny.

– To do jutra! – Marcin pożegnał się z każdym uściskiem dłoni.

Kiedy wyszli, od razu otworzył wszystkie okna. W pośpiechu doprowadzał pokój do porządku, co chwila spoglądając na zegarek.

Kwadrans po dziewiętnastej odezwał się dzwonek do drzwi. Znalazł się przy nich w jednej chwili.

– Cześć, Aśka – zawołał, całując dziewczynę już w progu.

\*\*\*

– Wstępny scenariusz mamy. – Marcin rozpoczął niedzielne spotkanie. – Teraz zastanówmy się, gdzie i w jakim składzie będziemy kręcili film. Jeśli chodzi o kraje, to mam propozycję, aby minimalna ekipa na kilka dni udała się do Egiptu i Włoch, a już w powiększonym składzie do Chorwacji. O Polsce nie wspominam, bo to oczywiste, że w kraju nakręcimy większość scen. Nie wiem, jaki film uda się nam zrobić. Nie wiem też, jak oceni go nasz sponsor, dlatego pobyt w Chorwacji potraktujmy jako fajne wakacje.

– Mam pytanie o Egipt, Włochy i ten, jak to określiłeś, minimalny skład ekipy. – Damian uniósł rękę.

– Czy to musi być Egipt? Jeśli ta sama ekipa będzie we Włoszech, to niech Lubow i Pilarski nie spotkają się w Szarm el-Szejk, ale na przykład na Sycylii, Korsyce albo Sardynii. To równie egzotyczne miejsca.

– Ale tu nie chodzi o egzotykę! – zaprotestował Marcin. – Lubow jest rosyjską agentką i bardzo by ryzykowała, aranżując spotkanie w którymś z krajów Unii Europejskiej. Egipt jest zdecydowanie bezpieczniejszym miejscem, a dla widza bardziej wiarygodnym.

– Pytałeś o minimalny skład ekipy. Moim zdaniem będzie to Pilarski, Nadia, operator kamery i Krzysiek albo ja jako reżyser.

– Jeśli chodzi o Chorwację – Marcin upił łyk wody – to proponuję wynajęcie dużego pensjonatu na jakiejś prywatnej wyspie. Pensjonat powinien zapewnić niekrępujące pokoje dla kilkunastu osób i posiadać pomieszczenia dające się adaptować na sypialnię, pokój hotelowy, salę szpitalną, gabinet pracy Pilarskiego może kawiarnię?

Wyspa, o której myślę, powinna się znajdować możliwie blisko Brijesty, bo tam, w oryginalnej scenerii, chcę sfilmować scenę napaści ludzi Czeczena na Nadię i Pilarskiego.

Pozostałe sceny niemożliwe do zrealizowania na chorwackiej wyspie, takie jak na przykład spotkanie Pilarskiego z zielarką Magdą w gospodarstwie agroturystycznym na Mazurach albo scena w domu opieki w Żarach, nagramy w Polsce.

Ta dyskusja nie wywołała wśród uczestników szczególnych emocji. Wszyscy byli zgodni, że wobec skromnego budżetu wyjazdu do Włoch i Egiptu w żadnym razie nie mogą mieć charakteru turystycznego i że powinny w nich wziąć udział wyłącznie osoby niezbędne do realizacji fragmentów filmu przewidzianych w scenariuszu.

Dużo bardziej emocjonująca, chwilami wręcz burzliwa, była rozmowa o wycenie poszczególnych etapów realizacji filmu. W bardziej spornych momentach, kiedy porozumienie nie było możliwe, o racji tej czy innej strony decydowało głosowanie, jednak wobec parzystej liczby dyskutantów nie zawsze przynosiło ono rozstrzygnięcie. Wtedy odkładali dyskusję na później i zajmowali się inną sprawą.

Po kilku godzinach podsumowali uzgodnione dla poszczególnych etapów kwoty i okazało się, że całkowity koszt produkcji filmu wyniesie około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Te piętnaście tysięcy dolców, których brakuje do połowy sumy oferowanej przez Franka – mówił Marcin – będzie naszą rezerwą na pokrycie nieprzewidzianych wydatków. Jeśli nasza wycena jest poprawna, to powinniśmy mieć do podziału sześćset tysięcy złotych. Mimo wszystko, to niezła kwota.

\*\*\*

– Zanim zaczniecie rozpisywać szczegółowo poszczególne sceny – Marcin zwrócił się do Bartłomieja i Damiana – przygotujcie listę osób, które wystąpią w filmie. Interesuje mnie wiek, może wygląd, ale na pewno cechy osobowości wymagane do zagrania roli. Ja i Krzysiek musimy to wiedzieć, zanim zajmiemy się castingiem.

– Kiepska sprawa będzie z tym castingiem. – Krzysztof wydał usta. – Budżet znikomy, praca za średnią krajową. Nie wiem, czy uda nam się skompletować obsadę.

– Z tą średnią to przesadziłeś, ale ze skompletowaniem ekipy masz rację. – Marcin kiwnął głową.

– Łatwo nie będzie.

Obawy reżyserów były w pełni uzasadnione. Kiedy przejrzeni listę dostarczoną przez scenarzystów, okazało się, że jedynie z rolą Nadii oraz zielarki nie powinni mieć problemu.

– Anka i Dominika nie mają pracy. – Marcin wolno wypowiadał słowa. – Jestem pewien, że wezmą te role, ale reszta?

– Może wezmą, ale one mają po dwadzieścia pięć lat, a zielarka w powieści jest czterdziestolatką – Krzysztofa ogarnęły wątpliwości.

– To akurat żaden problem – Marcin zaśmiał się. – Odmłodzić człowieka trudno, ale dodanie lat nie jest problemem. Poza tym w filmie zielarka może być młodsza niż w powieści. Martwią mnie inne role, na przykład Pilarskiego. Ten facet ma pięćdziesiątkę, a nasz Robert, który ewentualnie mógłby go zagrać, jest dwa razy młodszy.

– Który Robert?

– Kumpel Dominiki, nie znasz go? – zdziwił się Marcin. – Skończył Filmówkę rok po nas. Dobrze jednak, że jest. Myślę, że coś dla niego się znajdzie. Tylko, kurna, kim obsadzić role Pilarskiego, Lubow, Raisy, Joanny z urzędu skarbowego, dozorczyńi Kazimiery i Weroniki Górskiej, ludzi Czeczena, tych ze sztolni w Brijeście, panią prokurator i wędkarzy z Giżycka, i jeszcze kilka innych osób.

– Jakimś rozwiązaniem może być korekta scenariusza i usunięcie niektórych scen – stwierdził bez przekonania Krzysztof.

– Nie, to półśrodki. W tej chwili przyszedł mi do głowy pomysł, żeby zatrudnić amatorów.

– Naturszczyków? – Krzysztof zerwał się z krzesła. – Chłopie! Czyś ty oszalał? Chcesz, żeby całkiem film położyli?

– A Kamińska, Fedorowicz, Himilsbach czy Paschalska? – Marcina zdenerwowała reakcja kolegi.

– Żadne z nich nie ukończyło szkoły filmowej czy teatralnej!



– Aleś wybrał przykłady! To wyjątki wśród setek, może nawet tysięcy przeciętniaków!

\*\*\*

Marcin, wbrew stanowisku Krzysztofa, nie zrezygnował z pomysłu zatrudnienia amatorów. Tego samego dnia zatelefonował do mnie z prośbą o pomoc w odszukaniu osób występujących w powieści. Zaskoczył mnie pomysłem zaangażowania ich do filmu. Nie wyobrażałem sobie na przykład dozorczynie Kazimiery jako gwiazdy filmowej, jednak po chwili zastanowienia zmieniłem zdanie.

Kto lepiej od niej zagra ją samą? – pomyślałem, uznając pomysł młodego reżysera za bardzo dobry.

– Ja panu nie pomogę – powiedziałem wtedy. – Tych ludzi znam jedynie z opowiadania inspektora Pilarskiego. Tylko on posiada interesujące pana informacje. Proszę dać mi trochę czasu na skontaktowanie się z nim. Zadzwoń, powiedzmy, pojutrze, niezależnie od tego, co uda mi się załatwić.

\*\*\*

Inspektor Andrzej Pilarski po przeszczepieniu wątroby powoli wracał do zdrowia. Nie był jeszcze w dobrej kondycji fizycznej, jednak uciążliwości terapii chroniącej nowy organ przed odrzuceniem znosił dzielnie, wierząc, że niedługo powróci do normalnego życia.

– Najgorsza jest ciągła kontrola poziomu cukru – odpowiedział na moje pytanie o samopoczucie. – Muszę dostosowywać dietę do jego poziomu i przez dwa-trzy miesiące, dopóki biorę końskie dawki sterydów, wstrzykiwać insulinę. To trochę uciążliwe, nigdy wcześniej bym nie pomyślał, że poziom cukru ma związek z wątrobą, ale można się przyzwycząić. Od leków immunosupresyjnych trzęsą mi się ręce. Nie uwierzy pan, kiedy powiem, że na przykład rosółu nie zjem. Gęstą pomidorówkę tak, ale rosółu do ust na łyżce nie doniosę. Pochwalę się jednak, że potrafię już przejechać pięćdziesiąt kilometrów samochodem! Pięć tygodni po przeszczepie, jako

kierowca, bez trudu potrafię przejechać taką odległość! Ale w jakiej sprawie pan telefonuje? – zapytał.

Pokrótkie przedstawiłem mu pomysł Marcina.

– Czegoś takiego się nie spodziewałem – zaśmiał się do słuchawki. – Niech mi pan poda listę osób, do których mam zadzwonić – poprosił.

Zrobiłam, co kazał.

– Ależ proszę pana! – zaprotestował przy swoim nazwisku. – Ja na pewno nie zagram w filmie. To główna rola. Kobiet jak u Jamesa Bonda, romanse i dalekie podróże! Nie, nie dam po prostu rady. Zresztą nawet gdyby mnie nie pokroili, to też nie paliłbym się do aktorstwa. To nie jest mój świat. Do Lubow i Raisy też nie zadzwonię. Nie mam z nimi kontaktu i ich udział jest nierealny. Jestem pewien, że wyśmiałyby moją propozycję, a gdyby się jednak zgodziły przyjechać, to zatrzymano by je na granicy. Joanna, pani Górska, może jeszcze pani prokurator – tutaj widzę szansę, ale tylko tutaj.

– A dozorczyńni Kazimiera? – zapytałem. – Ta z Trzebnicy.

– Może – odpowiedział – ale przez telefon z panią Kazią tej sprawy się nie załatwi. Jeśli chodzi o Lubow – mówił po chwili – to myślę, że pani Karolina Matusiak z Karlikowa, ta, która ma ciężko chorą babcię, mogłaby ją zagrać. Pracuje jako salowa. To inteligentna dziewczyna, która ukończyła szkołę średnią, tylko jej życie wyjątkowo źle się potoczyło.

\*\*\*

Pilarski zadzwonił po dwóch dniach, tak jak obiecał.

– No i prawie wszystkie się wstępnie zgodziły! – zakomunikował radosnym głosem. – Z Joanną, panią Kazią i Karoliną Matusiak rozmawiałem osobiście.

– Był pan w Trzebnicy i w Karlikowie? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Byłem! – odpowiedział pewnie. – Sześćdziesiąt pięć kilometrów. Jako kierowca! To mój nowy rekord!

– Panie Andrzeju – zaprotestowałem – to chyba nierozsądne.

– E tam! – zaśmiał się. – Czuję się dobrze, nic mi nie dolega, to pojechałem. Zgodziła się też pani Weronika Górka z Żar.

– Był pan też w Żarach? – zażartowałem.

– Nie, z nią rozmawiałem przez telefon. Odmówiła jedynie pani prokurator z Giżycka, ale tego się spodziewałem. Powaga zajmowanego stanowiska, sam pan rozumie.

Podziękowałem policjantowi i od razu zatelefonowałem do Radomia.

– Ma pan wstępną zgodę tych osób i telefony do nich oraz do pana Pilarskiego – mówiłem Marcinowi. – Resztę musi już pan sam załatwiać.

\*\*\*

To nie był typowy casting. Zwykle potencjalni odtwórcy ról filmowych przyjeżdżają w miejsce wyznaczone przez organizatorów, a w tym przypadku Marcin i Krzysztof udali się do Trzebnicy. Z Joanną, Karoliną i panią Kazimierą spotkali się w kawiarni Markiza, tej samej, w której kilka miesięcy wcześniej Pilarski rozmawiał z Joanną.

Krótką rozmową z każdą z pań utwierdziła Marcina w przekonaniu, że decydując się na aktorów amatorów, podjął dobrą decyzję. Krzysztof nadal nie był przekonany, ale powoli i on się do niej przyzwyczajał.

– Role pań są drugoplanowe. – Marcin kierował te słowa do Joanny i pani Kazimieri. – No i... jak by to powiedzieć... niekontrowersyjne. Jedynie rozmowa z policjantem, żadnej dynamicznej akcji, żadnych scen rozbieranych.

– Jezusie drogi! – Pani Kazimiera się przeżegnała. – Ja by się w życiu nie rozebrała. Nawet milion gdyby pan dawał, to nie. Gołą to mnie mój stary ostatni raz widział, jak Mazowiecki nastał, a tu w kinie dla wszystkich ja by goła być miała? Tfu! Idź pan.

– Właściwie to szkoda tych scen. – Joanna była zawiedziona. – Za kilka lat powiedziałabym pewnie to samo, co pani Kazimiera, ale teraz...

– Pani rola jest jednak inna. – Marcin zwrócił się do Karoliny. – Zagra pani agentkę rosyjskiego wywiadu poszukującą na własną rękę, chociaż przy cichym poparciu władz, banderowca, który w okrutny sposób wymordował jej rodzinę. Kwestie wypowiedziane przez agentkę są i długie, i trudne. W tym sensie trudne, że towarzyszą im zmienne nastroje – od miłosnego uniesienia, po zimne wyrachowanie. Dlatego chciałbym usłyszeć fragment tekstu przeczytany przez panią, OK?

– A może być wiersz?

– Nie jestem na to przygotowany. – Reżyser gładził się po twarzy. – Nie mam tekstu żadnego wiersza.

– Nie, nie potrzeba. Ja z pamięci.

– OK! Tylko żeby to nie był wierszyk dla dzieci.

– Raczej nie. – Karolina uśmiechnęła się i zaczęła recytować.

*— Czemu, cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancierz,  
Przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan? —  
Miecz wawrzynem zielony, gromnic płakaniem dziś polan,  
Rwie się sokół i koń twój podrywa stopę jak tancerz.  
— Wieją, wieją proporce i zawiewają na siebie,  
Jak namioty ruchome wojsk, koczujących po niebie.  
Trąby długie we łkaniu aż się zanoszą i znaki  
Poklaniają się z góry opuszczonemi skrzydłami,  
Jak włóczyniami przebite smoki, jaszczury i ptaki,  
Jako wiele pomysłów, któreś dościgał włóczyniami...<sup>1</sup>*

– Pani Karolino! – Marcin był zaskoczony. – Takiego wykonania nie

powstydziliby się zawodowy aktor z dobrego teatru! Naprawdę jestem pod wrażeniem, zwłaszcza że to trudny tekst.

– Ja po prostu lubię Norwida – odparła Karolina, wpatrując się w blat stołu – i chyba potrafię wprowadzić się w nastrój, w jakim on pisał swoje wiersze.

– Gratuluję pani raz jeszcze. – Marcin kręcił głową.

– Tutaj jest scenariusz. Sceny, w których pani występuje, zakreśliłem czerwonym flamastrem. Proszę się z nimi zapoznać, a my – wskazał Krzysztofa – w tym czasie powłóczymy się po Trzebnicy. Może pani Joanna nas oprowadzi?

– Panów filmowców z przyjemnością. – Joanna uśmiechnęła się zalotnie.

– Ja by też oprowadziła – zadeklarowała pani Kazimiera – ale pracę mam.

Do kawiarni wrócili po dwóch godzinach, ale nie zastali Karoliny przy stoliku, przy którym ją zostawili.

– O co chodzi? – zdenerwował się Marcin. – Gdzie ona się podziała?

– Zobacz. – Krzysztof ruchem głowy wskazał stół w rogu pomieszczenia.

Kiedy tam podeszli zobaczyli, pochmurną twarz kobiety. Jej naturalny wdzięk, który tak się im podobał, zniknął bez śladu.

– Co się stało, pani Karolino? – zaniepokoił się Marcin. – Żle się pani czuje?

– Żle? – Karolina wpatrywała się w blat stolika. – Ja czuję się fatalnie. Nie wezmę tej roli, przykro mi.

– Ale co się stało? Dlaczego chce pani zrezygnować?

– Z powodu tych scen.

– Jakich scen?

– Pan nazwał je rozbieranymi. Nie wystąpię nago przed kamerą! Za żadne

pieniądze!

Zdecydowana reakcja Karoliny wywołała złość Krzysztofa.

– Masz swoich amatorów! – Zerwał się z krzesła. – Dupy i cycków wstydzi się pokazać. Taki kawał drogi przejechaliśmy, żeby to usłyszeć! Amatorszczyzna, psia jego mać!

– Zamknij się! – wycedził przez zęby Marcin.

– Pani Karolino – mówił łagodnym głosem – naprawdę nie zagra pani tych scen?

– Nie, to moje ostatnie słowo.

– W takim razie zatrudnimy dublerkę.

– Dublerkę? – Krzysztof poczerwieniał ze złości. – Forsy mało, a ty chcesz szastać nią na lewo i prawo? Gdyby ta wieśniaczka nie była taka zacofana, to gażą dublerki moglibyśmy się podzielić.

– Czego się pani wstydzi? – zwrócił się ostro do Karoliny. – Nagość w filmie to dzisiaj powszechna sprawa. Widziała pani *Wszystko, co kocham* z Mateuszem Kościukiewiczem i Olgą Frycz?

– Nie. – Karolina wycierała wilgotne oczy i pociągała nosem. – Dlaczego mówi pan o tym filmie?

– Zaraz się pani dowie. – Włączył laptopa. – To trochę potrwa, ale pokażę pani scenę z udziałem Frycz i Kościukiewicza. Jestem pewien, że w miłosnych igraszkach zastąpili ich dublerzy, ale i tak w świat poszedł przekaz, że to byli Olga i Mateusz we własnych osobach. Zmierzam do tego, że dublerka wybawi panią jedynie od skrępowania wobec operatora kamery i partnera z filmowego planu. Tylko tyle, nic więcej.

– To ta scena. – Odszukał fragment filmu, o którym mówił. – Proszę uważnie się przyjrzeć.

– O Boże! – Karolina była zszokowana. – Nigdy się na coś takiego nie zgodzę!

\*\*\*

A jednak w końcu zgodziła się przyjąć rolę Lubow. Postawiła jednak warunek, że w scenach rozbieranych musi wystąpić jej dublerka. Marcin nie był tym zachwycony, Krzysztofa nie opuszczała złość, ale w końcu obaj ulegli.

– Teraz szukaj tej dublerki. – Krzysztof nie krył irytacji. – Ja umyвам ręce.

– OK, nie ma sprawy. Pilarskiego też znajdę. – Marcin był coraz bardziej zły na kolegę.

Od słów przeszedł od razu do czynów, a ich rezultat z nawiązką spełnił jego oczekiwania. Na ogłoszenie o zatrudnieniu bezpruderyjnych aktorów amatorów w średnim wieku, kobiet i mężczyzn, do filmu o współczesnych polsko-ukraińskich relacjach, odpowiedziało na Facebooku blisko trzydzieści osób. Wybór nie był łatwy, ale w końcu obaj reżyserzy zdecydowali się na Marka i Polinę.

Marek miał czterdzieści siedem lat, żonę i dwójkę dorosłych dzieci, ale nie miał pracy. Firma, w której był zatrudniony jako inżynier budownictwa, zbankrutowała i cała załoga znalazła się na bruku.

Trzydziestosześcioletnia Polina pochodziła z białoruskiej rodziny, która piętnaście lat temu przyjechała do Polski. Ta atrakcyjna kobieta, o niebieskich oczach i rudych włosach, płynnie mówiła po polsku, chociaż wytrawny językoznawca wyczułby w jej mowie delikatny wschodni akcent.

Zmontowanie ekipy do sceny w chorwackiej sztolni Marcin zlecił obu scenarzystom.

– Mężczyźni muszą być rośli – przypominał – a dublerka wysportowana. Spenetrujcie środowiska dżudoków i zawodniczek MMA. Tam na pewno uda się wam znaleźć odpowiednie osoby.

\*\*\*

– Na niebiesko zaznaczyłem sceny, które zrobimy w Chorwacji. – Marcin

podał scenariusz koledze.

– Sprawdź, czy nie jest to zbyt ambitny plan. W końcu będziemy mieli tylko dwa tygodnie.

– OK. – Krzysztof odłożył scenariusz. – Ale już czas, aby zdecydować, kto tam pojedzie. Przygotowałem wstępną listę osób i ona też jest do przedyskutowania.

Po długiej, chwilami ostrej, wymianie zdań uzgodnili, że do Chorwacji pojedą oni, Anna, Marek, Karolina, Polina, operator kamery, charakteryzatorka i dekoratorka wnętrz.

– Dziewięć osób – podsumował Krzysztof.

– Jedenaście – sprostował Marcin. – Pojedzie jeszcze Dagmara i Mariusz. Oboje na własny koszt, żeby było jasne.

– Dagmara, to twoja żona, ale Mariusz? Nie kojarzę!

– To chłopak Anki.

Wynajęli dwa busy. Jeden do przewozu osób i ich bagaży, a drugi towarowy, do transportu rekwizytów. Spotkali się o czwartej rano na parkingu przy dworcu kolejowym w Katowicach.

– Wybaczcie tak wczesną porę, ale przed północą chcemy być w Chorwacji – powitał zaspane towarzystwo Marcin. – Ponieważ nie wszyscy się znamy, to pozwólcie, że krótko nas przedstawię. Mam na imię Marcin i jestem reżyserem, a to moja żona Dagmara. To Krzysztof, drugi reżyser, a to Ania, która zagra rolę Nadii. Ani towarzyszy Mariusz, jej chłopak. Inspektora Pilarskiego zagra Marek, a agentkę służb specjalnych Federacji Rosyjskiej Karolina. Polina będzie dublerką Karoliny w scenach erotycznych, a samodzielnie wystąpi jako Raisa. To jest Fabian – operator kamery, charakteryzatorka Grażyna oraz Monika – dekoratorka wnętrz. Od teraz integrujemy się tak, aby na wyspie stanowić zgrany zespół.

– Będziemy kręcili na wyspie? – zainteresowała się Anna.

– Tak. Wynajęliśmy cały pensjonat na prywatnej wyspie niedaleko



Szybeniku. Spędzimy tam dwa tygodnie. A teraz zajmujemy miejsca. Czeka nas daleka i męcząca trasa.

\*\*\*

Chociaż jechali autostradami i drogami szybkiego ruchu, do Szybeniku dotarli dopiero o dwudziestej drugiej. Ten długi czas przejazdu trasą liczącą tysiąc sto kilometrów wynikał z przepisów obowiązujących kierowców busów, które dokładnie określały czas pracy i czas obowiązkowych przerw.

– Ne, danas ničega već nismo u stanju izvršiti<sup>2</sup>. – Chorwat Luka, z którym byli umówieni, bezradnie rozkładał ręce.

– Treba sačekati do ujutra. U devet sati ćemo se zaokupiti transportom na otok<sup>3</sup>.

– O dziewiątej? – Marcin był poirytowany. – A wcześniej nie można?

– Ne, ne može se. Tek u devet sati<sup>4</sup>.

W trakcie dalszej rozmowy okazało się, że jednak można, a sympatycznego Lukę przekonał ostatecznie banknot o nominale stu euro. Za dodatkowe pięćdziesiąt Luka udostępnił dwa nieumeblowane pomieszczenia na poddaszu, dmuchane materace i karimaty oraz duży dzbanek gorącej herbaty. Do suchego prowiantu, który ze sobą zabrali, bardzo się przydała.

\*\*\*

Do południa dwie motorówki Luki przewiozły na wyspę ludzi i sprzęt. Przeniesienie bagaży i akcesoriów filmowych z prowizorycznej przystani do pensjonatu nie było łatwym zadaniem. Dwudziestometrową różnicę poziomów trzeba było pokonać, idąc krętą, kamienistą ścieżką, która w dwóch miejscach niebezpiecznie zbliżała się do krawędzi klifu.

Mimo zmęczenia długą podróżą i noclegiem w spartańskich warunkach wszyscy pracowali wytrwale i wczesnym popołudniem Marcin mógł z satysfakcją stwierdzić, że zadanie zostało wykonane.

Wyspa miała kilometr długości i trzysta metrów szerokości. Jej

powierzchnię stanowiły niewysokie wzgórza łagodnie schodzące ku morzu, jedynie w dwóch miejscach kończące się nagle pionową ścianą urwiska. Na południowym klifie znajdował się pensjonat, a u podnóża północnego, nieco niższego, była mała kamienista plaża. Florę wyspy stanowiły agawy, miniaturowe palmy, skupiska drzew oliwnych i jakieś południowe krzewy.

Pensjonat był piętrowym budynkiem z dwu-i czteroosobowymi pokojami, salonem z kominkiem i tarasami na parterze i piętrze, z widokiem na Adriatyk. Korzystanie z oświetlenia i urządzeń RTV możliwe było dzięki agregatowi prądotwórczemu.

Z Luką umówili się na codzienne dostawy pieczywa, owoców, ryb i innych podstawowych produktów, których listę każdorazowo mieli przygotować.

Na wyspie i w pensjonacie zamierzali nagrać wszystkie sceny, których akcja toczy się w pomieszczeniu lub nad morzem. Przewidzieli też dwudniowy wyjazd części zespołu do Brijesty w celu nagrania sceny napadu ludzi Czeczena na Nadię i Pilarskiego.

\*\*\*

– Dzisiejsze popołudnie i cały jutrzejszy dzień mamy wolne – zakomunikował Marcin podczas popołudniowego posiłku. – Proszę odpoczywać i się integrować. To szczególny apel do Marka, Karoliny, Ani i Poliny. Najwięcej scen, a właściwie wszystkie, będzie z waszym udziałem, w tym trudne dla każdego aktora sceny erotyczne.

– Jakie trudne? – Anna wzruszyła ramionami. – W czasie studiów mogliśmy się do nich przyzwyczaić.

– Dla mnie też nie są one problemem – zadeklarowała Polina.

Tylko Karolina była zmieszana, co Marcin od razu zauważył.

– OK – powiedział. – W takim razie to wy – zwrócił się do Karoliny i Marka – powinniście oswajać się ze sobą. Spędzajcie razem czas, opowiadajcie o sobie. Kamera onieśmiela i musicie w ekspresowym tempie

nadrobić to, do czego zawodowi aktorzy przyzwyczajali się przez lata.

– A mnie się pomysł z jutrzejszym wolnym dniem nie podoba – zaprotestował Krzysztof. – Szkoda czasu i pieniędzy. – Wstał z krzesła dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów. – Przyjechaliśmy do pracy, a nie na wakacje.

– Nie masz racji! – ripostował Marcin. – Przed zdjęciami ludzie powinni być wypoczęci.

– Jak wolne, to wolne. – Dagmara wzięła męża pod rękę. – Zabieram cię na spacer.

– Daj spokój z tym spacerem – fuknął. – Dla mnie nie ma wolnego. Nie widzisz, że cała logistyka jest na mojej głowie?

– Ale przecież obiecałeś. Myślałam, że ten wyjazd zbliży nas do siebie.

– Niczego nie obiecałem. Chcę zrobić dobry film za niewielkie pieniądze, a to wymaga mnóstwa dodatkowej pracy. Jeśli nie możesz mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj. No i nie oczekuj, że będę ci organizował czas.

– Słyszałem waszą rozmowę. – Krzysztof przystanął obok Dagmary, która oparta o balustradę tarasu patrzyła gdzieś w morze. – Jeśli nadal masz ochotę na spacer, to z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa.

– Daj spokój – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od bezkresu Adriatyku. – Przeszło mi.

\*\*\*

– To czeka nas przygoda, moja pani. – Marek skrzyżował dłonie na piersiach i pokłonił się przed Karoliną. – Chorwacja i Egipt – wielki świat. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego mnie spotka.

– Przestań! – Karolina była spięta. – Mam wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, biorąc rolę Lubow. Ze szpitala od razu wskoczyłam w świat polityki i zbrodni.

– Pracujesz w szpitalu?

- Tak, jestem salową. – Spuściła głowę, bojąc się drwiącego spojrzenia.
- Bardzo pożyteczny i potrzebny zawód. – Usłyszała i zdziwiła się. – Dwa razy leżałem w szpitalu, a wychodząc, zawsze dziękowałem salowym.
- A ty? Gdzie pracujesz?
- Tutaj – zaśmiał się. – Rola w filmie będzie moją pierwszą pracą po rocznym bezrobociu.
- Nie masz pracy?
- Nie. Moja firma zbankrutowała i cała załoga straciła pracę. Ja też, chociaż przepracowałem w niej ponad dwadzieścia lat. Kapitalizm, prawa rynku, a raczej prawa dżungli. Silniejszy zjada słabszego i nawet przez chwilę nie ma wyrzutów sumienia. Chodź, przejdziemy się trochę. Przyda nam się spacer po tak długiej podróży.
- To figa? – zapytał, zrywając zielonkawy, lekko brązowiejący owoc.
- Figa, ale chyba jeszcze nie całkiem dojrzała. Lubisz figi?
- Średnio, dla mnie są za słodkie.
- A ja lubię.
- To spróbuj – przekroił owoc scyzorykiem. – Ma czerwono-brązowy miąższ, to chyba jest dojrzały.
- Jest, nawet bardzo – uśmiechnęła się. – Po prostu pyszność.

\*\*\*

Dwie bogato zaopatrzone lodówki zachęcały do kulinarnych eksperymentów, ale nie wszyscy byli skłonni do ich przeprowadzania. Większość ekipy, kobiet nie wyłączając, ograniczała się do szybkiego jedzenia, czyli tradycyjnych kanapek i kawy lub herbaty.

- Gdybym ja mógł decydować, to scen w szpitalu nie kręcilibyśmy w Chorwacji. – Krzysztof kroił pomidory, paprykę i cebulę na leczo.
- Ciekawe dlaczego? – Marcin, który smarował chleb masłem, spojrzał

na kolegę.

– Po pierwsze dlatego, że w tutejszych warunkach nie jesteśmy w stanie przekonująco odtworzyć szpitalnego klimatu, a po drugie...

– A po drugie dlatego, że nie mamy obsady Botanika i Bilońskiego! To chciałeś powiedzieć? – Mąż Dagmary wszedł mu w słowo.

– Tak, dokładnie to!

– Chłopie, pomyśl trochę! Weź scenariusz i zobacz, które sceny zakreśliłem na niebiesko. Te z Bilońskim i Botanikiem nagramy w kraju, być może nawet w prawdziwym szpitalu. Poza tym na wyjaśnianie wątpliwości był czas w Polsce. Dlaczego wtedy nie zgłaszałeś żadnych uwag? O, przepraszam – odłożył nóż – awanturowałeś się o naturszczyków.

Rozmowa reżyserów stawała się coraz bardziej napięta, a w końcu górę wzięły emocje. Krzysztof zrezygnował z posiłku i wyszedł z salonu. Zszedł stromą ścieżką do przystani, przeklinając w duchu i w rzeczywistości współpracę z Marcinem.

– Do jasnej cholery! – mówił głośno, prawie krzyczał. – Co za człowiek? Że też można być takim bufonem i egoistą!

– O kim mówisz? – usłyszał z tyłu kobiecy głos, więc się odwrócił.

– Dagmara? Skąd się tutaj wzięłaś?

– Od samego tarasu próbowałam cię dogonić, ale szedłeś tak szybko i byłeś tak zamyślony, że nie słyszałeś mojego wołania. To o kim mówisz? – ponowiła pytanie. – Albo nie, nie odpowiadaj. – Pogroziła palcem. – Spróbuję zgadnąć! O Marcinie!

– Bingo! Trafiony, zatopiony! Skąd wiedziałaś?

– Nie znamy się, ale wzbudzasz zaufanie i dlatego ci powiem. – Spuściła głowę. – Określenia bufon i egoista idealnie pasują do mojego męża.

– Mylisz się, Dagmaro, nie masz racji. – Na jego pochmurnej twarzy zagościł nagle uśmiech.

– Nie mylę się. Znam go od ogólniaka i wiem, co mówię.

– Nie to miałem na myśli. – Krzysztof nie przestawał się uśmiechać. – Chodzi o to, że my się znamy. Nie pamiętasz mnie z imprezy w Filmówce?

– Nie... – Zmarszczyła czoło. – Chyba ściemniasz!

– To było na trzecim roku. Nie byłaś jeszcze żoną Marcina. Przyszłaś w czerwonej sukience i czarnym bolerku. Podobałaś mi się.

\*\*\*

Karolina, Polina i Grażyna jadły w salonie śniadanie. Reszta ekipy jeszcze pozostawała w pokojach.

– I jak się spało mojej pani? – wołał Marek już ze schodów. Szarmancko uklonił się Polinie i Grażynie, po czym zajął miejsce obok Karoliny.

– Nie bardzo. – Kobieta się odsunęła. – Usnęłam dopiero po północy. Ale nie zagaduj, tylko rób śniadanie. Tutaj każdy dba o siebie. Lodówki zamknąć nie można, tyle w niej jedzenia.

Po śniadaniu, korzystając z wolnego dnia, który całej ekipie dał Marcin, Marek i Karolina postanowili zobaczyć północną część wyspy. Bezchmurne niebo zachęcało do kąpieli morskich i słonecznych, dlatego zabrali ze sobą koc.

– A scenariusze? – zapytała Karolina. – Bierzemy?

– Tak. – Kiwnął głową. – Jutro zaczynamy zdjęcia, to warto się z rolami bliżej zapoznać.

Przejście z południowej na północną stronę wyspy zajęło im zaledwie kilka minut. Po drodze mijali figowce, migdałowce i drzewa oliwne.

– Nie spodziewałem się, że te egzotyczne owoce rosną w Chorwacji. – Marek był bardzo zdziwiony. – W Grecji, Hiszpanii czy Włoszech tak, ale w Chorwacji?

– Jak widzisz, podróże kształcą. – Karolina zatrzymała się nagle i złapała Marka za rękę. – Stój! – krzyknęła. – Zobacz. – Wyciągniętą ręką pokazała

płaski głaz znajdujący się tuż przy ścieżce, na którym zwinięty w kłębek wygrzewał się nieduży wąż. Był szary z czarnym zygzakiem na grzbiecie i dziwną naroślą na pysku, przypominającą róg.

– Boję się. – Mocniej ścisnęła dłoń mężczyzny. – Wracajmy.

– Daj spokój – mówił lekko niepewnym głosem. – Żeby przez węża zrezygnować z wycieczki? To Chorwacja, gorący klimat, a węże lubią ciepło. Na pewno jest ich tutaj więcej niż w Polsce. Idziemy, tylko musimy uważać.

Łukiem ominęli głaz i wkrótce znaleźli się na kamienistej plaży.

– Zanim rozłożymy koc, sprawdź, czy w pobliżu nie ma węży – prosiła. – Ten na kamieniu tak mnie wystraszył, że straciłam dobry nastrój.

Kilka chwil później siedzieli po turecku naprzeciw siebie i przeglądali scenariusze.

– Że też się na to zgodziłam. – Karolina westchnęła, kręcąc z dezaprobatą głową. – Same sceny łóżkowe, a dialogów mało.

– Wczytaj się uważnie w tekst i objaśnienia. – Marek wachlował się kartkami scenariusza. – Jest jedna scena łóżkowa i naprawdę długi dialog. A później, kiedy mnie przy kolacji szantażujesz, to już wyłącznie rozmowa.

– Tak, ale prowadząc ten pierwszy dialog, jesteśmy nadzy. Mnie to krępuje, a ciebie?

– Sam nie wiem, ale... – Zawiesił głos.

– Ale co?

– Ale zaraz się przekonam. Wstał z koca i kołysząc się w takt niesłyszanej muzyki powoli zdjął T-shirt. W tym samym rytmie ściągnął bokserki.

– Co robisz? – zapytała, marszcząc czoło.

– Sprawdzam. Nie, nie czuję się skrępowany, a ty?

– Ja nie muszę sprawdzać – odpowiedziała pewnie. – Ja wiem.

\*\*\*

Marcin cały czas przeglądał scenariusz. Coś zaznaczał, skreślał, czasem dopisywał.

– Mam wątpliwości co do sceny, w której Lubow po seksie z Pilarskim opowiada o banderowskich zbrodniarzach – zwierzył się po południu Krzysztofowi. – Nie podoba mi się zestawienie nagości i zbrodni. Nie odnosisz podobnego wrażenia?

– A jakie znaczenie ma moja opinia? – Krzysztof wzruszył ramionami. – Ty i tak o wszystkim decydujesz.

– Przestań się boczyć. Potrzebuję twojej rady. Obaj mamy szansę pokazać, że stać nas na zrobienie dobrego filmu, że jesteśmy coś warci.

– Raczej ty, nie ja! – Uwaga kolegi nie poprawiła nastroju Krzysztofa. – Jestem pewien, że w czołówce będzie napis: „Reżyseria – Marcin Kalina”. Mnie, co najwyżej, umieścisz jako konsultanta.

Nad tą uwagą Marcin przeszedł do porządku dziennego. Nie zaprzeczył jej ani nie potwierdził.

– Proponuję przenieść miejsce akcji z łóżka w hotelowym pokoju na przykład na taras – kontynuował przerwana myśl. – Mamy dwa tarasy z ładnym widokiem na morze. Poza tym ubrana Karolina nie będzie zestresowana.

– Ta amatorka zawsze będzie zestresowana! – Propozycja Marcina spowodowała wybuch złości Krzysztofa. – Goła czy ubrana po uszy! Amatorka zawsze będzie amatorką! Dlaczego ją zaangażowałeś? Naszej Ance nagość zupełnie nie przeszkadza, a twoi amatorzy muszą się oswajać! Paranoja jakaś! Módl się, żeby się chociaż oswoili, bo inaczej z filmu nici!

\*\*\*

– Chodź. – Marek ujął dłoń Karoliny. – Zachód słońca oglądany z północnej strony wyspy musi robić niezwykłe wrażenie. Jutro zdjęcia, korzystajmy z ostatniego dnia wolności.



Nie protestowała, kiedy poprowadził ją na tę samą plażę, na której byli przed południem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała, siadając obok niego na kocu.

– O czym mówisz?

– Wiesz dobrze, nie udawaj.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o co mnie pytasz.

– Przed południem, tutaj na plaży, rozebrałeś się. Zapomniałeś?

– Nie, nie zapomniałem. Chciałem sprawdzić, czy twoja obecność mnie nie krępuje.

– Mówiłeś, że masz rodzinę – zmieniła temat rozmowy. – Powiedz coś o niej.

– Rodzina jak rodzina. Syn jest na drugim roku politechniki, a córka rozpoczyna studia na akademii medycznej. Dzieci powoli wchodzą w dorosłe życie. Nic nadzwyczajnego, normalna kolej rzeczy.

– A żona? Nic o niej nie mówisz.

– Żona... – Jego twarz spoważniała. – Ma czterdzieści siedem lat, tyle co ja, pracuje w banku i dobrze prowadzi dom. To wszystko.

– Wszystko? – zdziwiła się. – Nadal się kochacie?

– Niestety nie. – Rzucił do wody kamyk. – Było, minęło i chyba nie wróci. Mieszkamy razem, ale chemii między nami już nie ma.

– I można tak żyć? Razem, ale jakby osobno?

– Jak widzisz, można. Ja mam swój świat, ona swój. W moim świecie są dzieci, własne zainteresowania i takie tam drobiazgi. W jej świecie są dzieci, prowadzenie domu i przyjaciel.

– Przyjaciel? Nie rozumiem. – Karolina spojrzała mu prosto w oczy.

– A co tu rozumieć? Życie nie znosi próżni. Każdy potrzebuje miłości i przyjaźni i żona je znalazła. Mam poczucie winy, że to przeze mnie, że w

porę nie dostrzegłem zbliżającego się kryzysu, że bagatelizowałem ostrzeżenia żony. Ale dość już o mnie, teraz powiedz coś o sobie.

– Niewiele mogę powiedzieć. Nie mam rodzeństwa, a moi rodzice zginęli w wypadku, kiedy miałam osiem lat. Wychowywała mnie babcia, która już nie żyje, jestem sama i mam dwunastoletnią córkę. Nigdy nie miałam męża, a córka jest owocem zauroczenia i chwili zapomnienia. Córka ma na imię Marysia, jej ojciec wyjechał z Polski i zerwał z nami kontakt. To wszystko.

Siedzieli przytuleni i obserwowali słońce powoli chowające się za horyzontem.

– Piękna jest ta Chorwacja – dzielili się wrażeniami. – Nigdy z Polski nie wyjeżdżałam i gdyby nie film, chyba bym do końca życia nie wyjechała.

Marek objął ją mocniej.

– À propos filmu, jutro zaczynamy.

– Nawet o tym nie mów. – Położyła głowę na jego ramieniu. – Jestem spanikowana.

– To poczekaj i nie protestuj. – Cmoknął ją w policzek i wstał.

Usiadł naprzeciw, kładąc uda na jej udach. Objął ją i mocno przytulił.

– Co robisz? – zaprotestowała bez przekonania.

– Próbuję cię zrelaksować. – Zamknął jej usta pocałunkiem.

– Ładny mi relaks – wyszeptała, z trudem łapiąc powietrze. – Serce chce mi wyskoczyć, zobacz. – Ujęła jego dłoń i położyła na swojej piersi.

– Karolino, chcę się z tobą kochać – powiedział ścisłym głosem. – Tutaj i teraz.

Patrzył pytająco w jej oczy, ale oprócz pomarańczowej poświaty zachodzącego słońca nie widział nic więcej.

– To na co czekasz? – zapytała, rozpinając bluzkę. – Ale za tą skałą będę się czuła bardziej komfortowo. Myślę, że tam nikt nas nie zobaczy.

Byle jak rzucone ubrania zostawili na kocu i uważając na jeżowce, zanurzyli się w ciepłej wodzie. Opłynęli skałę i znaleźli się w małej urokliwej zatoczce, osłoniętej z trzech stron. Jedyne chowające się za horyzontem słońce mogło przyglądać się miłosnej ekstazie dwóch nagich ciał.

Stali wtuleni i wpatrzeni w siebie. Nic nie mówili, ale słowa nie były im potrzebne. Oboje wiedzieli, że do tej zatoczki wrócą, że będą tutaj wracali każdego dnia do końca ich pobytu.

– Marku, było cudownie – wyszeptała.

– Było – potwierdził jej słowa pocałunkiem. – Było, ale musimy już wracać. Za pół godziny będzie całkiem ciemno.

Weszli do wody, ochlapując się jak małe dzieci.

– Piękna jest ta Chorwacja – powtórzyła Karolina. – Po prostu cudowna. Chciałabym każdego roku spędzać tutaj wakacje.

– Ja też, ale że jest to niemożliwe, cieszymy się tym, co mamy teraz. – Dotknął jej ramienia.

– Marku, muszę ci coś powiedzieć. – Nagle spoważniała. – I już się nie krępuję. To był mój pierwszy seks po trzynastu latach.

– A mój po trzech – zaśmiał się. – Płyniemy?

– Tak. – Kiwnęła głową.

– Co to? – zapytała, krztusząc się przypadkowo połkniętą wodą, kiedy wypłynęli zza skały.

Do brzegu, na którym zostawili koc i ubrania, mieli jeszcze kilkanaście metrów, ale w powoli zapadającym zmroku zobaczyli jakiś dziwny kształt.

– Marku, co to jest? – krzyknęła przerażona, kiedy do brzegu zostało zaledwie kilka ruchów ramion, a w dziwnym kształcie można było rozpoznać człowieka.

Wybiegli z wody, nie zważając na jeżowce. Obok koca, częściowo pozostający na brzegu, a częściowo zanurzony w morzu, leżał związany

drutem kolczastym nagi manekin kobiety.

– Marku! Boże drogi! – krzyknęła ponownie tak głośno, że kilka mew siedzących na skale zerwało się do lotu. – Boję się! Tutaj ktoś jest, ktoś nas obserwuje. Wracajmy, i to szybko!

Zwinęli koc z ubraniami i potykając się o coraz mniej widoczne kamienie, ruszyli biegiem w stronę pensjonatu. Zatrzymali się w połowie drogi, by się ubrać, a po kilku minutach wbiegli na taras.

\*\*\*

Zdarzenie z manekinem, o którym Karolina i Marek dość chaotycznie opowiadali, wstrząsnęło całą ekipą. Marcin i Mariusz chcieli natychmiast pójść na plażę i dokładnie przyjrzeć się manekinowi, ale wobec panujących ciemności i zdecydowanego protestu Anny i Dagmary ostatecznie zrezygnowali. Uzgodnili jednak, że zrobią to jutro z samego rana.

Dyskusja o tym, kto to zrobił i dlaczego, była pełna emocji. Pojawiały się różne hipotezy stawiane przez niemal wszystkich, ale poddawane krytyce kolejno upadały.

Kiedy wydawało się, że nic konkretnego z ożywionych rozmów nie wyniknie, Marcin odebrał SMS-a. Długo przyglądał się wiadomości. Zbyt długo, bo gwar rozmów powoli zanikał, a w końcu w salonie zapanowała cisza.

– Czy to coś ważnego? – Krzysztof odezwał się pierwszy.

– Chyba tak. – Marcin powoli kiwał głową. – Chyba tak. Zobaczcie, co napisał jakiś anonimowy nadawca – powiedział i puścił telefon w obieg. *Ma pan natychmiast nie krecić tego filmu! Manekin to pierwsze poważne ostrzeżenie.*

– Jeśli tę wiadomość potraktować poważnie, to bez osłony policji nasza praca będzie niebezpieczna – ponownie zabrał głos Krzysztof. – Powiem więcej, ona będzie niebezpieczna bez schwytania osoby, która nam grozi. Powiedzmy, że policja zapewni warunki do pracy i film wejdzie na ekrany.

Czy wtedy będziemy mogli czuć się bezpiecznie? Osobiście bardzo w to wątpię.

– Co wobec tego proponujesz? – Marcin stracił zwykłą pewność siebie.

– Nie mam pojęcia. Chorwacka policja na pewno się nami nie przejmie, a gdyby nawet, to jej ochrona pochłonie cały nasz budżet. Zresztą ochrona każdej policji musiałaby kosztować fortunę, polskiej też.

– À propos polskiej policji! – Marcin nagle się ożywił. – Przecież znam pana Pilarskiego. Myślę, że jeśli po przeszczepie wątroby doszedł już do siebie, to może będzie chciał przyjechać i poprowadzić śledztwo? Czułbym się pewniej, mając go obok siebie.

– Rzadko się zgadzamy – powiedział Krzysztof – ale ten pomysł uważam za dobry.

Do inspektora Pilarskiego Marcin zadzwonił wieczorem. Nie do końca wiedział, jak ma poprowadzić tę rozmowę i był stremowany. Poważna operacja, której poddał się policjant, podsuwała mu obrazy starszego, zgarbionego człowieka parzącego zioła i niewychodzącego z domu. Człowieka spędzającego większość czasu w fotelu z kotem na kolanach i bez końca oglądającego telewizyjne seriale.

– Jeśli jest tak, jak myślę – mówił do żony – to na tę rozmowę szkoda mojego czasu.

– Nie wiesz, jak jest naprawdę. Zadzwon. Niezależnie od tego, czego się dowiesz, pan Pilarski na pewno ucieszy się, że ktoś o nim myśli – przekonywała Dagmara.

\*\*\*

Żona Marcina miała rację. Policjant, który niedawno przeszedł na emeryturę, był w dobrej kondycji.

– Stosuję się ściśle do zaleceń lekarzy – mówił – i szybko wracam do zdrowia. Proszę sobie wyobrazić, że na kontrolę jeżdżę do Warszawy sam, oczywiście jako kierowca, i bez problemów wracam. Droga jest co prawda

znakomita, ale to jednak siedemset kilometrów.

Ta wiadomość ucieszyła reżysera.

– Bo wie pan – mówił już pewnie – ktoś nam tu w Chorwacji grozi. Ostrzega, że jeśli nie zrezygnujemy z kręcenia filmu, to spotka nas coś złego.

W toku dalszej rozmowy Marcin przeczytał treść SMS-a i powiedział o manekinie związanym drutem kolczastym.

– To wszystko wygląda niepokojąco – przyznał Pilarski. – Tym bardziej niepokojąco, że oprócz was nikogo na wyspie nie ma. Hm... – zamruczał. – Ciekawa sprawa. – OK – powiedział po chwili ciszy, która zdążyła zaniepokoić reżysera. – Spróbuję wam pomóc. Z jakiego miasta najlepiej do was dopłynąć?

– Z Szybeniku, ale nie ma do nas regularnych rejsów. Samochód trzeba zostawić na parkingu i wynająć motorówkę.

– Daleko do tego Szybeniku?

– Z Katowic tysiąc sto kilometrów. Od pana trochę więcej, ale droga dobra.

– OK, OK... – zastanawiał się głośno policjant. – Mam kilka recept do wykupienia, apteki otwierają o ósmej. O dziesiątej powinienem wyjechać.

– Zdąży się pan tak szybko przygotować?

– Ja już jestem gotowy – zaśmiał się Pilarski. – Wie pan, z przeszczepem może być różnie, dlatego mam torbę podróżną przygotowaną do dwutygodniowego pobytu w szpitalu. Nie ukrywam, że chorwacka wyspa jest bardziej atrakcyjnym miejscem niż szpitalna sala, ale rzeczy trzeba zabrać takie same. A zatem – mówił dalej – wyjadę jutro o dziesiątej i powinienem przejechać połowę trasy. Przenocuję w jakimś motelu na Węgrzech i, jeśli wszystko dobrze się ułoży, pojutrze wieczorem powinienem do was dotrzeć. Czy to tempo panu odpowiada?

– Oczywiście, tylko proszę na siebie uważać.

\*\*\*

Jeszcze przed śniadaniem Marcin, Krzysztof i Marek udali się na północną stronę wyspy. Niewielka plaża była jednak pusta.

– Manekin leżał dokładnie tutaj. – Marek pokazywał miejsce odległe kilka kroków od dużego skalnego bloku wrzynającego się w morze.

Nie wiedzieli, co o zdarzeniu ze znikającym manekinem mają sądzić i po krótkiej wymianie zdań ruszyli w drogę powrotną do pensjonatu.

– Jutro wieczorem przyjedzie inspektor Pilarski – zakomunikował Marcin podczas śniadania. – Spróbuje rozwikłać zagadkę manekina i SMS-a z pogroźkami. Jestem pewien, że zdążymy nakręcić wszystkie zaplanowane sceny, dlatego dzisiaj i jutro mamy dni wolne.

\*\*\*

– Brak pracy okropnie Marcina dołuje. – Dagmara zatrzymała się, aby zawiązać sznurowadło. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo. To nie ten sam człowiek, który kończył Filmówkę. Staram się, jak mogę, ale on swoje frustracje przelewa na mnie. Jest zły, że tylko moje pieniądze pozwalają nam egzystować. Na mnie jest zły, wyobrazasz to sobie? Pracuję od wczesnego rana do późnego wieczora, a on ciągle jest niezadowolony.

– Współczuję ci. – Krzysztof wolno kręcił głową. – To musi być koszmar.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Koszmar to jeszcze nie jest, ale żyć z tym ciężko. Wiem, że między wami dochodzi do kłótni, ale ja to rozumiem. Marcin oszalał ze szczęścia, kiedy otrzymał propozycję zrobienia filmu. Wszystko jej podporządkował, cały czas przegląda scenariusz, robi notatki, nawet rozmawia ze sobą. Nie wiem, po co tutaj przyjechałam, bo nie poświęca mi ani chwili

Rozmawiając, dotarli do zachodniego krańca wyspy.

– Odpocznijmy chwilkę? – zapytała. – To słońce bardzo mnie zmęczyło.

– Bo nie masz kapelusza. Mogę ci dać swoją czapkę – zaproponował. –

Chcesz?

– Chętnie – zgodziła się natychmiast.

– Ojej! – zaśmiała się, kiedy czapka zakryła jej czoło, a daszek zasłonił oczy. – Chyba jest trochę za duża.

Usiedli na kamieniach z nogami zanurzonymi w wodzie.

– Wczoraj powiedziałaś, że kiedyś ci się podobałam... – Zawiesiła głos, ciągle patrząc przed siebie.

– Tak. Tak właśnie powiedziałem.

– A teraz?

– Teraz jesteś żoną Marcina – uśmiechnął się nostalgicznie, wolno kiwając głową.

– Ale czy ci się nadal podobać? Odpowiedz, proszę.

– Nic się nie zmieniło. – Przestał się uśmiechać. – A właściwie to bardzo się zmieniło. – Ujął jej dłoń. – Teraz podobasz mi się bardziej. Z każdym dniem coraz bardziej.

\*\*\*

Pilarski zjawił się w pensjonacie już po zmroku.

– Gdyby nie właściciel motorówki, który przyprowadził mnie pod same drzwi – mówił – to raczej bym was nie znalazł.

Dużą turystyczną torbę oparł o nogę stołu i ciężko opadł na krzesło. Był zmęczony. Dwudniowa trasa dała mu się we znaki bardziej, niż się tego spodziewał.

Dagmara i Karolina natychmiast zajęły się przygotowaniem kolacji, a pozostali członkowie ekipy ciasnym wianuszkiem otoczyli policjanta.

– Czuję się osaczony – zaśmiał się pomimo zmęczenia. – Zatem mówicie, że ktoś wam grozi – ni to zapytał, ni stwierdził.

– Tak, panie Andrzeju. – Marcin wyjął komórkę. – To ten SMS. –



otworzył wiadomość i podał Pilarskiemu telefon.

– No i jeszcze ten manekin związany drutem, który zniknął z plaży.

– To rzeczywiście zagadkowa sprawa. – Pilarski oddał telefon. – Ale pozwólcie, że najpierw się rozpakuję. Gdzie będzie mój pokój?

– Nie wiem, czy zwróciliście uwagę – mówił podczas kolacji – że motyw związanej drutem kobiety pojawia się w *Nadii*. Banderowcy najpierw ją zgwałcili, a później skrupowali drutem kolczastym i wrzucili do rzeki. Myślę, że manekin był symbolem tego zdarzenia. Ten, kto go podrzucił, chciał wam powiedzieć, że wie, co robicie, i bardzo mu się to nie podoba.

Spekulacjom, kto to może być, nie było końca, ale Pilarski ich nie komentował. Kojarzył poznane fakty, jednak wnioskami z nich wynikającymi z nikim się nie dzielił. Poprosił jedynie o scenariusz i dłuższy czas się z nim zapoznawał.

Leżąc w łóżku z rękami splecionymi pod głową coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że w tę tajemniczą sprawę jest zaangażowany ktoś z ekipy filmowej.

Podrzucając manekina, dedukował, ten ktoś musiał znać treść powieści albo scenariusza. Powieść nie została jeszcze wydana, a przeczytał ją jedynie Marcin oraz filmowcy piszący scenariusz. Później ze scenariuszem mógł się zapoznać praktycznie każdy z obecnych na wyspie, a w jednej ze scen Lubow mówi o kobiecie związanej drutem kolczastym i wrzuconej do rzeki. Tak, tylko osoba znająca scenariusz mogła wymyślić zdarzenie z manekinem. Z tym przeświadczeniem zasnął.

Z samego rana zapytał Marcina, czy wśród zabranych do Chorwacji rekwizytów był też manekin.

– Nie – usłyszał odpowiedź – ale po co panu ta informacja?

– Weryfikuję pewną hipotezę – odpowiedział zdawkowo.

\*\*\*

Obecność inspektora Pilarskiego wyciszyła negatywne emocje i prace nad filmem mogły ruszyć pełną parą. Aby dodatkowo nie stresować Karoliny i Marka, którzy przed kamerą stanęli po raz pierwszy, Marcin zdecydował, że scena, w której Lubow prosi Pilarskiego o pomoc w odszukaniu Matunina będzie filmowana na tarasie.

– Poza tym jakoś mi nie pasuje, aby kochankowie, tuż po miłosnych igraszkach, w łóżku rozmawiali o banderowskich zbrodniach – tłumaczył zmianę decyzji Krzysztofowi. – Zgadzasz się z tym?

– Nie. – Odpowiedź kolegi była stanowcza. – Prośba Lubow jest namawianiem do złamania prawa. Jeśli policjant miałby obiecać jej spełnienie, to musiałby być pijany, naćpany albo w miłosnej delirce. Żelazo daje się kuć tylko wtedy, gdy jest gorące!

Mimo negatywnej opinii Krzysztofa Marcin nie zmienił decyzji. Przedpołudniowe zdjęcia wypadły jednak źle.

– Pani Karolino – mówił reżyser – więcej empatii. Musi się pani bardziej wczuć w rolę Lubow. Proszę sobie wyobrazić, że banderowcy zgwałcili pani babcię, że pani dziadkowi wydłubali oczy. To wspomnienie ma wywołać pani gniew, wściekłość i chęć zemsty. W takim emocjonalnym stanie opowiada pani o tym Pilarskiemu. Później się jednak pani stopniowo wycisza, aby prosić o pomoc już zupełnie innym tonem. Rozumiemy się?

– Przykro mi, że pana zawiodłam. – Karolina spuściła głowę.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – Marcin nie zapanował nad emocjami. – To nie była reprimenda! Taka jest rola reżysera, że uświadamia aktorom, co zrobili źle, i podpowiada, jak mogą to zrobić lepiej. To się dzieje na każdym planie filmowym. OK – mówił dalej – teraz zrobimy przerwę, powiedzmy do piętnastej, i powtórzymy tę scenę.

Popołudniowe zdjęcia wypadły znacznie lepiej i Marcin pochwalił Karolinę.

– Jest pani urodzoną aktorką – mówił. – Jeśli w przyszłości będę reżyserował jakiś film, to na pewno pomyślę o roli dla pani.

Dobry nastrój, który się wszystkim udzielił, zniknął wraz z przyjściem kolejnego SMS-a.

– *Jednak mnie pan nie posłuchał. Los wskaże jednego z was* – przeczytał Marcin i w salonie zapanowała cisza.

\*\*\*

Wiadomość zaniepokoiła też Pilarskiego. Nieznany nadawca groził, że od ostrzeżeń przejdzie do czynów, a ofiarą wcale nie musi być Marcin Kalina, do którego on te wiadomości wysyła.

Policjant był już pewien, że związek z pogroźkami ma któraś z osób przebywających na wyspie, ale kto to mógł być, tego nie wiedział. Nie wiedział też, komu mogło zależeć na tym, aby film nie powstał. Pytania się mnożyły, a odpowiedzi nie było.

Ostatnią wiadomość zapisał w notesie i porównywał ją z pierwszą.

*Ma pan natychmiast nie kręcić tego filmu! Manekin to pierwsze poważne ostrzeżenie.*

*Jednak mnie pan nie posłuchał. Los wskaże jednego z was.*

Z porównania nic jednak nie wynikało poza wnioskiem, że źle przepisał treść pierwszego SMS-a bo zdanie *Ma pan natychmiast nie kręcić tego filmu* brzmiało dziwnie.

– Panie Marcinie – zagadnął reżysera podczas przerwy obiadowej – chciałbym jeszcze raz sprawdzić oba SMS-y.

Zdziwił się, kiedy na ekranie komórki zobaczył dokładnie tę samą treść, jaką miał w swoim notesie. Patrząc to do notesu, to na ekran porównując poszczególne wyrazy i chociaż żadnych różnic nie widział, to coś mu się nie zgadzało. Dopiero po kolejnym porównaniu odkrył, że w SMS-ach nie ma polskich znaków.

Dziwne, pomyślał, zwykle telefony korygują błędy, podmieniając słowa tak, aby miały polskie litery, a tu nie ma ani jednej. No i to niepoprawne zdanie. Czyżby to był cudzoziemiec?

To pozornie nieistotne odkrycie sprawiło, że nagle z porzucanych elementów dziwnej układanki zaczął się wyłaniać całkiem sensowny obraz:

Komuś, najprawdopodobniej cudzoziemcowi, zależy na tym, aby nie powstał film przypominający banderowskie zbrodnie. Tym cudzoziemcem może być jedynie ukraiński nacjonalista, ktoś wynajęty przez to środowisko lub z nim sympatyzujący. Ten ktoś ma swojego człowieka w ekipie filmowej i robi wszystko, żeby przestraszyć ludzi i doprowadzić do przerwania prac.

– Szlag by to trafił! – Pilarski zaklął głośno, kiedy uświadomił sobie, że ta dedukcja jednoznacznie wskazuje na Czeczena i jego ciągle groźne komando.

Złość Pilarskiego była w pełni uzasadniona. Wiedział, że jeśli rozumuje poprawnie, to ekipa filmowa jest narażona na realne i poważne niebezpieczeństwo. Wiedział, że Czeczen nie rzuca słów na wiatr i że na koncie ma już kilka zabójstw.

Ciągle zagadkowa była sprawa manekina i sposobu, w jaki dostał się na wyspę.

– Właściwie jest tylko jedna możliwość. – Marcin dzielił się przemyśleniami po pytaniu policjanta.

– Zrobili to dostawcy żywności z Szybeniku. Jesteśmy po południowej stronie wyspy, ład stały, na którym leży Szybenik, jest od strony północnej. Być może stamtąd, na przykład pod osłoną nocy, przyplływają jakieś łodzie. Nie wiemy też, czy nasz dostawca po wyładowaniu towaru od razu bierze kurs na Szybenik, czy kombinuje coś po niewidocznej dla nas drugiej stronie wyspy.

Ta hipoteza wydała się Pilarskiemu bardzo prawdopodobna.

– Kto dostarcza towar? – zapytał.

– Luka, rodowity Chorwat. Byliśmy z nim wcześniej umówieni. Przenocował nas i przetransportował wraz ze sprzętem na tę wyspę. Wydaje mi się jednak, że on z pogrózkami nie ma nic wspólnego.

– Jest pan pewien, że Luka nadal przywozi żywność?

– Chyba tak, ale to Fabian, nasz operator, jest odpowiedzialny za aprowizację. Jego proszę zapytać.

Rozmowa z Fabianem przyniosła interesującą informację. Okazało się, że Luka przyplłynął na wyspę tylko jeden raz, a teraz towar dostarczają inni ludzie.

– Powiedzieli, że zastępują Lukę, który się rozchorował – dodał operator.

Zebrane fakty zdawały się potwierdzać hipotezę, że prawdopodobnie manekina podrzucili dostawcy żywności. Do tej hipotezy emerytowany policjant nie był jednak całkowicie przekonany, ponieważ pora, w której manekin znalazł się na plaży, nie pokrywała się ze stałymi godzinami dostawy. Jej drugą słabą stroną był fakt, że Marek i Karolina nie widzieli i nie słyszeli motorówki, będąc blisko miejsca, w którym znalazł się manekin.

\*\*\*

Dagmara spacerowała brzegiem morza od przystani do klifu i z powrotem. Tę niedużą odległość przemierzała raz za razem, nie spiesząc się.

Żałowała przyjazdu do Chorwacji. Każdy miał tutaj jakieś zadanie do wykonania, tylko nie ona. W duchu liczyła na to, że Marcin będzie miał wolne przynajmniej wieczory, i że wspólnie spędzany czas odbuduje ich coraz gorsze małżeńskie relacje. Liczyła na to i bardzo tego chciała, jednak na początku pobytu na wyspie, a nawet już podczas odprawy w Katowicach, przekonała się, że są to nierealne marzenia. Marcina tak bardzo pochłonęła praca nad filmem, że mało jadł, mało spał, a jej w ogóle nie zauważał.

Szła właśnie od klifu do przystani, kiedy zobaczyła wychodzącego z pensjonatu Krzysztofa.

– Ahoj! – krzyknęła, przyjaźnie machając ręką.

Zauważył ją i zaczął schodzić na plażę.

Ucieszyła się, bo lubiła jego towarzystwo. Wiedziała, że to zachowanie jej męża zbliżyło do siebie ją i Krzysztofa, a także sprawiło, że wzajemne relacje podążały w kierunku niewinnego flirtu, może już nawet nim były.

Cieszyła się z tego i chociaż lojalność wobec Marcina hamowała jej zachowania, to z pewną ciekawością oczekiwała dalszego rozwoju tej nowej znajomości.

– Cześć, wędrowniczko. – Krzysztof wyciągnął dłoń na powitanie. – Zobacz, jaką ścieżkę dzisiaj wydeptałaś – zaśmiał się.

– Co cię tak śmieszy? – Zmarszczyła czoło.

– Nie śmieszy, tylko cieszy. – Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. – Cieszy, bo spotkałem ciebie.

– Może byś przestał bajerować, co?

– Przestanę, jeśli pójdziemy na spacer wokół wyspy.

Nie musiał ponawiać propozycji. Chęć przebywania w jego towarzystwie i ciekawość, co będzie dalej, sprawiły, że zgodziła się od razu.

– Wczoraj opowiadałam o moim małżeństwie – przerwała trwającą od kilku chwil ciszę. – Żeby zamknąć ten temat, muszę ci jeszcze powiedzieć, że Marcin miał dwa romanse. Trzy lata małżeństwa i dwa romanse. Niezła średnia, co?

– Niezła, przyznaję. I jak na to zareagowałaś?

– Jak większość kobiet. Awantury, ale w końcu przebolełam i *show must go on!* Ale dość już o mnie. Powiedz, jak się układa twoje życie? Lepiej od mojego?

– Wątpię. – Z głosu Krzysztofa przebijał smutek. – Dwa tygodnie temu zakończyłem znajomość z moją dziewczyną.

– Przykro mi. – Spojrzała mu w oczy. – Kto zawinił? Ona czy ty?

– Żadne z nas. Ona skończyła Wydział Aktorski w Filmówce, ale nie mogła znaleźć pracy i pół roku po dyplomie wyjechała do Anglii. Pracuje w pubie jako kelnerka i na zarobki nie narzeka. Z napiwków ma drugą pensję i razem zarabia kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie! Namawiała mnie do przyjazdu, ale nie widziałem tam perspektyw dla siebie, a nie chciałem być na jej utrzymaniu. Przez półtora roku korespondowaliśmy, co kilka miesięcy przyjeżdżała do Polski, ale powoli wygasło to, co nas kiedyś połączyło. No i wygasło. Smutne i niestety prawdziwe.

– No i popatrz, jak szybko mija nam czas – powiedział, gdy drogę przegrodziła im skała wrzynająca się w morze. – Za tą skałą jest malutka zatoczka, ale taka naprawdę mała i kończy się klif. Dagmaro, okrążyliśmy wyspę. Wracamy?

Kiwnęła głową, że tak.

Po kilku krokach jednak stanęła, a jej wzrok zatrzymał się na popękanej i wyrzeźbionej przez wodę i wiatr pionowej skale klifu.

– Zobacz tam. – Wyciągnęła rękę w kierunku skalnego uskoku. – Co to jest?

Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że uskok jest początkiem szczeliny na tyle szerokiej, iż może się w nią wcisnąć nawet dorosły mężczyzna.

– Poczekaj chwilę – poprosił. – Sprawdzę, dokąd to prowadzi.

Wrócił po kilku chwilach.

– Daj rękę i nie bój się. To jest wejście do jaskini.

Szczelina okazała się krótkim korytarzem prowadzącym do pieczary. Panował w niej głęboki mrok, prawie ciemność, i nawet dłuższe przebywanie nie pozwalało oczom się przyzwyczać, by bliżej ją poznać.

– Zimno tu. – Przytuliła się do niego. – I tak jakoś ponuro. Wyjdźmy już.

– Naprawdę chcesz wyjść? – Mocniej ścisnął jej dłoń.

– Tak. – Delikatnie pociągnęła go w stronę wyjścia.

– Dagmaro...

– Ciii... – szepnęła, zamykając mu usta długim pocałunkiem.

\*\*\*

Przed południem Pilarski zadzwonił do Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.

– Dzień dobry, szefie. To ja, Andrzej Pilarski – przedstawił się. – Pamięta mnie pan jeszcze?

– Wszelki duch i tak dalej! Jak się pan czuje, panie Andrzeju? – Były szef Pilarskiego ucieszył się, słysząc go po kilkumiesięcznej przerwie. – Wiem, że przeszedł pan transplantację wątroby. Teraz pańskie życie musi być trudne. Pewnie nie wstaje pan z łóżka.

– Wstaję, jak każdy, a życie rzeczywiście mam trudne. Chorwacja, Czeczen, sam pan rozumie.

W telefonie zapanowała dłuższa cisza, przerywana jedynie miarowym sapaniem.

– Co pan powiedział? – W końcu telefon przemówił, ale w głosie, który usłyszał, trudno mu było rozpoznać szefa.

– Czy dobrze się pan czuje? Jaka Chorwacja? Jaki Czeczen?

Po długiej rozmowie, która w znacznej części dotyczyła okoliczności, w jakich pojechał do Chorwacji i stanu jego zdrowia, mógł wreszcie Pilarski przedstawić swoją prośbę.

– To mówi pan, szefie, że sprawy zabójstwa członków rodziny Jakubka i Korzeniowskiego prowadzi teraz Szczecin?

– Tak, pod nadzorem Komendy Głównej.

– A materiały z moich śledztw też są w Szczecinie?

– Tak, wszystkie.

– Zdjęcia z Trzebnicy też?



– Też. Jak wszystkie, to wszystkie. Jeśli chodzi o Czeczena, to ciągle jest na wolności. Wydano europejski nakaz aresztowania go.

– Mam do pana prośbę, szefie. Chodzi mi o bezpośredni kontakt z człowiekiem ze Szczecina, który prowadzi tę sprawę. Czeczen prawdopodobnie jest w Chorwacji. Żebym mógł zyskać pewność, potrzebne mi będą niektóre policyjne materiały.

– Uuu... Błado to widzę! Materiały z toczącego się śledztwa udostępnione emerytowanemu policjantowi? Niemożliwe. To pan powinien nam przekazać całą zdobytą wiedzę.

– Spieprzycie sprawę! – uniósł się Pilarski. – Jeśli mi trochę pomożecie, podam wam go na tacy.

\*\*\*

Pilarski zwrócił się półgłosem do Marcina:

– Chciałbym pana zaprosić na krótki spacer. To ważne, więc proszę nie odmawiać.

Wyszli z pensjonatu na otwartą przestrzeń.

– Ładne miejsce pan wybrał – pochwalił reżysera.

– Cała Chorwacja jest piękna, ale dlatego oderwał mnie pan od pracy, żeby mi to powiedzieć?

– Oczywiście, że nie. Proszę nie pytać o szczegóły, ale śledztwo posuwa się dość szybko. Teraz jest jednak moment, w którym muszę poprosić pana o pomoc.

– Pomogę, jeśli będę w stanie.

– Będzie pan. Chodzi o zrobienie zdjęć wszystkich członków ekipy. Zdjęć dokładnych, szczególnie zbliżeń twarzy.

– Ciekawa prośba. – Marcin był zdziwiony. – Do czego to panu potrzebne?

– Na razie muszę zachować tajemnicę, ale to ważne. Oczywiście nie chodzi o to, aby fotografować ludzi pojedynczo, bo to wzbudzi ich podejrzenia. Gdyby jednak zaproponował pan wspólne zdjęcie, to myślę, że nikt nie będzie protestował. Tylko proszę pamiętać o wysokiej, jak najwyższej, rozdzielczości. Panie Marcinie, nie chcę bawić się w paparazzo i fotografować ludzi z ukrycia. Pan może to zrobić, że tak powiem, naturalnie. Mam też prośbę, aby propozycję wspólnego zdjęcia złożył pan z zaskoczenia. Chodzi oto, aby panie nie miały czasu na makijaże i inne upiększania. Ma być po prostu naturalnie.

Popołudniowa sesja zdjęciowa bardzo się wszystkim spodobała. Zdjęcia wykonane przez operatora kamery i Marcina były tak wysokiej jakości, że Pilarski z łatwością wykadrował wyraźne twarze całej ekipy filmowej.

Wieczorem wysłał dwa maile, każdy z adnotacją PILNE – jeden do Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, a drugi do Ewy Konieczny. Do obu dołączył fotografie i prośbę, aby porównać je ze zdjęciami zrobionymi w Trzebnicy.

*Chodzi mi o to – napisał – która z osób na fotografiach przestanych przeze mnie występuje na zdjęciach z Trzebnicy.*

\*\*\*

W południe zadzwonił szef Pilarskiego.

– Panie Andrzeju – mówił podniesionym głosem – szczecińska komenda uznała, że uprawia pan prywatę i odmówiła identyfikacji osób z przysłanych fotografii! Musiałem wykorzystać swoje kontakty, by nakłonić ich do spełnienia pańskiej prośby. Zgodzili się niechętnie, ale obiecali to zrobić jeszcze dzisiaj i oddzwonić.

– Do mnie, panie inspektorze?

– Akurat! Dla nich pan nie istnieje. Proszę się więcej z nimi nie kontaktować.

Szef oddzwonił tuż przed dwudziestą z informacją, że specjaliści z

Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie nie rozpoznali ani jednej osoby, która występuje zarówno na zdjęciach zrobionych w Chorwacji, jak i w Trzebnicy.

Pół godziny później z podobną informacją zadzwoniła Ewa.

– Nie denerwuj się jednak, bo mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała tajemniczo. – Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę w kawiarni na wrocławskim Rynku? Wtedy wręczyłam ci pendrive’a ze zdjęciami mieszkania Doroty.

– Pamiętam. Jasne, że pamiętam. Podczas spotkania powiedziałaś, że dostałaś maila, w którym ktoś kazał ci się przestać interesować sprawą śmierci Doroty.

– Prawie. Dokładnie to kazano mi się przestać interesować Trzebnicą.

– A tak, teraz sobie przypominam.

– No właśnie. Kopertę z kartką tej samej treści przyniosła też moja córka. Dostała ją przed szkołą od jakiejś młodej kobiety. Na zdjęciach zrobionych w Trzebnicy jej nie ma. W ogóle są tam sami mężczyźni, oczywiście oprócz pani Doroty. A teraz uważaj: na fotografiach przysłanych przez ciebie córka rozpoznała kobietę od tej koperty.

Wiem, że się nie myliła, bo pamięć ma znakomitą, a pokazała kobietę o niebieskich oczach i rudych włosach.

Jeszcze w trakcie rozmowy włączył komputer.

Która z nich ma niebieskie oczy? – zastanawiał się. – Polina czy Anna, bo obie są rude.

– Ech, życie – wyrwało mu się, kiedy przyglądał się fotografii dziewczyny wyjątkowej urody o szarych oczach. – Pani Anno, gdybym był dwadzieścia lat młodszy... – Ty też jesteś ładna! – mówił do dziewczyny patrzącej z ekranu. – Tylko dlaczego zesłaś na taką złą drogę, Polino?

\*\*\*

Dochodziła północ. Dagmara leżała w łóżku i czytała książkę, gdy Marcin wreszcie zjawił się w pokoju. Że był zmęczony, zauważyła, ale czujne oko żony wypatrzyło coś jeszcze. To był strach, którego nie potrafił ukryć pod maską pozornego spokoju.

– Coś się stało? – zapytała, odkładając książkę. – Jesteś taki dziwny, jakby nieswój.

– Daj spokój. – Machnął ręką. – Nie wiem, czy ta praca ma sens, czy nie sprowadzi na nas wszystkich nieszczęścia.

– Nie rozumiem. – Kobieta była zdziwiona, słysząc te słowa od człowieka, dla którego praca nad filmem stała się pasją i na obecnym etapie właściwie jedynym celem życia. – Znowu dostałeś SMS-a?

– Tak. – Kiwnął głową. Chwilę przeglądał wiadomości i w końcu podał jej telefon. – Czytaj – powiedział.

– *PILNUJ ZONY!!!* – przeczytała i opadła na łóżko. Tym razem grożono jej bezpośrednio.

Ale dlaczego? – zastanawiała się nerwowo. – Przecież nie biorę udziału w produkcji filmu. Z jakiego powodu mi grożą?

– Jak to rozumieć? – zapytała. – Ja nie mam z filmem nic wspólnego.

– Ale jesteś moją żoną, a ja już mam! I to dużo! Praktycznie wszystkie sprawy są na mojej głowie. Przez grożenie tobie chcą zastraszyć mnie.

Chciała się przytulić, ale nie pozwolił.

– Daj spokój. – Odwrócił się tyłem. – Jestem zmęczony i nic mi się nie chce. A ty uważaj na siebie i najlepiej nie wychodź z pensjonatu.

\*\*\*

– Panie Marcinie – zagaił Pilarski i ujął ramię reżysera – musimy porozmawiać. Chodźmy do mojego pokoju.

Młody człowiek nie stawiał oporu.

– Mam pewność – kontynuował Pilarski, zamykając drzwi na klucz – że to Czeczen grozi pańskiej ekipie.

– Czeczen? Ten bandzior, który występuje w *Nadii*? – Marcin był zszokowany.

– Ten sam.

– Kurde, to jakaś paranoja! Żeby postać z powieści beletrystycznej nagle ożyła i stanowiła realne zagrożenie w świecie rzeczywistym? Niepojęte! Niepojęte!

– Czeczen nie jest fikcyjną postacią, panie Marcinie. To człowiek z krwi i kości. Taki jak pan i ja. W pańskiej ekipie ma swojego szpiega i dlatego wie, co się dzieje na wyspie.

– Niemożliwe! No kurde, niemożliwe! Kto to jest?

– Polina, ale proszę o całkowitą dyskrecję. Jestem też prawie pewien, że prowiant dostarczają jego ludzie. Będę w tej sprawie rozmawiał z waszym operatorem.

– Wczoraj wieczorem dostałem kolejnego SMS-a. – Marcin uznał, że musi podzielić się tą prywatną wiadomością. Ktoś napisał: *Pilnuj żony*. Boję się o nią. W poprzedniej wiadomości napisano: *Los wskaże jednego z was*. Jak pan sądzi, czy zrobili losowanie, kogo najpierw mają zabić?

– Nie odpowiem na to pytanie, bo nie wiem, ale Czeczena stać na wszystko.

\*\*\*

Niedługo potem Pilarski zagadnął operatora kamery:

– Panie Fabianie, to pan zawsze odbiera zaopatrzenie przywożone z Szybeniku, prawda?

– Prawda! I powiem panu, że czasem jest to tak ciężkie, że jestem wkurwiony na Marcina. Na wyspie jest kilku chłopów, a tragarzem jestem tylko ja.

– Przyznaję, to może być denerwujące, ale chciałem zapytać o tych ludzi, co przywożą towar, bo słyszałem, że jest ich dwóch.

– To prawda. – Mężczyzna trochę się uspokoił. – Jeden młody, taki dwudziestolatek, a drugi dużo starszy od niego.

– Interesuje mnie ten drugi. Proszę opisać jego wygląd.

– Wie pan, to nie jest łatwe. – Operator podrapał się po głowie. – Babkę bym panu opisał ze szczegółami, ale facetowi specjalnie się nie przyglądałem.

– Proszę spróbować. Na pewno coś pan zapamiętał.

– Nooo, jest wysoki, opalony i łysy. Ma ciemną, lekko siwiejącą brodę i takie same wąsy. Może mnie pan zabić, ale więcej nie pamiętam. Jutro z rana, jak przyplynie, przyjrzę się mu dokładnie.

\*\*\*

Po tej rozmowie Pilarski zadzwonił do Wrocławia.

– Szefie, potrzebuję fotografii Czeczena z europejskiego nakazu – mówił głosem pełnym emocji, wierząc, że w pojedynku z Czeczenem to on może być zwycięzcą.

– Z tym nie będzie problemu – usłyszał. – W ciągu pół godziny sekretarka wyśle ją do pana. Tylko niech pan na siebie uważa. To niebezpieczny przestępca.

– Szefie, niech mi pan powie, czy ten nakaz obejmuje też Chorwację?

– Obejmuje wszystkie kraje należące do Unii Europejskiej. A Chorwacja do niej należy?

– Nie wiem, muszę sprawdzić. Proszę chwilę poczekać, mam włączony komputer.

Wpisanie hasła *chorwacja ue* zajęło Pilarskiemu kilka sekund, a Google natychmiast podał kilkaset tysięcy linków. W krótkim opisie pierwszego z nich przeczytał, że Chorwacja przystąpiła do Unii Europejskiej 1 lipca 2013

roku.

– Tak, jest w Unii. Chodzi mi o to, czy mogę liczyć na pomoc chorwackiej policji? Oczywiście sam ich o to nie poproszę, ale oczekiwałbym wsparcia z pana strony.

Fotografia Czeczena przyszła po godzinie. Przedstawiała przystojnego mężczyznę o śniadej cerze, z ciemną kędzierzawą czupryną i gładką, ogoloną twarzą.

Prawie dwie godziny zajęła Pilarskiemu obróbka zdjęcia, ale z wykonanej pracy był zadowolony. W programie graficznym ogolił głowę Czeczena i przyprawił brodę oraz wąsy. Był ciekaw, czy w tak spreparowanej fotografii operator kamery rozpozna człowieka, od którego codziennie odbierał prowiant.

Wczesnym popołudniem zaprosił Fabiana do swojego pokoju.

– Zaraz zobaczy pan dwie fotografie. – Włączył komputer i na całym ekranie wyświetlił oryginalne zdjęcie Czeczena z europejskiego nakazu aresztowania. – Czy rozpoznaje pan tego człowieka?

Operator długo przyglądał się fotografii. Gładził brodę i szyję, wykrzywił twarz.

– Kogoś mi przypomina, ale nie, nie poznaję.

– A teraz?

– Tak, to on. – Nie miał najmniejszych wątpliwości, widząc tę samą fotografię zmodyfikowaną przez policjanta.

– On, to znaczy kto?

– Facet, który dostarcza nam prowiant.

– A jak wygląda jego motorówka?

– Jest niebieska z białym kokpitem i dwoma białymi paskami wzdłuż obu burt.

Późnym popołudniem wszystkie posiadane informacje przesłał Pilarski mailem na prywatny adres szefa.

*Proszę natychmiast skontaktować się z chorwacką policją – napisał. – Na pewno będą potrzebni antyterrorysty, a w małym Szybeniku prawdopodobnie ich nie ma.*

\*\*\*

Jeden z ostatnich dni sierpnia był gorący, prawie upalny, jedynie słaby wiatr, który tylko chwilami wiał mocniej, przynosił od morza odrobinę chłodu.

Po zakończeniu scen w pokoju hotelowym, dekoratorka wewnątrz zmieniała wystrój pomieszczenia tak, aby przypominało policyjny gabinet. Z tego powodu ekipa filmowa miała kilka godzin wolnego.

Pilarski, schowany przed słońcem na dolnym tarasie, trzymał włączony komputer i co chwilę sprawdzał pocztę, jednak jego skrzynka ciągle była pusta. Milczał też telefon leżący na stoliku obok. Na jakąkolwiek wiadomość od szefa czekał jak na zbawienie, wiedząc, że z Czeczenem nie ma żartów, ale takiej wiadomości nie było.

W dodatku godzinę wcześniej operator kamery powiedział, że nie przypląnęła motorówka z prowiantem.

– Zawsze byli między ósmą i dziewiątą – mówił – a dzisiaj czekałem do jedenastej i nic!

Aresztowano ich czy przygotowują desant na wyspę? – Pilarski nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Zbliżało się południe, kiedy zobaczył Dagmarę biegnącą w stronę pensjonatu. Była jeszcze daleko, ale poznał ją po długich, jasnych i rozpuszczonych włosach. Ruchy rąk, nóg i całego ciała dziewczyny były chaotyczne, potykała się na kamienistej drodze, raz nawet się przewróciła i krzyczała. Jej słowa z powodu odległości zlewały się w niezrozumiały bełkot, ale nie miał wątpliwości, że stało się coś strasznego. Coś, co



doprowadziło ją do takiego stanu.

Pilarski zerwał się z krzesła i ruszył biegiem w jej stronę. Im byli bliżej siebie, tym więcej szczegółów rejestrowały jego zmysły. Dziewczyna była w samych szortach, na lewym przedramieniu miała dużą plamę krwi, a na jej twarzy malowało się przerażenie. – Zabili go! Zabili! – krzyczała i z impetem wpadła na Pilarskiego.

Zaprowadził ją na taras i posadził na krześle. Dagmara nie płakała, ona zanosila się płaczem. Pociągała nosem, połykała łzy spływające jedna za drugą i wypowiadała ciągle te same słowa: nożem, na plaży, przy klifie, zabili.

Na tarasie zrobiło się zamieszanie. Ludzie byli przestraszeni i zdezorientowani. Pytali się nawzajem, kogo zabili, kto zabił i najważniejsze: co teraz robić?

– Panie zostaną z Dagmarą! – Pilarski przejął dowodzenie. – Panowie pójdą ze mną – zwrócił się do Mariusza i Marka.

Szli szybko, chwilami podbiegając.

– Panowie, wolniej – hamował ich co chwilę Pilarski. – Ja za wami nie nadążam!

Na plaży, przy północnym klifie znaleźli się po kilku minutach. Zdawało się im, że są przygotowani na najgorsze, ale widok nagiego mężczyzny, całego we krwi, leżącego twarzą do ziemi szybko zweryfikował ich przeświadczenie.

– Wracajmy, nic tu po nas – powiedział Marek, a Mariusz z trudem tłumiał odruch wymiotny.

Jedynie Pilarski zachował zimną krew. Ukląkł i ujął nadgarstek ofiary.

– Nie ma pulsu – stwierdził po chwili – nie żyje. – Panowie mogą wracać, ale ja jeszcze zostanę.

Obaj mężczyźni ruszyli w drogę powrotną, a Pilarski oglądał miejsce zbrodni. Zauważył brunatne plamy krwi na kamieniach za stopami ofiary.

Kiedy dokładniej się im przyjrzał, stwierdził, że tworzą ciągły ślad i prowadzą do ściany klifu. Ostrożnie, by nie zacierać śladów, podszedł do skały. Zdziwił się, widząc szczelinę i krew na kamieniach. To sugerowało, że zbrodni dokonano nie na plaży, ale w szczelinie, a może w jaskini, jeśli szczelina do niej prowadzi. Ofiara zdążyła się stamtąd wydostać, ale tuż przy skale zakończyła życie.

Nie wiedział, kto został zamordowany. Całe plecy, głowa i twarz ofiary były we krwi, co uniemożliwiało identyfikację bez odwrócenia ciała na plecy. Policjant zauważył jednak coś dziwnego na łydce. Coś, co ledwie było widoczne spod rozmazanej krwi. Kiedy przyjrzał się dokładnie, stwierdził, że jest to tatuaż. Widział zbyt mały fragment, by mógł poznać, co przedstawia, ale był przekonany, że w pensjonacie będą wiedzieli.

Jeszcze z plaży zadzwonił do Wrocławia z informacją, co się stało i z prośbą o natychmiastowe przybycie chorwackiej policji.

– Nie mamy broni, szefie – tłumaczył. – Nie wiemy, gdzie oni są, ale naprawdę mogą zrobić wszystko.

W salonie zastał kilka osób siedzących przy stole. Nie było jedynie Dagmary i Anny, która się nią zaopiekowała. Ludzie byli przerażeni i przygnębieni. Z nadzieją na jakiegokolwiek pozytywne informacje patrzyli na Pilarskiego.

– Który z mężczyzn miał tatuaż na lewej łydce? – zapytał, lustrując twarze zebranych.

– Krzysztof – odpowiedziała charakterzatorka.

– To właśnie on został zamordowany.

– Wiemy, panie Andrzeju. – Karolina mrużyła spuchnięte od płaczu oczy.

– Tylko jego nie ma wśród nas.

\*\*\*

Policja zjawiała się po godzinie. Na dwóch szybkich łodziach przypłynęło siedmiu antyterrorystów w kamizelkach kuloodpornych wyposażonych w

długą broń, detektyw Zoran Pastic i tłumacz. Przyłączyli się do przystani na południowym brzegu wyspy. Wyszli na ląd, chwilę ze sobą rozmawiali, po czym czterej antyterrorysty ponownie weszli do motorówki i odpłynęli. Pozostali przyszli do pensjonatu.

– Pan Pastic pyta – objaśniał tłumacz – co się właściwie stało?

– Został zamordowany jeden z filmowców na plaży po północnej stronie wyspy. – Pilarski podjął się roli reprezentanta całej ekipy. – Jestem emerytowanym policjantem – wyjaśnił – i byłem przy zwłokach. Mogę tam pana zaprowadzić.

Detektyw kiwnął głową, że akceptuje tę propozycję.

– Motorówka z czterema żołnierzami patroluje wody wokół wyspy – oznajmił. – Pan – zwrócił się do Pilarskiego – pójdzie ze mną i dwoma antyterrorystami na miejsce zbrodni, a jeden żołnierz zostanie z wami w pensjonacie.

Po wyjściu detektywa i Pilarskiego w pensjonacie rozpoczęła się burza mózgów. Wszyscy byli zgodni, że zabójstwo Krzysztofa oznacza koniec prac nad filmem.

– Nawet jeśli policja złapie Czeczena – mówił Marcin – to śmierć naszego kolegi uniemożliwia normalną pracę. Jesteśmy winni szacunek Krzyśkowi, pakujemy się i jak najszybciej wracamy do Polski.

\*\*\*

Ekipa dochodzeniowa wróciła po dwóch godzinach, a detektyw Zoran Pastic od razu poprosił wszystkich o zajęcie miejsc.

– Informacje przekazane przez pana Pilarskiego – rozpoczął długą mowę – bezbłędnie naprowadziły nas na trop Czeczena i antyterrorysty aresztowali go dzisiaj o czwartej nad ranem. Był tak zaskoczony, że nie stawiał oporu. Tego morderstwa nie dokonał on ani nikt z jego grupy.

Te słowa wywołały poruszenie wśród zebranych.

– Kiedy umierał wasz kolega, a było to około jedenastej, Czecen i jego

dwaj pomocnicy od siedmiu godzin byli już w areszcie. Na wolności jest jeszcze jeden z członków jego komanda. To jego informacje pozwalały Czeczenowi planować działania wobec was. Czeczen, po przekupieniu Luki, dostarczał wam żywność. W areszcie przyznał się, że w przypadku nieskuteczności gróźb wysyłanych SMS-em zamierzał tę żywność zatruci. To nie miała być dawka śmiertelna, ale taka, która na kilka dni każdego z was wyłączyłaby całkowicie z normalnego życia. – Zoran Pastic chwilę milczał, przyglądając się zebranych członkom ekipy filmowej, po czym wyjął z torby trzy plastikowe woreczki, położył je na stole i mówił dalej: – W klifie po północnej stronie wyspy znajduje się pieczara, ale wejście do niej trudno zauważyć. Czeczen dowiedział się o niej od Luki i wykorzystał ją do swoich celów. Proszę zobaczyć, co znalazłem w pieczarze. – Włożył lateksowe rękawiczki i z foliowego woreczka wyjął kawałek drutu kolczastego. – Manekina kobiety, drut kolczasty i narzędzia do jego cięcia schował Czeczen w pieczarze, wracając z pierwszego kursu na wyspę. Pani Polina – zrobił ukłon w stronę kobiety – okręciła manekina drutem i wyniosła na plażę. Dla pani, pani Polino, gra jest już skończona. – Dał znak i jeden z antyterrorystów sprawnie założył jej kajdanki.

Dziewczyna się rozplakała.

– Za późno na łzy. – Detektyw pozostał niewzruszony. – Nie trzeba było ulegać urokowi Czeczena. Jeśli nie Czeczen dokonał zabójstwa – na chwilę zawiesił głos – musiał to zrobić ktoś z was.

Wśród zebranych ponownie zapanowało poruszenie.

– Jak to możliwe? – pytali. – Scenariusz jak w powieściach Agaty Christie! Dochodzenie jak u detektywa Poirot!

Zoran Pastic poczekał, aż gwar ucichnie, i mówił dalej:

– Klucz do odpowiedzi na pytanie, kto zabił, jest w tych woreczkach. Z obu wyjął zmięte kawałki materiału i położył je na stole. Schował woreczki do torby i kolejno prostował materiał.

– Jak państwo widzą, jest to dwuczęściowy kostium kąpielowy. Jest

suchy i był w pieczarze. Tam gdzie dokonano morderstwa. Do kogo on należy?

Wszystkie oczy skierowały się na Dagmarę. Dziewczyna nie wytrzymała pytających spojrzeń, rozpląkała się i chciała wybiec z salonu. Drogę zagroził jej jednak antyterrorysta, który po krótkiej szamotaninie założył kajdanki i doprowadził na miejsce zajmowane przez nią wcześniej.

– Nie zabiłam go! – krzyczała Dagmara, uderzając kajdankami o blat stołu. – Ja go naprawdę nie zabiłam! – Siedziała z głową opartą na stole, ze skutymi rękami na kolanach i płakała. To nie był gwałtowny płacz, ale szloch, niemal wycie niesprawiedliwie osądzonego człowieka.

Detektyw nie zwracał uwagi na dwie płaczące kobiety.

– Prawdopodobnie było tak, że ofiara zwabiła panią Dagmarę do jaskini, zdarła z niej strój kąpielowy i chciała ją zgwałcić. Ona, broniąc się, zadała kilka śmiertelnych ciosów nożem. I to cała, dość prosta, historia.

– Nie, proszę pana! – Pilarski poczerwieniał ze złości. – Proszę natychmiast zdjąć kajdanki pani Dagmarze. Gdyby było tak, jak pan mówi, to rany na ciele denata byłyby z przodu, na twarzy i na klatce piersiowej. Tymczasem są na plecach i z tyłu głowy.

– To jak pan wytłumaczy – Zoran Pastic był wzburzony żądaniem rozkucia kobiety – kompletny strój kąpielowy znaleziony w jaskini? Ja nie widzę innego wyjaśnienia niż próba gwałtu i obrona przed nim. Każę zdjąć kajdanki, jeśli podejrzana przekona mnie, że nie mam racji!

– Pani Dagmaro... – Pilarski, najłagodniej jak potrafił, zwrócił się do kobiety. – Jest pani oskarżona o morderstwo. To niezwykle poważna sprawa, a milczenie działa na pani niekorzyść. Czy powie nam pani, co naprawdę wydarzyło się w jaskini?

Dagmara, ciągle płacząc, pokręciła przecząco głową.

– Ja powiem. – Marcin, dotąd milczący, zabrał głos i wstał dla podkreślenia wagi tego, co zamierzał powiedzieć. Był blady i trzęsły mu się

ręce. – Nikomu, oprócz pana Pilarskiego, o tym nie mówiłem, uznając to za prywatną sprawę, ale wczoraj otrzymałem SMS-a. Ktoś napisał: PILNUJ ŻONY. Napisał to dużymi literami, co potraktowałem jako bardzo poważne ostrzeżenie. Uznałem, że komando Czeczena chce odwieść mnie od kręcenia filmu, grożąc Dagmarze. Powiedziałem jej o tym i prosiłem, żeby nie oddalała się od pensjonatu. Dzisiaj mamy przerwę w sesji zdjęciowej i chciałem zaprosić żonę na spacer. Jak wszyscy wiecie, cały swój czas poświęcałem produkcji filmu i Dagmarę po prostu zaniedbywałem. Szukałem jej w pensjonacie, poszedłem do przystani i klifu, ale nigdzie jej nie było. Pytałem Polinę i Ankę, ale one też jej nie widziały. Bałem się, że Czeczen spełnił groźbę i w sobie tylko znany sposób uprowadził Dagmarę. Wyspa nie jest duża, więc postanowiłem ją przeszukać. Żonę zobaczyłem po północnej stronie. Była daleko przede mną i szła w kierunku klifu. Zdziwiło mnie, że to nie był krok, jakim zwykle się spaceruje, ale krok zdecydowany. Taki, którym idzie się gdzieś w konkretnym celu. Zaciekawilo mnie, dokąd Dagmara tak się spieszy, i postanowiłem obserwować ją z ukrycia. Śledziłem ją przez kilka minut, aż nagle straciłem z oczu. Szedłem wzdłuż brzegu, kompletnie nie wiedząc, co się stało. Doszedłem do klifu i zatrzymałem się przed skałą wchodzącą do morza. Woda była zbyt głęboka, aby dało się skałę obejść, a to znaczyło, że żona musiała zniknąć wcześniej. Wracając niepocieszony i nagle ją usłyszałem. To był głos miłosnej ekstazy, głos szczęśliwej kobiety, który wbijał się w mój mózg jak gwóźdź, świdrował go, przypalał. Nie wiedziałem, skąd dochodził, ale kiedy dokładnie przyjrzałem się skale, zobaczyłem wąską szczelinę. Wtedy przyszła mi do głowy właściwa interpretacja SMS-a. Nie w obawie przed zemstą ze strony Czeczena miałem pilnować żony, ale przed jej zdradą. Krew się we mnie zagotowała. Cicho wsunąłem się do pieczary i w półmroku ich zobaczyłem. Stali tyłem do mnie, ona pochylona, on za nią. Tak byli zajęci sobą, że mnie nie zauważyli. Rytmiczne ruchy jego bioder i miłosny skowyt Dagmary wbijały kolejne szpile w mój mózg. Raz za razem, coraz głębiej i coraz bardziej boleśniej. Nie wiedziałem, kim był mężczyzna, wiedziałem tylko, że kobietą była moja żona. Miałem ze sobą myśliwski nóż, który nosiłem od czasu, gdy zacząłem otrzymywać SMS-y z pogroźkami. Uderzyłem go trzy

razy – w głowę, w szyję i w plecy. Uderzałem mocno, z furją. Nawet nie zdążył krzyknąć, padając na ziemię. Przerażliwie krzyczała Dagmara. Nie poznała mnie. Była tak przerażona, że niczego nie widziała i spanikowana wybiegła z groty. Nóż wyrzuciłem do wody, umyłem ręce i okreśną drogą wróciłem do pensjonatu. To wszystko.

\*\*\*

Pilarski wjechał na ten sam parking przy dworcu kolejowym w Katowicach, z którego kilkanaście dni wcześniej odjeżdżały do Chorwacji busy z ludźmi i sprzętem. Otworzył bagażnik i odsunął roletę.

– Dzięki za podwiezienie. – Marek wyjął torbę i uściśnął dłoń kierowcy.  
– Szkoda, że Tomaszów Mazowiecki nie jest po drodze do Wrocławia.

– Trochę nie jest – przyznał Pilarski. – Dużo zdrowia panu życzę.

– Oj, oj, panie Andrzeju! Tego zdrowia to głównie panu potrzeba. – Marek pokręcił głową. – Tobie dziękuję za wspólną pracę przy filmie i wiesz za co. – Podając dłoń Karolinie, przymknął na chwilę oko. – Chciałbym się jeszcze kiedyś z tobą spotkać.

– Zapraszam. Mój dom zawsze będzie dla ciebie otwarty, a adres i telefon znasz. – Wspięła się na palce i go pocałowała.

\*\*\*

– Szkoda, że to wszystko tak się skończyło – powiedział Pilarski redukując bieg zablokowany za ciężarówką przez sznur wyprzedzających ich samochodów.

– Tak, bardzo szkoda – przyznała. – Krzyśka szkoda, Dagmary, nawet Marcina.

– I kawałek filmu, który zdążyliście nakręcić.

– Co dalej, pani Karolino?

– Wracam do pracy, ale pomyślę o studiach. Zaocznych, bo stacjonarne nie wchodzi w grę. Babcia zmarła, to mam teraz więcej czasu, no i córka jest

coraz bardziej dorosła. A pan?

– Ja dostałem nowe życie. Będę chciał je dobrze wykorzystać i robić rzeczy, które lubię. Może nawet założę rodzinę. Niedługo skończę pięćdziesiąt lat, to już chyba najwyższy czas?

– Najwyższy – przyznała.

Tablice nad autostradą informowały, że do Wrocławia zostało trzydzieści pięć kilometrów.



# KONIEC

---

<sup>1</sup> C.K. Norwid, *Bema pamięci żałobny-rapsod*.

<sup>2</sup> Nie, dzisiaj niczego już nie załatwimy.

<sup>3</sup> Trzeba czekać do rana. O dziewiątej zajmiemy się transportem na wyspę.

<sup>4</sup> Nie, nie można. Dopiero o dziewiątej.

## LITERATURA I INNE ŹRÓDŁA:

Robin U. Russin, William Missouri Downs, *Jak napisać scenariusz filmowy*, [brak miejsca wydania] 2005; Wydawnictwo Wojciech Marzec.

W powieści wykorzystano wspomnienia uczestników wieczorów autorskich z 2017 roku poświęconych wcześniejszym tomom *Kresowej opowieści*, zatytułowanym *Michał i Julia*, a także wspomnienia Elżbiety Burgier.

Tekst i tłumaczenie piosenki *Dwa kolory*: Bogdan Trojanek i Terne Roma; <http://teksty.org/bogdan-trojanek-terne-roma,dwa-kolory,tekst-piosenki>; [dostęp: 03.04.2018].

Fragmety w języku chorwackim: Biuro Tłumaczeń „Germanica”.

*Kresowa opowieść. Tom III Nadia*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-128-2

© Edward Łysiak i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrulik KOREKTA: Kinga Dolczewska, Regina Magdalena  
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [Inkpad.pl](http://Inkpad.pl)

# WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

NAKŁADEM WYDAWNICTWA  
NOVAE RES UKAZAŁY SIĘ RÓWNIEŻ

KRESOWA  
OPOWIEŚĆ

*Michał*

TOM I



KRESOWA  
OPOWIEŚĆ

*Julia*

TOM II

